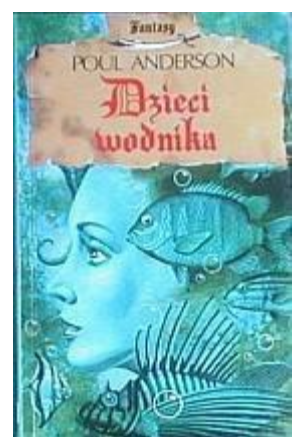


Jan 1949

POUL ANDERSON

*Dzieci
wodnika*





Poul Anderson

Dzieci wodnika

The Mermaris Children

Przełożyła Ewa Witecka

PROLOG

Wybrzeże Dalmacji pnie się stromo wzwyż. Za ledwie o milę od brzegu morza, nad rzeką Krką na wysokim wzgórzu, skąd łatwo dojrzeć szczyty gór na wschodzie, leży miasto Szibenik. Rzeka rozlewa się tam szeroko, choć w miarę jak zbliża się do morza, jej koryto staje się coraz węższe. W górnym biegu natomiast wartko toczy swe wody, wypływając szumnymi kaskadami z jeziora, które utworzyła wraz z innymi rzekami.

W owych dniach gdy Karol Robert Andegaweńczyk jako młody chłopiec został królem Chorwatów i Węgrów^{*1}, tereny wokół wodospadów porastała gęsta puszcza. Podobnie było nad jeziorem, z wyjątkiem miejsca, gdzie wpada do niego Krka. Tu już przed wiekami ludzie wykarczowali las i wzięli ziemię pod uprawę. Trochę dalej w górę rzeki, tam gdzie łączy się ona z Szikolą, wioska Skradin rozłożyła się w pobliżu zamku swego włodarza, żupana.

Dziki tchnienie puszczy przenikało jednakże nawet przez zamkowe mury.

Nocą często słyszano wycie wilków, w dzień szczekanie szakali, jelenie i dziki nieraz pustoszyły pola, można też było niekiedy dostrzec wspaniałego łosia lub żubra. Co więcej — żyły tam również niesamowite istoty: borowiec w leśnym gąszczu, utopiec w głębinach jeziora, a ostatnio, jak szeptano, także i wiła.

Żupan Iwan Subitij nie zwracał uwagi na tego rodzaju wieści, krążące wśród jego poddanych. Ów surowy, chociaż sprawiedliwy mąż był bliskim krewnym wielkiego [bana*](#) Pawle, wiedział znacznie więcej od nich o tajemnicach, i dziwach świata, ponadto spędził wiele lat za granicą i brał udział w licznych wojnach, które opancerzyły mu serce.

Jego najstarszy syn, Michajło, także nie lękał się leśnych straszydeł.

Młodzieniec ów prawie zapomniał wszystkie słyszane w dzieciństwie legendy, przez te lata gdy kształcił się w opactwie w Szibeniku, podróżował do 1* Lata 1308–1342 (przyp. tłum.).

* Ban — namiestnik królewski w średniowiecznej Chorwacji (przyp. tłum.).

tętniących życiem portów Zandaru i Splitu, a raz nawet przeprowił się przez Adriatyk do Italii. Pragnął zdobyć bogactwo i sławę, przede wszystkim zaś uciec przed monotonią życia, jakie musiałby wieść tam, gdzie spędził

dzieciństwo. Dlatego skorzystawszy z poparcia Iwana przyłączył się do świty Pawle Subitija, zwanego twórcą królów.

Michajło kochał jednak swoje rodzinne strony i często odwiedzał Skradin.

Tutejsi wieśniacy znali go jako wesołego, nieco lekkomyślnego, ale obdarzonego dobrym sercem młodzieńca, który przywoził ze sobą posmak nie znanego im wielkiego świata oraz pieśni i fascynujące opowieści o nim.

Pewnego ranka, na początku lata, Michajło w towarzystwie sześciu mężów wybrał się na polowanie. Trzej spośród nich byli jego przybocznymi strażnikami i sługami — przybyli wraz z nim z Szibeniku. Panował naonczas pokój, którego nie zakłócali ani Wenecjanie, ani przywódcy miejscowych możnych rodów, dodać też należy, że przed kilku laty na rozkaz Iwana Subitija ścięto ostatniego rozbójnika grasującego w tych stronach. Mimo to mężowie rzadko odważali się podróżować samotnie, a niewiasty nigdy. Michajle towarzyszył jeszcze jego młodszy brat Luka, jechali też z nim dwaj wolni kmiecie, którzy mieli być przewodnikami i wykonywać ciężkie prace. Z tyłu biegła za jeźdźcami sfora psów.

Myśliwi wyglądali wspaniale. Michajło odziany był wedle ostatniej zachodniej mody w zielony kubrak i długie obcisłe spodnie tegoż koloru, koszulę o barwie szafranu, płaszcz naszywany jedwabiem, na nogach miał

kordobiańskie ciżmy. Długie kasztanowe kędziory przykrył płaskim aksamitnym biretem; twarz była gładko ogolona. Kiedy jego wierzchowiec stawał się niespokojny, ozdobny kordelas grzechotał u pasa żupanowego syna.

Młodzieniec siedział na koniu tak, jakby zrośli się w jedno ciało. Jego pomocnicy odziani byli niemal równie kolorowo; groty ich włóczni połyskiwały w górze. Luka, podobnie jak skradińscy kmiecie, miał na sobie sięgający kolan kaftan, wykładaną na wierzch koszulę i długie workowate spodnie opasane rzemieniami wiązanymi wzdłuż łydek na krzyż, ale jego strój uszyto z lepszego materiału, rękawy i brzegi szat pokrywały piękne hafty, a stożkowy kapelusz bez skrzydeł ozdobiony był nie króliczym, lecz sobolowym futrem. Wszyscy trzej uzbrojeni byli w łuki oraz w długie noże przydatne do walki z niedźwiedziem.

Kopyta ich koni najpierw dzwoniły na ulicach miasta, później zadudniły głucho na leśnych drogach. W przeciwieństwie do frankońskich panów, chorwaccy wielmoże na ogół szanowali swoich poddanych: gdyby Michajło przejechał przez zieleniące się ozimym zbożem pola, musiałby

odpowiedzieć za to przed swoim ojcem. Mijając jakąś łąkę, radosną grą na rogu spłoszył kilka cielaków, ale ogrodzenie uniemożliwiło im ucieczkę.

Teraz jechali już przez las, tropiąc zwierzynę. Był to las, w którym rosły obok siebie dęby i buki, strzelały w górę smukłe pnie i wyginały się łukiem potężne konary, las szepcących cicho liści, cienistych sklepień i przestrzeni, gdzie promienie słońca z trudem przedzierały się przez gęstwinę, zdobiąc ziemię złocistymi plamami i cętkami. W panującej tu głębokiej ciszy dźwięki ptasich treli wydawały się bardzo odległe i jakby przytłumione. Powietrze było ciepłe ale ostre, przesycone zapachami nie mającymi nic wspólnego z domem czy z oborą.

Psy zwęszyły zwierzynę. Ich szczekanie rozeszło się po puszczy.

W ciągu kilku następnych godzin myśliwi zabili jelenia, wilka i parę borsuków, a choć umknęła im locha, byli zadowoleni z wyników polowania.

Dotarłszy nad jezioro, spłoszyli stado łabędzi, wypuścili z łuków strzały i strącili na ziemię trzy ptaki. Uznali, że mogą już wracać do domu.

I wtedy stało się to, co postanowił Bóg.

Inny jeleni wypadł na brzeg jeziora o jakieś sto jardów od nich. Promienie zachodzącego słońca ubarwiły go złotem i błękitem. Był śnieżnobiały i wielki niczym łoś. Jego rogi wyglądały na tle nieba jak korona wielkiego drzewa.

— Na wszystkich świętych! — zawołał Michajło i zerwał się na równe nogi.

Żadna z wypuszczonych strzał nie trafiła jelenia. Zwierzę zamarło w bezruchu, czekając, aż myśliwi wskoczą na siodła, a potem rzuciło się do ucieczki. Nie szukało jednak gęstego poszycia, gdzie konie nie mogłyby za nim nadążyć. Mając w półmroku, jeleni trzymał się leśnych ścieżek. Daremnie myśliwi szczuli go psami. Prowadził prześladowców tam i z powrotem, w górę i w dół, w lewo, w prawo i dookoła. A czas płynął. Konie były zdrożone, psy ciężko dyszały zziajane, gdy wreszcie zawiódł ich znowu nad jezioro.

Kontury drzew ciemniały nad lśniąca tonią. Słońce zaszło, pozostawiając tylko siarkowożółtą smugę na błękitnie nieba od zachodu. Na wschodzie rozlała się mroczniejąca szybko purpura i zabłysła pierwsza gwiazda. Mgła rozsnuwała się w powietrzu niby rozwijające się szare paprocie. Wysoko pod niebem śmigają bezgłośnie nietoperze. Robiło się zimno. Głęboka cisza zaległa wokół

jeziora.

Wtem królewski zwierz zadrżał i rozplynał się jak pasmo mgły.

Michajło zmełł w ustach przekleństwo. Luka zęgał się raz po raz, podobnie jak czynili to ich słudzy. Obaj kmiecie zeskoczyli na ziemię, padli na kolana i jęli modlić się głośno.

— Zostaliśmy tu zwabieni — wymamrotał starszy, imieniem Sisko. — Ale przez kogo i dlaczego?

— Wynośmy się stąd, na Boga — poprosił jego przyjaciel Draża.

— Nie, stójcie! — Michajło opanował lęk. — Nasze rumaki muszą odpocząć.

Zabijemy je, jeśli zaraz wyruszymy. Dobrze o tym wiecie.

— Czy... czyżbyś chciał spędzić tu noc? — wyjąkał Luka.

— Godzinę lub dwie, aż wszędzie księżyc i będziemy mogli odnaleźć drogę

— odparł Michajło.

Jeden ze sług spojrział na połyskującą niby żywe srebro powierzchnię jeziora, na majaczące w mroku listowie i zaprotestował:

— Panie, to nie jest miejsce dla chrześcijan. Pradawne pogańskie potwory krążą po okolicy. Ścigaliśmy nie jelenia, lecz sam wiatr, a teraz on zniknął tam, gdzie zawsze się kryje. Dlaczego?

— I to mówi mieszczanin? — zadrwił Michajło. — Zwiodły nas nasze zmysły i to wszystko. Nic w tym dziwnego, przecież jesteśmy wielce utrudzeni.

— Powiódł spojrzeniem po ich twarzach ledwie widocznych w gęstniejącym mroku. — Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie nie mogliby przebywać chrześcijanie, jeśli tylko nie są ludźmi małej wiary — rzekł. — A teraz najlepiej wezwijmy na pomoc naszych świętych. I niech wtedy diabły spróbują nam zaszkodzić!

Nieco pokrzepieni na duchu myśliwi zsiadli z koni, jeśli nie uczynili tego wcześniej, pomodlili się razem, rozsiodła—li wierzchowce i jęli wycierać je szmatami. Na ciemniejszym niebie zapalało się coraz więcej gwiazd.

Gromki śmiech Michajły przerwał nagle głęboką ciszę.

— Widzicie? Nie mamy się czego bać...

— Nie, nigdy — zadźwięczał gdzieś bardzo blisko śpiewny dziewczęcy głos.

— Czy to naprawdę ty, mój najdroższy?

Młodzieniec odwrócił się i zobaczył kobiecą postać. Chociaż on sam i jego towarzysze ledwie majaczyli w ciemnościach, widział ją niemal wyraźnie, kiedy wyszła spomiędzy trzciny na brzeg jeziora, tak jasne były jej obnażone ciało i rozpuszczone włosy, tak wielkie i błyszczące oczy. Podeszła ku niemu i wyciągnęła ramiona.

— Ratujcie nas, Jezusie i Maryjo — jęknął z tyłu Draża. — To wiła.

— Michajło? — zawołała cicho. — Michajło, wybac mi, staram się przypomnieć sobie wszystko, naprawdę się staram.

Syn żupana zdołał powściągnąć strach i nie ruszył się z miejsca.

— Kim jesteś? — wyjąkał czując, że serce wali mu jak młotem i za chwilę rozsadzi pierś. — Czego ode mnie chcesz?

— To wiła — powiedział drżącym głosem Sisko. — Demon, zły duch.

Ludzie, odpędźmy ją modlitwą, zanim wciągnie nas w swe piekielne głębiny.

Michajło nakreślił w powietrzu znak krzyża, wyprostował się, zwrócił twarzą w stronę widziadła.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... — zaczął. Ale nim zdołał wyrzec:

„idź precz!” — wiła znalazła się tak blisko niego, że dojrzał wyraźnie delikatnie rzeźbione rysy jej słodkiej twarzyczki.

— Michajło — powiedziała błagalnym tonem — czy to ty? Przykro mi, jeśli cię skrzywdziłam... Michajło...

— N a d a ! — wrzasnął.

Urocza zjawka zamilkła.

— Czy ja byłam Nada? — zapytała ze zdziwioną miną. A po chwili dodała:

— Tak, myślę, że nią byłam. A ty na pewno byłeś Michajłem... — Uśmiechnęła się. — Zaraz, przecież ty nim j e s t e ś . Sprowadziłam cię tu do siebie, czyż nie tak, kochany Michajło?

Młodzieniec krzyknął przeraźliwie, odwrócił się i rzucił do ucieczki. Jego ludzie także umknęli w mrok, gdzie tylko który mógł. Konie również pognały w popłochu przed siebie.

Po chwili wszystko ucichło. Wiła imieniem Nada została sama na brzegu.

Zapaliły się kolejne gwiazdy. Zgasły już ostatnie blaski zachodu, ale niebo w tej stronie pozostało jeszcze blade. Te dwie różne poświaty odbite od gładkiej tafli jeziora rozjaśniły sylwetkę wiły, smukłej i białej, lśniącej perłami łez.

— Michajło — powiedziała. — Proszę.

W następnym momencie zapomniała o wszystkim, roześmiała się i pomknęła w głąb lasu.

Myśliwi powrócili do domów pojedynczo, ale cali i zdrowi. To, co opowiadali później, sprawiło, że ludzie jeszcze bardziej stanowczo niż dotąd zaczęli stronić od puszczy nad jeziorem. Michajło powiedział tylko to, co musiał. Jego otoczenie wkrótce zauważyło, iż wesoły niegdyś młodzian bardzo się zmienił. Widywano go często w towarzystwie zamkowego kapelana, potem z jego spowiednikiem w Szibeniku. W rok później wstąpił do klasztoru. Decyzja ta bardzo zmartwiła jego ojca, żupana.

IN owym archidiakonem diecezji wiborgskiej został Magnus syn Gregora, duchowny, który otrzymał znacznie lepsze wykształcenie niż większość księży, ukończył bowiem studia teologiczne w Paryżu. Magnus był uczciwym i pobożnym mężem, ale wierni uważali, iż jest on zbyt surowy. Mawiali, że przyjazd wysokiego, chudego archidiakona z wiecznie skwaszoną miną na długiej twarzy cieszył ich nie bardziej niż pojawienie się jeszcze jednej wrony na polu. Biskup Wiborga był natomiast zdania, że taki mąż jak Magnus jest teraz bardzo potrzebny, niepokoiło go bowiem rozprężenie szerzące się w Danii od czasu zamieszek, jakie wybuchły po śmierci króla Waldemara Zwycięskiego.

Podróżując jako diecezjalny prowost* wzdłuż wschodniego wybrzeża Jutlandii, Magnus dotarł do Ais — nie na wyspę, lecz do małej wsi o tej samej nazwie. Wioska była biedna, leżała na zupełnym odludziu. Z dwóch stron otaczały ją gęste lasy, a od północy moczary Kongerslew. Wiodły do niej tylko dwie drogi, z których jedna biegła brzegiem morza, a druga wiła się na południowy zachód w stronę Hadsundu. Co roku we wrześniu i październiku rybacy z Ais wraz z setkami rybaków z innych regionów zarzucali sieci w cieśninie Sund w okresie wielkiego tarła śledzi, a poza tym niewiele mieli do czynienia z zewnętrznym światem. Łowili ryby w przybrzeżnych wodach i uprawiali swe ubogie poletka, dopóki nie zmogła ich starość i praca nad siły.

Wtedy składali zmęczone kości na wieczny odpoczynek koło małego, drewnianego kościółka. W takich odciętych od świata osadach ludzie hołowali nadal wielu starym obyczajom. Magnus uważał je za pogańskie praktyki i ubolewał w głębi duszy, że jeszcze nie można położyć im kresu.

Nic więc dziwnego, iż archidiakon oburzył się bardzo, gdy dotarły doń

* Prowost — przewodniczący kapituły (przyp. tłum.).

niejasne pogłoski o wydarzeniach w Ais. Nikt nie chciał się przyznać, że wie cokolwiek o tym, co działo się tu od dnia, kiedy czternaście lat temu Agneta wróciła z morza. Magnus wezwał do siebie miejscowego proboszcza i surowym tonem zażądał wyjawienia całej prawdy. Ojciec Knud urodził się w jednej z małych chatek w Ais. Obdarzony łagodnym usposobieniem, od dawna już przymykał oczy na niewielkie, jego zdaniem, wykroczenia, które wносиły nieco radości do smutnego, monotonnego żywota jego trzódki. Lecz teraz był już stary i słaby, więc Magnus szybko wycisnął z niego całą historię.

Gdy prowost powrócił do Wiborga, jego oczy płonęły świętym zapalem.

Poszedł do biskupa i oznajmił:

— Eminencjo, dokonując objazdu twojej diecezji, natrafiłem na niepokojąco liczne ślady ponurych diabelskich machinacji. Nie zetknąłem się wprawdzie z samym czartem, znalazłem jednak, by tak rzec, całe gniazdo jego najwstrętniejszych i najniebezpieczniejszych sług. A stało się to w

nadmorskiej wiosce Ais.

— Co masz na myśli? — zapytał ostro biskup. On także obawiał się nawrotu kultu pogańskich bożków.

— Chodzi o to, że niedaleko brzegu jest tam całe miasto wodników!

Biskup odpreżył się.

— To bardzo interesujące — rzekł. — Nie wiedziałem, że jeszcze jacyś wodnicy pozostali w wodach Danii. Oni nie są diabłami, mój poczciwy Magnusie. To prawda, że nie mają duszy, jak wszystkie bestie, ale nie zagrażają zbawieniu, tak jak to czynią mieszkańcy elfowych wzgórz. Właściwie nie zadają się wcale z plemieniem Adama.

— Ci są zupełnie inni, eminencjo — odparł archidiakon. — Posłuchaj, czego się dowiedziałem. Dwadzieścia dwa lata temu w pobliżu Ais mieszkała panna imieniem Agneta, córka Ejnara. Ojciec Agnety był wolnym kmieciem, zamożnym, wedle opinii sąsiadów, a ją samą Bóg obdarzył wielką urodą.

Wszyscy się spodziewali, że Agneta dobrze wyjdzie za mąż. Ale pewnego wieczoru, kiedy szła sama brzegiem morza, spotkała wodnika. Pozyskał on jej względy i zwabił ją w głąbiny. Spędziła osiem lat w grzechu i bezbożności na dnie morza.

Zdarzyło się raz, że wyniosła swoje najmłodsze dziecko na skalistą wysepkę, by wygrzało się w słońcu. Wysepka ta znajdowała się w niewielkiej odległości od kościoła i Agneta, kołysząc dziecko, usłyszała nagle dźwięk dzwonów.

Obudziły się w niej, jeśli nie wyrzuty sumienia, to tęsknota za domem i rodziną.

Udała się do wodnika i poprosiła, żeby pozwolił jej znów posłuchać Słowa Bożego. Wodnik zgodził się, acz niechętnie, i zabrał ją na brzeg. Przedtem jednak kazał Agnecie przysiąc, że nie uczyni żadnej z trzech rzeczy: nie rozpuści włosów, jakby była panną, nie będzie szukała matki w zajmowanej przez jej rodzinę ławce i nie pochyli głowy, gdy kapłan wymówi imię Najwyższego. Ona wszakże złamała wszystkie te zakazy — pierwszy z dumy, drugi z miłości, a trzeci ze strachu. Dzięki łasce Bożej łuski spadły jej z oczu i Agneta pozostała na lądzie.

Później wodnik wyszedł na brzeg, aby ją odnaleźć. Był to znowu świąteczny dzień i Agneta poszła na mszę. Kiedy jej kochanek wszedł do kościoła, wszystkie święte obrazy i posągi odwróciły się do ściany. Nikt z obecnych nie ośmielił się podnieść na niego ręki, bo wodnik był ogromny i niezwykle silny.

Prosił Agnetę, aby wróciła, i zapewne niewiele brakowało, a zdołałby ją namówić, jak za pierwszym razem. Albowiem ci wodnicy nie są ohydnyimi stworzeniami o rybich ogonach, eminencjo. Jeśli pominąć to, że mają szerokie stopy z połączonymi błoną palcami i duże skośne oczy, że włosy niektórych są niebieskie lub zielone, a mężowie z tego ludu są pozbawieni zarostu, wyglądają jak niezwykle piękni ludzie. Kędziory wodnika, który wszedł do kościoła, miały tę samą złocistą barwę co włosy Agnety.

Nie groził jej, lecz mówił o miłości i smutku.

Bóg wszakże dodał sił Agnecie: odmówiła wodnikowi i powrócił sam w morskie głębiny.

Ojciec Agnety był na tyle przezorny (i bogaty), iż nie zwlekając wydał córkę za mąż — z odpowiednim posagiem — za kogoś, kto mieszkał z dala od morza.

Ludzie powiadają, że Agneta nigdy nie weseliła się i niedługo potem umarła.

— Jeżeli umarła po chrześcijańsku — powiedział biskup — nie pojmuję, jakiej to trwałej szkody się dopatrzyłeś.

— Ale przecież wodnicy żyją tam nadal, eminencjo! — zawołał prowost. —

Rybacy widzą ich często, jak swawolą i śmieją się wśród fal. Czyż taki widok nie może sprawić, że ubogi rybak, który mieszka w nędznej chacie ze szpetną żoną, zacznie się czuć niezadowolony ze swego losu, ba, zacznie nawet wątpić w Bożą sprawiedliwość? A co będzie, jeżeli jakiś wodnik uwiedzie inną pannę, tym razem już na zawsze? Jest to tym bardziej prawdopodobne, że dorosły już dzieci Agnety i jej kochanka. Niemal codziennie wychodzą na brzeg i nawiązały przyjaźń z niektórymi chłopcami i młodzieńcami, a nawet, jak słyszałem, więcej niż przyjaźń, gdyż jest wśród nich niewiasta.

Eminencjo, to jest dzieło szatana! Jeżeli pozwolimy, aby dusze powierzone naszej opiece zginęły, co powiemy na Sądzie Ostatecznym?

Biskup spochmurniał i potarł podbródek.

— Masz rację — odparł. — Ale co możemy zrobić? Jeżeli rybacy z Ais już teraz czynią to, co jest zabronione, dalsze zakazy na pewno ich nie powstrzymają. Znam dobrze to uparte plemię. A jeśli nawet poprosimy króla, by przysłał żołnierzy, w jaki sposób dotrą oni na dno morza?

Magnus podniósł palec w górę.

— Eminencjo, badałem już sprawy tego rodzaju i wiem, jak można zaradzić złu. Ci wodnicy nie są być może demonami, ale stwory pozbawione duszy zawsze muszą uciekać, jeśli zwróci się przeciw nim we właściwy sposób Słowo Boże. Czy pozwolisz mi na przeprowadzenie egzorcyzmów?

— Tak — odpowiedział biskup drżącym głosem. — Udzielam ci mego błogosławieństwa.

I oto Magnus powrócił do Ais. Towarzyszył mu liczniejszy niż zwykle zbrojny orszak — na wypadek, gdyby wieśniacy próbowali przeszkodzić w spełnieniu zbrojnego czynu. Niektórzy z nich patrzyli ciekawie, jak na każdą nowinkę, inni ponuro, kilku płakało, kiedy archidiakon wsiadł do łodzi i kazał

zawieźć się do miejsca położonego tuż nad podwodnym miastem. I tam, z dzwonkiem, księgą, świecą, uroczyście wyklął wodników, nakazując im w imieniu Pana opuścić na zawsze te strony.

II

Tauno, najstarszy syn pięknej Agnety i króla Liri, ukończył właśnie dwudziestą pierwszą zimę. Z tej okazji odbyły się wielkie uroczystości: uczta, pieśni, tańce pomiędzy muszlami, zwierciadłami i złotymi płytami, w których odbijał się blask morskich ogni oświetlających pałac królewski. Królewicz otrzymał moc podarunków, wykonanych kunsztownie ze złota, bursztynu i rogu narwala, a także z pereł i delikatnych jak koronki różowych koralii, od wieków przywożonych z daleka przez podróżników. Urządzono też zawody w zapasach, pływaniu i w rzucie harpunem, konkursy muzyczne i konkurs pisania runami*.

Zaproszeni goście uprawiali miłość w ciemnych komnatach pozbawionych dachu, gdyż nie był tu potrzebny, i w podmorskich ogrodach, gdzie meduzy unoszone prądem wyglądały jak białe i niebieskie kwiaty, a ryby śmigły niczym meteory wśród kołyszących się czerwonych, zielonych, purpurowych i brązowych wodorostów.

Później Tauno wybrał się na łowy, Wodnicy żyli z tego, co zrodziło morze, lecz tym razem syn Agnety chciał się po prostu rozerwać i nacieszyć, po raz kolejny, majestatycznym pięknem norweskich fiordów. Razem z nim, mając na względzie zarówno jego, jak i własną przyjemność, popłynęły dwie dziewczyny, Rinna i Raksi. Podróż upłynęła im bardzo wesoło, co zasługiwało na uwagę, gdyż Tauno miał raczej melancholijne usposobienie i często zachowywał się śmiertelnie poważnie w towarzystwie rozbawionych wodników.

Wracali do domu, widzieli już z dala Liri, kiedy poraził ich święty gniew.

— Jest tam! — zawołała wesoło Rinna.

Pomknęła do przodu. Zielone włosy unosiły się nad jej szczupłymi białymi plecami. Raksi pozostała w pobliżu Tauna. Śmiejąc się krążyła wciąż wokół

niego. Przepływając pod nim, w przelocie gładziła palcami jego twarz lub

* Runy — litery alfabetu stworzonego przez plemiona skandynawskie, tu: znaki magiczne (przyp. tłum.).

łędźwie, a on tak samo żartobliwie próbował ją schwytać, zawsze jednak pozostawała poza zasięgiem jego rąk. „Nie-ee!” — drażniła się, posyłając mu całusy. Roześmiał się i płynął dalej, nie zmieniając kierunku. Dzieci Agnety odziedziczyły kształt stóp po matce, więc poruszały się w wodzie wolniej i mniej zręcznie niż wodnicy, choć i tak mieszkaniiec lądu oniemiałby z zachwyty na widok piękna ich ruchów. Chętniej niż ich kuzyni wychodziły na brzeg i mogły żyć pod powierzchnią morza nie uciekając się do pomocy czarów, które chroniły ich matkę od śmierci przez utonięcie, od działania soli i chłodu. A zimnokrwieści wodnicy lubili obejmować ich ciepłe ciała.

Promienie słońca odbijając się od grzbietów fal tworzyły nad głową Tauna świetlisty baldachim, którego cień formował z kolei delikatny wzór na białym piasku pod nim. Morze wokół niego mieniło się wszystkimi odcieniami szmaragdu i ametystu, ciemniejac dopiero w oddali. Czuł, jak w odpowiedzi na ruchy mięśni woda ześlizguje się wzdłuż jego ciała, pieszcząc je niczym kochanka.

Pomiędzy oblepionymi przez skorupiaki skałami strzelały ku górze gęste złocistobrazowe wodorosty. Jakiś krab uderzył o kamień na dnie, tuńczyk przemknął tuż obok, błękitno-biały i olśniewający swą urodą. Woda była wciąż inna: tu zimna, tam letnia, tu zmacona, tam spokojna i przejrzysta, przesycona tysiącem nie znanych mieszkańcom lądu zapachów i smaków, pełna dźwięków dla tych, którzy mogli je słyszeć: cmokania, chichotów, rechotania, ćwierkania, a także plusków i szmerów tam, gdzie uderzała o brzeg. A w dole, pod każdym wirem, Tauno czuł potężne, powolne ruchy morza.

Widział już teraz wyraźnie Liri: domy, które były właściwie skupiskami morskiej roślinności lub konstrukcjami z rogu narwala i wielorybich żeber, delikatne i pokryte sporządzonymi z muszli i żebów wieloryba ozdobami o fantastycznych kształtach, rozrzucone wśród ogrodów z wodorostów i anemonów. W środku wznosił się królewski pałac jego ojca, duży, bardzo stary, zbudowany z wielobarwnych kamieni i koralu, ozdobiony rzeźbami ryb, zwierząt i ptaków morskich. Kolumnom przy głównym wejściu nadano postać Pana Egira i Pani [Ran*](#), nadprożu zaś kształt albatrosa z uniesionymi do lotu skrzydłami. Mury zwieńczała kryształowa kopuła, którą król zbudował dla Agnety, aby, jeżeli zechce, mogła oddychać powietrzem i wypoczywać przy ogniu wśród róż i innych kwiatów, które przynosił z lądu jej kochanek.

Dokoła przemykali zwinnie wodnicy — ogrodnicy, rzemieślnicy, myśliwi tresujący parę młodych fok, zbieracz ostryg kupujący na straganie trójzab, chłopiec prowadzący za rękę dziewczynę do jakiejś oświetlonej łagodnym blaskiem jaskini. Dzwoniły dzwony z brązu, dawno temu wydobyte z zatopionego okrętu. Pod wodą ich głos rozchodził się dalej i brzmiał donośniej niż w powietrzu.

— Heeej! — zawołał Tauno. Dał nurka i szybko popłynął naprzód. Rinna i Raksi ruszyły za nim. Wszyscy troje zaśpiewali ułożoną przez syna Agnety

„Pieśń Powrotu”:

Witaj, ojczyzno moja, serdecznie znajomy brzegu.

Pomyślny jest dla wędrowca taki podróży kres.

Zadźwięczcie muszle i bębny!

Przynoszę opowieści z łabędzi srebrnych dróg.

Złocisty zalsnił już świt

Zatoczył wesoły krąg sznur białych mew...

Nagle obie dziewczyny krzyknęły głośno. Zatkąły uszy rękami, zamknęły oczy i zaczęły miotać się rozpaczliwie na oślep, tak gwałtownie wierzgając nogami, że aż woda wokół nich zakipiiała.

Tauno spostrzegł, że podobne szaleństwo ogarnęło całe Liri.

— Co to jest? — zawołał przerażony. — Co się dzieje? Rinna jęczała z bólu.

Wyglądało na to, że nie widzi go ani nie słyszy. Pochwycił ją. Próbowwała się uwolnić. Tauno przytrzymał ją od tyłu nogami i jedną ręką, a drugą zagłębił w

* Egir i Ran — w mitologii skandynawskiej boskie małżeństwo, władcy morza (przyp. tłum.).

jedwabistych włosach dziewczyny, chcąc unieruchomić drgającą konwulsyjnie głowę. Przyłożył usta do jej ucha i wyjąkał: — Rinno, Rinno, to ja Tauno.

Jestem twoim przyjacielem. Chcę ci pomóc.

— Więc puść mnie! — krzyknęła rwącym się z bólu i przerażenia głosem. —

Ten dźwięk dzwonu napełnia morze, potrząsa mną jak rekin, rozrywa moje ciało... światło, ta okrutna jasność oślepia, pali, pali... te słowa... Puść mnie albo zginę!

Oszołomiony młodzieniec oswobodził ją z uścisku. Uniósłszy się kilka jardów w górę, rozpoznał drżący cień łodzi rybackiej i usłyszał dźwięk dzwonu... Czyżby w łodzi płonął ogień i czy naprawdę jakiś głos śpiewał w nie znanym mu języku? Niczego więcej...

Domy Liri zakołysały się jakby od gwałtownego wstrząsu. Kryształowa kopuła nad pałacem pękła z trzaskiem i opadła na dno deszczem tysięcy błyszczących skorup. Kamienne mury zadrżały i zaczęły się rozpadać. Widząc, jak wali się w gruzy to, co stało tu od czasu, gdy stopniał Wielki Lód, Tauno zadygotał z przerażenia.

Dostrzegł niewyraźnie sylwetkę ojca płynącego wierzchem na orce. Zwierzę to miało własną przestrzeń powietrzną w pałacu i nikt oprócz króla nigdy nie ośmielił się go dotknąć. Władca Liri, zupełnie nagi, trzymając w dłoni trójząb, wołał donośnym głosem:

— Do mnie, mój ludu, do mnie! Szybko, bo inaczej zginiemy! Nie próbujcie ratować żadnych skarbów poza waszymi dziećmi... i bronią... uciekajcie natychmiast, jeśli chcecie żyć!

Tauno potrząsał uparcie Rinna i Raksi, dopóki nie odzyskały choć częściowo przytomności umysłu, po czym powiodł je w stronę gromadzącego się tłumu.

Jego ojciec, który pływał wkoło, chcąc zebrać w jednym miejscu przerażonych wodników, w pewnej chwili spojrział w jego stronę i powiedział ponuro:

— Ty, w połowie jesteś śmiertelnikiem, więc nie odczuwasz tego bardziej dotkliwie niż mój wierzchowiec. Ale dla nas te wody na zawsze pozostaną niedostępne. Do Końca Świata będziemy widzieli to oślepiające światło, słyszeli dźwięk dzwonu i słowa klątwy. Musimy stąd uciekać, dopóki mamy jeszcze siły, żeby gdzieś daleko znaleźć nową ojczyznę.

— Gdzie jest moje rodzeństwo? — zapytał Tauno.

— Wybrali się na wycieczkę — odparł król. Jego dźwięczny głos stracił

zupełnie barwę, brzmiał teraz głucho. — Nie możemy na nich czekać.

— Ja mogę.

Król ujął syna w ramiona.

— To dla mnie wielka pociecha. Iria i młody Kennin wymagają opieki jeszcze kogoś prócz Eyjan. Nie wiem, dokąd się udamy. Może zdołacie odszukać nas później... może... — Potrząsnął grzywą jasnych włosów. —

Uciekajcie! — krzyknął przeraźliwie.

Oszołomieni, zmaltretowani, nadzy, niemal bez broni i narzędzi wodnicy popłynęli za swoim władcą. Tauno ścisnąwszy mocno w dłoniach drzewce harpuna zastygł nieruchomo w wodzie i trwał tak, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Z hukiem zwała się ostatnia kamienna ściana pałacu królewskiego. Liri było już tylko jedną wielką ruiną.

III

W ciągu ośmiu lat spędzonych w głębinach morza piękna Agneta urodziła siedmioro dzieci — znacznie mniej niż zwykły rodzic wodnice. I właśnie nigdy głośno nie wyrażona pogarda morskich niewiast przyczyniła się do jej powrotu na ląd w tym samym stopniu co dźwięk dzwonów małego kościółka i widok krytych słomą drewnianych chat jej rodzinnej wioski.

Chociaż wodnicy, podobnie jak inne ludy Krainy Czarów, nie znali starości (jak gdyby Ten, którego imienia nigdy nie wymawiali, wynagrodził im tym sposobem brak nieśmiertelnych dusz), czyhało na nich wiele niebezpieczeństw.

Padali łupem orek, kaszalotów, węży morskich, rai, rekinów i tuzina innych gatunków ryb-morderców. Zwierzęta, na które sami polowali, bywały czasem groźnymi przeciwnikami, wichry i fale również zagrażały ich życiu. Wielu ginęło od zatrutych kłów i kolców, z głodu, chłodu i chorób. Najbardziej narażone były dzieci: większość ich umierała, zanim zdążyły dorosnąć. Król miał szczęście. Za jego pałacem w ogrodzie znajdowały się tylko trzy małe mogiły, na których nigdy nie wiodły anemony.

Czworo ocalałych potomków władcy Liri spotkało się w zburzonym mieście.

Wokół nich sterczały ruiny pałacu, dalej widać było szczątki innych budynków i zniszczone ogrody, z których uciekły już oswojone ryby; strzaskane —delikatne rzeźby zalegały dno. Kraby i homary roiły się wśród zapasów żywności jak kruki nad trupem topielca wyrzuconym na brzeg. Albatros stracił skrzydła i spadł na piasek, dobry Pan Egir runął na twarz, a Pani Ran, która chwyta ludzi w swoje sieci, stała nad nim uśmiechając się złowieszczo. Woda była zimna, w górze wzburzone wichrem fale zawodziły nad losem Liri.

Dzieci wodnika, zgodnie z panującym obyczajem, nie miały na sobie żadnej odzieży — ubierano się tylko na zabawy i z okazji uroczystości. Trzymały jednak w pogotowiu noże, harpuny, trójzęby i topory sporządzone z kamienia i kości, by móc w każdej chwili odparować atak groźnych drapieżników, które krążyły coraz bliżej, wciąż jeszcze poza polem ich widzenia. Żadne z dzieci

Agnety nie było łudząco podobne do wodników, lecz troje starszych odziedziczyło po ojcu wystające kości policzkowe i skośne oczy, a synowie brak zarostu u mężów. Chociaż nauczyli się mówić po duńsku i przyswoili sobie niektóre duńskie obyczaje, teraz jednak prowadzili rozmowę w języku wodników.

Tauno, jako najstarszy, pierwszy zabrał głos.

— Musimy postanowić, dokąd się udać. Nawet kiedy jeszcze wszyscy tu mieszkali, z trudem udawało się odeg—nać widmo śmierci. Sami nie pożyjemy długo.

Tauno był również najwyższy z całej czwórki, szeroki w barach; potężne mięśnie zawdzięczał intensywnemu pływaniu. Na jasnych włosach o słabym zielonkawym odcieniu nosił przepaskę ozdobioną drogimi kamieniami. Miał

szeroko rozstawione oczy o barwie bursztynu, wydatny nos, szerokie usta i energicznie zarysowany podbródek. Przebywając często na powierzchni morza i lądzie, opalił się na ciemny brąz.

— Jak to? Czy nie popłyniemy w ślad za naszym ojcem i plemieniem? —

zapytała Eyjan.

Skończyła dziewiętnaście zim. Była wysoka jak na niewiastę i niezwykle silna. Stalowe mięśnie, ukryte pod pełnymi krągłościami piersi, bioder i ud, ujawniały swą moc dopiero wtedy, gdy mocno objęła kochankę lub przeszła włóczęgiem tarzającym się w błocie morsa. Miała twarz o niezwykle regularnych rysach, białą jak mleko skórę, najbielszą z całej czwórki, pukle płomiennorudych włosów spływały jej na ramiona. Szare oczy świeciły zuchwałym blaskiem.

— Nie wiemy, dokąd popłynęli — przypomniał jej Tauno. — Muszą powędrować bardzo daleko, bo tu były ostatnie dobre łowiska, jakimi władał

nasz lud wokół Danii. Chociaż wodnicy żyjący w Bałtyku czy u wybrzeży Norwegii mogą im pomóc w drodze, nie ma tam miejsca dla tak licznej grupy, jak ta, ocalała po zagładzie Liri. Morza są bardzo duże i trudno będzie ich odnaleźć, siostrze.

— Och, przecież możemy się tego dowiedzieć — powiedział niecierpliwie Kennin. — Zostawią u kogoś wiadomość. Delfiny z pewnością będą wiedziały, dokąd się udali. — Jego błękitne jak letnie niebo oczy zabłysły, gdy dorzucił: —

Ach, cóż to za wspaniała okazja, żeby się trochę powłóczyć po świecie!

Skończył dopiero szesnaście zim, miał jeszcze całe życie przed sobą i rozpierało go młodzieńcze pragnienie poznania wszystkiego, co kryje się za horyzontem. Mimo że nie osiągnął jeszcze pełni wzrostu, było już rzeczą pewną, iż nigdy nie stanie się wysokim, potężnie zbudowanym mężem. Jednakże w wodzie poruszał się niemal równie zwinnie jak prawdziwy wodnik. Jego włosy miały zielonkawo—brązową barwę, okrągła twarz obsypana była piegami, a ciało pokrywały wymyślne wzory namalowane najbardziej krzykliwymi kolorami, jakie znali mieszkańcy mórz. Nikt z jego rodzeństwa nie ozdabiał w podobny sposób swej skóry; Tauno miał zbyt poważne usposobienie,

Eyjan zawsze drwiła z kłopotów, jakie się z tym łączyły, a Iria nie pozwalała na to nieśmiałość. Teraz szepnęła:

— Jak możesz żartować... kiedy... wszystko przestało istnieć?

Rodzeństwo podpłynęło bliżej do najmłodszej siostry. Nadal uważali ją za małe dziecko, pozostawione w kolebce przez matkę, do której z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna. Mała, szczupła (jej piersi dopiero zaczynały się rozwijać), złotowłosa, o dużych oczach, zadartym nosku i lekko rozchylonych wargach, Iria zawsze trzymała się z dala od wszelkich zabaw —

na ile mogła sobie na to pozwolić będąc królewską córką. Nigdy nie poszła sama z chłopcem, całymi godzinami natomiast uczyła się niewieścich prac, z których drwiła Eyjan. Jeszcze więcej czasu spędzała pod kryształową kopułą, bawiąc się skarbami, należącymi kiedyś do Agnety. Nieraz leżała na wodzie, wpatrując się w zielone wzgórza i chaty na brzegu, zasłuchana w dźwięki dzwonów wzywających chrześcijan na modlitwę. Ostatnio często tam chadzała, zawsze z kimś z rodzeństwa, jeśli tylko któreś zgodziło się ją zabrać ze sobą; przemykała o zmierzchu wzdłuż brzegu, kryła się za wykrzywionymi przez wiatry drzewami albo na wrzosowisku, jak nieśmiały cień.

Eyjan objęła ją mocno ramieniem.

— Odziedziczyłaś zbyt wiele krwi śmiertelników — oznajmiła młodszej siostrze.

— I to jest właśnie okrutna prawda — powiedział ponuro Tauno. — Iria nie jest zbyt silna. Nie potrafi pływać ani szybko, ani daleko bez pożywienia i odpoczynku. Co będzie, jeśli w drodze napadną nas drapieżniki? A co się stanie, jeżeli zima zaskoczy nas z dala od ciepłych mielizn lub jeśli wygnańcy z Liri przenieśli się na Arktykę? Nie wiem, czy w ogóle można ją zabrać w jakąkolwiek podróż.

— A czy nie moglibyśmy zostawić jej pod czyjąś opieką? — zapytał Kennin.

Iria wzdrygnęła się i przytuliła mocniej do Eyjan.

— Och, nie, nie — poprosiła ledwie dosłyszalnie. Kennin poczerwieniał na twarzy, wściekły na własną głupotę. Tauno i Eyjan spojrzeli po sobie ponad zgarbionymi plecami siostry. Niewielu wodników zgodziłoby się zaopiekować słabeuszem, skoro nawet silni z trudem dawali sobie radę. Od czasu do czasu ktoś wiedziony pożądaniem mógłby się na to zdecydować. Nie mieli jednak żadnych podstaw do nadziei, że znajdą wodnika, dla którego to dziecko stanie się tym, czym dla ich ojca stała się pewna dorosła panna, wiedzieli też, że nie byłoby to żadnym dobrodziejstwem dla Irii. Tauno zmusił się, żeby powiedzieć na głos:

— Sądzę, że zanim odpłyniemy, powinniśmy pozostawić Irię wśród ludu naszej matki.

IV

Ciche pukanie do drzwi obudziło starego proboszcza Knuda. Wygramolił się ze składanego łóżka, w ciemnościach niezdarne naciągnął na siebie odzienie i po omacku, gdyż żarzący się w piecu ogień

nie dawał zbyt wiele światła, podszedł do drzwi. Bolały go wszystkie kości i szczekał zębami z zimna.

Zastanawiał się, nad kim z jego trzódki zawisł cień śmierci.

On sam przeżył wszystkich swoich dawnych towarzyszy zabaw...

— Idę już, w imię Chrystusa, już idę.

Księżyc, który był właśnie w pełni, wzeszedł dopiero niedawno, przerzucił

srebrzysty pomost przez Kattegat i nadał widmowy odcień mokrym od rosy dachom. Lecz obie krzyżujące się ulice Ais tonęły w głębokich ciemnościach, a tereny wokół wsi objęły we władanie wilki i trolle. Psy zachowywały się dziwnie spokojnie, jak gdyby bały się szczekać. Noc była tak cicha, że aż dzwoniło w uszach. Ale nie, gdzieś w pobliżu rozległy się głucho dźwięki przypominające odgłos kopyt. Czy to Piekielny [Kooń*](#) [pasł](#) się wśród grobów?

Cztery postacie stały w obłoku pary, który powstał z ich własnych oddechów, noc była bowiem niezwykle chłodna jak na tę porę roku. Na ich widok ojciec Knud jęknął i przeżegnał się pospiesznie. Nigdy dotąd nie widział wodników —

z wyjątkiem tego, który przyszedł do jego kościoła — chyba że zapamiętana z dzieciństwa niezwykła wizja była czymś więcej niż cudownym snem. Ale kim innym mogli być ci nocni przybysze? Usłyszał dostatecznie wiele opowieści od tych spośród jego parafian, którzy spotykali od czasu do czasu owe dziwne istoty. W rysach twarzy męża i niewiasty dostrzegał te same obce cechy, mniej wyraźne u chłopca i niemal niedostrzegalne u dziewczynki. Ale i ona, podobnie jak tamci troje, odziana była w tunikę z rybich skór, na której lśniły i z której kapały krople wody, i tak jak tamci ścisnęła w rękę harpun z kościanym grotem.

* Zakładając nowy cmentarz przy kościele grzebano tam żywcem koma lub barana, którego duch miał odtąd strzec spokoju umarłych (przyp. tłum.).

— Wy, wy mieliście... odejść — wykrztusił ksiądz, a jego głos zabrzmiał

niemal piskliwie w mroźnej ciszy.

— Jesteśmy dziećmi Agnety — odparł wysoki mąż. Mówił po duńsku ze śpiewnym akcentem, zaiste w jego ustach ten język brzmi niesamowicie, pomyślał Knud. — Dlatego wasze czary nas nie dotknęły.

— Nie czary, święte egzorcyzmy — Knud polecił się w myśli Bogu i rozprostował szczupłe ramiona. — Proszę was, nie gniewajcie się na moich wieśniaków. To wszystko stało się bez ich woli i udziału.

— Wiem. Pytaliśmy o to... przyjaciela. Wkrótce stąd odejdziemy, przedtem jednak chcielibyśmy powierzyć Irię twojej opiece.

Słyszając te słowa i spostrzegłszy niemal w tym samym momencie, że bose stopy gości mają ludzki kształt, stary proboszcz poczuł się nieco pewniej.

Zaprosił ich do środka. Weszli i skrzywili się, zaskoczeni brudem i zapachami, jakie ich powitały w jedynej izbie na plebanii. Ojciec Knud podsycał ogień, zapalił świeczkę z knotem z sitowia, postawił na stole chleb, sól i piwo, a ponieważ goście zajęli ławę, więc usiadł na zydlu, i zaczęła się rozmowa.

Rozmawiali jeszcze długo po tym, jak proboszcz przyrzekł, iż uczyni dla dziewczynki wszystko, co będzie w jego mocy. Jej rodzeństwo postanowiło pozostać przez pewien czas w pobliżu Ais, żeby się upewnić, iż ksiądz dotrzyma obietnicy; co wieczór Iria miała spotykać się z nimi na brzegu morza. Stary kapłan prosił ich, aby także pozostali na łodzi i przyjęli chrzest, lecz wodnicy nie chcieli się na to zgodzić. Pocałowali siostrę i odeszli. Dziewczynka płakała cicho, rozpaczliwie, aż w końcu zmęczona usnęła. Ksiądz ułożył ją w pościeli, sam zaś spędził resztę nocy na ławie.

W miarę jak mijały letnie dni, Iria odzyskiwała powoli humor. Rodzina Agnety trzymała się z dala od niej, bojąc się przyznać, że w jej żyłach płynie ich krew. Lecz ojciec Knud zapewnił dziewczynce tak dobre utrzymanie, jak na to pozwalały jego skromne dochody. Pomogło mu w tym rodzeństwo Irii, przynosząc świeżo złapane ryby na cowieczorne spotkania, które bardzo szybko zaczęły się ograniczać do paru zaledwie chwil. Dla Irii życie na łodzi było tak nowe i niezwykle, jak nowa i niezwykle była ona sama dla dzieci z Ais, które przez cały czas otaczały ją rozbawioną gromadką. Co się tyczy pracy, najmłodsza córka Agnety nie umiała jeszcze niczego, ale chciała się uczyć.

Kirsten, córka Pedera, pokazała jej, jak się tka na krosnach, i orzekła, że dziewczynka może zostać niezwykle zręczną tkaczką.

Tymczasem proboszcz wysłał do Wiborgu posłańca, prosząc o decyzję, co należy dalej robić z dziewczynką. Czy można ochrzcić półkrwi wodnicę? Modlił

się o odpowiedź potwierdzającą, w przeciwnym razie bowiem jakież los czekałby biedne dziecko? Minęło kilka tygodni, a odpowiedź wciąż nie nadchodziła; w kurii biskupiej musieli widocznie wertować wszystkie księgi. Wreszcie posłaniec wrócił konno, w asyście uzbrojonych strażników, pisarza i prowosta.

Już od wielu dni proboszcz uczył Irię podstawowych zasad wiary chrześcijańskiej. Dziewczynka słuchała uważnie, prawie zawsze w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Archidiakon Magnus zobaczył ją po raz pierwszy na plebanii.

— Czy naprawdę wierzysz w jedyne Boga — warknął — w Ojca, w Syna, którym jest nasz Pan i Zbawca Jezus Chrystus, i Ducha Świętego, który z nich powstał?

Dziewczynka złękła się surowego tonu przybysza.

— Wierzę — szepnęła. — Niezbyt dobrze to wszystko rozumiem, ale wierzę, dobry panie.

Magnus zadał Irii jeszcze kilka pytań, po czym rzekł na boku do Knuda:

— Można ją ochrzcić bez obawy. Nie jest nierozumnym zwierzęciem, chociaż musi znacznie lepiej poznać prawdy naszej świętej wiary, nim zostanie przyjęta na łono Kościoła. Jeżeli jest diabelską przynętą, woda święcona wypędzi ją precz, a jeśli tylko nie ma duszy, Bóg w jakiś sposób da nam znać o tym.

Chrzest miał się odbyć w najbliższą niedzielę po mszy. Archidiakon podarował Irii białą suknię i wybrał dla niej imię świętej patronki —

Małgorzaty. Dziewczynka obawiała się go teraz już znacznie mniej niż przedtem i zgodziła się spędzić na modlitwie noc z soboty na niedzielę. W piątek, po zachodzie słońca, ogromnie przejęta, zaprosiła na mszę swoje rodzeństwo —

księża na pewno zgodzą się na to w nadziei, że ich także pozyskają dla Boga —

i rozplakała się gorzko, gdy odmówili.

Tak więc owego niedzielnego poranka, kiedy wiatr gonił po niebie białe obłoki i kołysał lśniąca fale, w obecności zgromadzonych w drewnianym kościółku mieszkańców Ais Iria uklękła pod zawieszonym w nawie modelem okrętu, przed postacią Chrystusa na ołtarzu, a ojciec Knud, dopełniwszy obrządku sakramentu, uczynił nad nią znak krzyża i powiedział radośnie:

— Chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i osunęła się bez zmysłów na ziemię.

Ktoś z obecnych ze świstem wciągnął powietrze do płuc, ktoś inny krzyknął

ochryple. Proboszcz, zapominając o zeszywniałych stawach, schylił się i przytulił dziewczynkę do siebie.

— Irio! — zawołał drżącym głosem. — Co się stało?

Rozejrzała się dokoła ze zdumieniem, dysząc ciężko.

— Ja... jestem... Małgorzata — powiedziała powoli.

— A kim ty jesteś?

Prowost Magnus nachylił się nad nią.

— Kim jesteś? — powtórzyła.

Knud podniósł na archidiakona oczy pełne łez.

— Czy to znaczy... czy ona rzeczywiście nie ma duszy? — wyszlochał.

Magnus wskazał na ołtarz.

— Małgorzato — rzekł tak stanowczym tonem, że wszyscy w kościele zamilkli. — Małgorzato, spójrz tam. Kto to jest?

Dziewczynka popatrzyła w stronę, którą wskazywał jego węzłasty palec, uklękła i przeżegnała się.

— To jest Pan nasz i Zbawca, Jezus Chrystus — odparła niemal spokojnie.

Magnus podniósł ręce ku górze. Rozpłakał się ze szczęścia.

— Stał się cud! — zawołał. — Dzięki Ci, Boże Wszechmogący, że pozwoliłeś mnie, najnędnieszemu z grzeszników, być świadkiem tego dowodu Twojej nieustającej łaski. — Odwrócił się do zgromadzonych. — Uklęknijcie!

Chwalcie Pana! Chwalcie Pana!

Później, gdy został sam z Knudem, wyjaśnił mu, już spokojniejszym tonem:

— Biskup i ja przypuszczaliśmy, że coś takiego może się zdarzyć, zwłaszcza że, jak doniosłeś w swoim liście, święte obrazy nie odwróciły się od niej. Co więcej, w archiwach znaleźliśmy kilka legend z czasów Ansgara i Poppego, apostołów Danii, które zawierają, jak się zdaje, nieco prawdy. Dlatego mogę objaśnić to, co zobaczyliśmy.

Podobnie jak ich rodzice z Krainy Czarów, mieszańcy nie mają duszy, chociaż bez wątpienia także i ich ciała są wiecznie młode. Ale Bóg pragnie również ich przyjąć do siebie, ba, otwiera swe wrota nawet dla wodników bez domieszki ludzkiej krwi. Na chrzcie Małgorzaty obdarzył ją duszą, tak jak daje ją dziecku w chwili poczęcia. Małgorzata stała się więc w pełni człowiekiem o śmiertelnym ciele i nieśmiertelnej duszy. Musimy czuwać, żeby osiągnęła zbawienie.

— Ale dlaczego ona nic nie pamięta? — zapytał Knud.

— Urodziła się na nowo — wyjaśnił archidiakon. — Pamięta język duński i wszystko, czego nauczyła się wśród ludzi, lecz jej pamięć została oczyszczona ze wspomnień mających jakikolwiek związek z poprzednim życiem. To wyraźny dowód łaski Niebios, bo Szatan mógłby posłużyć się tęsknotą, żeby odciągnąć nowo narodzone jagnię od owczarni.

Stary proboszcz wydawał się bardziej zaniepokojony niż zadowolony.

— Jej bracia i siostra źle to przyjmą — powiedział.

— Wiem o nich wszystko — odparł Magnus. — Niech dziewczyna spotka się z nimi na brzegu, przed tymi siedmioma drzewami, które rosną nisko i blisko siebie. Moi ludzie ukryją się wśród konarów i będą trzymali kusze w pogotowiu...

— Nie! Nigdy! Nie pozwolę na to! — Knud nerwowo przełknął ślinę, zdając sobie doskonale sprawę, jak niewiele od niego zależy. W końcu jednak udało mu się przekonać Magnusa, by poniechał swego zamiaru i nie przygotowywał

zasadki na dzieci wodnika. Przecież tamci wkrótce odejdą. A gdyby jednym z pierwszych wydarzeń, które zapamięta Małgorzata, stało się zabójstwo, jak fatalny wpływ mogłoby to wyrzucić na jej nową duszę!

Dlatego obaj duchowni zapowiedzieli strażnikom, że mają strzelać jedynie na rozkaz. Kiedy nadszedł ów wieczór, wszyscy ukryli się za drzewami. O parę kroków przed nimi stała zdumiona lecz posłuszna Małgorzata, z różańcem okręconym wokół złożonych do modlitwy dłoni. Jej biała suknia trzepotała głośno na wietrze.

Poprzez szelest liści i łoskot fal usłyszeli jakiś odgłos. Z wody wynurzyli się: wysoki mąż, wysoka niewiasta i chłopiec. Łatwo było dostrzec, że nie mieli na sobie żadnej odzieży.

— Sprośność! — syknął gniewnie Magnus. Wysoki mąż powiedział coś w nieznanym języku.

— Kim jesteś? — zapytała po duńsku Małgorzata. Cofnęła się z lękiem. —

Nie rozumiem cię. Czego ode mnie chcesz?

— Irio... — Niewiasta wyciągnęła ku niej mokre ramiona. — Irio. — Mówiła po duńsku, pełnym bólu głosem. — Co oni z tobą zrobili?

— Jestem Małgorzata — oświadczyła dziewczynka. — Powiedziano mi... że muszę być dzielna... Kim jesteście? Coście za jedni?

Chłopiec wydał dźwięk podobny do warkotu i skoczył ku niej. Podniosła do góry krzyż.

— W imię Chrystusa, idź precz! — krzyknęła przerażona.

Nie usłuchał jej, jednakże zatrzymał się, kiedy starszy brat chwycił go za ramię. Wysoki mąż powiedział coś zduszonym głosem.

Małgorzata odwróciła się błyskawicznie i uciekła przez wydmy do wioski. Jej rodzeństwo pozostało na brzegu. Rozmawiali ze sobą przez jakiś czas, zdumieni i skonsternowani, po czym wszyscy troje pograżyli się znowu w odmętach morza.

V

Wyspa, którą ludzie zwą Laesö, leży o cztery mile na wschód od północnej Jutlandii. Piaszczysty, porośnięty wrzosem ostrów, bezlitośnie smagany przez wichry wiejące zarówno od Skagerraku, jak i od Kattegatu, liczy niewielu mieszkańców. Jednakże małe kościółki, które tam zbudowano, na zawsze zamknęły wodnikom dostęp do miejsca, gdzie ongiś odbywały się ich największe zgromadzenia, jako że wówczas była to Hlesey, Wyspa Hlera (Hler to jedno z imion Egira). Chrześcijańscy kapłani z pomocą dzwonu, świętej księgi i świecy wygnali stamtąd wszystkie pogańskie stwory.

Ale tuż obok Laesö, jak młody wieloryb nie odstępujący swej matki, wznosi się ponad wodą wysepka Hornfiskrön; jest niewiele wyższa od zwykłej skały, długa na jakieś pół mili, z rzadka porośnięta wrzosem. Nikt nigdy się na niej nie osiedlił, nikt też dotąd nie wpadł na pomysł, by

wygnać stamtąd nieczyste siły.

Tajemna moc starego boga morza pozostała tu jeszcze na tyle silna, że wodnicy mogli docierać do Hornfiskrönu od południa, a potem bez Przeszkód wychodzili na brzeg.

I właśnie tutaj pewnego pochmurnego dnia król Wanimen przywiódł

wygnańców z Liri. Podróż zabrała im więcej czasu, niż zużyłby na nią płynący samotnie zdrowy dorosły wodnik, ponieważ mieli ze sobą dużo dzieci. Poza tym tak liczne plemię nie mogło w drodze zdobyć dostatecznej ilości pożywienia i niebawem wszyscy osłabli z głodu.

Brodząc ku brzegowi wodnicy poczuli silne podmuchy wichury i pierwsze krople deszczu. Wiatr wył, gwizdał i pisał, a stalowoszare fale o rozwianych grzywach huczały groźnie i z sykiem zalewały biały piasek. Na zachodzie błyskawice ryły runiczne znaki w ciemnych chmurach. Wschodnią część nieba kryły przed wzrokiem wodników jakieś ruiny.

Wanimen wspiął się na najwyższą spośród tutejszych wydm — piasek boleśnie kaleczył jego nożne pletwy — i czekał, aż inni rozsiądą się wokoło.

Wyglądał wspaniale, gdy tak stał z trójzębem, symbolem swego majestatu w dłoni. Król był wyższy od większości wodników, pod jego śnieżnobiałą skórą rysowały się posągowe mięśnie, a liczne blizny przypominały, ile stuleci już przeżył i w ilu strasznych bitwach zwyciężył. Mokre złote kędziory opadały mu na plecy, w rysach twarzy dostrzegało się wyraźne podobieństwo do Tauna, jego syna, ale oczy miał zielone jak morze. Promieniowały spokojem, mądrością i siłą.

Była to jednak tylko maska, którą przybrał ze względu na swych poddanych.

Gdyby utracili nadzieję, czekałaby ich zagłada. Zdruzgotani tym, co się stało, w nim jednym tylko pokładali nadzieję.

Doznał nagle uczucia strasznego osamotnienia. Im dłużej żył, tym bardziej był samotny. Niewielu wodników dożywało jego wieku, w Liri udało się to tylko jemu. Śmierć zabierała ich z reguły dużo wcześniej, chyba że mieli wyjątkowe doświadczenie i szczęście. Dawno już odeszli wszyscy jego przyjaciele z lat dzieciństwa, a pierwsza ukochana była już od wieków jedynie snem. Przez jakiś czas łudził się nadzieją, że w Agnecie znalazł to, co ludzie nazywają szczęściem. Dobrze wiedział, że może ono trwać tylko mgnienie, zanim jej ciało umrze, a dusza pójdzie tam, dokąd wędrują ludzkie dusze po śmierci. Wyobrażał sobie, iż w dzieciach Agnety przetrwa dlań choćby cząstka tamtej radości. (Teraz największą chyba boleść sprawiała mu myśl, że już nie może dbać o groby tych trojga, które los mu odebrał). Tauno, który rozwinął

wspaniale odziedziczony po ojcu skaldowski talent, piękna Eyjan, zapowiadający się znakomicie Kennin, ufna Iria, tak podobna do matki —

wszyscy oni odeszli, pozostali hen, daleko. Czy kiedykolwiek zdołają odszukać wśród bezkresnych morskich przestrzeni swych wygnanych współbraci?

Wanimen przypomniał sobie, że nie wolno mu się poddawać słabości.

Wysiłkiem woli odegnał smutne myśli i spojrzął na swój lud.

Ocecił, że było ich około stu czterdziestu. Prawdopodobnie jeszcze nikt dotychczas nie wpadł na myśl, że trzeba by ich policzyć, a i dziś tylko jemu przyszło to do głowy. Długie życie, wciąż rosnący bagaż doświadczeń i przemyśleń sprawiły, że król wyzbył się właściwej wodnikom niefrasobliwości i nauczył się rozmyślać i zastanawiać jak człowiek.

Przeszło połowę zgromadzonych stanowiły dzieci (kilkoro zmarło podczas ucieczki). Teraz skupiły się wokół matek — niemowlęta przy piersi, berbecie, które starano się osłonić przed wiatrem i deszczem, oraz podrostki i dziewczynki, co choć już spore wzrostem, nadal czepiały się rozpuszczonych włosów swoich rodzicielek, szeroko otwartymi oczami spoglądając na świat, który nagle stał się dziwny i niebezpieczny... Dorośli mężowie i bezdzietne niewiasty trzymali się z dala od tej ciżby. Wśród wodników ojcostwo prawie zawsze było niepewne i nie miało większego znaczenia. Wychowywaniem dzieci zajmowały się matki wraz ze swymi aktualnymi kochankami, przyjaciółki matek wspólnie ze swoimi kochankami, troszczyło się o nie wreszcie całe plemię.

Oczywiście Agneta była wyjątkiem... Jak bardzo starała się wpoić swoim dzieciom poczucie tego, co uważała za właściwe i obyczajne! Po jej odejściu Wanimen przekazał im, co mógł, z ich ziemskiego dziedzictwa: nauczył się przecież sporo w ciągu stuleci. Teraz próbował sobie odpowiedzieć na pytanie, czy to się im na coś przydało.

No tak, ale wszyscy wodnicy zwrócili ku niemu wychudzone twarze. Musi zaoferować im coś więcej niż zawrodoenie wiatru.

Wciągnął powietrze do płuc i podniósł głos, tak by wszyscy dobrze go słyszeli:

— Ludu Liri, które już nie istnieje. Musimy postanowić, co mamy robić dalej.

Jeśli będziemy krążyć bez celu w okolicznych wodach, zginiemy marnie. Lecz wszystkie znane nam tereny, na których moglibyśmy się wyżywić, są albo niedostępne dla istot z Krainy Czarów — tych jest większość — albo zasiedlone już w nadmiarze przez naszych braci. Gdzież więc mamy szukać schronienia?

Jakiś bardzo młody wodnik zawołał zapalczywie:

— Czy potrzebne jest nam wybrzeże? Ja całymi tygodniami żyłem w otwartym oceanie!

Wanimen pokręcił głową i wyjaśnił:

— Nie mógłbyś żyć tam latami, Hajko. Gdzie znalazłbyś schronienie czy choćby tylko miejsce na wypoczynek? Gdzie wzniosłbyś dom, skąd wziąłbyś materiał potrzebny do jego budowy? Potrafimy wprawdzie opuścić się w morskie głębiny, ale nie możemy tam pozostać na dłużej: są dla nas zbyt zimne, mroczne i jałowe. Szlam pokrywa wszystko, co zdołamy wykopać ze skalistych wysepek czy mielizn. Bez domu, narzędzi i broni niewiele różniłbyś się od zwierzęcia i byłbyś znacznie gorzej przystosowany do życia niż rekiny lub orki, które dopadłyby cię bez trudu. A pierwsze zginęłyby

dzieci, nadzieja naszego ludu. Nie, my jesteśmy podobni do naszych foczych kuzynów — ziemia i powietrze potrzebne są nam do życia tak samo jak woda.

Ogień, pomyślał, jest zastrzeżony dla ludzi.

Wprawdzie Wanimen słyszał o niziołkach, lecz wzdrygnął się na samą myśl o życiu pod ziemią.

Teraz zabrała głos smukła niebieskowłosa niewiasta.

— Czy jesteś pewien, że w pobliżu nie znajdziemy żadnego miejsca nadającego się do życia? Kiedyś dotarłam aż do Zatoki Fińskiej. Na jej krańcach są bogate tereny rybne, których nie zamieszkuje nikt z naszego ludu.

— A czy nigdy nie zadałaś sobie pytania, dlaczego tak jest, Mejwo? —

odpowiedział pytaniem Wanimen.

— Chciałam, ale zawsze zapominałam — odparła zaskoczona.

— Ach, ta beztroska ludów Krainy Czarów — westchnął. — Ja dowiedziałem się, dlaczego. Omal przy tym nie zginąłem, a potem jeszcze przez wiele lat dręczyły mnie koszmarne sny.

Zgromadzeni spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Pomyślał, że woli to niż obojętność rozpaczy.

— Śmiertelnicy zamieszkujący te ziemie to Rusini — zaczął — lud odmienny od Duńczyków, Norwegów, Szwedów, Finów, Łotyszów, Lapończyków i od wszystkich innych ludów. Istoty z Krainy Czarów, które dzielą z nimi ich siedziby, są... także odmienne: niektóre nastawione przyjaźnie, niektóre dziwne, a jeszcze inne naprawdę straszne. Moglibyśmy stawić czoła utopcowi, ale rusałce... — Na to wspomnienie przeniknął go lodowaty dreszcz zimniejszy niż wiatr i ulewa. — Zdaje się, że każda rzeka w tym kraju ma swoją rusałkę. Istota ta posiada postać młodej dziewczyny, którą była, zanim się utopiła. Wabi °na mężów w wodne odmęty i poddaje ich straszliwym

torturom. Zwabiła i mnie pewnej księżycowej nocy podczas przyływu i to, co się wtedy stało, co zobaczyłem... no cóż, zdołałem uciec... Ale nie możemy zamieszkać w pobliżu wybrzeży nawiedzanych przez takie istoty.

Pod biczami ulewy zapadła cisza. Świat utracił swoje barwy, oczy dostrzegały tylko szarość i mrok. Błyskawica rozdarła chmury w pobliżu i grom przetoczył

się po niewidocznym niebie.

W końcu głos zabrał jakiś starszy wodnik, który przyszedł na świat, gdy w Danii królował Harald Sinozęby, i przemówił w te słowa:

— Myślałem o tym wszystkim podczas podróży tutaj. Skoro nie zdołamy wejść jako grupa na tereny zamieszkane przez naszych pobratymców, czy nie moglibyśmy pojedynczo lub po dwoje przyłączyć się do innych plemion? Sądzę, że jeśli się rozdzielimy, tamci na pewno nas przyjmą. Kto wie, może

nawet ucieszą ich nowinki, jakie im przyniesiemy.

— Takie wyjście mogłoby być dobre dla nielicznych, ale nie dla wszystkich

— odparł z niechęcią Wanimen; spodziewał się podobnej propozycji. —

Przypomnijcie sobie, jak niewiele gniazdowisk pozostało wodnikom: przecież my sami byliśmy ostatnimi, którzy mieszkali u duńskich wybrzeży. Nie sądzę, żeby tamci zdołali przyjąć nas wszystkich bez uszczerbku dla siebie. Na pewno nie zechcą wziąć naszych dzieci, które trzeba będzie karmić przez wiele lat, zanim same zaczną zdobywać pokarm.

Mimo szalejącej burzy wyprostował się naraz jak świeca.

— A poza tym — zawołał — przecież byliśmy mieszkańcami Liri! Łączy nas pokrewieństwo, łączą zwyczaje, wspomnienia, wszystko, co czyni nas tym, czym jesteśmy. Czy chcielibyście porzucić przyjaciół i ukochanych, zapomnieć dawne pieśni i nigdy nie nauczyć się nowych? Czy pozwolilibyście, żeby umarło Liri, żeby miasto waszych przodków od czasu, kiedy cofnął się Wielki Lód, przestało istnieć, tak jakby go nigdy nie było? Czyż nie pomożemy sobie nawzajem? Czy pozwolimy, aby stało się prawdą to, co mówią chrześcijanie, że ludy Krainy Czarów nie umieją kochać?

Wpatrywali się w niego poprzez strugi deszczu. Kilkoro dzieci zaczęło płakać. Wreszcie Mejwa powiedziała:

— Znam cię, Wanimenie. Masz jakiś plan. Pozwól, żebyśmy go ocenili.

Jakiś plan... Nie miał prawa rozkazywać. Liri wybrało go na króla, kiedy na rafie znaleziono kości poprzedniego władcy z grotem harpunu tkwiącym między zębami. Wanimen przewodniczył zwoływanym rzadko wiecom. Rozsądzał

spory, chociaż nic poza chęcią zachowania szacunku współplemieńców nie mogło zmusić przegrywających do podporządkowania się jego wyrokom. W

imieniu swego ludu przeprowadzał transakcje z innymi wspólnotami, ale rzadko było to potrzebne. Kierował też nielicznymi przedsięwzięciami wymagającymi połączonego wysiłku wszystkich mieszkańców miasta. Był również najważniejszą osobą podczas ich świąt.

Lecz najważniejsze obowiązki władcy nie miały nic wspólnego z tradycją.

Król winien być naczyniem mądrości, doradcą młodych i zmartwionych, powinien strzec wiedzy i nauczać. Jako stróż talizmanów i znawca magii bronił

Liri przed potworami, złymi czarami i światem ludzi, orędownął u Wielkich Mocy... tak, raz nawet gościł u siebie samą Ran...

Nagrodą za to było mieszkanie w pałacu, a nie w prostym domu zwykłego wodnika, możliwość zaspokojenia głodu wtedy, gdy sam nie miał ochoty polować, prawo otrzymywania wspaniałych

darów (choć jednocześnie obowiązywała go gościnność i szczodrość) oraz szacunek plemienia, na ogół

nieskłonny do okazywania czci komukolwiek.

Teraz jednak Wanimen utracił wszystkie przywileje związane z pozycją władcy, z wyjątkiem — być może — ostatniego, a pozostał mu jedynie ciężar obowiązków.

— Bałtyk nie jest całym światem — powiedział — w młodości wiele wędrowałem po świecie, tak jak czynili to od czasu do czasu niektórzy, bardzo zresztą nieliczni, spośród nas. Na zachodzie dotarłem aż do Grenlandii, gdzie usłyszałem — i to zarówno od wodników, jak i od ludzi — o leżących jeszcze dalej krainach — żaden z żyjących członków obu plemion nigdy tam nie zawędrował, ale wiadomości te były pewne, gdyż potwierdziły je delfiny. Wielu z was pamięta, że wspominałem o tym niekiedy. Wydaje się, że są tam wspaniałe wybrzeża i mielizny, a chrześcijanie nie tylko nie władają nimi, ale w ogóle nic o nich nie wiedzą. Gdybyśmy tam popłynęli, mielibyśmy to wszystko dla siebie — niezmiernie przestrzenie do życia, wolność i spokój.

Szmer zdumienia dał się słyszeć w tłumie wodników. Hajko pierwszy wykrzyknął swoje zastrzeżenia:

— Dopiero co oświadczyłeś, że nie możemy pozostać na środku oceanu. Czy my — a właściwie nasze dzieci i większość dorosłych — przeżyjemy tak długą podróż? Przecież musi być jakiś powód, dla którego nie żyje tam nikt podobny do nas.

— To wszystko prawda. — Król podniósł trójząb, a gdy znowu zapadła cisza, mówił dalej: — Posłuchajcie mnie, ja również o tym myślałem. Wiem, że podróż ta przebiegłaby pomyślnie, nie ponieśliśmy żadnych strat, lub tylko niewielkie, gdybyśmy po drodze napotykali wyspy, przy których moglibyśmy odpoczywać i znajdować tam schronienie i pokarm. Czyż nie tak? No a co powiecie o pływającej wyspie, którą zabralibyśmy ze sobą? Nazywa się ona statkiem.

Ludzie winni są nam zadośćuczynienie za wyrządzone nam zło, my bowiem nigdy przecież ich nie skrzywdziliśmy. Powiadam więc: porwijmy jakiś ich statek i popłynijmy do ziemi na zachodzie — do nowego świata!

Do wieczora burza ucichła, ucichły też spory i przygasły namiętności. Po wielogodzinnych dyskusjach wygnańcy z Liri przyjęli królewski plan.

Większość udała się na spoczynek; ułożyli się pośród wydm i posnęli, tylko niewielka grupka wyruszyła na polowanie, żeby zdobyć pożywienie dla wszystkich.

Wanimen przechadzał się w towarzystwie Mejwy, wciąż od nowa okrążając wysepkę. Byli sobie bardzo bliscy i wiele razy bywali kochankami, zanim pojawiła się Agneta, a także po jej odejściu. Mniej kapryśna i bardziej uczuciowa niż większość wodników, Mejwa często dodawała królowi otuchy.

Na wschodzie niebo przemieniło się w fiołkowobłękitny kielich dla najwcześniejszych gwiazd, na

zachodzie zaś ociekało czerwienią, purpurą i złotem. Świetliste fale oceanu pluskały uspokajająco. Nieruchome, mniej ostre niż dotąd powietrze pachniało wodorostami i słonym przestworem. Można było zapomnieć o głodzie i zmęczeniu i przez kilka godzin cieszyć się nadzieją.

— Czy naprawdę uważasz, że może się to nam udać? — zapytała Mejwa.

— Tak — odparł król. — Opowiadałem ci, że już wielokrotnie opływałem ten port, ostatni raz nawet nie tak dawno. Może będziemy musieli się zacząć i oczekiwać dobrej okazji. Sądzę jednak, że o tej porze roku nie potrwa to długo: to miasto żyje z handlu. Żaden człowiek nie ośmieli się nas ścigać w nocy, a o świcie powinniśmy być już tak daleko, że nikt nie będzie w stanie nas odnaleźć.

— A czy wiesz, jak się obsługuje statek? O tym dziś nic nie mówiono.

— No cóż, tylko trochę, z tego, co sam widziałem albo dowiedziałem się od ludzi. Pamiętasz, że czasami znajdowałem wśród nich przyjaciół — powiedział

Wanimen. — Ale możemy się tego nauczyć. Kiedy wypłyniemy na Pełne morze, nie powinno to być zbyt niebezpieczne. Nie trzeba się też za bardzo śpieszyć. — W jego głosie zabrzmiała twarda nuta. — Bo zdobędziemy naszą wyspę. A odpoczywając na niej na zmianę, będziemy potrzebowali znacznie mniej pokarmu i dzięki temu uda nam się wyżywić z polowania. I oczywiście nie musimy się martwić o świeżą wodę tak jak ludzie. Oprócz tego łatwiej niż oni znajdziemy drogę. Różnica polega także na tym, że my mamy pewność, iż istnieje ląd, do którego płyniemy, a nie skraj świata, gdzie morza z rykiem spadają w otchłań — i już to jedno zadecyduje o naszym ocaleniu.

Oderwał wzrok od piasku i zarośli i zapatrzył się w ostatnie blaski zachodzącego słońca.

— Nie wiem, czy należy się litować nad dziećmi Adama, czy zazdrościć im

— mruknął. — Naprawdę nie wiem.

Mejwa ujęła jego dłoń.

— Dziwnie jakoś ciągnie cię do nich — zauważyła. Król skinął głową.

— Tak, i to coraz bardziej, w miarę jak płyną lata. Nie mówię o tym, bo któż mógłby mnie zrozumieć? Jednakże wyczuwam... nie wiem, jak to wyrazić... że na świecie poza naszą olśniewającą i figlarną Krainą Czarów jest jeszcze coś więcej. Nie chodzi mi o to, że ludzie mają nieśmiertelne dusze. Zawsze uważaliśmy, że to zbyt niska cena za przykucie do lądu. Ale nieraz zastanawiałem się — zacisnął w pięść wolną dłoń i zmienił się na twarzy — co takiego mają w życiu, tu i teraz, pośród wszelakich nieszczęść, cóż takiego dostrzegają, choćby chwilami, co na zawsze ukryte jest przed naszym wzrokiem?

* * *

[Stavanger*](#) śniło o dalekich krajach i morzach, otulone blaskiem księżyca.

Jego poświata rozpięła pęknięty most ponad fiordem, gdzie ciemniały skalne

* Miasto w południowo–zachodniej Norwegii leżące nad Morzem Północnym (przyp. tłum.).

wyseпки, wysrebrzyła słomiane dachy i gonty, złagodziła kontury kamiennej katedry i ożywiła jej okna, zmieniając ulice pod arkadami domów w jeszcze czarniejsze trzewia mroku. Zaśniła na galeonach* i masztach statków przycumowanych do nabrzeża...

Blask świecy prześwitywał przez okienko z płytek rogowych w kasztelu na rufie jednego ze statków. Statek ów przybył z hanzeatyckiego miasta Gdańska: miał jeden maszt, jak koga, lecz przewyższał ją długością i szerokością, był

bowiem żaglowcem nowego typu, zwanego holkiem. Ponad jaskrawoczerwonym kadłubem jaśniały białe i żółte żagle.

Rozsrebrzone blaskiem księżycy drobne fale sunęły tropem płynących ukradkiem wodników. Nie czuli ani chłodu, ani strachu: podchodzili zwierzyńę.

Wanimen prowadził ich ku wybranemu przez siebie korabiowi. Pokład wznosił się zbyt wysoko nad wodą, by mógł nań wskoczyć, ale wcześniej ukraść

na brzegu to, czego potrzebował. Rzucony celnie hak zaczepił się o krawędź

nadburtia na śródokręciu. Zwisła zeń drabinka sznurowa, po której wspiął się na statek.

Chociaż starał się zachowywać jak najciszej, stojący na wachcie marynarz coś jednak usłyszał. (Pozostali członkowie załogi szukali uciechy w gospodach i zamtuzach). Mąż ów zszedł na dół z rufy, niosąc latarnię i pikę. Słabe światło latarni odbijało się od siwych pasm w jego brodzie i od stalowego grotu piki.

Majtek był już niemłody, otyły i powolny. „Kto idzie?” — zapytał po niemiecku. A gdy zobaczył, kogo ma przed sobą, zawył z przerażenia: „Jezu, Pomóż! Na pomoc, na pomoc...”

Wanimen nie mógł pozwolić, by człowiek obudził cały port. Zdjął trójzęb z ramienia i ugodził nim marynarza w brzuch. Pchnął tak mocno, że poczuł impet uderzenia w ramionach, kiedy ostrze przebiło tamtemu wątrobę. Buchnęła krew.

Marynarz runął na pokład, wijąc się z bólu. „Johanna, Peter, Maria, Friedrich”

— wyjęczał. Czy były to imiona jego żony i dzieci? Spojrzał na Wanimena i

* Galeon ozdoba na dziobie statku, najczęściej posąg (przyp. tłum.).

uniósł nieco dłoń.

— Niech Bóg cię za to przeklnie! — stęknął. — Święty Michale, mój patronie, aniele—wojowniku, pomścij...

„Wanimen wbił mu przez oko jeden z zębów trójzębu prosto w mózg i marynarz znieruchomiał. Na

drabince sznurowej zrobiło się aż gęsto od pnących się w górę wodników. Niemal nie zwrócili uwagi na to, co się stało; tylko ich król znał niemiecki. On zaś stał przez chwilę nieruchomo, do głębi poruszony tym, co uczynił, potem odzyskał panowanie nad sobą, wyrzucił trupa za burtę i objął dowództwo.

Nie miał łatwego zadania, ponieważ jego poddani nie wiedzieli zupełnie, jak się obsługuje statek. Ktoś musiał na pewno usłyszeć hałas spowodowany ich niezdarnymi ruchami i błędzeniem po omacku. Byli gotowi stanąć do walki, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale nie pojawił się żaden inny człowiek. Zwykły przechodzień postąpiłby bardzo nierozsądnie, gdyby starał się zbadać przyczynę nocnego rejuwachu, a strażnicy miejscy, kimkolwiek byli, uznali widocznie, że nie dzieje się nic złego — może to tylko zwyczajna awantura lub pijacka burda.

Zrzucano cumy. Powiał wreszcie wiatr od lądu, na który Wanimen czekał tak długo, i wydał rozwinięty żagiel. Było na tyle jasno, że obdarzeni czarodziejskim wzrokiem wodnicy mogli sterować. Holk wypłynął ukradkiem z zatoki. A gdy mijał jedną z wysp, wodnice i dzieci poczęły wchodzić na pokład.

Kiedy nastał świt, uprowadzony statek kołysał się już na pełnym morzu, daleko od brzegów Norwegii.

VI

Ingeborga, córka Hjalmara, pochodziła z Ais. Liczyła sobie około trzydziestu lat. Wcześniej została sierotą i prędko wydano ją za mąż za pierwszego z młodszych gospodarskich synów, który miał chęć się z nią ożenić. Kiedy się okazało, że jest bezpłodna, a jej małżonek poszedł na dno wraz z łodzią, nie zostawiwszy Ingebordze nic w spadku, nie oświadczył się jej już żaden inny wieśniak. Parafia zapewniała utrzymanie swoim biedakom; musieli pracować przez okrągły rok u każdego, kto chciał wziąć ich na służbę. Tacy gospodarze potrafili wycisnąć z nich znacznie więcej w robociźnie, niż na nich wydawali, nie tracili zresztą zbyt wiele pieniędzy na jedzenie czy odzież dla swoich podopiecznych. Ingeborga nie zdała się na dobrą wolę bogatych współparafian.

Zamiast tego załatwiła sobie u Rudego Jensa przejazd łodzią do miejsca, gdzie rybacy łowili śledzie, i tam sprzedawała się wśród straganów ustawionych nad brzegiem. Wróciła do Ais z kilkoma szylingami. Odtąd co roku wyprawiała się tym samym szlakiem. Poza tym przebywała stale w domu, wyjąwszy dni, śdy leśną drogą wędrowała do Hadsundu na jarmark.

Ojciec Knud błagał ją, żeby się poprawiła. „Czy możesz znaleźć mi jakieś lepsze zajęcie?” — pytała ze śmiechem. Musiał zakazać jej przystępowania do komunii, mimo że nie zabronił jej wstępu na mszę. Zresztą Ingeborga rzadko chodziła do kościoła, bo kiedy szła ulicą, niewiasty obrzucały ją przekleństwami, a nierzadko i rybimi głowami lub kośćmi. Mężowie byli na ogół znacznie bardziej tolerancyjni, zgodzili się jednak, że nie powinna mieszkać we wsi, choćby dlatego, że mieli już dość wiecznego narzekania swoich małżonek.

Ingeborga zbudowała sobie chatę na brzegu morza, mniej więcej o milę od Ais. Przychodzili do niej młodzi, nieżonaci mężowie, marynarze statków, które zarzuciły w pobliżu kotwicę, domokrażcy, a po zmroku również ci, co żyli w małżeńskim stanie. Kiedy nie mieli miedziaków, przyjmowała zapłatę

w naturze, stąd nazywano ją Ingeborga–Dorsz. Gdy była sama, odbywała długie spacery brzegiem morza lub po lesie. Nie obawiała się włóczęgów — z całą pewnością nie zabiliby jej, a cóż poza tym miało jakiegokolwiek znaczenie? — i trochę tylko lękała się trolli.

Pewnego zimowego wieczoru, jakieś pięć lat temu, Tauno, który wówczas zaczynał dopiero poznawać ląd, zapukał po raz pierwszy do jej drzwi. Gdy wpuściła go do środka, wyjaśnił jej, kim jest. Od dawna obserwował z oddali, jak mężowie skradając się chyłkiem przychodzili do jej chaty, a wychodzili stamtąd buńczucznie zadzierając nosa. Starał się poznać zwyczaje ludu swej zmarłej matki. Czy Ingeborga mogłaby mu wytłumaczyć, o co tu chodzi?

Skończyło się na tym, że spędził z nią noc. Od tej pory odwiedzał ją dość często.

Tak bardzo różniła się od wodnic, zarówno serce, jak i ciało miała gorętsze od nich. Nie potępiał jej zajęcia, wodnicy wiedzieli bowiem o małżeństwie nie więcej niż o innych sakramentach. Wiele się od niej nauczył, a on z kolei opowiedział jej mnóstwo historii, kiedy leżeli obok siebie pod cienkim kocem.

Lubił Ingeborgę za jej dobroć, odporność, z jaką umiała znosić złe wyroki losu, i poczucie humoru.

Ingeborga nie brała od niego zapłaty, przyjmowała tylko czasami drobne podarunki.

— Nie myślę źle o większości mężów — powiedziała kiedyś. — Prawda, są i tacy, jak ten stary łajdak Kristofer, w którego ręce wpadłabym, gdybym nie wybrała tego zajęcia. Ciarki mnie przechodzą, gdy przechodzi obok, uśmiechając się głupkowato. — Splunęła na podłogę, a potem westchnęła. —

Ale on ma pieniądze... Nie, ci mężowie o niechlujnym zaroście w zasadzie nie są źli, a od czasu do czasu jakiś chłopiec daje mi rozkosz. — Zmierziła mu włosy. — A ty dajesz mi znacznie więcej, Tauno. Czy nie rozumiesz, że właśnie dlatego nie powinieneś mi płacić?

— Nie, nie rozumiem — odparł szczerze. — Mam wiele rzeczy, które, jak mówisz, ludzie bardzo cenią — bursztyn, złoto, perły. Jeżeli mogłyby ci w czymś pomóc, czemu nie chcesz ich wziąć?

— Z wielu względów — odrzekła. — Chociażby dlatego, że panowie z okolic Hadsundu szybko by się dowiedzieli, że Ingeborga—Dorsz handluje takimi towarami. Chcieliby wiedzieć, skąd je mam. A ja wcale nie pragnę, żeby mój ostatni mąż był katem. — Pocałowała go. — Och, powiedzmy raczej, i to jest bliższe prawdy, że twoje opowieści o podmorskiej, pełnej cudów krainie sprawiają mi więcej radości niż jakiegokolwiek bogactwa.

Kilkakrotnie napomykała, że pragnęłaby, aby zabrał ją stąd, jak niegdyś jego ojciec piękną Agnetę. Udawał, że nie słyszy, i Ingeborga zrezygnowała. Czemu miałby się dobrowolnie obarczać bezpłodnym brzemieniem?

Po tym jak prowost Magnus egzorcyzmował wodników, Ingeborga nie chciała nikogo widzieć przez cały tydzień, a później jeszcze przez wiele dni miała oczy czerwone od łez.

Wreszcie Tauno znowu ją odwiedził. Wyszedł z wody nagi, mając na sobie tylko pas z przypiętym

doń ostrym kamiennym sztyletem i przepaskę na włosach. W prawej ręce trzymał trójząb. Wieczór był zimny i mglisty.

Gęstniejąca mgła rozmazała kontury liżących piasek fal i całkowicie przesłoniła pierwsze gwiazdy. W powietrzu unosił się zapach morskoczynu i ryb, a od lądu wiatr niósł woń wilgotnej ziemi. Piasek skrzypiał pod stopami Tauna, ostra trawa drapała mu kostki.

Dwaj młodzi rybacy zbliżali się do chaty Ingeborgi, oświetlając sobie drogę pochodniami. Wodnicy widzą w ciemności znacznie lepiej niż ludzie. Tych dwóch — mimo że nie różnili się wcale strojem od innych mieszkańców wsi, mieli na sobie identyczne kaptury, kubraki i obcisłe portki — Tauno rozpoznał

natychmiast i zaszedł im drogę.

— Nie — powiedział. — Nie tej nocy.

— Ale dlaczego... dlaczego, Tauno — zapytał jeden z rybaków, uśmiechając się głupawo. — Przecież nie odbierzesz swoim przyjaciołom tej odrobiny uciechy, a jej tej ślicznej dużej fladry? Jeśli masz na nią taką chętkę, to nie zabawimy długo.

— Wracajcie do domu i pozostańcie tam.

— Tauno, przecież mnie znasz, nieraz rozmawialiśmy ze sobą, graliśmy w piłkę, przychodziłeś, kiedy byłem sam w szalupie, jestem Stig...

— Czy muszę was zabić? — zapytał Tauno nie podnosząc głosu.

W migotliwym świetle pochodni popatrzyli na jego wysoką postać —

wzrostem górował wyraźnie nad nimi — na potężne mięśnie rysujące się pod skórą, sztylet u boku, na jasne, z zielonym odcieniem, mokre włosy, na twarz o rysach wodnika i żółte oczy, zimne niczym północne gwiazdy. Odwrócili się i odeszli w pośpiechu. Poprzez mgłę doleciał do niego okrzyk Stiga: „Mieli rację ci, co mówili, że nie masz duszy, ty przekłeta bestio!...” Tauno zapukał do drzwi. Chata Ingeborgi zbudowana była z poszarzałych drewnianych bali, kryta torfem. Nie miała okien, ale świeże powietrze docierało do wewnątrz, a światło przenikało na zewnątrz, poprzez szpary w ścianach, z których wypadł uszczelniający je mech. Ingeborga wpuściła Tauna do środka i starannie zamknęła drzwi. Wnętrze izby oświetlała słabo lampa tranowa, a obok niej płonął niewielki ogień, który miał odpędzać chłód. Cienie o potwornych kształtach pełzały po szerokiej dwuosobowej pryczy, po stole i niskim taborecie, nielicznych garnkach i przyborach do szycia, po skrzyni na odzież, po zawieszonych na krokwiach kielbasach i rybach i po okrągłych sucharach wbitych na tyczki i ułożonych na poprzecznych belkach. W taką noc dym nie uchodził przez otwór w dachu i krążył po izbie.

Tauno, który zwyczajem wodników po wyjściu na brzeg opróżniał płuca jednym potężnym wydechem, odczuwał w nich potem zawsze dotkliwy ból, trwający dłuższą chwilę. Powietrze na łodzi było tak rozrzedzone, tak suche (i zawsze czuł się na pół głuchy wśród przytłumionych

dźwięków, chociaż na pewno widział lepiej niż w wodzie). A smród we wnętrzu chaty był jeszcze gorszy. Syn Agnety długo kaszłał, zanim zdołał przemówić.

Ingeborga bez słowa objęła go ramionami. Niska, krępa, o zadartym nosie i dużych łagodnych ustach w obsypanej piegami twarzy, oczy i włosy miała ciemnobrązowe, głos cienki, lecz o słodkim brzmieniu. Zdarzały się księżniczki mniej urodziwe niż Ingeborga—Dorsz. Odór starego potu bijący od jej sukni był

dla Tauna przykry tak samo jak ludzkie wyziewy, ale uchwycił pod nim słoneczny zapach niewiasty.

— Miałam nadzieję... — szepnęła wreszcie. — Miałam nadzieję...

Odsunął jej ramiona, cofnął się, spojrział na nią ze złością i podniósł trójzab.

— Gdzie jest moja siostra? — warknął.

— Och... Ona... ona czuje się dobrze, Tauno. Nikt nie zrobi jej nic złego.

Nikt by się nie ośmielił. — Ingeborga usiłowała odciągnąć go od drzwi. —

Chodź, mój ty kochany biedaku, usiądź, napij się, czuj się u mnie swobodnie.

— Najpierw pozbawili ją wszystkiego, czym dotąd żyła...

Urwał, żeby odkaszlnąć. Ingeborga wykorzystała tę przerwę.

— Tak musiało się stać — powiedziała. — Wyznawcy Chrystusa nie mogli pozwolić, aby żyła wśród nich bez chrztu. Nie możesz ich za to potępiać, nawet księży. Ktoś znacznie potężniejszy przyczynił się do tego. — Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się krzywo. — Za cenę utraty swojej przeszłości, rychłej starości, brzydoty i śmierci przed upływem stu lat zyskała nieśmiertelność w Raju. Ty możesz żyć znacznie dłużej, lecz kiedy umrzesz, nic po tobie nie pozostanie, znikniesz jak zdmuchnięty płomień świecy. Ja będę żyła po śmierci mego ciała, najprawdopodobniej w piekle. Komu z nas trojga poszczęściło się najbardziej?

Nadal zasępioy, ale nieco uspokojony jej słowami, Tauno opuścił trójzab i usiadł na pryczy. Zaszleściła pod nim słoma. Ogień, karmiąc się torfem, trzaskał wesoło, tańczył małymi niebieskimi i zielonymi płomykami, a dym, gdyby był mniej gęsty, mógłby być nawet przyjemny. Cienie skuliły się po kątach i pod dachem i rozpostarły, niekształtne, na drewnianych ścianach. Chłód i wilgoć nie dokuczały synowi Agnety, mimo że był nagi, lecz Ingeborga drżała z zimna.

Tauno spojrział na nią przez kłęby dymu.

— Dużo już wiem — rzekł. — W wiosce jest pewien młodzieniec, z którego chcą zrobić księdza. Mógł on więc co nieco powiedzieć mojej siostrze Eyjan, kiedy zastała go samego. — Parsknął śmiechem. — Ona mówi, że nieźle się z nim śpi, tylko na świeżym powietrzu zaczyna kichać.

— I dodał, znowu ponuro: — Jeżeli w tym kierunku płynie świat, możemy tylko ustąpić miejsca.

Jednakże... wczoraj wieczorem Kennin i ja wyruszyliśmy na poszukiwanie Irii, aby upewnić się, że nie traktują jej źle. Brr, co za błoto i brud w tych korytach, które nazywacie ulicami! Obeszliśmy każdy dom, tak, zajrzeliśmy nawet do kościoła i na cmentarz. Nie widzieliśmy jej, obserwując wieś z daleka, już od kilku dni, a wiedzielibyśmy, gdzie się znajduje, gdzie jest ukryta, gdyby na przykład przebywała w jakiejś chacie, lub leżała w trumnie.

Nasza mała Iria może teraz być śmiertelniczką, ale jej ciało nadal należy w połowie do ludu naszego ojca i nawet tamtej ostatniej nocy nie utraciło woni prześwietlonych słońcem fal. — Uderzył pięścią w kolano. — Kennin i Eyjan byli wściekli, chcieli zaatakować wieś za dnia i pytać o Irię przystawiając wszystkim po kolei harpun do gardeł. Powiedziałem im, że w ten sposób narażaliby tylko niepotrzebnie życie, a jeśliby zginęli, w jaki sposób mogliby pomóc Irii? Ale ja sam z trudem wytrzymałem do zachodu słońca, chociaż wiedziałem, że o tej porze będziesz tu na pewno, Ingeborgo.

Usiadła obok niego, objęła go w pasie ramieniem, oparła dłoń na jego udzie i przytuliła policzek do jego piersi.

— Wiem, czemu jej tu nie ma — powiedziała bardzo cicho.

Tauno nie rozchmurzył się.

— No więc? Co się stało?

— Cóż, prowost zabrał ją ze sobą do miasta Wiborg... Zaczekaj! Nikt nie zamierza uczynić jej nic złego. Czyż ośmieliliby się skrzywdzić kielich łaski niebiańskiej? — powiedziała Ingeborga, a potem dodała drwiącym tonem:

— Przyszedłeś we właściwe miejsce, Tauno. Prowost wziął ze sobą pisarza, a ten był u mnie i zapytałam go, w jaki sposób zamierzają zapewnić wyżywienie naszemu cudowi.

W Ais nie ma złych ludzi, powiedziałam mu, ale nikt nie jest bogaty. Ona już nie pamięta żadnych opowieści o podmorskim świecie, a kto zechce wziąć dziewczynę, którą trzeba uczyć wszystkiego od początku, jak dziecko? Kto zechce obarczyć się przybraną córką, dla której trzeba znaleźć pieniądze na posag? Och, oczywiście, że znalazłoby się jakieś wyjście, mogłaby pracować jak nędzarka, poślubić prostego marynarza albo wejść na drogę, którą ja wybrałam

— lecz czy byłoby to właściwe zajęcie dla dziewczyny, dla której Bóg uczynił

taki cud? Kleryk odpowiedział, że nie, i że wcale nie mieli wobec niej podobnych zamiarów. Powiedział, że chcą ją zabrać ze sobą i oddać do klasztoru pod wezwaniem św. Asmildy w Wiburgu.

— A co to jest klasztor? — spytał Tauno. Ingeborga wytłumaczyła mu, jak umiała najlepiej. Na koniec rzekła:

— Zapewnią Małgorzacie dach nad głową i naukę. Kiedy dorośnie, złoży śluby i zostanie zakonnicą. Potem będzie żyła tam w czystości, otoczona na pewno powszechnym szacunkiem, do czasu gdy umrze, bez wątpienia w aromacie świętości. Czy ty wierzysz, że trup świętej nie będzie cuchnął tak

jak mój czy twój?

Przerażony Tauno zawołał:

— Ależ to straszne!

— Tak sądzisz? Wielu uznałoby to za wielkie szczęście.

Wpił w nią ponure spojrzenie.

— A ty?

— Ja... nie.

— Zamknięta w posepnych murach do końca życia, z obcięzonymi włosami, grubo ubrana, niedożywna, będzie wciąż mamrotać pod nosem modlitwy do Boga, pozwalając jednocześnie zwiędnąć temu, co Bóg umieścił pomiędzy jej nogami; nigdy nie pozna miłości, nie będzie mieć dzieci ani rodziny, nie zazna już nawet nigdy spacerów pod kwitnącymi jabłoniami na wiosnę...

— Tauno, taka jest droga do wiecznej szczęśliwości.

— Hm. Ja wolałbym raczej zaznać teraz szczęśliwości, a dopiero potem wiecznych ciemności. Ty także — w głębi serca... czyż nie tak?... Czy przyznasz się do tego, czy nie, zamierzasz jednak żałować za grzechy na łożu śmierci. Wasz chrześcijański Raj wydaje mi się zbyt nędzny, żebym chciał tam spędzić całą wieczność.

— Małgorzata może myśleć inaczej.

— Mał... aha, Iria. — Rozmyślał z ponurą miną przez jakiś czas, podparłszy brodę pięściami, zaciskając usta i oddychając głośno w gęstym dymie. — No, cóż — odezwał się w końcu — jeśli ona rzeczywiście tego pragnie, to niech tak będzie. Ale jak możemy się o tym przekonać? Jak o n a sama może wiedzieć, czego naprawdę chce? Czyż oni pozwolą jej sobie wyobrazić, że poza murami kia... klasztoru istnieje coś prawdziwego i dobrego? Nie chciałbym, żeby oszukano moją małą siostrzyczkę, Ingeborgo.

— Wysłaliście ją na ląd, ponieważ nie chcieliście, żeby zjadły ją węgorze.

Czyż teraz ma jakąkolwiek możliwość dokonania wyboru?

— Nie ma żadnej?

Rozpacz Tauna, tak zawsze silnego i dzielnego, sprawiła Ingebordze ból ostry jak cios sztyletu. „Mój kochany, mój kochany” — szeptała objąwszy go mocno.

Lecz nie płakała, obudził się w niej upór jej przodków, rybaków od wielu pokoleń.

— Tylko jedna rzecz otwiera wszystkie drzwi w ludzkim świecie, z wyjątkiem rajszych bram —

powiedziała z sarkazmem — a i one nie zawsze pozostają niewzruszone. Pieniądze.

Tauno zaklął w języku wodników.

— Mów dalej! — powiedział po duńsku, zaciskając kurczowo palce na jej ramieniu.

— Żeby ująć to najprościej: złoto — odpowiedziała Ingeborga, nie próbując uwolnić ramienia. — Złoto albo to, co na nie można wymienić, chociaż sam metal ma największą wartość. Widzisz, gdyby Iria miała majątek, mogłaby mieszkać, gdzie zechce — a jeśli byłby on dostatecznie duży — nawet na królewskim dworze lub w obcym kraju, bogatszym od Danii. Miałaby do dyspozycji służbę, żołnierzy, należałyby do niej składy pełne towarów, wielkie połacie ziemi. Mogłaby przebierać pośród starających się o jej rękę jak w ulęgawkach. I gdyby wtedy zdecydowała się porzucić to wszystko i wrócić do klasztoru, byłby to naprawdę wolny wybór.

— Mój lud miał złoto! Możemy wykopać je spod ruin!

— Ile?

Długo jeszcze rozmawiali o tym. Okazało się, że wodnikom nigdy nie przyszło do głowy, aby ważyć coś, co było dla nich tylko metalem, nie na wiele przydatnym, bo zbyt miękkim, by wyrabiać zeń narzędzia i broń, chociaż pięknym i nie pokrywającym się rdzą.

Wreszcie Ingeborga pokręciła głową.

— Obawiam się, że będzie tego za mało — powiedziała z westchnieniem. —

W normalnej sytuacji to, co macie, wystarczyłoby na pewno, ale tu chodzi o wyjątkowy wypadek. Klasztor pod wezwaniem Św. Asmildy i katedra w Wiburgu mają w Irii żywy cud. Będzie ona przyciągała pielgrzymki z całego kraju. Zgodnie z prawem Kościół jest jej opiekunem i na pewno nie pozwoli, żeby odeszła do świeckiej rodziny za cenę kilku waszych kubków i talerzy.

— Więc ile potrzeba?

— Ogromnej sumy. Tysięcy marek. Widzisz, Tauno, niektórych trzeba będzie przekupić. Innych, którzy nie przyjmą pieniędzy, należy zjednać bogatymi darami na rzecz Kościoła. A musi jeszcze pozostać tak wiele, żeby Małgorzata mogła stać się bogata... Naprawdę trzeba tysięcy marek.

— I l e t o b ę d z i e w a ż y ć ? — wrzasnął Tauno, zakląwszy w języku wodników.

— Ja... ja... Skąd ja, córka rybaka i wdowa po rybaku, która nigdy nie miała w ręku całej marki, mam to wiedzieć? Pełna łódź? Tak, myślę, że wystarczyłaby pełna łódź.

— Pełna łódź! — Tauno opadł na pryczę. — A my nawet nie mamy łodzi.

Ingeborga uśmiechnęła się smutno i pogładziła go po ramieniu.

— Nikt nie bywa zawsze zwycięzcą — mruknęła.

— Zrobiliście wszystko, co można było zrobić. Pozwólcie, by wasza siostra na kilkadziesiąt lat wyrzekła się swego ciała, za co potem, przez całą wieczność, jej dusza będzie lśniła najwspanialszym blaskiem. Może nie zapomni o nas, kiedy ty już zamienisz się w proch, a ja będę płonąć w piekle.

Tauno potrząsnął głową i zmrużył oczy.

— Nie... ona ma w sobie tę samą krew, co ja... a nie jest to spokojna krew...

Iria, choć nieśmiała i łagodna, zrodzona jest do wolnego życia pośród bezkresnych mórz świata... jeśli zaś świętość skiśnie w niej w ciągu tych długich lat spędzonych pomiędzy wąsatymi babami, jakie wtedy będzie miała szansę na to, żeby się dostać do Raju?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem.

— Gdyby miała przynajmniej swobodę wyboru; żeby ją kupić potrzeba łodzi pełnej złota. Kilku marnych ton, aby kupić życie Irii.

— Ton! Nie... tyle nie miałam na myśli... potrzeba na pewno znacznie mniej.

Kilkaset funtów powinno wystarczyć aż nadto. Czy myślisz, że zdołasz tyle znaleźć? — zapytała Ingeborga z ożywieniem.

— Hm... poczekaj. Poczekaj. Niech no sobie przypomnę. — Tauno usiadł

nagle. — Tak! — zakrzyknął.

— Już wiem!

— Gdzie? Jak?

Nastrój Tauna zmienił się błyskawicznie, co było cechą charakterystyczną ludów Krainy Czarów, i syn Agnety zaczął natychmiast snuć śmiałe plany.

— Dawno temu istniało ludzkie miasto położone na wyspie pośrodku oceanu

— powiedział przytłumionym, lekko drżącym głosem, wpatrując się w mrok. —

Miasto wielkie i pełne złota. Jego bogiem był kraken*. Mieszkańcy rzucali mu na dno liczne ofiary — skarby, o które wcale nie dbał, ale również bydło, konie i skazanych na śmierć złoczyńców; te dary kraken mógł pożreć. Od czasu do czasu chwycił wieloryba lub zatapiał statek, żeby zjeść jego załogę. W ciągu długich stuleci kapłani krakena nauczyli się porozumiewać z potworem za pomocą sygnałów i zawiadamiali go, że takie to a takie statki nie powinny dotrzeć do Awerornu... W ten sposób kraken rozleniwiał się i wiele ludzkich pokoleń nie widziało go nigdy, nie było zresztą potrzeby, by się pojawiał na powierzchni morza, gdyż wrogowie od dawna już nie ośmielali się zaatakować Awerornu.

Z czasem sami wyspiarze przestali wierzyć, że był on czymś więcej niż legendą. Tymczasem na kontynencie pojawił się nowy lud. Kupcy z tego ludu przybyli na wyspę, przywożąc ze sobą nie tylko towary, lecz także bogów, którzy nie żądali kosztownych ofiar. Lud Awerornu zaczął oddawać cześć tym nowym bogom. Świątynie krakena stały puste, płonące w nich ognie zgasły, kapłani zaś wymarli i nie znaleźli następców. W końcu król tego miasta zabronił

składania ofiar, którymi żywił się kraken.

Pewnego dnia straszliwie wygłodzony potwór wypłynął na powierzchnię morza, zatopił stojące w porcie okręty, rozpostarłszy ogromne macki obalił

wieżę miasta i jął pożerać jego mieszkańców. Wydaje się, że jego czarodziejska moc pozwalała mu również wywoływać trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, gdyż wyspa zapadła się i wkrótce ludzie całkiem o niej zapomnieli.

— Och, to cudowne! — Ingeborga klasnęła w dłonie, nie pomyślawszy wcale o maleńkich dzieciach, które utonęły wraz z miastem. — Naprawdę wspaniałe!

* Kraken — mityczny potwór, o którym wspominają sagi skandynawskie (przyp. tłum.)

— To wcale nie jest takie wspaniałe — powiedział Tauno. — Wodnicy pamiętają o Awerornie, ponieważ w tym miejscu, gdzie ongiś stało miasto, nadal znajduje się legowisko krakena. Omijają je z daleka.

— Rozumiem. Musisz mieć jednak jakąś nadzieję, skoro...

— Tak. Warto spróbować. Posłuchaj, niewiasto: ludzie nie mogą przebywać długo pod wodą. Wodnicy zaś nie mają statków ani narzędzi z metalu, który nieprędko rdzewieje. Nigdy dotąd obie rasy nie współpracowały ze sobą. Gdyby spróbowały to zrobić, może...

Ingeborga długo siedziała w milczeniu, po czym odezwała się ledwo dosłyszalnym szeptem:

— A jeśli zginiesz?

— Owszem, to też możliwe. Ale cóż z tego? Wszyscy się rodzą po to, żeby umrzeć. Wodnicy trzymają się razem — bo muszą — i u nas pojedyncze życie niewiele znaczy. Jakże mógłbym popłynąć na koniec świata, wiedząc, że nie zrobiłem wszystkiego co możliwe dla mojej małej siostrzyczki Irii, która jest tak podobna do mojej matki?

— Tauno zagryzł wargi. — Ale statek... Jak zdobyć statek i załogę?

Rozmawiali o tym i o owym. Ingeborga starała się odwieść go od tego zamiaru, Tauno zaś jeszcze bardziej umacniał się w przekonaniu, że musi pomóc siostrze. Wreszcie Ingeborga uległa.

— Mogę pokazać ci to, czego pragniesz — powiedziała.

— Co? Jak?

— Zdajesz sobie chyba sprawę, że łodzie rybackie z Ais są zbyt małe, by mogły się nadać do twego celu. Nie zdołałbyś też wynająć statku od solidnego właściciela, ponieważ nie masz duszy, a twoja wyprawa to czyste szaleństwo.

Wiem jednak o pewnej kodze, niezbyt dużej, ale jednak kodze, która stoi na przystani w Hadsundzie, mieście odległym o kilka kilometrów od Ais, leżącym na krańcu Fiordu Mariagerskiego. Chodzę do Hadsundu na jarmarki i stąd znam jej załogę. To statek, który przewozi towary. Dotarł kiedyś aż do Finlandii na północy, do Wendlandii na wschodzie ^{e*} i do Islandii na zachodzie. Zapuszczając się w tak odległe rejony, załoga tej kogi nie gardzi i piractwem, jeśli tylko ma zapewnioną bezkarność. To banda rabusiów, a kapitan, właściciel statku, jest najgorszy z nich wszystkich. Pochodzi ze szlacheckiej rodziny osiadłej w pobliżu Herning, lecz jego ojciec stanął po niewłaściwej stronie w wojnie, którą toczyli ze sobą królewscy synowie, i dlatego dzisiaj Herr Ranild Grib nie posiada niczego poza tym statkiem. Gorzko też przeklina Hanzę, której flotyllę odbierają mu dotychczasowe źródła dochodów. Jeżeli znajdzie się w krytycznej sytuacji, może zgodzi się współpracować z tobą. Tauno zamyślił się nad tym, co powiedziała.

— Może — mruknął. — Hm—m—m... my, wodnicy, nie mamy zwyczaju zdradzać się i zabijać nawzajem jak obdarzeni nieśmiertelnymi duszami ludzie.

Umiem walczyć i nie bałbym się zmierzyć z żadnym przeciwnikiem, bez względu na to jak byłby uzbrojony, ale jeśli trzeba będzie się targować lub wystrzegać podstępu ze strony towarzyszy podróży, ta wyprawa może okazać się za trudna dla nas trojga.

— Wiem — odrzekła Ingeborga. — Dlatego lepiej będzie, jeśli popłynę z wami, żeby targować się i czuwać nad waszymi sprawami.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Naprawdę popłynęłabyś z nami? — A po chwili dodał: — Otrzymasz pełny udział w tym, co zdobędziemy, droga przyjaciółko. Ty także będziesz wolna.

— Jeśli przeżyjemy; w przeciwnym wypadku — jakie to ma znaczenie? Ale Tauno, Tauno, nie myśl, że proponuję ci to, powodowana żądzą bogactwa.

— Muszę przedtem porozmawiać z Eyjan i z Kenninem... trzeba koniecznie ułożyć plan... musimy też dokładniej omówić wszystko z tobą... jednakże...

— Oczywiście, Tauno, oczywiście. Jutro, zawsze, kiedy tylko zechcesz, możesz pytać mnie o wszystko. Lecz dziś wieczorem proszę cię tylko o jedno:

* Wendlandia — kraje słowiańskie (przyp. tłum.).

przestań się martwić, spójrz na mnie i bądźmy znów tylko Taunem i Ingeborgą.

Widzisz, już zdjęłam dla ciebie suknię.

Wkrótce po wypłynięciu z Fiordu Mariagerskiego czarna koga „Herning” złapała wiatr w żagle i szybko pomknęła na północ. Znalazłszy się na pokładzie statku Tauno, Eyjan i Kennin zrzucili ludzką odzież, obrzydliwe, krępujące ruchy łachmany, które stanowiły ich przebranie w ciągu tych kilku dni, kiedy prowadzili targi z Ranildem Gribem, synem Espensa. Sześciu marynarzy z liczącej osiem osób załogi poczęło wydawać sprośne okrzyki na widok Eyjan —

zdumiewająco białej w promieniach słońca — której całe odzienie stanowił pas z przypiętym doń sztyletem, jeśli nie liczyć grzywy długich, kasztanowatych włosów. Ci zarośnięci, pokąsani przez pchły mężowie, naznaczeni bliznami —

pamiętkami licznych potyczek, odziani w poplamione obficie tłuszczem skórzane kubraki, wełniane koszule i portki, nie budzili z pewnością zaufania.

Siódmym był osiemnastoletni chłopak, Nils, syn Jonsa. Kilka lat temu przybył do Hadsundu w poszukiwaniu pracy, chciał bowiem dopomóc owdowiałej matce i młodszemu rodzeństwu, utrzymującym się z dzierżawy niewielkiego gospodarstwa. Statek, na którym służył, rozbił się niedawno (dzięki bożemu miłosierdziu nikt na szczęście nie stracił życia w katastrofie) i tylko na „Herningu” znalazło się miejsce dla szukającego pracy młodego marynarza. Nils był przystojny, szczupły, miał płowe włosy, niebieskie oczy, szczerą świeżą twarz. Teraz zamrugał, żeby powstrzymać łzy napływające do oczu. „Jakaż ona jest piękna!” — szepnął.

Ósmym był sam kapitan. Spochmurniał i zszedł z osłaniającego sternika pokładu na rufie. (Nad dziobem kogi także znajdował się pokład z fokmasztem.

Poniżej, między nimi, rozciągał się główny pokład z grotmasztem i dwoma włazami do ładowni. Walał się tam rozmaity sprzęt żeglarski, stał także piec kuchenny, a w kącie leżał głaz z różowego granitu wysoki na trzy stopy i ważący około tony.)

Ranild podszedł do Eyjan i jej braci — wszyscy troje wraz z Ingeborgą stali przy burcie wpatrzni w znikające w oddali wzgórza Jutlandii. Dzień był

bezchmurny; promienie słońca załamywały się błyskając oślepiająco w szaro—

zielono—błękitno—białych grzywach fal. Wiatr świstał, takielunek dzwonił, belki skrzypiały za każdym razem, kiedy dziób kogi wynurzał się wysoko ponad wodę. W górze, niby śnieżna zadymka, kłębiły się kwilące mewy. Wokoło unosił się zapach soli i smoły.

— Hej, wy tam! — warknął Ranild. — Zachowujcie się przyzwoicie!

Kennin spojrzał na niego z niechęcią. Dobrze pamiętał, jak zaciekle musieli się z nim targować w owej ustronnej izbie mocno podejrzanego gospody — ileż godzin to trwało! Poza tym wodnicy nie przywykli do tak niewybrednego języka, jak ten, którym posługiwał się kapitan.

— A kimże ty jesteś, żebyś mógł mówić o przyzwoitości? — burknął.

— Uspokójcie się — mruknął Tauno, przypatrując się uważnie kapitanowi.

Choć niezbyt wysoki, Ranild miał potężną klatkę piersiową i muskularne ramiona. Nigdy nie myte rzadkie czarne włosy okalały popolicatą, brutalną twarz ze złamanym nosem pomiędzy bladymi oczami; zepsute zęby błyskały w niechlujnej gęstej brodzie, która kończyła się w połowie piersi, nad wielkim jak beczka brzuchem. Kapitan nie różnił się strojem od reszty załogi, lecz nosił u boku krótki miecz i nóż, a na nogach miękkie wysokie buty — nigdy nie chodził

w cizmach czy boszo jak niektórzy majtkowie.

— O co chodzi? — zapytał Tauno. — Ty, Ranildzie, możesz nie zdejmować ubrania tak długo, aż zbutwieje i samo z ciebie spadnie. Ale dlaczego my mamy tak postępować?

— H e r r Ranildzie, wodniku! — wrzasnął kapitan zaciskając dłoń na rękojeści miecza. — Moi przodkowie byli junkrami, kiedy twoi żyli wśród ryb!

Jestem szlachcicem, niech mnie diabli wezmą! To mój statek, ja pokryłem koszty tej podróży i, na kości Chrystusa, będziecie wykonywali moje rozkazy albo zawiśnięcie na rei!

Eyjan wydobyla błyskawicznie sztylet, ostrze zabłysło tuż przy gardle rozwścieczonego kapitana.

— Przedtem powiesimy cię za te zawszone bokobrody — syknęła.

Marynarze chwycili za noże i dulki. Ingeborga wcisnęła się pomiędzy Eyjan i Ranilda.

— Co robicie?! — krzyknęła. — Już skaczece sobie do gardła? Nie wydobędziesz złota bez wodników, Herr Ranildzie, a oni go nie przewiozą bez twojej pomocy. Powstrzymajcie się, w imię Chrystusa!

Zwaśnione strony cofnęły się nieco, nadal jednak spoglądając na siebie wzajemnie z nie ukrywaną wściekłością. Ingeborga ciągnęła spokojnie:

— Myślę, że wiem, o co tu chodzi. Herr Ranildzie, dzieci czystego morza dość się nacierpiały w tym mieście, gdzie świny ryją na ulicach, i w tej śmierdzącej, zapluskwionej izbie, gdzie musiały spędzić kilka nocy. Jednakże wy, Tauno, Eyjan, Kennin, powinniście byli posłuchać dobrej rady, nawet jeśli nie została zbyt gładko wyrażona.

— Co to znaczy? — zapytał Tauno.

Ingeborga zaczerwieniła się, spuściła oczy i przez chwilę przebierała nerwowo palcami. Potem powiedziała jeszcze spokojniejszym tonem:

— Przypomnij sobie warunki umowy. Herr Ranild chciał, żebyś ty, Eyjan, poszła pod pokład z nim i jego ludźmi. Nie chciałaś się zgodzić. Ja oznajmiłam... że zrobię to, i w ten sposób doszliśmy do porozumienia. Jesteś bardzo piękna, Eyjan, piękniejsza niż jakakolwiek śmiertelna dziewczyna. Nie powinnaś pokazywać swoich wdzięków tym, którzy mogą tylko na nie patrzeć.

Nasza wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Nie możemy dopuścić, żeby powstała wśród nas niezgoda.

Eyjan zagryzła wargi.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała. Lecz zaraz potem wybuchnęła: —

Zamiast nosić te szmaty cuchnące chlewem, teraz, gdy już nie musimy się ukrywać, pozabijam całą załogę i sami we czwórkę pokierujemy tym statkiem.

Ranild już otwierał usta, ale Tauno go uprzedził:

— To tylko puste słowa, siostró. Zrozum, możemy wytrzymać w tych ohydnych szmatach, dopóki nie miniemy Ais. Potem popłyniemy do ruin Liri, poszukamy jakichś nadających się do użytku szat... a przy okazji zmyjemy brud z tych, które mamy na sobie.

W ten sposób zawarto pokój. Marynarze nadal obrzucali Eyjan pożądlivymi spojrzeniami, gdyż tunika uszyta z rybich skór o łuskach mieniących się wszystkimi barwami tęczy, którą włożyła na siebie wróciwszy z podwodnej podróży, odsłaniała górę piersi i nie zakrywała ud. Ale mieli pod pokładem Ingeborgę.

Ludzka odzież, w którą przebrali się wodnicy, należała właśnie do tej zaprzyjaźnionej z Taunem niewiasty, która poszła samotnie przez pełne włóczęgów lasy do Hadsundu. Tam wzbudziła zainteresowanie Ranilda, a wkrótce potem spotkała się z rodzeństwem na brzegu Fiordu Mariagerskiego i zaprowadziła całą trójkę do brodatego kapitana. Kiedy zawarli umowę, Ranild musiał namówić na wyprawę swoich ludzi. Chudy, zgryźliwy, o szarej jak popiół twarzy Oluw Owesen, zastępca kapitana, nie wahał się ani chwili: zawsze kierował się chciwością. Torben i Lawę oświadczyli, że przedtem już nieraz groziła im ostra stal, a ponieważ są przekonani, że wcześniej czy później i tak skończą na stryczku, więc nie obawiają się krakena. Palle, Tyge i Siward dali się przekonać. Ale ostatni marynarz odmówił udziału w wyprawie i odszedł. Na jego miejsce przyjęty został młody Nils, syn Jonsa.

Nikt nie pytał Ranilda, co się stało z majtkiem, który służył przedtem na jego statku. Należało zachować wszystko w ścisłej tajemnicy, aby przypadkiem jakiś ksiądz nie zakazał wyprawy, a jakiś szlachcic nie narzucił im swego udziału w całym tym przedsięwzięciu. Po prostu nikt więcej nie widział już Aslaka.

Pierwszego dnia podróży „Herning” minął szerokie plaże i burzliwe przybrzeżne wody Skawu i przez Skagerrak wypłynął na Morze Północne. Miał

okrążyć Szkocję, a potem skierować się na południowy zachód, aby dotrzeć do miejsca znajdującego się daleko za Irlandią. Mimo, że „Herning” był dobrym żaglowcem, przebycie tej trasy nawet przy pomyślnych wiatrach, zajęło im dwa tygodnie.

Ponieważ koga płynęła tylko z balastem, pod pokładami pozostało dużo wolnego miejsca i tam spała jej załoga. Wodnicy wzgardzili tą ponurą, brudną norą, pełną szczurów i karaluchów. Odpoczywali na górze. Nie używali worków czy derek, lecz wyłącznie słomianych sienników. Często wyskakiwali za burtę i swawolili wokół statku, a nieraz znikali pod powierzchnią wody na godzinę lub dwie.

Ingeborga powiedziała kiedyś Taunowi, że wolałaby pozostać z nimi na górze, jednakże Ranild nakazał jej spędzać noce pod pokładem, aby była pod ręką dla każdego, kto by mógł jej zapragnąć. Tauno pokręcił głową.

— Ludzie są wstrętni — rzekł.

— Twoja siostra stała się człowiekiem — odparła. — A czy zapomniałeś już o swojej matce, ojcu Knudzie, swych przyjaciółach z Ais?

— N–n–nie. Ani o tobie, Ingeborgo. Po powrocie do domu... ale oczywiście wtedy opuścimy Danię...

— Tak. — Odwróciła wzrok. — Na pokładzie jest jeszcze jeden dobry człowiek. To ten chłopiec, Nils.

Nils, jedyny spośród załogi nie szukał z nią zbliżenia, a przecież zawsze traktował ją ciepło i uprzejmie. (Tauno i Kennin również trzymali się z dala od siennika Ingeborgi, gdyż ci, z którymi dzieliła teraz postanie, nie byli uczciwymi rolnikami czy rybakami; obaj bracia znajdowali, gdy chcieli, inne uciechy, mogli do woli baraszkować wśród fal, bawić się z fokami i delfinami, nurkować w zielonych głębinach.) Nils przeważnie wodził wzrokiem za Eyjan, a kiedy nie stał na wachcie, starał się — choć nieśmiało — przebywać zawsze gdzieś w pobliżu niej.

Pozostali członkowie załogi stykali się z rodzeństwem tylko wtedy, gdy musieli. Wprawdzie brali od wodników przyniesione na pokład świeże ryby, lecz jedząc je nie odzywali się nawet słowem do tych, którym je zawdzięczali.

Często mruczeli: „Przekłęci poganie... zarozumiałe, gadające bydlaki... gorsze niż Żydzi... zostanie nam wybaczone wiele grzechów, jeżeli poderżniemy im gardła, czyż nie?... No tak, ale zanim wbiję nóż w tę gołonogą dziewczkę, najpierw wbiję w nią coś innego...” Ranild nie odzywał się. On także trzymał

się z dala od dzieci wodnika, po tym, jak jego nieliczne próby pozyskania ich życzliwości skończyły się niepowodzeniem. Tauno usiłował co prawda wyjść im naprzeciw, lecz gadanina Ranilda nudziła go, jeśli nie napawała wręcz obrzydzeniem, a najstarszy syn Agnety nigdy nie nauczył się sztuki udawania.

Bardzo polubił Nilsa, choć niewiele ze sobą rozmawiali, ponieważ Tauno zazwyczaj milczał, chyba że śpiewał swoje poematy. Zresztą Nils był znacznie bliższy wiekiem Kenninowi i ci dwaj chętnie dzielili się wspomnieniami i opowiadali sobie dowcipy. Niezależnie od innych zajęć wszyscy spędzali wiele godzin na splataniu z lin wielkiej sieci. Nils i Kennin wspólnie zasiadali do tej roboty i nie zwracając uwagi na ponure miny marynarzy, śmiali się i trajkotali bez troski.

— Przysięgam, że był to jedyny wypadek, kiedy udało mi się zobaczyć zaskoczoną ostrygę!

— Hm, przypominam sobie, jak przed laty, kiedy byłem jeszcze brzdącem, trzymaliśmy kilka krów. Prowadziłem jedną z nich do byka, należącego do kuzyna. Przy drodze stał duży młyn wodny. Już z

dała zauważyłem, że koło zaczęło się obracać. Krowa gorzej widzi niż człowiek. To zakochane bydlę dostrzegło tylko, że coś wielkiego stoi niedaleko i usłyszało, że to coś ryczy.

Pognała w tę stronę, a ja za nią, próbując ją zatrzymać, dopóki nie wyrwała mi z ręki postronka. Złapałem ją dość szybko. Kiedy spostrzegła, że to nie byk, zatrzymała się. Wyglądała jak przekłuty pęcherz. Potem wlokła się obok potulnie jak ogłupiała.

— Ha, ha, niech ci opowiem jak my, chłopcy, ubraliśmy morsa w uroczysty strój mego ojca...

Eyjan często przyłączała się do tych wesołych rozmów. Wytworne maniery były jej obce jeszcze bardziej niż wodnicom, które w jakimś stopniu starały się zachowywać zgodnie z regułami dobrych obyczajów. Nosiła włosy obcięte do ramion, zakładała pierścienie, naszyjniki czy złocistą szatę tylko od święta, wołała polować na wieloryby i pływać po niebezpiecznych wodach wokół

skalistych wysepek, niż siedzieć skromnie w domu. W zasadzie pogardzała ludźmi (za to wędrując po lesie zachwycała się śpiewem ptaków, widokiem kwiatów, jeleni, wiewiórek, ognistych jesiennych liści, śniegiem i soplami lodu błyszczącymi w słońcu). Ale lubiła niektórych, między innymi Nilsa. Nigdy też nie sypiała z braćmi — tę chrześcijańską zasadę Agneta głęboko wpoila swoim dzieciom, zanim je opuściła — lecz teraz wodnicy popłynęli gdzieś w nieznane, a znajomi wiejscy chłopcy pozostali w Ais.

„Herning” płynął dniem i nocą, w czasie burz i ciszy morskiej, aż dotarł do wysp, które Tauno i Ranild zgodnie uznali za Południowe Orkady. Był wieczór: pogodne niebo i lekki wiatr zapowiadały ciepłą letnią noc. Miała być pełnia księżyca. Zdecydowali się kontynuować rejs również i po zachodzie słońca, zwłaszcza że obaj bracia postanowili wyruszyć na zwiady i z oddali obserwować linię wodną statku. Eyjan zamierzała popłynąć wraz z nimi, ale Tauno oświadczył, iż jedno z nich musi zostać na kodze, żeby ostrzec rodzeństwo, jeśli pojawi się jakieś niebezpieczeństwo, na przykład nastąpi niespodziewany atak rekinów. Kiedy pociągnęli losy, jej słomka okazała się najkrótsza. Eyjan klęła bez przerwy przez wiele minut, nie powtarzając się ani razu, zanim jakoś się uspokoiła.

Dlatego właśnie stała teraz samotnie na głównym pokładzie w pobliżu pokładu dziobowego. Inny obserwator siedział wysoko w górze, oddzielony od niej żaglem, a sternik znajdował się na rufie, ukryty w jej cieniu. Pozostali członkowie załogi, nauczywszy się już ufać wodnikom w sprawach związanych z morzem, chrapali smacznie pod pokładem.

Tylko Nils nie spał. Wrócił na górny pokład i zastał tam Eyjan. Światło księżyca powlokło srebrem jej tunikę, połyskiwało na twarzy, piersiach, ramionach i nogach, rozjaśniło jej włosy, wymyło także do czysta pokład i połączyło migoczącą drogą linię horyzontu z koronkami piany na drobnych falach uderzających łagodnie o kadłub. Statek przechylił się lekko na bok. Nils, który nie nosił obuwia, wyczuwał to wyraźnie. Żagiel, za dnia rudobrazowy, teraz sterczał ponad ich głowami jak śnieżna góra. Takielunek trzeszczał, wiatr się uspokoił, morze pomrukiwało cicho. Było niemal ciepło. Wysoko, bardzo wysoko w sennym półmroku połyskiwały gwiazdy.

— Dobry wieczór — powiedział z zakłopotaniem Nils.

Eyjan uśmiechnęła się do wysokiego, przestraszonego chłopca.

— Witaj — odrzekła.

— Czy ty... czy ja... mogę podejść bliżej do ciebie?

— Pragnę tego. — Eyjan wskazała palcem dwa wiry wyraźnie widoczne w świetle księżyca, jeden z lewej, drugi z prawej burty. — Bardzo chcę być z nimi.

Spraw, żebym przestała o tym myśleć, Nils.

— Ty... ty kochasz swoje morze, tak?

— A cóż można bardziej kochać? Tauno ułożył kiedyś wiersz — nie potrafię dobrze wyrazić tego po duńsku

— zaraz, może tak: Ono tańczy w górze, odziane w słońce i księżyc, w deszcz i wiatr, rozsiewając mewy i pocałunki z pyłu wodnego. Na dole jest zielone i złote, spokojne, darzące wszystkich pieszczotą, ono, którego dzieci liczne są ponad wszelkie zrozumienie, dawca życia i obrońca całego świata. Lecz najgłębiej w swym wnętrzu ukrywa to, czego nie pozwoli dojrzeć nawet światłu dnia, tajemnicę i przerażenie, łono, w którym samo się rodzi. Panno, Matko, Pani Tajemnic, weź na koniec w swoje objęcia moje zmęczone kości!... Nie —

Eyjan potrząsnęła głową.

— To nie tak. Może gdybyś pomyślał o twojej ziemi, o wielkim kole pór roku i o tej... Marii?, która nosi płaszcz koloru nieba, może wtedy mógłbyś... Sama nie wiem, co chcę powiedzieć.

— Nie mogę uwierzyć, że nie masz duszy! — zawołał Nils.

Eyjan wzruszyła ramionami. Jej nastrój zmienił się nagle.

— Mówiono mi, że nasz lud żył w przyjaźni ze starymi bogami i z jeszcze starszymi, którzy istnieli przed tamtymi. A jednak nigdy nie składaliśmy im ofiar ani ich nie czciliśmy. Próbowałam pojąć te sprawy, lecz mi się nie udało.

Czy Bóg potrzebuje ciała lub złota? Czy ma dla niego jakieś znaczenie to, jak żyjemy? Czy zmienia swe wyroki, jeżeli czołgasz się przed nim i skamlesz? Czy zależy mu na tym, abyś go darzył uczuciem?

— Nie mogę znieść myśli, że pewnego dnia staniesz się nicością. Proszę cię, ochrzczij się.

— Aha! Prędzej ty przeniósłbyś się w morskie głębiny. Niestety, nie mogłabym zabrać cię tam sama. Mój ojciec zna odpowiednie czary, lecz żadne z nas trojga niestety nie! — Położyła rękę na jego dłoni, zaciśniętej aż do bólu na nadburciu. — A jednak chętnie zabrałabym cię, Nilsie — powiedziała cicho. —

Tylko na jakiś czas, żeby podzielić się z tobą tym, co kocham.

— Jesteś zbyt... dobra. — Cofnął się, zamierzając odejść. Eyjan przyciągnęła go z powrotem.

— Chodź — uśmiechnęła się. — Pod pokładem dziobowym jest ciemno i jest tam też moje posłanie.

— Co? — Nie od razu zrozumiał. — Lecz ty... ależ... Jej cichy śmiech dodał mu odwagi.

— Nie lękaj się — powiedziała. My, wodnice, znamy czary, które sprawiają, iż nie stajemy się brzemienne, chyba że same tego chcemy.

— Ale... tylko dla zabawy... z tobą...?

— Żeby dzielić coś więcej niż tylko rozkosz, Nilsie...

Położyła dłoń na ramieniu chłopca i łagodnie, lecz z nieodpartą siłą pociągnęła go za sobą.

Tauno i Kennin nie na próżno popłynęli na zwiady. Ostrzegli kapitana przed skałą, a później przed dryfującą łodzią, która prawdopodobnie oderwała się od jakiegoś statku, który ją holował. O tej porze roku na tych wodach panował

duży ruch. Kiedy o świcie bracia wrócili na pokład, Ranild powitał ich z nieoczekiwaną wylewnością.

— Na boskie jaja! — wrzasnął, kładąc rękę na ramieniu Kennina. — Wasze plemię mogłoby zarobić niezły grosz w królewskiej albo kupieckiej flocie.

Chłopiec uchylił się.

— Podejrzewam, że musieliby mi zapłacić kwotę, na jaką nie byłoby ich stać

— roześmiał się. — Inaczej bowiem nie zgodziłbym się na pewno wachać tak cuchnących wyziewów jak twój oddech.

Ranild wymierzył mu szturchańca. Tauno stanął pomiędzy nimi.

— Dość tego! — powiedział ostro. — Wiemy, co jest do zrobienia i w jaki sposób podzielony ma zostać zysk. Lepiej nie przesadzać — dotyczy to obu stron!

Kapitan splunął, zaklął i odszedł blady z wściekłości. Jego ludzie zaszemrali gniewnie.

Wkrótce po tym incydencie czterej marynarze, którzy nie pełnili akurat wachty, otoczyli na rufie Nilsa. Rechotali i tręcali go łokciami, a kiedy nie chciał się odzywać, wyciągnęli noże i zagrozili, że będą go krajać na kawałki tak długo, dopóki im nie opowie wszystkiego, jak należy. Później twierdzili, że tak tylko sobie żartowali i że wcale, oczywiście, nie zamierzali tego zrobić. Ale to było

dopiero później. Na razie Nils zdołał się wyrwać, zsunął się w dół po drabinie i pobiegł przed siebie.

Dzieci wodnika spały jeszcze pod pokładem dziobowym. Zapowiadał się piękny dzień. Wiał lekki wiaterek, na horyzoncie majaczyło w oddali kilka żagli, a stada mew zwiastowały bliskość lądu.

Wszyscy troje obudzili się szybko, wyczuwszy niebezpieczeństwo jak zwierzęta.

— Co się dzieje? — zapytała Eyjan, zasłoniwszy sobą chłopca. Wyciągnęła z pochwy stalowy sztylet, który Ingeborga kupiła dla niej za kilka kawałków złota pochodzącego z Liri. (Podobne sztylety nabyła też dla obu braci.) Tauno i Kennin stanęli po bokach z harpunami w dłoniach.

— Oni... och, oni... — Nils zaczerwienił się, a potem zbladł. Nie zdołał

wydusić z siebie ani słowa więcej.

Oluw Owesen, powłócząc nogami, wysforował się przed Torbena, Pallego i Tygego. (Ranild i Ingeborga spali pod pokładem, Lawę stał przy sterze, Siward zaś pełnił służbę w bocianim gnieździe; dwaj ostatni przyglądali się tej scenie gwizdząc i łykając ślinę.) Zastępca kapitana mrugał oczami i szczyrzył zepsute zęby.

— Świetnie, znakomicie! — zawołał. — A kto będzie następny, zacna dziwko?

Oczy Eyjan stały się nagle szare jak krzemień, jak niebo podczas burzy.

— Co to ma znaczyć? — zapytała — jeśli szczekanie kundla może znaczyć cokolwiek?

Oluw zatrzymał się o dwa kroki przed nią.

— Tyge był ostatniej nocy na rumplu, a Torben w bocianim gnieździe —

powiedział gniewnym tonem. — Widzieli, jak poszłaś pod pokład z tym oferą.

Słyszeli wasze szepty, kotłowanie, uderzenia o deski i jęki.

— A co cię obchodzi moja siostra? — nastroszył się Kennin.

Oluw uniósł palec w górę.

— Obchodzi — oświadczył. — Zachowywaliśmy się dotąd jak porządni ludzie i zostawiliśmy ją w spokoju. Ale jeśli ona rozwiera swoje nogi dla jednego, niech robi to dla wszystkich.

— Dlaczego?

— D l a c z e g o ?! Ponieważ wszyscy jedziemy na tym samym wózku. A zresztą, jakim prawem ta morska krowa ma zadzierać nosa, przebierać i wybierać? — Oluw zarechotał. — Ja pierwszy, Eyjan. Obiecuję ci, że z prawdziwym mężem lepiej się zabawisz.

— Idź precz! — warknęła, trzęsąc się z wściekłości.

— Jest ich tylko troje — mruknął Oluw do pozostałych marynarzy. —

Małego Nilsa nie liczę. Lawę, przywiąż ster. Ahoj, Siward, zejdź na dół!

— Co chcesz zrobić? — zapytał z pozornym spokojem Tauno.

Oluw podłubał paznokciem w zębach.

— Och, nic takiego, ryboludzie, jeśli ty i twój brat będziecie dobrze się sprawować. Zwiążemy wam ręce i nogi na jakiś czas, to wszystko. W

przeciwnym razie... Ostrożnie z tą włócznią! Pamiętaj, że możemy sięgnąć po piki i kusze, a jest nas sześciu przeciw waszej trójce. — Roześmiał się. —

Sześciu! Już niedługo wasza siostra pięknie nam podziękuje.

Eyjan prychnęła jak kotka. Kennin warknął: „Prędzej zobaczę was w Czarnym Szlamie!” Nils jęknął, łzy pociekły mu z oczu; jedną ręką sięgnął po nóż, drugą wyciągnął do Eyjan. Tauno gestem dłoni nakazał im się cofnąć.

Twarcz mu stężała, tylko jasne włosy falowały na wietrze.

— Czy taka jest wasza niezłomna wola? — zapytał bezbarwnym głosem.

— Tak — odpowiedział Oluw.

— Rozumiem.

— Ty i ona... Wiesz, kto wy jesteście? Bezduszne stwory, dwunogie bydlaki... Bydlaki nie mają żadnych praw.

— Owszem, mają. Ale nie ma ich łajno. Baw się, dobrze, Oluw. — I Tauno pchnął go harpunem.

Tamten krzyknął, kiedy groty wbiły mu się w brzuch. Runął na pokład i zaczął się zwijać z bólu brocząc obficie krwią, jęcząc i skarżąc się głośno.

Tauno doskoczył i wyrwał harpun z rany. Trzymając go w rękach jak w walce na kije, natarł ostro na marynarzy. Jego rodzeństwo i Nils kroczyli za nim.

— Nie zabijajcie ich! — ryknął. — Potrzebujemy ich rąk do roboty!

Nils nie zdążył włączyć się do walki. Jego towarzysze byli zbyt szybcy.

Kennin wbił złożone sztywno palce w przepoń brzuszna Torbena i odwróciwszy się kopnął Pallego w pachwinę. Tauno jednym uderzeniem drzewca harpuna powalił na pokład Tygego. Eyjan skoczyła

naprzeciw Lawemu, który biegł od strony rufy; zatrzymała się, zanim się zderzyli, przyjmując cały impet uderzenia jego ciała na biodro, i odrzuciła go na drabinę tak, że uderzył w nią głową. Widząc to Siward z powrotem wdrapał się do góry.

I było już po wszystkim.

Ranild wybiegł spod pokładu rycząc z wściekłości. Ale mając przeciw sobie troje rodzeństwa i silnego chłopca, musiał przyznać, choć bardzo niechętnie, że Oluw Owesen dostał to, na co zasłużył. Ingeborga pomogła rozładować atmosferę przypominając wszystkim, że w ten sposób będzie o jednego mniej do podziału. Zawarto niepewny rozejm. Trupa Oluwa wyrzucono za burtę przywiązawszy mu do nóg kamień, aby wynurzając się nie spojrzał na towarzyszy, co, jak wiadomo, przynosi nieszczęście.

* * *

Od tej chwili Ranild i jego ludzie nie wypowiedzieli nawet jednego zbędnego słowa do żadnego z dzieci wodnika ani do Nilsa, który zaczął sypiać z nimi obawiając się, że pod pokładem dostanie nożem pod żebro. Chłopiec mógł teraz tylko adorować Eyjan. Uśmiechała się i z roztargnieniem poklepywała go po policzku; myślami była gdzie indziej.

Ingeborga spotkała się kiedyś po kryjomu z Taunem i ostrzegła go, że załoga zamierza pozabijać znieawidzonych współników, gdy tylko złoto znajdzie się na pokładzie. Nakłoniła marynarzy do zwierzeń udając, że czuje wstręt do wodników i twierdząc, że jeśli okazywała im do tej pory przyjaźń, to czyniła podobnie jak myśliwy, który zwabia gronostaja w pułapkę, aby potem zdobyć jego futro.

— To, co powiedziałaś, wcale mnie nie zaskoczyło — odrzekł Tauno. —

Będziemy czuwali na zmianę i uważnie obserwowali tamtych przez całą powrotną drogę.

— Spojrzał na nią. — Jak bardzo zmizerniałaś — dodał cicho.

— Łatwiej było wśród rybaków — westchnęła. Ujął ją delikatnie pod brodę.

— Kiedy wrócimy, jeżeli w ogóle wrócimy — powiedział — będziesz wolna jak nigdy dotąd. A jeśli nie, wówczas zaznasz wreszcie spokoju.

— Albo poznam piekło — odparła znużonym głosem.

— Wybrałam się z wami w tę podróż nie po to, by zdobyć wolność czy osiągnąć spokój. A teraz rozejdźmy się, Tauno, żeby tamci się nie domyślili, iż czujemy tak samo.

Eyjan, Tauno i Kennin po całych dniach poszukiwali teraz zaginionego Awerornu. Mieszkańców mórza natura obdarzyła znakomitym zmysłem orientacji, lecz dzieci Agnety nie wiedziały, czy cel ich podróży znajduje się w odległości dwustu czy trzystu mil, czy też może jeszcze dalej. Wypływały w morze i próbowały dowiedzieć się czegoś więcej od delfinów, bo choć zwierzęta te posługiwały się innym językiem, wodnicy zawsze potrafili uzyskać pomoc ze strony stworzeń, które uważali za

dalekich krewnych.

I rzeczywiście otrzymywali potrzebne wskazówki, które stawały się coraz dokładniejsze, w miarę jak statek zbliżał się do celu. „Tak, złe miejsce —

oświadczył Chwytający Ryby — legowisko krakena. Lepiej, trzymaj się z daleka... to prawda, że krakeny tak jak inne zimnokrwiste istoty potrafią długo obywać się bez pożywienia, ale ten musi umierać z głodu, skoro przez tyle stuleci łapał tylko zbłąkane wieloryby...” „Pozostał tutaj — rzekł Przejrzysta Płetwa — ponieważ uważa, że to jest nadal jego Awerorn, rozmyśla o zatopionych skarbach i wieżach, i o kościach tych, którzy niegdyś oddawali mu cześć... słyszałem, że urósł tak bardzo, iż jego macki sięgają od jednego do drugiego końca zrujnowanego głównego placu...” „No cóż, po starej znajomości zaprowadzimy was tam — powiedział Zgięta Gałązka — bo właśnie teraz księżycyca ubywa, a wtedy kraken zasypia, chociaż łatwo się budzi, ale nie...

możemy tylko wskazać wam drogę, nie... mamy zbyt wiele kochanych maleństw, o które musimy się troszczyć...”

I w ten sposób „Herning” dotarł wreszcie do miejsca, gdzie na dnie oceanu spoczywał zatopiony Awerorn.

VIII

Delfiny odpłynęły pośpiesznie. W promieniach porannego słońca ich szare grzbiety, przesłonięte lekką mgiełką pyłu wodnego wyrzucanego przez ich płetwy, mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Tauno był pewien, że odpłyną tylko na bezpieczną odległość, nie dalej — ich ród słynął z niezmiernej ciekawości i gadulstwa.

Wyzaczył dla kogi taki kurs, żeby dotarła do celu podróży wczesnym rankiem, gdyż do wyprawy w głębinę oceanu potrzebowali dziennego światła.

Teraz zatrzymała się i jej szeroki kadłub zamarł niemal w bezruchu. Zapowiadał

się piękny dzień, niebo było bezchmurne, wiał lekki wiatr. Drobne fale pluskały cichutko, na ich szczytach wirowały strzępy piany. Tauno spoglądał na morze przepełniony uczuciem podziwu, które już tyle razy w życiu budził w nim ten widok: w jak skomplikowaną i piękną konstrukcję układały się zmarszczki każdej fali, nie istniały dwie identyczne, a w dodatku żadna fala nie przypominała siebie samej sprzed kilku chwil. A jak przyjemnie promienie słońca grzały jego skórę, jak mile chłodziło ją słone powietrze! Od paru dni pościł, bo tak należało czynić przed wyprawą w morskie otchłanie, toteż żołądek przypominał mu o sobie i to także sprawiało mu radość, jak każde odczucie potwierdzające własne istnienie.

— No więc — odezwał się — im wcześniej zaczniemy, tym wcześniej skończymy.

Marynarze patrzyli na niego spode łba. Trzymali w rękach włócznie, ściskając je kurczowo, jakby w ten sposób łatwiej im było utrzymać równowagę. Na ich twarzach pod warstwą brudu, opalenizny i zarostu można było dostrzec przerażenie, ich grdyki poruszały się szybko. Ranild nie okazywał lęku,

stał

wyprostowany, trzymając w lewej ręce gotową do strzału kuszę. Nils, choć blady, drżał z zapału i niecierpliwości, był zbyt młody, by mógł uwierzyć w to, że chłopcy także umierają.

— Weźcie się do pracy, szczury lądowe! — zadrwił Kennin. — Do nas należy to, co najważniejsze. Nie potraficie pokręcić kołowrotem?

— Ja tu wydaję rozkazy, chłopcze — odparł z niezwykłym spokojem Ranild.

— Ale on ma rację. Migiem do roboty!

Siward oblizał wargi.

— Kapitanie — powiedział ochryłym głosem. — Myślę... myślę, że będzie lepiej, jak zawrócimy.

— Po tym jak dotarliśmy tak daleko? — wyszczerzył zęby Ranild. —

Gdybym wiedział, że jesteś babą, na pewno bym z tego skorzystał.

— Cóż znaczy złoto dla zjedzonego człowieka? Pomyślcie, druhowie. Kraken może wciągnąć nas na dno tak, jak my wyciągamy złapaną na haczyk flądrę.

My...

Siward nie zdążył powiedzieć nic więcej. Ranild powalił go na pokład ciosem tak silnym, że tamtemu krew popłynęła z nosa.

— Do roboty, skurwysyny! — odezwał się chrapliwie — albo niech czort mnie opierdzi, jeśli sam nie poślę was do krakena.

Usłuchali pośpiesznie.

— Nie brak mu odwagi — przyznała Eyjan w języku wodników.

— Ani perfidii — ostrzegł Tauno. — Nigdy nie odwracajcie się plecami do żadnego człowieka na tym statku.

— Z wyjątkiem Nilsa i Ingeborgi — wtrąciła.

— Och, przecież nie chciałyś się odwrócić plecami do niego, ani ja do niej

— roześmiał się Kennin. On także nie odczuwał wcale lęku i pragnął jak najszybciej znaleźć się w morzu.

Za pomocą pośpiesznie zmontowanego dźwigu marynarze podnieśli coś, co przygotowali podczas podróży. (W granitowy gład wbili dużą żelazną sztabę, a jej drugi koniec opłowali w haczykowaty

grot włóczy. Na całej powierzchni głazu rozmieścili żelazne pierścienie i do nich przymocowali środek wielkiej sieci. Do jej brzegów przytwierdzili dwanaście kotwic. To wszystko tworzyło rodzaj tobołu przywiązanego mocno rzemieniami do tratwy, której właściwe rozmiary ustalili metodą prób i błędów.) Ramię dźwigu uniosło całą konstrukcję ponad lewą burtę. Statek przechylił się na bok pod olbrzymim ciężarem.

— Zaczynamy — odezwał się Tauno. Nie bał się, chociaż gdzieś w jego głowie kołatała się uporczywie myśl, że ten świat, którego bogactwa odbierał

zmysłami w trójnasób wyostrzonymi przez niebezpieczeństwo, być może wkrótce przestanie dla niego istnieć — skończy się nie tylko teraźniejszość i przyszłość, ale także i przeszłość.

Wszyscy troje zrzucili odzież z wyjątkiem przepasek na włosach i pasów, przy których nosili sztylety. Każde zarzuciło na plecy dwa harpuny. Przez chwilę stali przy nadburciu, a za nimi kołysało się łagodnie płonące jaskrawo morze: wysoki Tauno, gibki Kennin, Eyjan o białej skórze i pięknych piersiach.

Nils podszedł do dzieci Agnety. Uścisnął im dłonie, pocałował dziewczynę i prawie płakał, że nie może im towarzyszyć. Ingeborga wyciągnęła ramiona ku Taunowi i spojrzała mu głęboko w oczy. Zaplotła włosy w warkocz, lecz niesforny kasztanowaty kosmyk powiewał nad czołem. Na jej obsypanej piegami twarzy o zadartym nosie i wydatnych ustach pojawił się wyraz niezwykłej powagi i dostojeństwa.

— Może już cię nigdy nie zobaczę, Tauno — powiedziała tak cicho, że pozostali nie mogli jej usłyszeć. — Na pewno nie potrafiłabym, nie powinnam zresztą wyznać ci tego, co kryje się w moim sercu. Ale będę się modliła o to aby

— jeśli przeznaczone ci jest zginąć podczas tej wyprawy przedsięwziętej dla dobra twojej siostry — Bóg dał ci w ostatniej chwili życia czystą duszę, na którą sobie w pełni zasłużyłeś.

— Och... jesteś bardzo dobra, ale... ale przecież ja zamierzam powrócić.

— O świcie wyciągnęłam kubek morskiej wody — szepnęła — i umyłam się.

Czy pocałujesz mnie na pożegnanie?

Tauno objął ją i dotknął ustami jej warg. Wydawało mu się, że Ingeborga nie musi już udawać niechęci do wodników. A potem krzyknął: „Za burtę!” i skoczył w wodę.

Sześć stóp niżej morze z wesołym pluskiem przyjęło go w swe objęcia, otoczyło pulsującym życiem. Przez długą chwilę rozkoszował się jego smakiem i chłodem, po czym zawołał: „Opuszczajcie!”

Marynarze spuścili na wodę załadowaną tratwę. Zakołysała się na falach i utrzymała na powierzchni morza. Tauno odciął przytrzymującą ją linę. Ludzie skupili się przy nadburciu. Dzieci wodnika pomachały rękami — nie do nich, lecz do wiatru i słońca — i zniknęły w głębinie.

Pierwszy oddech w morzu był zawsze łatwiejszy niż pierwszy po wyjściu na ląd. Po prostu

wydmuchiwało się z płuc powietrze, a potem otwierało szeroko usta i klatkę piersiową. Woda napływała, wywołując mrowienie, do ust, nosa, gardła, płuc, żołądka, trzewi, krwi, docierała do najodleglejszego włosa i paznokcia. Ten tak błogi wstrząs przystosowywał ciało do życia w wodzie: subtelne humory* rozkładały płynny żywioł, aby wydobyć z niego substancję, która utrzymuje przy życiu zarówno ptaki, jak i ryby, zarówno ciało, jak i ogień, odsączały sól z tkanek; wewnętrzne piece ładowały się paliwem, żeby zrównoważyć przenikliwe zimno morskich toni.

Właśnie dlatego wodników było tak niewiele. Przebywając w wodzie potrzebowali znacznie więcej pożywienia niż ludzie na lądzie. Nieudany połów czy zaraza wśród skorupiaków mogły spowodować zagładę całego plemienia.

Morze daje, morze odbiera.

Dzieci Wanimena otoczyły z trzech stron tratwę i ciągnąc za sobą ciężki ładunek popłynęły w głąb ku dnu morza.

Na początku woda miała barwę świeżych liści i starego bursztynu, lecz rychło ściemniała, a wreszcie stała się zupełnie czarna. Mimo wysiłku i podniecenia, wodnicy zaczęli marznąć. Otaczała ich niczym nie zmacona, absolutna cisza.

Podążali ku otchłaniom znacznie głębszym, niż te w Cieśninie Kattegat czy w

* Według medycyny średniowiecznej o zdrowiu człowieka decydowała równowaga pomiędzy czterema podstawowymi „humorami”: krwią, flegmą, żółcią i melancholią (zwaną też czarną żółcią) — (przyp. tłum.).

Bałtyku — to był Ocean.

— Trzymajcie mocno — odezwał się Tauno w dialekcie wodników, którym najłatwiej było się porozumiewać pod wodą, mowie składającej się z rozmaitych pomruków, mlaśnieć i cmoknięć. — Czy równo płynie? Czy zdołacie ją utrzymać?

— Tak — odpowiedzieli zgodnie Eyjan i Kennin.

— Dobrze. Poczekajcie tutaj.

Żadne z nich dwojga nie zaprotestowało. Postępowali zgodnie z opracowanym wcześniej szczegółowym planem. Tauno, najsilniejszy i najzręczniejszy z całej trójki, miał przeprowadzić rekonesans.

Każde z rodzeństwa niosło ze sobą latarnię z Liri przywiązaną do lewego przedramienia: wydrążoną kryształową kulę pokrytą z jednej strony wypolerowanym srebrem, z drugiej wytoczoną na kształt soczewki. Wypełniał

ją ten sam żywy morski ogień, którym wodnicy oświetlali swoje domy. U góry znajdował się otwór osłonięty gęstą delikatną siateczką, która nie pozwalała morskim żyjątkom uciec, umożliwiała jednak dopływ wody dostarczającej im pokarm. Latarnie spoczywały w skrzynkach z rzeźbionej kości,

zamkniętych od przodu. Żadna z nich nie została jeszcze otwarta.

— Życzę ci powodzenia — powiedziała Eyjan. Tauno uściśnął w ciemnościach siostrę i brata i ruszył szybko w stronę dna.

Zanurzał się coraz głębiej i głębiej. Nigdy by nie przypuszczał, że jego świat może tak się zmienić, że się stanie tak ciemny, ponury i spokojny. Lecz tak właśnie było. Raz po raz poruszał mięśniami klatki piersiowej i brzucha, aby zrównać ciśnienie wewnętrzne z zewnętrznym. A mimo to miał wrażenie, że w miarę jak opuszcza się coraz niżej, z każdą stopą stale wzrasta ów przygniatający go, olbrzymi ciężar.

Wreszcie poczuł — jak człowiek potrafi wyczuć w ciemnościach, że zagraża mu drogę ściana — iż znajduje się już blisko dna Oceanu. I uchwycił zapach...

smak... cuchnącego cielska; odebrał powolny ruch wody filtrowanej przez skrzela krakena.

Odsłonił latarnię. Blade światło nie rozchodziło się daleko, ale dopomogło jego bystrym oczom. Ciarki przeszły mu gwałtownie po plecach.

W dole rozciągało się ogromne cmentarzysko. Awerorn był dużym miastem, zbudowanym w całości z kamienia. Większość budynków zawaliła się, tworząc bezkształtne, pokryte mułem bryły. Lecz gdzieś tam stała jeszcze wieża, jak ostatni zepsuty ząb w szczęce trupa; gdzie indziej świątynia częściowo tylko zburzona; jej pełne wdzięku kolumny rozsypały się wokół boga, który siedząc za ołtarzem niewidzącymi oczami spoglądał w wieczność; w innym miejscu wznosiły się szczątki potężnego zamku — w jego blankach czuwały teraz przedziwnie świecące ryby. Tu widać było port, z którego pozostały pogrzebane pod zwałami ziemi falochrony, nadal pełen potężnych żaglowców, tam zaś dom bez dachu, a w nim szkielet męża, który przez tyle wieków i teraz wciąż jeszcze usiłował osłonić szkielety niewiasty i dziecka, a wszędzie, jak okiem sięgnąć, dostrzegało się rozbite, otwarte piwnice i magazyny, blask złota i diamentów rozrzuconych na dnie morza!

W samym środku zrujnowanego miasta spoczywał kraken. Osiem połyskujących złowrogo macek sięgało do wszystkich rogów ośmiokątnego placu, którego powierzchnię pokrywała mozaika przedstawiająca podobiznę potwora. Pozostałe dwie kończyny — każda z nich była dwukrotnie dłuższa od

„Herninga” — obejmowały kolumnę zwieńczoną posągiem pokonanego boga.

Nad mackami wisiała potworna głowa; Tauno zobaczył na moment zakrzywiony dziób i ciemne, pozbawione powiek oko.

Zatrzasnął drzwiczki latarni i począł powoli wznosić się w ciemnościach w górę. Przez ocean przebiegło drżenie, poczuł jak przenika jego kości. Zdawało się, że to zadygotał cały świat. Syn Agnety poświecił w dół. Kraken poruszał

się. Obudził go!

Zacisnął zęby. Gwałtownie zagłębiał ręce i stopy w zimną, gęstą wodę, nie zwracając uwagi na

szybkie zmiany ciśnienia sprawiające mu dotkliwy ból; dzięki swym wyostrozonym zmysłom mógł się zorientować; w jakim kierunku płynie. W dole zadudniło. Kraken rozprostował macki i ziewnął, burząc doszczętnie jakiś portyk.

Tauno zatrzymał się na granicy dziennego światła. Zawisnął na chwilę w wodzie i dał znak latarnią. Pod nim napęczniał ogromny cień.

Teraz, zanim dotrą tu Kennin i Eyjan, musi pozostać żywy i tak zaabsorbować uwagę krakena, żeby potwór nie oddalił się z tego miejsca.

W samym środku olbrzymiego cielska wzniecającego podwodną nawałnicę dostrzegł złowrogo błyszczące oczy. Kraken kłapnął wielkim dziobem. Wysunął

do góry mackę pokrytą przyssawkami, które bez trudu mogły obedrzeć do kości żebra wieloryba. W ostatniej chwili Tauno zdążył się uchylić. Potwór znów wyrzucił do góry wijącą się mackę. Tauno wbił w nią nóż aż po rękojeść. Kiedy wyciągnął brzeszczot z powrotem, z rany trysnęła krew o smaku octu. Drgająca z bólu macka uderzyła go z całej siły. Potoczył się w bok, poczuł dotkliwy ból, zakręciło mu się w głowie.

Jeszcze dwie macki skierowały się ku niemu. Oszołomiony ciosem Tauno pomyślał nagle: kim ja właściwie jestem, że ośmielam się walczyć z bogiem?

Jakoś udało mu się zdjąć harpun z ramienia. Zanim macki krakena zamknęły się wokół niego w miażdżącym uścisku, popłynął w dół, jak mógł najszybciej.

Może zdoła przebić gardziel potwora...

Przeraźliwe wycie zagłuszyło nagle wszystko. Tauno stracił przytomność.

Ocknął się po długiej chwili. Bolała go głowa, dzwoniło mu w uszach. Wokół

szalał podwodny sztorm. Tauno nie był już sam, Eyjan i Kennin podtrzymywali go z obu stron. Spojrzał w dół i jak przez mgłę dostrzegł kurczącą się ciemną plamę. Kraken opadał na dno wyjąc i miotając się konwulsyjnie.

— Spójrz, och, spójrz! — cieszył się Kennin kierując w dół światło swojej latarni. Zza osłony, utworzonej przez krew, sepię i wzburzoną wodę, blady blask wydobywał sylwetkę wijącego się z bólu potwora.

W czasie gdy ich brat toczył walkę z krakenem, Eyjan i Kennin przyholowali swoją broń na plac boju. Odcięli ją od tratwy. Żelazna włócznia umocowana do ważącego przeszło tonę głazu przebiła ciało potwora.

— Czy jesteś ranny? — zapytała drżącym głosem Eyjan. — Mój drogi, czy możesz się poruszać?

— Spróbuję... Byłoby lepiej, gdybym mógł — wymamrotał Tauno.

Potrząsnął kilkakrotnie głową i mgła przesłaniająca mu oczy rozrzedziła się trochę.

Kraken opadł na dno, znalazł się znowu wśród ruin miasta, które uśmiercił.

Rana od żelaznej włóczni, choć ciężka, nie była jednak śmiertelna. Potwór zachował jeszcze tyle sił, że mógłby zrzucić przygniatający go głaz, znajdował

się jednak teraz w olbrzymiej sieci.

A dzieci wodnika pochwyciły kotwice uwiązane do brzegu sieci i opuściły je w ruiny Awerornu.

Walczyli rozpaczliwie, choć zdawało się, że nie mają żadnych szans. Wielkie cielsko krakena miotało się wściekle w sieci, gigantyczne macki uderzały na oślep, usiłując pochwycić prześladowców. Krew ciekąca z żył potwora i wydzielina jego gruczołu atramentowego oślepiły oczy, dusiły; liny smagały jak baty, płątały się i rwały, ocalałe dotąd mury miasta waliły się pod ciosami macek wywołujących śmiertelne wiry. Od przeraźliwego wycia mąciło się w głowie, bębenki w uszach zdawały się pękać. Kraken raził napastników, odrzucał w bok, ich ciała pokryły się sińcami, a krew dodała posmaku żelaza do kwaśnej posoki potwora. Kiedy wreszcie przygwoździli go do dna, byli niemiłosiernie sponiewierani i zmęczeni.

Ale udało się go im w końcu skrępować. Potem podpłynęli do miejsca, gdzie wielka głowa dygotała i miotała się gwałtownie, dziób szarpał oka sieci, a macki wiły się niczym ogromne żmije. Przez zamuloną, zmętniałą wodę spojrzeli w wielkie oczy. Kraken przestał wyć. Słyszeli tylko szum wody przepływającej przez skrzela. Patrzył na nich ze stoickim spokojem.

— Byłeś dzielny, krajanie — powiedział Tauno. — Wiedz zatem, że nie zabijemy cię z chęci zysku.

Wybrał prawe oko, Kennin zaś lewe. Pchnęli harpuny aż po drzewce. Ale kraken nadal nie przestawał się miotać, więc wbili też swoje zapasowe harpuny i oba harpuny Eyjan. Wypłynęły z krwią.

Po chwili potwór wreszcie znieruchomiał. Któryś z harpunów musiał ugodzić w mózg.

Uciekli precz z Awerornu, ku słońcu. Wypłynęli na powierzchnię morza i zobaczyli kogę kołyszącą się na wielkich falach, które wzbudził zaciekły bój w głębinach. Tauno i Eyjan nawet nie zatroszczyli się o to, by oczyścić płuca, chociaż oddychając powietrzem, staliby się lżejsi od wody. Utrzymywali się na powierzchni poruszając lekko rękami i nogami. Ocean koił ich obolałe ciała; pili wielkimi haustami radosną świadomość, że żyją. To młody Kennin krzyknął do bladych z przerażenia ludzi, którzy zgromadzili się przy nadburciu:

— Udało się! Zabiliśmy krakena! Skarb jest nasz!

Nils pobiegł w górę po drabince wantowej piejąc jak kogut, a Ingeborga zalała się łzami. Marynarze poczęli wydawać radosne okrzyki, ale zaraz umilkli; potem patrzyli już tylko na Ranilda.

Ze czterdzieści delfinów skacząc przez fale zbliżyło się do statku, żeby wysłuchać opowieści o niezwykłym wydarzeniu.

Pozostało jednak jeszcze wiele do zrobienia. Kiedy Tauno i jego rodzeństwo dali znać, że już dostatecznie odpoczęli, Ranild opuścił do wody długą linę z workiem zawieszonym na haku. Tamci troje zabrali ją ze sobą do zrujnowanego, zatopionego Awerornu.

Zwinne świecące ryby, których kraken — gdy jeszcze żył — nie mógł

chwycić, gdyż był zbyt powolny, zaczynały już objadać jego cielsko. „Zróbnmy co trzeba i oddalmy się stąd jak najszybciej” — powiedział Tauno. Brat i siostra zgodzili się z nim chętnie. Nie lubili się kręcić wokół grobów.

Ale musieli to robić dla Małgorzaty, która niegdyś była Irią. Wciąż od nowa napełniali worek monetami, drogocennymi pucharami, pierścieniami, koronami, sztabami szlachejnych metali; zawieszali na haku złote kufry, rogi, kandelabry i posągi boga. Po tak długiej linie sygnały z trudem docierały na górę, więc marynarze wciągali ją co pół godziny. Tauno szybko się zorientował, że powinien przywiązać do niej swoją latarnię, bo chociaż morze nad nim się uspokoiło, „Herning” unosił się bezwładnie na wodzie i lina nigdy nie trafiała w to samo miejsce co poprzednim razem. W przerwach dzieci wodnika szukały nowych skarbów, lub pożywiały się serem i sztokfiszami, które Ingeborga zapakowała im do niewielkiego worka.

Wreszcie Tauno rzekł zmęczonym głosem:

— Powiedziano nam, że kilkaset funtów starczy aż nadto, a ja gotów jestem przysiąc, iż wydobyliśmy przynajmniej tonę. Chciwy człowiek to nieszczęśliwy człowiek. Wynosimy się stąd?

— Och, tak... tak! — Eyjan spojrzała w mrok otaczający mały krąg bladego światła, wzdrygnęła się i skuliła. Starszy brat rzadko dotąd widział ją tak przestraszoną.

Kennin nie odczuwał lęku.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie tak lubią gromadzić łupy —

powiedział, uśmiechając się szeroko. — Ta nieskończoność błyskotek jest równie ucieszna jak nieskończoność piwa czy niewiast.

— Słowo „nieskończoność” nie jest odpowiednim słowem — odparł trzeźwo jak zawsze Tauno.

— Jak to? Czyż to nie nieskończoność, jeśli posiadasz więcej niż możesz zużyć w ciągu całego życia: złota do wydania, piwa do wypicia, niewiast do...?

— Kennin roześmiał się.

— Niech sobie mówi — szepnęła Eyjan Taunowi do ucha. — On jest jeszcze chłopcem. Wydaje mu się, że cały świat stoi przed nim otworem.

— Nie jestem wiele od niego starszy — odrzekł Tauno — chociaż trolle wiedzą, że czuję się, jakbym był śmiertelnikiem.

Pozbyli się pozostałych latarni wkładając je do ostatniego worka ze złotem.

Znajdzie się na powierzchni morza szybciej niż oni. Tauno gestem dłoni pozdrowił niewidoczny Awerorn.

— Spij dobrze — mruknął — i oby nic nie zakłócało twego spoczynku aż do Końca Świata.

Z otchłani chłodu, ciemności i śmierci wypłynęli w obszar światła i powietrza. Słońce już zachodziło, rzucając na wodę ukośne promienie; na zachodzie niebo przybrało zielonkawą barwę, a na wschodzie wśród purpury i błękitu płonęła jasno gwiazda wieczorna. Chociaż wiatr ustał, wielkie purpurowe i czarne fale ozdobione koronką piany pokryły morze. Tylko ich łoskot, plusk i odgłosy delfinich skoków zakłócały wieczorną ciszę.

Delfiny chciały dowiedzieć się natychmiast o wszystkim, co zaszło, ale dzieci wodnika były zbyt zmęczone. Przynęły, że jutro dokładnie opowiedzą całą historię. Eyjan i jej bracia wykrztusili wodę z płuc i popłynęli do kogi. Przy nadburciu czekał na nich tylko Herr Ranild. Ze śródokręcia zwisała drabinka sznurowa.

Tauno wspiał się pierwszy na pokład. Przystanął ociekając wodą i drżąc lekko z wyczerpania. Rozejrzał się dookoła. Ranild trzymał kuszę w zgięciu ramienia, jego ludzie stojący obok grotmasztu ściskali włócznie... Przecież kraken nie żył.

Po co ta czujność? Co się stało z Nilsem i Ingeborgą?

— Hm—m—m... czy jesteście zadowoleni? — burknął Ranild.

— Mamy tyle złota, że wystarczy dla mojej siostry i na to, żeby was wszystkich uczynić bogatymi — odparł Tau—no. Bolało go całe ciało przemarznięte, posiniaczone, zmęczone do ostatnich granic, kręciło mu się w głowie ze znużenia. Wiedział, że powinien odśpiewać pieśń zwycięstwa; ale nie, to mógł zrobić później, kiedy nieco odpocznie, prześpi się trochę.

Eyjan wspięła się na pokład.

— Nils? — zawołała.

Spojrzała na sześciu marynarzy stojących obok grot—masztu i błyskawicznie wyciągnęła sztylet z pochwy. Zdrada? Tak szybko?

— Zabijcie ich! — wrzasnął Ranild.

Kennin właśnie zszedł z drabinki, jeszcze stał na krawędzi nadburcia. Gdy marynarze, unosząc włócznie, pobiegli w jego stronę, krzyknął i skoczył na pokład. Nie powstrzymała go żadna spośród sześciu włóczni — przeciwnicy byli zbyt powolni. Rzucił się Ranildowi do gardła, uniesione ostrze sztyletu zabłysło krwawo w promieniach zachodzącego słońca.

Kapitan zdążył podnieść kuszę i strzelił. Kennin runął u jego stóp. Strzała przebiła mostek, serce i plecy. Krew trysnęła na pokład.

W ułamku sekundy Tauno zrozumiał wszystko: Ingeborga ostrzegła ich przed zdradą, lecz Ranild okazał się znacznie sprytniejszy od niej. Musiał naradzać się potajemnie z każdym marynarzem po kolei gdzieś w sekretnych zakamarkach ładowni. Kiedy wodnicy popłynęli po skarb, kazał schwytać niewiastę i chłopca.

I zabić ich? Nie, wtedy mogłyby pozostać jakieś ślady. Związać, zakneblować i uwięzić pod pokładem do czasu powrotu niczego nie podejrzewającego rodzeństwa.

Szybki refleks Eyjan i błyskawiczny atak Kennina pokrzyżowały jednak te plany. Marynarze zawahali się na moment, zwolnili kroku. Eyjan i Tauno zdążyli wyskoczyć za burtę.

Kilka włóczyń poleciało ich śladem, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Przy nadburciu zamajaczyła, czarna na tle wieczornego nieba, sylwetka Ranilda.

— Może tym okupicie u rekinów wolną drogę do domu! — zaniósł się rubasznym śmiechem.

I rzucił na dół ciało Kennina.

IX

Delfiny już się zgromadziły.

Tauno i Eyjan pozostawili z nimi brata, zgodnie ze zwyczajem wodników.

Zamknęli mu oczy, złożyli ręce, zabrali jego nóż — żelazo zaczynało już rdzewieć — powinno się go bowiem nadal używać, jako że był przedmiotem, który znał i pamiętał zmarłego. Było rzeczą słuszną, by ostatni swój podarunek ofiarował nie węgorzom morskim, lecz przyjacielom.

Długie, błękitnoszare ciała delfinów — bardzo cicho, bardzo spokojnie —

otoczyły Kennina. Brat i siostra odpłynęli nieco dalej i zaśpiewali ponad czerwonymi w promieniach zachodzącego słońca wodami oceanu pożegnalną pieśń, która kończy się tak:

Daleko będziesz wędrował, złączony z całym światem, Bo zawsze był ci miły nieznany jeszcze szlak:

Duchem w promieniach słońca, pyle wodnym, i morskiej fali,

A ciałem w zwinnych ruchach ptaków i ryb.

Do Rodzicielki powrócą kości twe i krew, i sól.

Kochany:

Niech przyjmie cię niebo,

Niech przyjmie cię słońce,

Przypomni nam ciebie rączy morski wiatr.

— Och, Tauno, Tauno! — szlochała Eyjan. — On był jeszcze taki młody!

Brat objął ją mocno.

— Norny* są srogie — odparł. — Zapowiadał się tak wspaniale...

* Norny — boginie losu w mitologii skandynawskiej (przyp. tłum.).

Podpłynął do nich jeden z delfinów i na delfini sposób zapytał, czy nie potrzebna im jeszcze jakaś pomoc. To nic trudnego zatrzymać statek w tych stronach, wystarczy rozbić ster. A wówczas pragnienie wymierzy zabójcom sprawiedliwość.

Tauno spojrzął na majaczącą na horyzoncie kogę ze zwiniętym żaglem.

— Nie — powiedział. — Oni mają zakładników. Coś jednak musimy zrobić.

— Rozetnę kałdun Herr Ranildowi — powiedziała Eyjan. — Przywiążę końce jego flaków do masztu i będę goniła go w kółko tak długo, aż łotr zostanie doń przytroczony własnymi wnętrznościami.

— Nie sądzę, żeby Ranild był wart takiego zachodu — odparł Tauno. — Ten łajdak jest jednak bardzo niebezpieczny. To żadna sztuka zaatakować statek z pomocą delfinów albo podpłynąć od dołu i wyważyć deski, jedną po drugiej.

Ale zdobycie go może okazać się niemożliwe. Jednakże musimy spróbować, dla dobra Irii, Ingeborgi i Nilsa. Chodź, lepiej coś zjemy — nasi kuzyni złapią dla nas trochę ryb — i odpoczniemy. Opadliśmy już z sił.

Wkrótce po północy Tauno obudził się wypoczęty. Nadal dręczył go żal, lecz całą jego istotę przepełniało pragnienie zemsty połączone z chęcią uwolnienia przyjaciół.

Eyjan spała spokojnie w obłoku włosów unoszących się ponad wodą. Jej twarz przybrała we śnie niewinny, niemal dziecinny wyraz. Rozchyliła lekko usta, nad policzkami rysowały się długie rzęsy. Delfiny trzymały straż czuwając nad jej bezpieczeństwem. Tauno pocałował siostrę w zagłębienie szyi, tam gdzie przechodzi ona w piersi, i cicho odpłynął.

Noc była jasna — takie noce zdarzają się na Północy tylko latem — gwiazdy płonące na rozświetlonym niebie zdawały się niezwykle drobne i delikatne.

Morze, prawie nieruchome, lśniło łagodnie. Powietrze było spokojne, chłodne i wilgotne.

Tauno zbliżył się do „Herninga”. Okrążył statek ukradkiem, jak rekin. Przy sterze nie było nikogo, lecz przy obu burtach stali uzbrojeni we włócznie marynarze; trzeci siedział w bocianim gnieździe. Światła przygaszono, aby nie raziły oczu. Trzej pozostali marynarze spali widocznie pod pokładem. Na pewno wszyscy kolejno pełnili wachtę. Ranild nie lekceważył wrogów.

Lecz gdyby tak...? Krawędź nadburcia w śródkrećciu dzieliło tylko jakieś sześć stóp od powierzchni morza. Jeśliby się wspiąć...

I zabić może jednego lub dwóch marynarzy, zanim hałas ściągnie pozostałych. To bez sensu. Co prawda dzieci Wanimena pokonały już raz całą załogę, ale wtedy każdy marynarz miał przy sobie tylko nóż i żaden tak naprawdę nie szukał zwady, a zresztą gdy tylko Oluw został unieszkodliwiony, przestała to być walka na śmierć i życie.

Poza tym Kennin już nie żył.

Wynurzywszy z wody tylko twarz, Tauno czekał, co się stanie w ciągu następnych chwil.

Wreszcie usłyszał odgłos czyichś kroków i mąż, który stał przy prawej burcie, zawołał:

— No, no, już stęskniłaś się za nami?

— Pamiętaj, że jesteś na wachcie — rozległ się głos Ingeborgi. — Jak ten czas się wlecze, jakie to wszystko ponure! Mogłabym zacisnąć zęby i uwieść cię, ale musiałabym mieć pewność, że kapitan wychłoscze cię potem za to, że zszedłeś z wachty, a trudno na to liczyć. Ach, wyszłam z tego chlewa pod pokładem, aby odetchnąć świeżym powietrzem, a zapomniałam, że tu także siedzą straszliwe świny.

— Uważaj, co mówisz, nierządnicu! Dobrze wiesz, że nie możemy ryzykować i pozostawić cię przy życiu, skoro jesteś jedynym świadkiem, lecz pamiętaj, istnieje wiele rodzajów śmierci.

— A jeśli będziesz zachowywała się zbyt zuchwale, możesz zakończyć swój nędzny żywot wcześniej, niż się tego spodziewasz — powiedział marynarz stojący przy prawej burcie. — Za to złoto kupię sobie więcej wszetecznic, niż zdołam przeszorować, więc po kiego licha miałbym zawracać sobie głowę Ingeborgą–Dorsz?

— Tak, szczam na nią — oświadczył majtek w bocianim gnieździe i próbował rzeczywiście to zrobić. Ingeborga z płaczem uciekła pod pokład na rufie. Gonił ją donośny rechot.

Tauno zeszywniał na chwilę. Potem dał nurka i dopłynął do steru.

Ster pokryty był szorstkimi skorupiakami i śliskimi wodorostami. Syn Wanimena wdrapał się po nim bardzo ostrożnie. Dolny pokład wznosił się nieco ku górze, dzięki czemu rumpel znajdował się jakieś osiem stóp nad linią wody, w grocie utworzonej przez górny pokład. Tauno pochwycił drąg oburącz, wygiął

ciało i stanął na palcach w szczelinie między belką a kadłubem, opierając się o podpórkę. Następnie jednym płynnym ruchem, nawet nie skrzywiwszy się, gdy metal wpił mu się w ciało, stanął tak, by móc uchwycić palcami brzeg nadburcia, po czym na rękach podciągnął się do góry.

— Co to było? — zawołał któryś z marynarzy z pogrążonego w mroku głównego pokładu.

Tauno zastygł nagle w bezruchu. Krople kapiące z jego ciała dźwięczały nie głośniej niż uderzenia

drobnych fal, które rozbiły się o pokład. Było mu zimno.

— Ach, to jakiś przeklęty delfin, lub coś podobnego — powiedział drugi majtek. — Na brodzie Chrystusa, będę szczęśliwy, kiedy wreszcie opuścimy te cholerne wody!

— A co będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobisz, gdy przybijemy do brzegu?

Trzej marynarze wdali się w obrzydliwą, sprośną pogawędkę. Tauno dotknął

ręką pleców Ingeborgi. Zaparło jej dech w piersiach z zaskoczenia, kiedy na tle srebrzystoszarego nieba zobaczyła sylwetkę wodnika. Ale stała bardzo spokojnie, tylko serce tłukło się w niej jak oszalałe.

Tauno przyciągnął ją do siebie. Na rufie było ciemno, wyczuł jednak jej krągłe, jędrne kształty, ciepło ciała i zapach włosów, które łaskotały mu wargi, gdy zbliżył usta do jej ucha.

— Co się dzieje na pokładzie? — szepnął. — Czy Nils żyje?

— Będzie żył tylko do jutra. — Nie potrafiła odpowiedzieć tak spokojnym tonem, na jaki zdobyłaby się w tej sytuacji Eyjan, lecz nieźle panowała nad sobą. — Wiesz, że wtedy nas związali i zakneblowali nam usta. Mnie chcą zatrzymać jeszcze na jakiś czas — słyszałeś chyba? Nils oczywiście leży związany. Spierali się głośno, co z nim należy zrobić, a on wszystko słyszał.

Wreszcie uznali, że najlepiej się zabawią patrząc, jak jutro rano będzie tańczył

na rei. — Wpiła mu paznokcie w ramię. — Gdybym nie była chrześcijanką, skoczyłabym natychmiast za burtę do twego morza!

Tauno niewłaściwie ją zrozumiał.

— Nie rób tego, nie mógłbym ci pomóc. Umarłabyś z zimna... Pozwól mi pomyśleć, pozwól się zastanowić. Aha...

— Co? — Z tonu jej głosu wyczuł, że nie bardzo wierzy w pomyślne zakończenie całej sprawy.

— Czy mogłabyś przekazać coś Nilsowi?

— Może kiedy wyprowadzą go na pokład. Na pewno zmuszą mnie, żebym tam poszła.

— No cóż... jeżeli zdołasz to uczynić bez obawy, że Cię usłyszą, powiedz mu, żeby nie upadał na duchu i był gotów do walki. — Tauno zastanawiał się przez dłuższą chwilę. — Musimy odwrócić ich uwagę od wody. Gdy będą chcieli włożyć Nilsowi pętlę na szyję, niech się broni, szamocze, jak tylko będzie mógł. I ty także: rzuć się na nich, drap, gryź, kop, krzycz.

— Czy myślisz... czy sądzisz...? Naprawdę... wszystko... zrobię wszystko.

Bóg jest miłosierny, że... pozwala mi zginąć w walce u twego boku, Tauno.

— Nie! Ty sama nie ryzykuj. Jeśli będą ci grozili nożem, poddaj się, błagaj, by cię oszczędzili. I trzymaj się z dala od miejsca, gdzie będzie się toczyć walka.

Nie potrzebuję twego trupa, Ingeborgo, potrzebuję ciebie.

— Tauno, Tauno. — Pocałowała go w usta.

— Muszę iść — szepnął jej do ucha. — Do jutra.

Równie ostrożnie jak wspiął się na statek, wrócił do morza. Ingeborga pomoczyła swoją podartą suknię w objęciach Tauna, postanowiła więc pozostać tam, gdzie stała, dopóki suknia nie wyschnie. Zresztą i tak nie potrafiłaby zasnąć. Padła na kolana.

— Chwała Panu na wysokościach — wyjąkała. — Bądź pozdrowiona, Mario, łaski pełna — och, przecież jesteś niewiastą, ty to zrozumiesz... Pan z Tobą...

— Ej, ty tam! — wrzasnął jeden z marynarzy. — Dość tej paplaniny! Zdaje ci się, że jesteś zakonnica czy jak?

— Czy nie zechciałabyś mnie na boskiego małżonka? — zawołał ten z bocianiego gniazda.

Ingeborga zamilkła, lecz w duchu modliła się dalej. Po chwili uwagę pełniących wachtę marynarzy przyciągnęło coś innego. Do statku podpłynęły dwa tuziny delfinów i zaczęły krążyć wokół niego. W bladym świetle nocy widać było ciągnący się za nimi na wodzie wyraźny, dziwnie równy ślad; ich płetwy grzbietowe sterczały jak ostrza, pyski wykrzywiały ironiczny uśmiech, wywracały małąkami oczkami ze złośliwą radością.

Marynarze przywołali Ranilda spod pokładu. Spo—chmurniał i zaczął targać zmierzwioną brodę.

— Nie podoba mi się to wcale — wymamrotał. — Na fiuta świętego Piotra, dużo bym dał, żebyśmy wtedy zdążyli wypatroszyć tamtych dwoje pozostałych ryboludów! Na pewno coś knują... Ale wątpię, żeby chcieli zatopić kogę, bo jak wtedy dowieźliby złoto? Nie mówiąc już o tej suce, ich przyjaciółce.

— Może powinniśmy zatrzymać również Nilsa? — zapytał Siward.

— Hm—m—m... nie. Pokażemy tym bydlakom, że nie żartujemy. Niech wiedzą, że jeśli nie zostawią nas w spokoju, to Ingeborgę—Dorsz spotka o wiele gorszy los niż stryczek. — Ranild polizał palec i podniósł go do góry. — Czuję podmuch wiatru — powiedział. — Może zdołamy wyruszyć o świcie, kiedy już Nils zadynda na rei. — Wyciągnął z pochwy krótki miecz i pogroził nim delfinom otaczającym statek ruchomym pierścieniem. — Słyszycie? Zwiewajcie z powrotem do waszych morskich nor, pozbawione duszy stwory! Chrześcijanin wraca do domu!

Noc zdawała się dłużyć w nieskończoność. Delfiny krążyły nadal wokół

statku. Lecz do tego tylko ograniczała się ich cała aktywność. Wreszcie Ranild uznał, że nie były w stanie zrobić nic więcej i że jego wrogowie wysłali je, łudząc się daremnie, że uda im się czegoś

dowiedzieć, albo też powodowani bezsilną złością.

Powiał wiatr. Fale uderzały głośniejsze o kadłub statku. „Herning” zaczął się kołysać. Wysoko pod rozjaśnionymi bladymi gwiazdami niebem przeleciało stado dzikich łabędzi.

Gwiazdy znikły z nadejściem wczesnego letniego świtu. Niebo pojaśniało na wschodzie, a na zachodzie zachowało srebrzystoszarą barwę; wisiał tam jeszcze ciągle, blady jak widmo, księżyc. Grzbiety fal tonęły w blasku, ich doliny pokrywała purpura i czerń. Całe morze lśniło, skrzyło się zielenią, która przypominała odcieniem pewien rodzaj alchemicznych płomieni, i łagodnie szumiało. Wiatr świszczął w wantach.

Majtkowie zmusili Nilsa do wejścia na drabinę, szturchając go włóczniami.

Ręce miał związane z tyłu, co bardzo utrudniało wspinaczkę. Dwukrotnie upadł, ku wielkiej ucieśze prześladowców. Jego odzież była zbrukana nieczystościami i poplamiona krwią, lecz rozwiane przez wiatr włosy i puszek na brodzie rozjaśniał blask niewidocznego jeszcze słońca. Rozstawił szeroko nogi, by utrzymać równowagę, i wciągnął głęboko do płuc świeże, wilgotne powietrze.

Torben i Palle pełnili wachtę na parapetach, Siward w górze, a Lawę i Tyge pilnowali więźnia. Ingeborga trzymała się na uboczu; miała minę obojętną, ale jej oczy płonęły. Nils spojrzał na Ranilda, trzymającego w dłoniach pętlę liny przewieszanej przez reję.

— Ponieważ nie mamy księdza, czy pozwolisz mi zmówić jeszcze jedno Ojcze Nasz? — zapytał.

— A niby po co? — wycedził kapitan. Ingeborga podeszła bliżej.

— Może ja potrafię cię wyspowiadać? — powiedziała.

— Co? — Ranild był wyraźnie zaskoczony. W następnej chwili on i jego ludzie parsknęli śmiechem.
— Oczywiście, oczywiście!

Skinieniem ręki nakazał odejść Lawemu i Tygowi, a sam cofnął się na dziób.

Nils zeszywniał zdumiony i urażony.

— Zaczynaj — zawołał Ranild, przekrzykując szum wiatru i łoskot fal. —

Pokażcie nam dobre przedstawienie. Będiesz żył tak długo, jak długo zdołasz nas bawić, Nils.

— Nie! — krzyknął więzień. — Jak mogłaś, Ingeborgo?!

Chwyliła go za grzywkę, mimo oporu przysunęła jego twarz do swojej twarzy i coś szepnęła. Ujrzeni, że Nils na moment znieruchomiał, a potem nagle się ożywił.

— Coś ty mu powiedziała? — spytał Ranild.

— Pozostawcie mnie przy życiu, a może wam powiem — odrzekła wesoło.

Ona i Nils parodiowali, jak umieli najlepiej, rytuał ostatniego namaszczenia, a marynarze ryczeli ze śmiechu.

— *Pax vobiscum* — powiedziała w końcu Ingeborga, która знаła niejednego kleryka. — *Dominus vobiscum*.

— Nakreśliła znak krzyża nad klęczącym młodzieńcem i wykorzystując okazję mruknęła do niego:

— Niech Bóg nam wybaczy i niech mi wybaczy, że nie On jest tym, którego teraz wzywałam. Nilsie, może jeszcze kiedyś się zobaczymy. Niech ci się dobrze wiedzie.

— Tobie także, Ingeborgo. — Nils powstał z klęczek.

— Jestem gotów — rzekł.

Zaintrygowany i nieco zaniepokojony Ranild podszedł do chłopca z pętlą w dłoni.

Nagle Ingeborga wrzasnęła: „Ja-a-a-ch!” — rzuciła się na Lawego i wbiła paznokcie w jego twarz. Marynarz zachwiał się. „Co do diabła?” — wykrztusił.

Ingeborga wczepiła się w niego, drapiąc go, gryząc, wrzeszcząc przeraźliwie.

Tyge pobiegł mu na pomoc. Nils schylił i z całej siły uderzył Ranilda głową w brzuch. Kapitan opadł na pokład. Nils kopnął go w zebro. Torben i Palle zeskoczyli z parapetów, chcąc pochwycić chłopca. Siward przyglądał się z góry całej scenie z otwartą ze zdumienia gębą.

Delfiny od tyłu już godzin krążyły wokół statku, że marynarze uznali, iż od strony morza nie grozi im żadne niebezpieczeństwo i przestali zwracać uwagę na żywy pierścień otaczający kogę. Ostrzegawczy okrzyk z bocianiego gniazda rozległ się zbyt późno.

Spod pokładu na rufie wyskoczyła Eyjan. Nóż błysnął w jej dłoni.

Tauno wynurzył się z morza, przylgnął do kadłuba, kryjąc się za wypukłością dziobu, i opróżnił płuca. W dole pod nim pojawił się delfin. Syn Wanimena uczepił się jego płetwy grzbietowej palcami rąk i nóg. Delfin wyskoczył z wody, podrzucając go do góry. Tauno uchwycił się krawędzi nadburcia i wskoczył na pokład.

Palle zaczął się odwracać do tyłu. Tauno chwycił drzewce włóczni lewą ręką, prawą wbił sztylet w pierś Pallego. Ten runął z krzykiem na pokład — krew chlustała z niego jak z zarzynanej świni. W następnej chwili Tauno uderzył

Torbena w brzuch drzewcem zdobytej włóczni. Marynarz cofnął się na chwiejnych nogach.

Syn Wanimena przeciął więzy Nilsowi. Wyciągnął z pochwy drugi nóż.

— Weź — powiedział. — Należał do Kennina.

Nils krzyknął coś w podzięcie i ruszył w pogoń za Torbenem.

Lawę wciąż jeszcze szamotał się z Ingeborgą. Eyjan zaszła go od tyłu i wbiła mu sztylet w podstawę czaszki. Zanim zdążyła wyciągnąć ostrze z rany, Tyge zamierzył się na nią włócznią. Zrobiła zręczny unik i z zakrwawionym sztyletem w dłoni rzuciła się na niego. Lepiej nie opowiadać, co stało się potem. Wodnicy nie prowadzili wprawdzie wojen, ale dobrze wiedzieli, jak się ćwiartuje wroga.

Siedzący nadal w bocianim gnieździe Siward obrobił się ze strachu i błagał o litość.

Choć Torben był ogłuszony, Nils nie zdołał zabić go od razu. Kilkakrotnie chybił, zanim wreszcie zatopił mu nóż w brzuchu. Ale i wtedy Torben nie skonał, rzucał się po pokładzie wyjąc z bólu, aż wreszcie Eyjan poderżnęła mu gardło, co widząc Nils zwymiotował. Tymczasem Ranild podniósł się na nogi.

Wyciągnął z pochwy miecz; brzeszczot załśnił zimnym blaskiem. Kapitan i Tauno krążyli wokół siebie, myśląc o tym, jak zadać pierwszy cios.

— Cokolwiek zrobisz — rzekł Tauno do przeciwnika — i tak już jesteś trupem.

— Jeśli nawet umrze moje ciało — zadrwił Ranild — i tak będę żył wiecznie, kiedy ty staniesz się tylko łajnem.

Tauno zatrzymał się i rozczesał włosy palcami.

— Nie rozumiem, czemu tak miałyby być — powiedział. — Może tacy jak ty bardziej potrzebują wieczności?

Ranild uznał, iż znalazł dogodną okazję. Zaatakował — i wpadł w zastawioną przez Tauna pułapkę. Pchnął mieczem, lecz wodnika już nie było w tym miejscu, po prostu odchylił się w bok. Syn Wanimena uderzył krawędzią lewej ręki w nadgarstek Ranilda, wytrącając mu miecz z dłoni, prawą zaś wbił nóż w brzuch kapitała. Ranild upadł na pokład. Właśnie weszło słońce i tryskająca krew załśniła nieprawdopodobnie jaskrawą czerwienią.

Rana Ranilda nie była śmiertelna. Kapitan spojrzał na stojącego nad nim syna wodnika i wyjęczał:

— Pozwól mi... wyznać Bogu grzechy... pozwól uniknąć piekła.

— A czemuż miałbym to zrobić? — odparł Tauno.

— Przecież ja nie mam duszy. — Podniósł szamoczące się słabo ciało i wyrzucił je za burtę na żer psom morskim. Eyjan wspięła się po wantach do góry, by położyć kres wrzaskom Siwarda.

KSIĘGA DRUGA:

SELKIE

I

Wanimen, niegdyś władca Liri, a obecnie kapitan bezimiennego statku —

uznał bowiem, że nazwa „*Pretiosissimus Sanguis*” * źle wróży — płynącego ku nieznanym wybrzeżom, stał na jego dziobie i wpatrywał się uważnie we wzburzone morze. Zgromadzeni na pokładzie wodnicy zauważyli, że jego wielka postać zeszywniała, a twarz pokryła się mrokiem.

Z tyłu za nim załopotał żagiel. Kadłub statku zaskrzypiał głośno, zboczył

nagle i fale, które już przedtem kołysały go na wszystkie strony, uderzyły weń gwałtownie — strugi pyłu wodnego zalały główny pokład. Stłoczeni tam pasażerowie, głównie niewiasty i dzieci, ścisnęli się jeszcze ciaśniej. Rozległy się wśród nich gniewne okrzyki.

Wanimen zignorował to i powiódł spojrzeniem wokół statku. Stalowszare fale zwieńczone śnieżnobiałymi grzebieniami, z każdą chwilą coraz wyższe, pędziły pod postrzępionymi chmurami. Wiatr świszczął, dzwonił w takielunku, napierał, smagał, wbijał w ciało lodowe kły. Brzemienna deszczem nawałnica przesłaniała horyzont. Ziejąca przed nimi purpurowo—czarna pieczara połknęła zachodzące słońce i z każdą chwilą stawała się coraz większa. Rozjaśniały ją języki błyskawic, a grzmot piorunów przetaczał się na odległość wielu mil.

Wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo wodnicy podróżujący wpław zaczęli pośpiesznie kierować się w stronę statku. Nie starczyłoby tam co prawda miejsca dla nich wszystkich, ale ich pomoc mogła się okazać niezbędna.

Wanimen widział ich przez moment — jasne kształty wśród wielkich bałwanów, które walczyły z nimi. W pobliżu dostrzegł płetwę grzbietową swej wiernej orki.

Mejwa wspięła się po drabince i stanęła obok króla. Jej smukłe ciało osłaniał płaszcz znaleziony w jednej ze skrzyń, zaplecione w warkocze błękitne włosy

* *Pretiosissimus Sanguis* (łac.) — Najdroższa Krew (Chrystusa) (przyp. tłum.).

nie rozwiewały się na wszystkie strony, tak jak złote kędziory Wanimena.

Musiała zbliżyć usta do jego ucha, aby mógł ją usłyszeć.

— Sternik obawia się, że gdy burza rozsialeje się na dobre, nie zdoła utrzymać statku dziobem do fal, tak jak rozkazałeś. Ster ślizga się niby węgorz w jego rękach. Czy możemy coś zrobić z żaglem?

— Zrefować go — zdecydował Wanimen. — Uciec przed sztormem.

— Ale przecież nadciąga on... z północnego wschodu... Czyż po to znosiliśmy to wszystko: przeciwne wiatry, prądy i ciszę morską, odkąd zostawiliśmy za sobą Orkady, żeby teraz tracić przebyte już mile?

— Lepsze to niż utrata statku. Och, kapitan z rodu ludzkiego na pewno potrafiłby wymyślić mądrzejszą taktykę. My wprawdzie poznaliśmy nieco sztukę żeglowania przez te dni, ale w gruncie

rzeczy niewiele umiemy. Potrafię się jedynie domyślać, w jaki sposób moglibyśmy się uratować.

Oślonił ręką oczy i spojrzął w stronę, skąd nadciągał huragan.

— Ale tu nie muszę się niczego domyślać — dodał. — Zbyt wiele widziałem burz w ciągu wieków, które przeżyłem. To nie jest sztorm, który ucichnie, zanim skończy się noc. Nie, to potworna nawałnica zrodzona na Grenlandii i w rozpościerających się poza nią lodach Północy. Nieswojo mi się robi na samą myśl o tym, jak długo zapewne będzie trzymała nas w swej paszczy.

— To nie jest sezon takich sztormów... prawda?

— Nie, zazwyczaj nie spotyka się ich o tej porze roku, chociaż zauważyłem, że w kilku ostatnich wiekach rosnący chłód płodzi coraz więcej kry, gór lodowych i sztormów. Możemy nazwać naszą burzę wybrykiem natury, a siebie samych — pechowcami.

W głębi duszy, Wanimen poczuł nagle jakiś dziwny niepokój. Pełniący wachtę marynarz, którego zabił, żeby zagarnąć jego statek, mąż, który nie zasłużył sobie na taki los, przeklął go pierwszy... i odwołał się do Najwyższego oraz do swego świętego patrona. Król nikomu o tym nie powiedział i był

przekonany, że nigdy tego nie uczyni.

Gdyby statek zatonął... Wanimen spojrzął na główny pokład i nie mógł już oderwać odeń wzroku. Większość stłoczonych tam istot na pewno straciłaby życie. Zginęłyby śliczne wodnice, które brały i dawały tak wiele radości, oraz dzieci, które dopiero musiały się nauczyć, czym naprawdę jest radość. On sam mógłby pewnie dopłynąć do jakiegoś obcego wybrzeża, ale czy miałoby to jakiś sens?

Dość tych rozważań. Zrobi wszystko, co będzie w jego mocy. To nieważne, jak długie życie udaje się nam wywalczyć... Któż bowiem zdoła umknąć w końcu sieciom Ran?

Posłał chłopca, by przekazał polecenie, że najsilniejsi mężowie mają się wspiąć na pokład po drabince sznurowej. Zanim przybyli, powtarzał w myślach rozkazy, jakie ma im wydać. Przynajmniej jego plemię nauczyło się Szybko wykonywać polecenia kapitana — rzecz zupełnie nowa w dziejach wodników.

Ich żeglarskie umiejętności były jednak wciąż bardzo skąpe, a jego własne niewiele większe.

Nie wezwał pomocy przedwcześnie. Wobec potężniejącej z każdą chwilą wichury manewr skrócenia żagla zmienił się w zacięty bój. Płótna i liny smagały majtków aż do krwi, kadłub statku kołysał się gwałtownie na wszystkie strony.

Fale zmyły wielu wodników z pokładu. Jedno z dzieci zginęło, roztrzaskawszy sobie głowę o poler*. Choć oswojony ze śmiercią, Wanimen wiedział, że nieprędko zapomni ten obraz i wyraz twarzy matki, gdy wzięła zwłoki dziecka na ręce, po czym skoczyła w morze, w nadziei, że ono okaże się łaskawsze.

Król zdawał sobie sprawę, że podobne złudzenia mogą być niebezpieczne.

Ocean brał cię w objęcia, chronił przed słońcem i słotą, dostarczał pożywienia.

Ale zarazem wysysał z twego ciała ciepło, które przywrócić mógł tylko suty posiłek, a w jego głębinach czaiły się niezliczone rzesze groźnych drapieżników.

Wanimen rozkazał zrzucić do morza liny, by umożliwić odpoczynek pływakom, którzy nie mogli wejść na pokład, i ułatwić im utrzymanie się w pobliżu statku.

* Poler — słupek na pokładzie statku, na który zakłada się cumy (przyp. tłum.).

Gwałtowna burza już prawie dogoniła statek. Wanimen schronił się w kasztelu. Pod pokładem na rufie dwóch wodników stało przy sterze. Teraz, kiedy pozwalali, by wiatr gnał ich tam, gdzie mu się spodoba, mieli ułatwione zadanie. Król udzielił im kilku rad, obiecał przysłać na czas zmianę i oddalił się.

Po obu stronach rufy znajdowały się niewielkie kajuty, ta na prawej burcie przeznaczona była dla kapitana, ta na lewej dla oficerów. Podczas podróży rzadko z nich korzystano, bo wodnicy źle się czuli w zamkniętych pomieszczeniach. Wanimen zapragnął nagle choć na krótko odgrodzić się od rozszalałych żywiołów. Otworzył drzwi kapitańskiej kajuty.

Wisiał tam na łańcuchu płonący kaganek, który topił się wydzielając cuchnący dym i rzucał słabe światło oraz cienie w kształcie trolii. Kto go zapalił? Usłyszawszy nagły jęk król przeniósł spojrzenie na koję. Dziewczyna o imieniu Raksi i młodzieniec zwany Hajkiem oddawali się miłości.

Przerwać byłoby nieoby czaj nie. Wanimen czekał, starając się ustać na umykającej spod nóg podłodze. Pomyślał z rozbawieniem, że w tych warunkach akt miłosny wymagał od kochanków nielada zręczności. U wezłowia koi wisiał

krucyfiks, a z drugiej strony, tam gdzie spoczywający na posłaniu mógł

zatrzymać wzrok, znajdował się wizerunek Najświętszej Marii Panny, prawie niewidoczny, prymitywnie wykonany, a przecież zarazem niesłychanie delikatny. Święte wizerunki nie odwróciły się do ściany — to nie był kościół, do którego ośmielił się wejść w poszukiwaniu Agnety — ale król na nowo odczuł z całą mocą, jak bardzo jest mu obce wszystko to, co się z nimi łączy. I poczuł się bardzo samotny.

Uprawiająca miłość para zakończyła akt, wydawszy jednocześnie okrzyk spełnienia. Dopiero teraz zauważyli Wanimena. Hajko zmieszał się, Raksi natomiast uśmiechnęła się szeroko, pomachała ręką do króla i dopiero potem wydostała się spod partnera.

— Dlaczego jesteście w mojej koi? — zapytał Wanimen, przekrzykując wycie wiatru, huk piorunów, łoskot fal i skrzypienie belek.

— Pozostałe są zajęte — odparła Raksi. — Nie spodziewaliśmy się, że przyjdiesz, nie sądziliśmy też, że będziesz miał coś przeciwko temu.

Czy Hajko zarumienił się? — By... byłoby nierozważnie... robić to w wodzie

— wymamrotał. — Moglibyśmy stracić statek z oczu. A kto wie, czy niebawem nie umrzemy.

Raksi usiadła i wyciągnęła ramiona. Kajuta była ciasna, więc mimo woli dotknęła dłońmi Wanimena.

— Czy chcesz być następnym? — zapytała. — Pragnęłabym tego.

— Nie! — warknął w odpowiedzi. — Wynoście się!

Odeszli, wyraźnie urażeni. Drzwi zamknęły się za nimi i Wanimen pozostał

sam. W smrodliwym półmroku spojrzął w oczy Najświętszej Matki i zadał sobie pytanie, co też obudziło jego gniew. Czy to, co tych dwoje robiło... na Jej oczach... było złe? Przecież nie mieli duszy. Nie mogli zgrzeszyć, tak jak nie były zdolne do tego zwierzęta ani on sam.

— Czyż nie mam racji? — zapytał na głos. Lecz nie otrzymał odpowiedzi.

* * *

Dzień i noc, dzień i noc, dzień i noc, aż stracili rachubę czasu ze zmęczenia, burza gnała statek przed sobą.

Później, niemal nic z tego okresu nie pozostało wodnikom w pamięci. Był

tylko chaos, walka, na poły wyczuwalny ból i gorycz utraty. Najbardziej zaboląło Wanimena zniknięcie jego orki. Może oszołomiona i zdezorientowana dała się unieść falom, tak jak się to stało z kilku wodnikami. Nigdy więcej już jej nie zobaczył.

Jakimś cudem król i jego lud wspólnym wysiłkiem zdołali utrzymać statek na wodzie, mimo że pod koniec kadłub przeciekał tak bardzo, że trzeba było bez przerwy wypompowywać wodę. Jakimś cudem przeżyli sztorm. Poza tym robił

z nimi, co chciał...

...aż się skończył.

* * *

Statek dotarł do Słupów Herkulesa. Wanimen bez trudu rozpoznał błękitne masywy majaczące niewyraźnie na skraju świata, Hiszpanię i Afrykę, znane mu jeszcze z czasów, kiedy odbywał podróże na południe. Morze, wciąż jeszcze wzburzone, zmieniło już barwę — było teraz lazurowozielone i pod oczyszczonym z chmur firmamentem każda fala iskrzyła się w słońcu. Żar lał

się z nieba, zapach smoły mieszał ze słoną wonią wiatru. Jednostajne drżenie i cichy pomruk przenikały deski, uszy, kości: była to pieśń spokoju.

Dotychczas żaden statek nie odpłynął tak daleko od portu. Otoczyły ich nigdy nie nasycone w swej ciekawości delfiny. Wanimen przeszedł przez tłum zgromadzonych na pokładzie wodników, wychudłych i drżących ze zmęczenia, tak jak on sam. Podszedł do nadburcia, skoczył, uderzył ciałem o powierzchnię wody, zanurzył się, po czym znów wypłynął, by nadal oddychać powietrzem.

Całym ciałem wyczuwał najlżejsze falowanie przeczystego bezmiaru, który go unosił. Podpłynął do delfinów.

Co mogą mu powiedzieć o Morzu Śródświatowym? Podczas wcześniejszych wypraw nie zapuszczał się daleko poza przypominającą kształtem lwa skałę w cieśninie. W tych stronach chrześcijaństwo zwyciężyło już dawno, bardzo dawno temu, i nic lub prawie nic nie pozostało z Krainy Czarów. Ale teraz znalazł się w odmienniej sytuacji. Jego statek nigdy nie pokona Oceanu. Będzie miał szczęście,

jeśli holk zdoła przepłynąć następane tysiąc mil, zanim zatonie, a zresztą i to może się udać tylko pod warunkiem, że będzie płynął po wodach znacznie spokojniejszych niż te, które rozciągają się ku zachodowi. Czy istnieje jakieś bezpieczne miejsce, w którym mogliby znaleźć schronienie wygnańcy z Liri?

Delfiny naradzały się. Wysłały posłańców i ci natychmiast pomknęli skokami wśród pryzm wodnego pyłu, by zasięgnąć rady swych pobratymców. Zabrało im to sporo czasu. A wodnicy wypoczywali, polowali, odzyskując powoli siły. Na szczęście dla nich nastąpiła długotrwała cisza morska i dlatego nikt z ludzi nie podpłynął bliżej, by dowiedzieć się, kim są.

Wreszcie Wanimen otrzymał coś w rodzaju odpowiedzi na zadane delfinom pytania. Generalnie biorąc, na ziemiach leżących za Słupami Herkulesa wodnicy nie mogli liczyć na gościnne przyjęcie. Pomijając już Kościół, żyło tam zbyt wielu rybaków, którzy na pewno nie powitaliby mile innych łowców ryb.

Wybrzeże Afryki byłoby lepsze, lecz tamtejsi ludzie wyznawali wiarę, która sprawiała, że z jeszcze większym niż chrześcijanie zapałem prześladowali mieszkańców Krainy Czarów.

Ale... było też pewne wybrzeże na wschodnim krańcu wąskiego morza, gdzie sprawy miały się inaczej. Delfiny nie umiały tego jasno wytłumaczyć.

Wiedziały tylko, że choć nie spotykano tam żadnych istot podobnych do wodników, mieszkańcy Krainy Czarów wcale nie zostali wytępieni, tak jak się to stało choćby w Hiszpanii. Wręcz przeciwnie, sądząc po tym, czego delfiny się dowiedziały lub co zobaczyły same, kraj ów roił się od istot nieczłowieczych.

Czy śmiertelnicy byli tam bardziej tolerancyjni niż gdzie indziej? Któż to mógł wiedzieć.

W owych stronach przewożono morzem moc towarów, łowiono też wiele ryb.

Mimo to powinno tam wystarczyć pożywienia dla stukilkudziesięciu osadników.

Wybrzeże było skaliste, miejscami gęsto porośnięte lasem, z licznymi wyspami.

Na pewno gdzieś się znajdzie miejsce dla Nowego Liri.

Serce Wanimena zabiło jak młotem. Opanował się całym wysiłkiem woli i cierpliwie wypytywał dalej. Delfiny potrafiły lepiej lub gorzej opisać, jak wyglądali ludzie, których zauważyły, jak się ubierali, jakie święte lub czarodziejskie przedmioty nosili ze sobą. (Wielu z nich spotkał w morzu smutny koniec, delfiny od czasu do czasu pomagały rozbitkom dopłynąć do brzegu i zawsze z zainteresowaniem przyglądały się topielcom). Trudno było zrozumieć ich relacje. Te istoty myślały, a nawet widziały trochę inaczej niż on. Powoli rozszyfrował część tego, co mu powiedziały. Bardziej pomocne okazały się opowieści o tym, co powiedzieli śmiertelnicy. Delfiny posiadały słuch o tak wielkiej skali i ostrości, oraz tak niezwykłą zdolność zapamiętywania wszystkiego, co usłyszały, że nie mogły się z nimi równać pod tym względem żadne inne żywe stworzenia.

Wanimen połączył wiadomości uzyskane od delfinów z tym, co sam widział

podczas swych licznych podróży lub usłyszał od znajomych ludzi. Wśród tych ostatnich — a wszyscy oni obrócili się w proch dziesiątki lub setki lat temu —

nieliczni tylko otrzymali wykształcenie, pragnęli zarówno uczyć się, jak i nauczać, i potrafili zaakceptować go takim, jakim był. Król Swein, syn Estrida, biskup Absalom...

Owo morskie wybrzeże leżące naprzeciw Italii nazywało się Dalmacja. Teraz stanowiło część państwa zwanego Chorwacją lub — w języku łacińskim —

Kroacją. Jego mieszkańcy byli spokrewnieni z Rusinami, lecz wyznawali wiarę katolicką. Delfiny nie słyszały nic o tym, aby żyły tam istoty podobne do rusałek z północnych krain. To była cała wiedza, jaką zdołał zebrać o tej ziemi Wanimen.

Może to, co tam na nich czekało, było konsekwencją pamiętnej klątwy. A może i nie. Zresztą, czyż wodnicy mieli jakiś wybór?

II

Burza dogoniła „Herninga” w powrotnej drodze do Danii. Już wcześniej musieli ciężko walczyć z przeciwnymi wiatrami. Statek mógł niezgrabnie manewrować, nigdy nie zwracając się dziobem w stronę celu podróży, musieli więc bez przerwy zwijać, rozwijać żagle i wiązać liny. Jednocześnie należało trzymać mocno ster, żeby nie stracić nad nim panowania i nie zboczyć z kursu.

W taką pogodę trzeba to było robić wciąż od nowa, w dzień i w nocy, a wichur atakował prawie bez uprzedzenia lub całkiem zniemacka.

Ingeborga mogła tylko gotować i prowadzić gospodarstwo, co było zresztą wystarczająco ciężką pracą. Eyjan miała dość siły, żeby stać na wachcie i pomagać przy wantach i przy sterze. (Dostarczała też na pokład świeże ryby korzystając z pomocy kilku delfinów, które z ciekawości trzymały się w pobliżu). Sterowała koga zgodnie z wiedzą wodników. Obsługa mającego tak szczupłą załogę statku spoczywała głównie na barkach Tauna. A przecież jeden marynarz nie mógł podjąć całej pracy. (Tauno żałował teraz, że nie oszczędził

nikogo z poprzedniej załogi „Herninga”, chociaż mogłoby to okazać się niebezpieczne zarówno na morzu, jak i, później, na lądzie). Syn wodnika potrzebował pomocy i rad słabszego odeń Nilsa.

Nie znaczy to, że chłopiec był doświadczonym żeglarzem, nawet w takim stopniu, jak bywali młodzi rybacy w jego wieku. Nils odbył uprzednio jedynie kilka krótkich podróży. Ale uczył się szybko i chętnie pytał o wszystko. Marzył

o pracy na lepszym statku i może o dowodzeniu — w dalekiej przyszłości, jeśli Bóg pozwoli — własnym korabiem. Tego, co inni członkowie załogi nie mogli lub nie chcieli mu powiedzieć, dowiadywał się od innych marynarzy w porcie.

Obecnie, dobrze zdając sobie sprawę z tego jak trudna jest sytuacja, obserwował

morze i statek uważniej niż kiedykolwiek i dzięki temu stale poprawiał swoją znajomość żeglarskiego rzemiosła.

I tak oto, choć był zbyt zajęty, żeby to zauważyć, Nils został kapitanem. Jeśli tylko jeszcze miał siłę, by myśleć o czymkolwiek przed krótką drzemką, na jaką sobie pozwalał, myślał o Eyjan. Wodnica chętnie się do niego uśmiechała.

Czasem też brała go na krótko w objęcia lub całowała, kiedy coś dobrze im poszło, i wtedy jego dusza jak mewa szybowała ku słońcu. Ale teraz nie uprawiali miłości — byli bowiem zbyt zajęci, a poza tym dzieci wodnika może nie miały do tego serca, ponieważ dopiero tak niewiele dni upłynęło od śmierci ich brata.

Już na początku podróży Nils zdecydował, że skierują się na północ. W

sąsiedztwie Islandii powinni natrafić na przychylny prąd morski i uzyskać większe szanse na pomyślny wiatr. I rzeczywiście, już niebawem osiągnęli znaczną szybkość. Dobry nastrój łagodził dręczące ich zmęczenie.

I wtedy właśnie rozszalała się burza.

* * *

Gęsty mrok spowijał niebo i morze. Ingeborga wiedziała, że wstał już dzień

— jeśli nie w innym miejscu, to przynajmniej w Niebie, gdzie Pan Bóg sądził

grzeszników — gdyż jeszcze niezupełnie oślepla. Ale pole widzenia ograniczało się do kadłuba statku.

Nie miała na pokładzie nic do roboty: ogień, który próbowała wielokrotnie rozpaścić w glinianym piecu, za każdym razem zalewała natychmiast woda (załoga „Herninga” jadła teraz tylko solone mięso, suchy ser, sztokfisz, klajstrowaty chleb oraz robaczywe suchary). Nie mogła już jednak dłużej znieść mroku i smrodu ładowni — po omacku wyszła na górę. Wiatr i grad zmusiły ją do szukania schronienia na rufie. Stała tam samotnie, bo ster był związany, a zmordowany Nils drzemał pod pokładem.

Kiedy pogoda się popsowała, młody kapitan kazał zrzucić kotwicę i zwinąć żagle. Nie próbowali uciekać przed burzą, gdyż statek mógłby łatwo wpaść na podwodną skałę lub na jedną z licznych skalnych wysepek otaczających północną Szkocję... jeśli przedtem sztormowa fala nie zalałaby rufy i nie przełamałaby kadłuba. Taktyka Nilsa polegała na trzymaniu „Herninga” dziobem do fali, tak by do minimum ograniczyć ewentualne uszkodzenia. Ani on, ani jego załoga nie próżnowali nawet przez chwilę. Codziennie całymi godzinami musieli wypompowywać wodę, gdyż w poszyciu otwierały się wciąż nowe szczeliny, i dokonywać pospiesznie napraw, poza tym przez cały czas bacznie obserwowali morze, żeby nie przeoczyć groźnych skał.

A czas płynął, zdawał się nie mieć miary ani granic, jak nocny koszmar.

Ingeborga uchwyciła się sterownicy, by zachować równowagę, gdyż statek kołysał się wściekle na wszystkie strony. Gwałtowny podmuch szarpnął nią jak wezbrana rzeka i oblepił szczelnie jej ciało mokrą suknią. Tonęła we wrzawie nawałnicy, w przypominającym trzęsienie ziemi dudnieniu i ryku fal zalewających pokład, zmrożona przenikającym do szpiku kości chłodem.

Wyteżywszy wzrok ujrzała maszt kołyszący się w gęstym mroku, wśród gradu i gnanych wichurą deszczowych chmur. Jego szczyt zatrzęsł się nagle.

Wprawdzie reja była opuszczona i przywiązana do pokładu, ale jak długo drewno i liny utrzymają napór nawałnicy? Z przodu pędziły na nich ogromne niczym góry morskie bałwany, stalowoszare pod postrzępionymi grzebieniami.

Pył wodny rozprysnął się na wszystkie strony, kiedy minęły dziób kogi; statek zadrżał. Fale pomknęły dalej, zamajaczyły nad nadburciem. Coraz częściej

„Herning” reagował zbyt późno na zmiany położenia steru i woda kaskadami zalewała główny pokład. Listwy uszczelniające luk pękły i w ładowni zrobiło się mokro jak na bagnach.

Za zasłoną pyłu wodnego i lodu Ingeborga dostrzegła niewyraźnie sylwetki Tauna i Eyjan na pokładzie dziobowym. Wyglądało na to, że prowadzą ożywioną rozmowę. (Jak to było możliwe?) Nagle Ingeborga omal nie krzyknęła

— opanowała się w ostatniej chwili. Tauno wyskoczył za burtę.

„Przecież on jest synem wodnika!” — powiedziała sobie w duchu. „Może tam żyć. Tak, mówił kiedyś o wiecznym spokoju głębin... Strzeż go... Maryjo”.

Eyjan przeszła na rufę i była teraz lepiej widoczna. Naga, z wyjątkiem przepaski na włosach i pasa z wiszącym przy nim nożem, zdawała się nie czuć chłodu; jej ciężkie od wody rude sploty stanowiły jedyną ciepłą plamę pośród wszechogarniającej szarości. Szła swym sprężystym krokiem pantery —

gwałtowne kołysanie się statku w niczym nie zakłócało jej ruchów.

Weszła pod pokład rufowy.

— Ach, to ty, Ingeborgo — odezwała się na powitanie. Była teraz dostatecznie blisko, by tamta mogła ją słyszeć. — Widziałam, jak wygramoliłaś się na górę. Chciałaś odetchnąć świeżym powietrzem, choćby lodowatym, prawda? — Doszła do Ingeborgi i zatrzymała się. Mówiła dalej, otoczywszy usta dłońmi, dzięki czemu słyszeć ją było wyraźniej. —

Pozwól, że dotrzymam ci towarzystwa. Ja teraz pełnię wachtę, ale stąd równie dobrze mogę wyczuć niebezpieczeństwo — może nawet lepiej, bez tego przekłętego gradu, który smaga jak biczem.

Ingeborga oderwała rękę od sterownicy, aby osłonić nią usta:

— Dokąd popłynął Tauno? Twarz wodnicy stężała.

— Zapytać delfiny, czy mogą znaleźć dla nas jakąś pomoc.

Ingeborga jęknęła.

— Boże, miej litość! Czy potrzebujemy jej aż tak bardzo?

Eyjan skinęła głową.

— Jesteśmy blisko lądu. Kiedy Tauno i ja wskoczyliśmy jakiś czas temu do wody, wyczuliśmy oboje, że morze staje się coraz płytsze. Jego puls... tak, odebraliśmy pierwsze echa fal przybrzeżnych. I nie ma żadnych oznak, że pogoda się zmieni.

Ingeborga spojrzała w szare oczy córki wodnika.

— Jeśli się rozbijemy, to przynajmniej on przeżyje... W tym momencie zdała sobie sprawę, że zdradziła szeptem swą myśl.

Być może tamta odgadła, o co jej chodziło.

— Och, moje biedactwo! — zawołała. — Czy mogę cię pocieszyć?

Ostłoniła swym mocnym ciałem Ingeborgę przed wiatrem i wyciągnęła do niej ramiona.

Ingeborga puściła sterownicę i znalazła się w objęciach Eyjan. Łatwiej jej było teraz znosić gwałtowne wichry i kołysanie statku, czuła ożywcze ciepło miękkich piersi córki wodnika i kojącą moc mięśni pod skórą. Tuliła się jak do matki, którą już słabo pamiętała.

I łatwiej się jej tak rozmawiało.

— Nie lękaj się, droga przyjaciółko — powiedziała półgłosem Eyjan. —

Jeżeli statkowi zagrozi katastrofa, Tauno i ja weźmiemy was na plecy i wysadzimy w bezpiecznym miejscu, z dala od podwodnych skał. A później poszukamy pomocy u waszych współplemieńców.

— Ale wtedy straciecie złoto. — Ingeborga poczuła, że ramiona Eyjan zacisnęły się mocniej wokół jej ciała. — Tauno nie mógłby chyba zdobyć innego statku, prawda? Straciłby wszystko, dla czego podjął tę podróż, dla czego ryzykował życiem, wszystko, co ma dla niego znaczenie... a przy tym mógłby zginąć i tak. Czy może się mylę? Eyjan, błagam cię, nie... nie narażajcie... dla nas życia...

I Ingeborga wybuchnęła płaczem, a córka Agnety przytuliła ją mocniej do siebie nucąc jej cicho do ucha jakąś zawodzącą melodię.

Tauno wrócił z wieścią, że delfiny prowadzą poszukiwania. Słyszały o pewnej istocie, która mogłaby pomóc, gdyby zdołały ją odnaleźć. Niewiele więcej powiedziały, bo same też wiedziały niewiele. Nie były również pewne, czy ta istota je zrozumie i czy zechce pomóc.

To było wszystko, co zdążył im przekazać, bo ledwo wrócił, pękła wana dziobowa. Jej koniec przeciął powietrze o cal od szyi Eyjan. Przerazony Tauno pobiegł za liną, złapał ją i szamotał się z nią przez chwilę, jakby była dziką bestią, po czym przywiązał do masztu... i wtedy zobaczył, że maszt zaczyna pękać. Eyjan sprzeciwiła się, kiedy jej brat chciał zamocować nową wantę.

Przecież może spaść na pokład i zginąć na miejscu albo konać powoli jako kaleka. Jeżeli nie chce choćby przez chwilę odpocząć, niech się weźmie za pompę.

Zapadła noc, krótka jasna noc północnego lata, która stała się ciemna niby grób i zdawała się trwać stulecie.

Rankiem znów się ściemniło. Wodny pył lekką mgiełką przesłonił świat, a wodorosty przelatowały nisko nad głowami. Morze, wciąż wzburzone, pokryte białą pianą, kłębiło się gwałtownie na płycznach i przy podwodnych skałach.

Mimo że zarzucili kotwicę, koga zataczała się jak człowiek ugodzony młotem kowalskim w skroń.

Tauno i Eyjan spędziwszy najciemniejsze godziny w bocianim gnieździe nadal pełnili wachtę, wypatrując łądu. Burza wysysała z nich w końcu niemal wszystkie siły: tulili się do siebie, szukając w sobie nawzajem schronienia przed chłodem i gwałtownymi podmuchami wiatru. W pewnej chwili Tauno oświadczył głośno, że nie jest pewien, czy byłby jeszcze w stanie utrzymać głowę śmiertelnika nad wodą.

— Może nam się to nie uda — oparła Eyjan poprzez świst i huk wichury. —

W każdym razie, jeżeli będziemy musieli płynąć, weź Ingeborgę, a ja wezmę Nilsa.

— Dlaczego? — zapytał zaskoczony Tauno. — Nils waży więcej od niej.

— Wiesz, że w wodzie nie ma to większego znaczenia — powiedziała Eyjan.

— A jeśli muszą umrzeć, na pewno woleliby, żeby stało się to właśnie tak.

Tauno nie wrócił już więcej do tej sprawy, a niebawem oboje o niej zapomnieli.

W pobliżu pojawił się jakiś kształt. Ukazał się im na krótką chwilę, kiedy koga zanurzała się w wodzie lewą burtą. Wyglądem przypominał dużą szarą fokę. Zastanowiło ich, dlaczego zwierzę to miało chęć im towarzyszyć. Później byli przekonani, że od samego początku wyczuli w nim coś dziwnego, choć —

ponieważ burza stępiła im wszystkie zmysły — nie mogli wtedy określić tego dokładniej.

Nagle „Herning” niemal stanął na krańcach pokładnicy. Wielka fala wspięła się na pokład, a na niej wjechała szara foka. Statek zakołysał się gwałtownie, po czym odzyskał równowagę. Potoki wody spłynęły lukami odpływowymi. Foka jednak pozostała na pokładzie. Uniosła się na przednich płetwach... jej ciało zaczęło szybko zmieniać kształt... i nagle... w tym miejscu znajdował się teraz skulony dziwnie mąż.

Nieznajomy wstał i zbliżył się do oszołomionego rodzeństwa. Był wysoki, wyższy o głowę od Tauna, lecz tak barczysty i potężnie umięśniony, że wydawał się krępy. Jego włosy i broda miały szarą barwę, podobnie jak włosy porastające jego nagie blade ciało. Przybysz cuchnął rybą. Twarz sprawiała odrażające wrażenie — niskie czoło, płaski nos, usta od ucha do ucha i pozbawiona podbródka ciężka szczęka. Lecz przysłoniętych długimi rzęsami oczu mogłaby mu pozazdrościć każda piękność: były duże, złocistobrązowe, pozbawione białek — oczy nieczłowiecze.

Tauno, który przed chwilą zacisnął dłoń na rękojeści noża, teraz powoli rozwarł dłoń i uniósł ją w górę.

— Witaj, jeżeli przybywasz jako przyjaciel — rzekł w języku Liri.

Nieznajomy odpowiedział głębokim, szczekliwym głosem, ale w mowie śmiertelników.

— Przybyłem tu, ponieważ z paplaniny delfinów dowiedziałem się, że jest wśród was niewiasta. Sądząc po zapachu, nie jesteście ludźmi, a z wyglądu —

prawdziwymi wodnikami. Coście za jedni?

Posługiwał się zrozumiałym dla dzieci wodnika językiem, podobnym do duńskiego. Norwegowie osiedlili się na szkockich wyspach w czasach Wikingów (większa część tych terenów nadal należała do królestwa Norwegii), a ich języka używano tam nadal obok mowy Gaelów.

— Potrzebujemy pomocy — odezwała się Eyjan. — Czy możesz nam jej udzielić?

Donośny głos nieznajomego przebił się przez huk nawałnicy.

— Mogę, jeżeli zechcę. Mnie nikt nigdy nie pomagał. Czy na podkładzie jest jeszcze ktoś?

— Tak — odparł Tauno, po czym podniósł pokrywę najbliższego luku i zawołał śpiących pod pokładem Nilsa i Ingeborgę.

Wygramolili się stamtąd w ciągu paru chwil. Na ich twarzach malowało się wyraźne zaniepokojenie. Kiedy zobaczyli przybysza, przystanęli, wzięli głęboki oddech i mimo woli splekli dłonie.

Fokołak spojrział na Ingeborgę i już nie odrywał od niej oczu. Podszedł

powoli ku niej. Nie drgnęła. Zbladła wszakże, a Nils zeszywniał, gdy włochate palce z podobnymi do pazurów paznokciami pogładziły jej policzek. Dostrzegli objawy pożądania.

A przecież przybysz zachowywał się łagodnie, dotknął tylko Ingeborgi, wargi drżały mu lekko z onieśmienia. Po chwili odwrócił się do dzieci wodnika i oświadczył:

— Tak, pomogę wam przez wzgląd na nią. Podziękujcie wszyscy tej damie.

Jakże mógłbym pozwolić, żeby utonęła?

Selkie miał na imię Hauau i mieszkał na skalistej wysepce zwanej Sule Skerry. Niewielu z jego współplemieńców pozostało przy życiu; być może był

ostatnim z rodu. (Wydawało się to wodnikom całkiem prawdopodobne, ponieważ nikt w Liri o nich nie słyszał). Z dawien dawna ludzie nienawidzili fokołaków, trzebili ich bezlitośnie. Hauau przypuszczał, że robili to dlatego, iż selkie opróżniali sieci z ryb, podobnie jak ich krewniacy, prawdziwe foki, ale z ludzką przebiegłością i zręcznością. Nie był tego pewien, ponieważ od dziecka nie spotkał żadnego pobratymca. Niejasno przypominał sobie matkę i jej piosenki.

Udało mu się uciec, kiedy ludzie przyплыли łodzią, odcięli jego matce odwrót i zabili ją. Wydawało mu się, że słyszał, jak wzywali Odyna, ale to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu.

Opowiedział o tym szybko, urywkowymi zdaniami, a dzieci wodnika w podobny sposób opisały mu swoje dzieje. Teraz chodziło przede wszystkim o to, żeby wyjść cało z niebezpieczeństwa. „Herning” nie mógł już dryfować, znajdowali się bowiem za blisko brzegu. W dodatku pękła jedna z want i trzeba ją było wymienić; należało też wzmocnić popękany maszt. Para przyniesionych spod pokładu belek, mocno przywiązanych, powinna wystarczyć...

Hauau okazał się niezwykle silny. Trzymał na ramionach Tauna i Nilsa, kiedy pracowali przy maszcie. Bez niego, wyczerpani do ostatnich granic, nie zdołaliby podnieść rei i mokrego żagla ani napiąć go dostatecznie mocno, by móc nadal kierować statkiem. Poza tym, gdyby fokołak nie pompował za trzech, woda zalałaby kadłub.

Jeszcze bardziej zdumiał ich jego żeglarski kunszt. Gdy zobaczył, jak wściekle biją fale o przybrzeżne skały, sam stanął przy sterze wytłumaczywszy uprzednio towarzyszom podróży, co oznacza każdy rozkaz, jaki im wyda, i przeciwiczywszy to z nimi. Poobijana, przeciekająca, ocieżała koga ożyła w jego rękach. O włos uniknęli katastrofy, ale udało im się wymknąć z pierwszej pułapki, później z drugiej i z trzeciej. Utrzymali się na wodzie, a nawet oddalili od brzegu.

I burza ucichła, jakby rozumiała, że ich nie dopadnie.

III

— Tak, zawiozę was do domu — burknął Hauau. — Przedtem jednak musimy uszczelnić tę starą balię. Inaczej nie przetrzyma ostatniego odcinka drogi.

Łyko niezbędne do tego celu leżało pod pokładem. W normalnej sytuacji wyciągnęliby statek na brzeg i bez trudu zrobiliby to, co należało uczynić. Było ich jednak za mało, zresztą i tak nie odważyliby się wyjść na ląd, wiedząc że swym wyglądem przyciągną natychmiast uwagę, a ci, co zobaczą złoto zamordują ich bez skrupułów, chcąc zawładnąć tak wspaniałym skarbem. Na szczęście wodnicy i selkie mogli zatykać liczne szczeliny pracując pod powierzchnią wody. Najlepiej byłoby wysmołować kadłub od zewnątrz.

Ponieważ jednak nie mogli tego uczynić, Ingeborga rozpałała ogień w piecu kuchennym i grzała na nim w kotle smołę dla Nilsa, który uszczelniał statek od wewnątrz. Po kilku dniach wykonali swe zadanie. Wprawdzie nadal od czasu do czasu musieli wypompowywać wodę, gdyż „Herning” miał

poważnie nadwerżony kadłub, jednakże Hauau uznał, że koga może płynąć dalej.

Był cichy poranek. Woda błyszczała jak zwierciadło, mewy przecinały błękitne niebo, pod którym unosiło się kilka chmur, białych jak ich skrzydła.

Robiło się coraz cieplej. Na horyzoncie z prawej burty majaczyły w oddali wybrzeża Irlandii.

Tauno i Eyjan wyciągnęli się nadzy na deskach pokładu. Ingeborga nie miała również nic na sobie, jej brudna suknia, przywiązana do liny, moczyła się w morzu, podobnie jak odzienie Nilsa, chłopiec jednak okręcił się ciasno płaszczem i nie chciał usiąść. Za każdym razem, gdy tylko musnął spojrzeniem niewieście kształty, płomień i śnieg goniły się wzajemnie na jego policzkach.

Hauau przycupnął naprzeciwko nich — za dnia jego ogromne ciało wyglądało dosyć groteskowo. Powiedział ochryplym głosem:

— Myślę, że nie powinniśmy płynąć dookoła Szkocji, a potem przez Morze Północne. Ten statek wymaga ciągłej opieki. Lepiej będzie, jeśli skierujemy się na Morze Irlandzkie, później zaś przez Kanał Angielski i wzdłuż brzegów Fryzji wrócimy do Danii. Płynąc tędy, w razie gdyby stało się to najgorsze, zdołamy wysadzić ludzi na brzeg.

— Czy będziesz mógł wskazywać nam drogę? — zapytał Tauno. — Nikt z nas nie zna tych stron.

— Tak. Potrafię też rozpoznać statki od których powinniśmy trzymać się jak najdalej, kiedy tylko dostrzeżemy ich maszty. Lepiej mieć do czynienia z piratami niż z kapitanami króla Anglii.

Eyjan drgnęła i spojrzała uważniej na fokołaka.

— Ocaliłeś nas przed katastrofą i obiecałeś, że odwieziesz nas bezpiecznie do Danii — powiedziała cicho. — Jakiej za to żądasz zapłaty?

Hauau nabrał powietrza do płuc, próbował przez chwilę coś z siebie wydusić, aż wreszcie ryknął głośno:

— Ingeborgi!

— Co? — krzyknęła zaskoczona niewiasta. Przyciągnęła kolana do piersi, objęła je lewą ręką, a prawą, drżąc cała, nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Selkie wyciągnął do niej ramiona. On także zadrzał.

— Podczas podróży — wyjąkał. — Tylko podczas podróży. Będę uważał, obiecuję. Och, od tak dawna...

Ingeborga przeniosła wzrok na Tauna. Twarz wodnika sposepniała.

— Zrobiłaś dla nas zbyt wiele, żebyśmy mogli cię do tego zmuszać —

powiedział.

Patrzyła na niego w milczeniu.

Hauau poruszył się wreszcie. Pochylił głowę.

— Tak, wiem, że nie jestem piękny — wymamrotał. — Zostałbym i tak, ale nie... nie mógłbym patrzeć jak... Żegnajcie, myślę, że zdołacie dopłynąć do domu beze mnie. Niech los wam sprzyja. — Ruszył w stronę nadburcia.

Ingeborga zerwała się na równe nogi.

— Nie, zaczekaj! — zawołała i podbiegła do niego. Hauau zatrzymał się, wytrzeszczywszy oczy. Ujęła w dłonie jego wielką pazurzastą rękę.

— Jest mi bardzo przykro — powiedziała drżącym głosem i łzy napłynęły jej do oczu. — Byłam bardzo zaskoczona, rozumiesz? Oczywiście, że...

Fokołak wybuchnął szczekliwym śmiechem i porwał ją w objęcia. Jęknęła z bólu. Wypuścił ją natychmiast z uścisku.

— Wybacz mi — poprosił. — Zapomniałem. Będę ostrożny, przyrzekam ci to.

Nils pobladł, zrobił krok do przodu i rzekł:

— Nie. Ingeborgo, nie rób tego. Dość już nagrzeszyliśmy... a ty...

Roześmiała się hałaśliwie.

— Przecież wiesz, kim jestem — odparowała. — Czy to dla mnie coś...

nowego?

Eyjan wstała, wzięła Nilsa za ramię i szepnęła mu coś do ucha. Chłopcu aż dech zaparło z wrażenia.

Tauno podniósł się wreszcie. Spojrzał Hauau prosto w oczy.

— Traktuj ją, tak jak należy — powiedział zaciskając palce na rękojeści noża.

* * *

W miarę jak lato dobiegało końca, noce stawały się coraz dłuższe i ciemniejsze, lecz ta była rozgwieżdżona i jasna jak dzień dla obdarzonych czarodziejską mocą oczu wodników i fokołaka. „Herning”, popychany lekką bryzą, płynął przez wody Kanału Angielskiego. Fale szumiały i bulgotały przy burtach, co jakiś czas słychać było trzepot skrajów żagla, szczęk bloku i skrzyp belek. Lecz te łagodne dźwięki ginęły niemal w panującej wokoło ciszy. Zmącił

ją dopiero Hauau ryknawszy gwałtownie na forpiku.

Później selkie stanął obok Ingeborgi i zapatrzył się przed siebie. Tauno trzymał ster, Eyjan siedziała w bocianim gnieździe, lecz dzieci wodnika jakby wcale nie zwracały uwagi na tamtych dwoje.

— Dziękuję ci, dziewczyno — powiedział fokołak.

— Już to raz zrobiłeś — odparła niewiasta, ruchem głowy wskazując pogrążoną w mroku przestrzeń pod pokładem dziobowym.

— Czy mogę podziękować raz jeszcze?

— Nie trzeba. Umowa jest umową.

Hauau nadal nie odrywał wzroku od morza. Zacisnął mocno ręce na krawędzi nadburcia.

— Więc nie lubisz mnie nawet odrobinę? — zapytał.

— Nie to miałam na myśli — zaprotestowała. Przesuwała swą dłoń cal po calu, aż spoczęła na jego dłoni. — Jesteś naszym wybawcą i naprawdę traktujesz mnie znacznie lepiej niż wielu mężów, których znałam. Ale...

przecież tak bardzo się różnimy od siebie, ja śmiertelna i ty... Cóż może naprawdę nas łączyć?

— Widziałem, jak patrzyłaś na Tauna — powiedział cicho.

— Dlaczego nie próbowałaś z Eyjan? — zapytała pośpiesznie Ingeborga. —

Ona jest piękna, a ja tylko taka sobie, należy też do tego samego świata, co ty, i myślę, że sprawiłoby to jej radość — co nie znaczy, iż żałuję tego, co było między nami, drogi Hauau.

— Przyzwyczaisz się do mojego zapachu — obiecał tonem pełnym gorzkości.

— Ale dlaczego chcesz właśnie mnie?

Milczał przez długą chwilę. W końcu spojrzał na nią i zaciskając pięści rzekł:

— Ponieważ jesteś prawdziwą niewiastą, nie pochodzisz z Krainy Czarów.

Podniosła na niego wzrok. Poczwała się teraz swobodniej.

— Moi współplemieńcy zabijali twoich — powiedziała takim tonem, jakby wyznawała grzechy podczas spowiedzi.

— To było przed setkami lat. Mieszkańcy lądu już o nas niemal całkiem zapomnieli, a zapomniawszy o nas zapomnieli i o dawnych urazach. Mieszkam daleko stąd, na wyspie Skule Skerry, wiatry, fale i mewy są moimi jedynymi rozmówcami, a skałoczepty i pąkle — jedynymi sąsiadami. Żyję w spokoju,

który zakłócają tylko sztormy i rekiny, i tak mija zima za zimą, lecz czasami trudno jest to znieść, rozumiesz?

— Nagie skały, puste morze, niebo bez Raju... Och, Hauau! — Ingeborga oparła głowę na jego piersi. Poglaskał ją niezdarnie.

— Ale dlaczego nie szukałeś gdzie indziej? — spytała wsłuchując się w gwałtowne bicie jego serca.

— Szukałem, kiedy byłem młodszy, i poznałem wiele dziwów. Jednak mieszkańcy Krainy Czarów, których wtedy spotkałem, trzymali się ode mnie z daleka. Widzieli, że jestem brzydki, a nie zajrzeli głębiej, bo dla nich nie liczy się to, co się kryje pod skórą.

Ingeborga podniosła głowę.

— To nieprawda. Nie wszyscy mieszkańcy Krainy Czarów są tacy. Tauno...

Tauno i Eyjan...

— Tak, zdaje mi się, że masz rację. To dobrze, że się troszczą o swoją siostrę.

Wszelako... w ludziach takich jak ty jest coś więcej... Nie potrafię nazwać tego odpowiednim słowem. Ciepło... sposób, w jaki kochacie... ponieważ wiecie, że musicie umrzeć i dlatego trzymacie się razem przez ten krótki czas, jaki wam przeznaczono, a może jest to iskra wieczności... może dusza? Nie wiem.

Wyczuwałem to czasami u niektórych mężów, a jeszcze częściej u niewiast...

jest jak ogień w zimną noc. Ty także go masz, Ingeborgo, tak jasny i ciepły...

przy takim nigdy jeszcze dotąd się nie grzałem. Mimo nieszczęść, które wciąż na ciebie spadają, możesz uważać się za szczęśliwą, skoro potrafisz aż tak kochać.

— Ja? Nierządnicą? — zapytała ze zdumieniem.

— O, nie, mylisz się, mój drogi. Cóż ty możesz wiedzieć o ludziach?

— Więcej, niż ci się wydaje — odparł z powagą. — Od czasu do czasu przychodziłem do waszego świata i nie zawsze mnie odtrącano. Bo chociaż jestem brzydki i cuchnę, to ceniono mnie jako silnego, sumiennego robotnika.

Jak inaczej mógłbym się nauczyć waszego języka czy sztuki żeglowania?

Miałem znajomych wśród mężów, niektóre niewiasty gościły mnie w swoich domach — a nieliczne

— bardzo nieliczne — obdarzyły mnie — czy możesz w to uwierzyć?—

miłością...

— Rozumiem je... wcale się nie dziwię — szepnęła. Jego twarz wykrzywił

grymas bólu.

— Żadna z nich nie wyszła za mnie. Czyż taki potwór jak ja mógł wziąć ślub w kościele? Dlatego te związki były nietrwałe. Dłużej przebywałem wśród mężów, to prawda: odbywaliśmy razem wiele podróży. Ale i tak w końcu zawsze musiałem ich opuścić, ponieważ oni się starzeli, a ja nie. Mijały dziesiątki lat, zanim ponownie zdobywałem się na odwagę, by szukać śmiertelników. A trwało to jeszcze dłużej, jeśli poprzednim razem zaznałem niewieścich pocałunków.

— Czy i ja muszę sprawić ci ból? — Ingeborga stanęła na palcach i pociągnęła jego głowę w dół, aż ich usta się spotkały.

— Będzie to tego warte, moja kochana — odparł. — Jakież sny utkam z chmur, jakie pieśni zaśpiewa o tobie wiatr! I przywracać mi to będzie każda spokojna, rozgwieżdżona noc, aż do dnia mojej śmierci.

— Ale będziesz taki samotny.

Próbował ją pocieszyć.

— To dobrze, ponieważ umrę z powodu niewiasty.

Cofnęła się gwałtownie.

— Co powiedziałaś?

— Och, nic. — Wskazał na rufę. — Czy widzisz, jak błyszczą koła Wielkiego Wozu?

— Nie, Hauau — powiedziała i zadrżała pod płaszczem, który narzuciła opuszczając forpik. — Mów dalej, proszę. — Urwała. Selkie zagryzł wargi. —

Będziemy... kochankami... na czas tej podróży. Widziałam ostatnio tak wiele niezwykłości, że brak mi odwagi, by o nich myśleć. Jeszcze jedna tajemnica, która może mnie dotyczyć...

Fokołak westchnął, pokręcił głową i rzekł:

— Nie, nie ciebie, Ingeborgo, nie lękaj się tego. Ja... sam, rozmyślając przez większą część życia nad tym, co najistotniejsze... uzyskałem w pewnym stopniu podwójny wzrok, poznałem moje przeznaczenie.

— I?

— Nadejdzie taki dzień, kiedy śmiertelna niewiasta urodzi mi syna, którego później zabiorę ze sobą, żeby nie spalono go na stosie jako demona. Poślubi ona męża, który nas obu zabije.

— Nie, nie, nie.

Selkie skrzyżował ramiona na piersi.

— Nie boję się śmierci. To prawda, że smutno mi z powodu dziecka. Ale stanie się to w czasach, gdy Kraina Czarów zabłyśnie po raz ostatni jak błękitny ogień, zanim zgaśnie na zawsze. Dlatego sądzę, że będzie to dla niego prawdziwym dobrodziejstwem; co do mnie, to połączę się z wodami Oceanu.

Wysoko ponad nimi płonęły srebrne gwiazdy. Hauau nie odważył się dotknąć jej ręką.

— Jestem bezpłodna — powiedziała przez łzy. Fokołak skinął głową i rzekł:

— Dobrze wiem, że nie staniesz się przyczyną mojej zguby. A twój los... —

Kłapnął zębami, po czym dodał: — Jesteś zmęczona tym, co przeżyłaś i wycierpiałaś. Chodźmy się przespać pod pokładem.

Świt był już blisko, lecz wciąż jeszcze panowała głęboka ciemność, kiedy klepsydra wskazała, że nadszedł czas na zmianę wachty. Załoga „Herninga” postanowiła, że zawsze dwaj mieszkańcy Krainy Czarów będą czuwać w nocy, ustalono też kolejność wacht. Tym razem Hauau stanął przy sterze, a Tauno wspiął się na górę.

Eyjan wskoczyła zręcznie do pomieszczenia pod pokładem. Wystarczyło jej światło gwiazd zagląających przez otwór luku; zresztą nawet gdyby pokrywa była zamknięta i tak odnalazłaby drogę za pomocą dotyku, węchu i właściwego wodnikom wyczucia kierunku.

Nils i Ingeborga spali na sąsiednich posłaniach; on wyciągnął się jak długi, ona leżała skulona jak dziecko, zasłaniając oczy ramieniem. Eyjan przykucnęła przy młodzieńcu i pogłaskała go po włosach.

— Wstawaj, leniuchu! — szepnęła mu cicho do ucha. Teraz nasza kolej.

— Och... och. — Nils obudził się nagle. Zanim jednak zdążył coś głośno powiedzieć, Eyjan zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Cicho — ostrzegła. — Nie budź tej biednej niewiasty. Chodź, zaprowadzę cię.

Wzięła go za rękę. Oszołomiony wyszedł za nią na pokład.

Na zachodzie wciąż jeszcze świeciły gwiazdy, ale na wschodzie wzeszedł już sierp księżycy, srebrząc niebo. Morze rozjarzyło się jeszcze bardziej, Eyjan zaś jaśniała w mroku, jakby gorzała w niej zimnym blaskiem czarodziejska lampa.

Wiatr ochłódł, zagrał na linach i wydał żagiel. „Herning” przechylił się nieco i zadrżał. Fale zaszumiały.

Nils zatrzymał się.

— Eyjan! — zawołał. — Jesteś zbyt piękna, twoja uroda pali mnie jak ogień.

— Cicho, cicho — powiedziała, rzuciwszy pośpiesznie spojrzenie ku szczytowi masztu. — Tędy, na forpik. — Pomknęła naprzód, a Nils powlókł się za nią.

Pod pokładem dziobowym nie było już tak ciemno: widział ją wyraźnie w półmroku, póki nie przytuliła się do niego i nie wciągnęła w wir pocałunku. W

uszach zagrzmiały mu trąby i bębny, przed oczami wybuchły jaskrawe płomienie. — Ściągnij z siebie te głupie szmaty!

— rozkazała niecierpliwym szeptem i sama zaczęła zdzierać zeń ubranie.

* * *

Leżeli odpoczywając przed następnym zbliżeniem.

— Kocham cię — powiedział wtuliwszy twarz w jej pachnące włosy. —

Kocham cię całą duszą.

— Cicho, nie mów nic — szepnęła. — Jesteś człowiekiem — tak, człowiekiem, mimo że bardzo młodym... i zostałeś ochrzczony.

— Nie dbam o to!

— Musisz! — Eyjan oparła się na łokciu, żeby spojrzeć Nilsowi w twarz.

Pogładziła go po piersi wolną ręką.

— Masz nieśmiertelną duszę i musisz jej strzec! Wprawdzie los uczynił nas towarzyszami podróży, ale nie stanę się przyczyną twojej zguby, drogi przyjacielu.

Oszołomiony nagłą rozpaczą, przywarł ustami do jej łona.

— Nigdy cię nie opuszczę! Nigdy! A ty... ty też mnie nie opuścisz, prawda?

Powiedz, że nie!

Uspokajała go pocałunkami i pieszczotami, aż wreszcie znowu zaczął słuchać tego, co mówiła.

— Nie będziemy się martwić o jutro, Nilsie. Po cóż psuć dzień dzisiejszy, który należy do nas. Nie mówmy już o miłości — zachichotała. — Raczej o prawdziwej rzetelnej żądzy. Czy wiesz, że jesteś bardzo podniecający?

— Tak... tak mi zależy na tobie... — wyjąkał.

— I mnie zależy na tobie... Będziemy robić razem mnóstwo różnych rzeczy

— pracować, rozmawiać, śpiewać, patrzeć na morze i niebo... jak bliscy towarzysze... —

Roześmiała się gardłowo. — Ale o tej porze mamy co innego do roboty i czuję, że.... och, jakie to cudowne...

Siedzący w bocianim gnieździe Tauno usłyszał odgłosy, które czynili.

Zacisnął usta i raz po raz uderzał pięścią w rozwartą dłoń.

Ładna pogoda utrzymała się. „Herning” płynął na południe szybciej, niż można się było tego spodziewać. Kiedy mijali statek kursujący między Anglią i Północną Irlandią, Hauau, ubrany jak człowiek, krzyknął po angielsku kilka słów, które on i Nils uznali za właściwe w tej sytuacji. „Herning” z całą pewnością nie przypominał okrętu wojennego ani też nie wyglądał na statek piracki, puszczone ich wolno. Raz musieli się zatrzymać i poczekać, aż zapadnie noc, żeby przemknąć się obok królewskiego okrętu, który Hauau obejrzał z bliska, przybrawszy postać foki. Mogliby bowiem zostać posądzeni o przemyt lub szpiegostwo i zatrzymani.

Pewnego pochmurnego wieczoru Tauno wrócił na statek z okazałym łososiem w garści. Wspiął się po drabinie

linowej, która zwieszała się ze śródokręcia, i rzucił rybę na pokład.

— Hej, hej! — zagrział selkie spod pokładu rufowego, gdzie stał przy sterze niemal niewidoczny w mroku. — Czy i mnie dasz kawałek?

Tauno skinął głową i zaniósł mu jego część. W słabym blasku latarni oświetlającej pływającą igłę kompasu fokołak wydawał się mniej podobny do człowieka niż w pełnym blasku dnia. Pochwycił surowe mięso i chciwie rozerwał je zębami. Rodzeństwo również nie jadło gotowanych ryb —

Ingeborga przyrządzała je tylko dla siebie i dla Nilsa. Mimo to grymas niesmaku pojawił się na obliczu Tauna, zanim zdążył zapanować nad sobą.

Hauau zauważył ów grymas.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nic — odrzekł Tauno, wzruszywszy ramionami.

— Nie, coś jest nie tak i myślę, że ma to związek ze mną. Wypluj to z siebie.

Nie możemy sobie pozwolić, żeby trawił nas gniew.

— Nie mam nic przeciwko tobie — powiedział ponuro wodnik. — Jeśli chcesz wiedzieć, co mi przeszkadza, powiem ci, że w Liri mieliśmy lepsze maniery przy jedzeniu.

Hauau przyglądał mu się przez chwilę, po czym odparł, starannie dobierając słowa:

— To nie tak. Chcesz ukryć to, co cię naprawdę gnębi. O co ci chodzi, chłopcze?

— O nic mi nie chodzi! — warknął Tauno po czym odwrócił się, żeby odejść.

— Stój! — zawołał selkie i Tauno zatrzymał się.

— Czy dręczysz się dlatego, bo nie masz dla siebie dziewczki, a Nils i ja mamy? — zapytał Hauau. — Ingeborga na pewno powita cię z radością, a ja nie będę ci zazdrościł rozkoszy.

— Czy wyobrażasz sobie, że ona... — Tauno urwał i tym razem odszedł naprawdę.

Mrok gęstniał. Niewyraźny kształt zsunął się po wancie i uderzył głucho o deski pokładu. Tauno podszedł bliżej. Nils musiał wyteńczyć wzrok, by go rozpoznać, ale syn wodnika bez trudu dostrzegł zmieszanie na twarzy chłopca.

— Co tam robiłeś? — zapytał ostro.

— Bo... bo, Eyjan jest w bocianim gnieździe — odparł drżącym głosem Nils.

— Gawędziliśmy sobie jakiś czas, aż wreszcie ostrzegła mnie, że powinienem zejść na dół, póki jeszcze widzę to, co jest wokół mnie.

Tauno skinął głową i rzekł:

— Tak, na pewno nie ominąłbyś żadnej okazji, żeby jej towarzyszyć, prawda?

Zapatrzył się gdzieś przed siebie. Nils chwycił go za przegub i powiedział

ślągalnym tonem:

— Tauno... panie... wysłuchaj mnie, proszę. Księżę Liri zawahał się.

— No więc? — zapytał po chwili. Nils przełknął ślinę i zaczął nieśmiało:

— Odsunąłeś się od nas. Ochłodziłeś w stosunku do mnie — chyba w stosunku do wszystkich, ale najbardziej wobec mnie. Dlaczego? Czy w jakiś sposób cię skrzywdziłem? Nie chciałbym tego zrobić za nic na świecie, Tauno.

— Dlaczego myślisz, że byłbyś w stanie wyrządzić mi jakąś krzywdę, szczurze lądowy?

— No, bo twoja siostra... twoja siostra i ja...

— Eeech! Ona jest wolna. Nie jestem głupcem, żeby ją osądzać.

Nils wyciągnął ręce w gęstym mroku.

— Ja ją kocham — wyznał.

— Jak możesz?! Pamiętaj, że ona i ja nie mamy duszy!

— To niemożliwe! Ona... ona jest cudowna, naprawdę cudowna. Chcę ją poślubić, chcę, żebyśmy byli mężem i żoną, jeśli nie wobec ludzi, to wobec Boga... być z nią zawsze razem, miłować ją aż do mojej śmierci. Tauno, byłbym dobrym małżonkiem, troszczyłbym się o nią

i o dzieci. Wiem, jak pomnożyć moją część złota... Czy porozmawiasz z nią, Tauno? Nie pozwala mi o tym mówić, ale czy zrobisz to przez wzgląd na mnie

...i na nią? Przecież można ją zbawić, nawet...

Umilkł, gdyż syn wodnika chwycił go nagle za ramiona i potrząsnął nim tak gwałtownie, że chłopiec zadzwonił zębami.

— Zamknij gębę! — warknął Tauno. — Ani słowa więcej albo zrobię z ciebie mokrą plamę! Baraszkuj z nią sobie, póki możesz. Bo dla niej to tylko igraszki i nic więcej, bawiła się tak już z wieloma mężami. Ciesz się, że ci na to pozwala, i nie irytuj mnie swoim skomleniem. Słyszysz, co mówię?

— Tak, wybacz mi, bardzo cię przepraszam — szlochał Nils. Kiedy Tauno wypuścił go wreszcie z uścisku, chłopiec osunął się na pokład.

Syn wodnika stał nad nim jeszcze przez chwilę, chociaż jego oczy zwrócone były ku górze i to tam właśnie czegoś szukały. Nic się nie poruszyło, tylko podmuch wiatru uniósł mu pukiel włosów. Tauno otworzył usta, by przemówić w języku Liri, ale natychmiast je zamknął, nie powiedziawszy nawet słowa.

Po namyśle podjął decyzję.

— Zostań na górze, Nils, póki ci nie powiem, że możesz zejść — rozkazał.

Potem szybko odnalazł luk. Nie zadał sobie nawet trudu, by zamknąć pokrywę, która stłumiłaby intymne odgłosy. Poszedł prosto do posłania Ingeborgi i obudził ją.

Drobny deszcz, który wiatr przyniósł znad Irlandii, uderzając w fale i żłobiąc w nich dołeczki szemrał głośniejsz niż poranna bryza. Chociaż było zimno i mokro, z każdym oddechem czuło się woń zielonych pól niedalekiej wyspy.

Ponieważ z punktu obserwacyjnego na szczycie masztu

nie dało się niczego zobaczyć, Tauno i Eyjan popłynęli na zwiady. Za nimi majaczyła niewyraźna sylwetka kogi. Po raz pierwszy od dłuższego czasu byli razem tylko we dwoje. Statek posuwał się naprzód dość powoli, nie musieli się śpieszyć, więc mogli ze sobą swobodnie porozmawiać.

— Byłeś okrutny wobec Nilsa — powiedziała Eyjan, Tauno z rozmachem uderzył ramieniem w wodę.

— Słyszałaś nas?

— Oczywiście.

— Co mu powiedziałaś?

— Że byłeś w złym nastroju i że nie powinien brać sobie tego do serca.

Martwił się bardzo. Pomów z nim życzliwie, Tauno. On cię uwielbia.

— A ciebie adoruje. Młody głupiec!

— No cóż, jestem jego pierwszą niewiastą, naprawdę pierwszą. Nie wiedziałaś o tym? — uśmiechnęła się Eyjan.

— Uczy się szybko i dobrze. Niechaj w swoim życiu — kiedy się rozstaniemy — da uciechę jeszcze wielu niewiastom.

Tauno spochmurniał.

— Mam nadzieję, że nie będzie myślał ciągle tylko o tobie, aż straci resztki rozumu. — Któż inny prócz niego i Ingeborgi może się zająć sprawą Irii? Ty i ja na pewno nie potrafimy udawać ludzi, a zwłaszcza poddanych króla Danii.

— To prawda, rozmawiałam o tym z Nilsem. — Ją również dręczył niepokój.

— Wie przynajmniej jedno: że powinien zachować ostrożność, jest bowiem zwykłym marynarzem szukającym drogi w labiryncie praw, które uniemożliwiają takim jak on jakąkolwiek odmianę losu.

— Spoważniała nagle. — Mam nadzieję, że mu się to uda. Jest bystry, posiada wiele zdolności, które może rozwinąć.

— Ściszyła głos. — Być może dlatego właśnie nie wyrzuci mnie z serca, choć powinien... W każdym razie Ingeborga wspomůže go radą, a przypuszczam, że ona zna dobrze ludzi — zakończyła weselszym tonem.

— Ona ma silny charakter — przytaknął Tauno.

Eyjan przekreśliła się w wodzie na bok, aby móc widzieć brata.

— Wydawało mi się, że jest dla ciebie kimś bliskim.

Tauno skinął głową.

— Tak, lubię ją.

— A ona ciebie... Słyszałam z bocianiego gniazda, jak radośnie powitała cię pod pokładem. Mówiła

cicho, ale mimo to nie straciłam nawet jednego słowa —

Eyjan skrzywiła się i urwała na chwilę. — Potem porozmawialiśmy sobie trochę. Takie niewieście pogaduszki. Jakby zupełnie nie licząc się z rozsądkiem zastanawiała się, czy nie moglibyśmy zamieszkać gdzieś w pobliżu niej — za złoto bez trudu kupiłaby kawałek wybrzeża — i nie oddalać się zbytnio w poszukiwaniu naszego ludu. Kiedy powiedziałam jej, że to niemożliwe, odwróciła wzrok. Później znów patrzyła mi w oczy i gawędziła beztrasko.

Obserwowałam jednak jej ramiona i dłonie — Eyjan westchnęła. — Jak widać, nie wychodzi to na dobre śmiertelnikom, gdy zadają się z mieszkańcami Krainy Czarów.

— Ani nam, gdy zadajemy się z nimi — odrzekł chrapliwie Tauno.

— To prawda. Biedna Ingeborga. Lecz czy moglibyśmy pozostać w Danii jako para ostatnich wodników? Jeżeli nie znajdziemy naszego ojca, będziemy musieli odnaleźć jakieś inne plemię i przyłączyć się do niego. Te poszukiwania po całym świecie będą sprawą wystarczająco trudną.

— Istotnie... trudną — powtórzył Tauno. Spojrzeli po sobie. Brat zbladł, a siostra się zaczerwieniła. Syn Agnety nagle dał nurka i wypłynął na powierzchnię dopiero po godzinie.

„Herning” okrążył Walię, minął białe skały Anglii i płynął teraz, wzdłuż brzegu Niderlandów, w stronę ojczyzny.

IV

Statek ludu Lirii przebył ponad połowę drogi do wybrzeży Dalmacji, kiedy wysledzili go łowcy niewolników.

Początkowo nikt, nawet Wanimen, nie przypuszczał, że może im — zagrażać jakieś niebezpieczeństwo. Podczas podróży do Słupów Herkulesa widzieli wiele różnych korabiów, była to bowiem licznie uczęszczana trasa. Nikt jednak ich nie zaczepiał, ponieważ król Liri starał się trzymać holk z dala od brzegu. Rozkazał

też, żeby wszyscy na pokładzie nosili w ciągu dnia, wydobytą z marynarskich kufereków ludzką odzież, a płynącym wplaw pozwolił wynurzać się dopiero po zmroku. Pochodzący z północy statek, najwyraźniej uszkodzony przez burzę, budził ciekawość i czasami — tak się wydawało Wanimenowi — chęć niesienia pomocy. Za pomocą wyraźnych gestów dawał do zrozumienia kierującym się w ich stronę żeglarzom, że powinni zawrócić na swój właściwy kurs, i wołał po łacinie, iż niczego nie potrzebują, bo zmierzają w stronę najbliższego portu. I to skutkowało, choć król nie był pewien, czy dlatego, że przemawiał językiem zbliżonym do gwary żeglarzy, czy też głównie dlatego, że na kapitanach napotykanym statków ta obdarta i dziwnie wyglądająca załoga wywierała nie najlepsze wrażenie. Obecność kobiet i dzieci na pokładzie świadczyła jednak o tym, że nie byli piratami, i zapewne dlatego nie zbliżył się do nich żaden okręt wojenny.

Gdyby się tak stało, musieliby opuścić statek, a Wanimen nie chciał tego robić bez koniecznej potrzeby. Poważnie nadwerężony, powolny, ociężały i wymagający nieustannej pracy przy pompach

holk pozostawał nadal dla wodników jedynym i w dodatku dobrze zamaskowanym schronieniem na wąskim, podzielonym pomiędzy chrześcijan i muzułmanów morzu, w którym nie pozostała już ani jedna baśniowa istota. Płynęli więc wciąż naprzód, dniem i nocą, nocą i dniem. Kiedy wiatr cichł, słońce kryło się za horyzontem, a w pobliżu nie było widać ludzi, król nakazywał swemu ludowi holować korab.

Dzięki temu ich holk płynął znacznie szybciej, niż gdyby miał choćby najlepszą, ale ludzką załogę. Minęło jednak wiele tygodni, zanim wpłynęli na wody Adriatyku. Gdyby wodnicy nie mogli opuszczać statku, polować, baraszkować i odpoczywać w morskich odmętach, pomarliby zapewne z rozpaczy.

Teraz musieli płynąć jeszcze ostrożniej i trzymać się blisko brzegu, by w razie potrzeby zwiadowcy mogli go dokładnie zbadać. Taka marszruta zwiększała prawdopodobieństwo, że zaczepi ich patrol władcy, do którego należał ląd. A jednak zrobiło się im lżej na sercu i zaczęli głośno śpiewać, bo była to piękna kraina, górzysta, pokryta lasami, bogata w ryby. Wanimen zamierzał żeglować w ten sposób tak długo, jak to będzie możliwe, dopóki nie znajdą odpowiedniego miejsca na nowe Liri: w każdym razie gdyby trzeba było uciekać ze statku nie powinno to oznaczać katastrofy.

Tak wtedy uważał.

Mieszkańcy Krainy Czarów istotnie nie opuścili jeszcze tego wybrzeża i wznoszących się za nim gór. Pewnego dnia Wanimen popłynął ku brzegowi, a dotarwszy doń ruszył w głąb nieznannej krainy. Po bolesnej pustce mijanych poprzednio wód i lądów, tutaj wyczuł natychmiast magię — pulsowała mu w żyłach; kilkakrotnie dostrzegł też na moment śmiałe lub niebezpieczne istoty nie będące ludźmi. Wydały mu się dziwne. Te, które nie uciekały na jego widok, stanowiły dlań niejaki zagrożenie, więc się oddalił. Łączyło je z nim jednak pokrewieństwo — szczególna więź, której nigdy nie było (teraz już o tym wiedział) pomiędzy nim i Agnetą.

Egzorcyzmy zamknęły im dostęp do niektórych miejsc. Wanimen zbadał te tereny posługując się czarami i dowiedział się, że stało się to niedawno. Wśród ludzi pojawiła się nowa wiara, a raczej sekta — ponieważ wszędzie dostrzegał

tu Krzyż taki jak w innych krajach — gardząca niefrasobliwym życiem wcześniejszych chrześcijan. Jeszcze częściej napotykał liczne uprawne pola albo kwitnące miasta, których sama obecność musiałaby wypłoszyć mieszkańców Krainy Czarów. No cóż, delfiny mówiły mu, że musi szukać dalej na północy.

Popłynęli więc w tym kierunku. Napotykali teraz liczne wyspy, nie obciążone klątwą chrześcijańskich kapłanów. Ta nowa sekta, nienawidząca wszystkiego, co dawało życiu radość — a przecież to właśnie radość, choć niebezpieczną dla śmiertelnej duszy, przynosiły plemiona Krainy Czarów zaprzyjaźnionym z nimi ludzom — owa sekta nie dotarła jeszcze tak daleko. Żywił nadzieję, że gdzieś w tych stronach odnajdą miejsce, o jakim marzył.

Oby tak się stało, myślał z goryczą. Kadłub holku rozpadał się. Pompy już nie radziły sobie z wodą. Jego statek z każdym dniem coraz głębiej pogrążał się w wodzie, stawał się też coraz bardziej wywrotny i ociężały i na pewno wkrótce zatonie. A wówczas jego plemieniu znacznie trudniej będzie

szukać nowej ojczyzny...

Tak się rzeczy miały, gdy znaleźli ich łowcy niewolników.

Był to jeden z tych dni, w jakie rybacy nie opuszczają domów, a kupcy portów. Ołowiane chmury przesłoniły niebo. Z zachodu dał potężniejszy wicher, który był przeraźliwie, podnosił wielkie fale i chłostał deszczem. Wani—men starał się odplynąć statkiem dalej od brzegu, ale niebawem przekonał się, że jest to niemożliwe. Z przodu, w odległości paru mil, dostrzegł dość dużą wyspę położoną blisko lądu. Wypatrzył tam cieśninę, w której mogliby znaleźć schronienie. Zauważył co prawda również dachy ludzkich domostw, ale nie było ich wiele, a poza tym nic nie mógł na to poradzić.

Stanął na pokładzie rufowym, skąd dobrze widział statek i morze, mógł też wydawać rozkazy załodze, która nieco się podszkoliła w żeglarskim rzemiośle.

Nadzy mężczyźni biegali po pokładzie wykonując polecenia albo też czekali na nie w napięciu. Niewiasty i dzieci król posłał pod pokład, żeby nie przeszkadzały. Kilkoro z nich dołączyło do płynących wpływów współplemieńców, lecz większość matek pozostała na statku obawiając się, że prądy i wzburzone fale mogą porwać ich dzieci i rozproszyć je wśród skał i nieznanych mielizn.

Kiedy wodnicy przygotowywali się do walki z nawałnicą, pojawił się na horyzoncie inny statek. Smukła, czerwono—czarna galera ze zwiniętym żaglem sunęła na wiosłach jak pająk. Na szczycie masztu poprzez zasłonę z pyłu wodnego połyskiwał złotem skrzydlaty lew. Wanimen uznał, że ma przed sobą zdążający do ojczyzny wenecki korab. Zdziwiło go to trochę, ponieważ galera nie wyglądała na statek handlowy — gdyby tak było, płynęłaby w konwoju — a wydawała się zbyt duża jak na okręt wojenny.

Przerwał te rozważania i zajął się ratowaniem własnego żaglowca. W obecnej sytuacji wydawanie odpowiednich rozkazów sternikowi i majtkom nie było sprawą łatwą, wymagało, oprócz wrodzonego wyczucia żywiołów, doświadczenia, bystrości i dużej koncentracji. Dlatego też przez następną godzinę niewiele uwagi poświęcał obcemu statkowi... aż wreszcie Mejwa, która przedtem pełniła wachtę na dziobie, przedarła się przez wicher i stanęła tuż obok niego. Pociągnęła króla za łokieć, wskazała galerę i powiedziała, przekrzykując huk wiatru:

— Spójrz tam, proszę. Zawracają i kierują się w naszą stronę.

Wanimen spojrział w tamtym kierunku i przekonał się, że miała rację.

— I to teraz, kiedy nie możemy ukryć naszej prawdziwej natury! — zawołał.

Po chwili milczenia, zebrał się w sobie, żeby stawić czoła czemuś więcej niż kołysanie korabia, rzekł:

— Gdybyśmy się pośpiesznie ubrali, wzbudziłoby to jeszcze większe zdziwienie. Pozostaliśmy nadzy. Może pomyślą, że zdjęliśmy odzienie, żeby nie przeszkadzało nam w pracy. Pamiętasz przecież, że sami widzieliśmy nagich żeglarzy... wtedy, gdy opuściliśmy Ocean i płynęliśmy przez cieśninę.

Najprawdopodobniej kapitan tego statku chce nas zapytać, kim jesteśmy. Na pewno nie zbliży się na

tyle, aby zdołał zauważyć, że nie jesteśmy ludźmi — to zbyt niebezpieczne w taką pogodę — gdy włosy są mokre, trudno poznać, że są niebieskie albo zielone... Powiedz majtkom, żeby uważali na to, jak się zachowują.

Gdy po chwili Mejwa wróciła, galera sunęła pod wiatr, a Wanimen krzywił się z odrazą.

— Faj! — mruknął. — Czujesz to? Ta galera śmierdzi brudem, potem i nieszczęściem. Co za diabelstwo wiezie?

Mejwa zmrużyła oczy.

— Widzę pewną liczbę uzbrojonych mężów, odzianych w kolczugi —

odparła. — Ale kim są ludzie skuleni na śródkręciu, ubrani w łachmany?

Wyjaśniło się to szybko, kiedy zmałała odległość między statkami. Mężowie, niewiasty i dzieci o ciemnej skórze i grubych rysach twarzy mieli ręce i nogi okute w kajdany. Stali, siedzieli, trzęśli się z zimna, szukając pociechy we wzajemnej bliskości, nadzorowani przez jasnoskórych strażników stojących obok z pikami w dłoniach. Wanimen zaniepokoił się.

— Myślę, że wiem — rzekł do Mejwy. — To niewolnicy.

— Co takiego? — Mejwa nigdy dotąd nie słyszała tego ludzkiego słowa.

— Niewolnicy. Ludzie więci do niewoli, sprzedawani, kupowani i zmuszani do ciężkiej pracy jak zwierzęta, które ciągną pług i wóz. Słyszałem o takich praktykach od śmiertelników, z którymi rozmawiałem. Tamten statek na pewno wraca z wyprawy na południe. — Splunął w stronę zawietrzną, choć miał ochotę zrobić to w przeciwnym kierunku.

Mejwa drgnęła i zapytała:

— To prawda?

— Tak.

— I Stwórca Gwiazd mimo to sprzyja temu rodzajowi bardziej niż komukolwiek i cemukolwiek w świecie?!

— Ja również tego nie rozumiem... Aha, wołają do nas.

Do żadnej prawdziwej rozmowy dojść nie mogło z uwagi na barierę wiatru i języka. Szczupły, gładko ogolony mąż w pancerzu i ozdobionym barwnym pióropuszem hełmie długo wpatrywał się w wodników, aż Wanimenowi ciarki zaczęły chodzić po plecach. Wreszcie galera oddaliła się i król Liri odetchnął z ulgą.

Teraz mieli przed sobą otoczoną zdradliwymi falami wyspę. Wanimen skupił

całą uwagę na dowodzeniu, chcąc wprowadzić statek do bezpiecznej cieśniny.

„Ster na prawo! Podnieść reję! Zwinąć żagle z prawej!” Nagle belki zadrżały gwałtownie — czyżby kil o coś zawadził? — i statek znieruchomiał.

Niewiarygodne, ale holk się zatrzymał.

Wanimen rozejrzał się wokoło. Znajdowali się w wąskim, jakby wyrąbanym toporem przesmyku. Brzegi wznosiły się z obu stron jak potężne ściany. Burza szalała wściekle, ale do wnętrza cieśniny docierały tylko rzadkie krople deszczu; nawet powietrze wydawało się tu mniej wilgotne niż na zewnątrz. Przy samym brzegu ciągnął się wąski pas plaży, dalej ląd porastała puszcza. Drzewa i nierówności terenu zasłaniały w połowie grupkę domów na wyspie. W zasięgu wzroku nie było widać ani ludzi, ani psów. Król Liri nie dostrzegł też głębiny, której oczekiwał i na którą liczył.

Skupił więc swe zmysły wodnika na samej wodzie i odkrył, że była mniej słona, niż ta na otwartym morzu. Nieco dalej na północ musiała do Adriatyku wpadać jakaś rzeka. W jej ujściu znajdował się z pewnością jakiś, dość duży, port: świadczyły o tym pływające po wodzie śmieci i kulki smoły. To tam zawijały ludzkie statki. Ukształtowanie terenu powodowało, że wodnicy nie mogli dojrzeć portu, a ludzie w porcie — wodników.

Wanimen wyczuł, że burza na pewno ścichnie przed nocą. Wtedy rozpoczną znowu poszukiwania. A na razie — król oparł się o reling rufowy — na razie było spokojnie. Zasnąć. Senność zalała go jak potężna fala.

Mejwa krzyknęła przeraźliwie.

Wanimen ocknął się. Spoza klifu wychynęła spotkana wcześniej galera. Jej wiosła wzburzyły morze niby drugi sztorm. Wenecjanie zaatakowali kogę, zanim ukryci pod pokładem wodnicy wydostali się przez luki. Ich król zdążył

sobie przypomnieć, że dowodził statkiem, na którym przeklął go zamordowany przez niego człowiek.

* * *

Bosaki wbiły się w drewno. Z hukiem opadł mostek abordażowy. Zaroiło się na nim od odzianych w kolczugi i uzbrojonych po zęby Wenecjan. Łowcy niewolników zapędzili swój towar do ładowni i ruszyli do boju, po kolejną zdobycz.

Kiedy nagle zauważyli odmienność nowych ofiar — pletwiaste stopy, niesamowity kolor włosów i dziwne rysy twarzy — kilku majtków cofnęło się.

Krzyknęli, przeżegnali się, przez chwilę jakby chcieli rzucić się do ucieczki.

Twardsi duchem wydali głośny ryk i wzniesli miecze w górę, wzywając innych do ataku. Ich dowódca zerwał z szyi krucyfiks i uniósł wysoko obok swego brzeszczotu. Dodało to odwagi

bojaźliwym. Napadnięci byli nadzy, prawie żaden nie miał broni, większość stanowiły niewiasty i dzieci.

Posłuszni rozkazom majtkowie stanęli w szeregu i ruszyli do przodu, by otoczyć poddanych Wanimena na rufie. Miecze, piki, hełmy, kolczugi — sama siła ramion nie mogła im sprostać. Poza tym wodnicy nie znali w ogóle sztuki wojennej. Ci, co znajdowali się na pokładzie, cofnęli się z przerażeniem, ci zaś, którzy tam jeszcze nie wyszli, powrócili do ładowni.

Z kolei ci, co płynęli wplaw, wynurzyli się na powierzchnię morza i skupili przy statku.

— Nie! — krzyknął król, ujrawszy, że zamierzają się wspiąć po drabince sznurowej. — To pewna śmierć lub coś gorszego od niej!

Łatwo byłoby przyłączyć się do nich i uciec. Zobaczył, że niektórzy z jego współplemieńców skoczyli już do wody. Ale, przemknęło mu przez myśl, co z uwięzionymi pod pokładem? Wrogowie już otoczyli luki.

Wanimen wiedział, że wybierze śmierć, zanim zakują go w kajdany i pozna targ niewolników, kurz i końskie odchody, chłostę i tęsknotę za wolnością. A może wystawią go na pokaz... Widział kiedyś na brzegu niedźwiedzia: ropa sączyła się z rany wokół kółka w nosie tańczącego na końcu łańcucha zwierzęcia, podczas gdy widzowie śmiali się i klaskali... Czyż jego lud nie miał

prawa do takiego samego wyboru?

W dodatku powinien zrobić wszystko, co było w jego mocy, by ocalić ukryte pod pokładem wodnice; od tego zależał los ludu Liri: w wodzie przebywało zbyt mało niewiast, żeby zapewnić plemieniu przetrwanie.

Poza tym był ich królem.

— Naprzód! — ryknął.

Deski pokładu zadudniły pod jego nogami. Jego trójzęb spoczywał w kajucie, ale miał przecież nadal silne mięśnie. Ktoś skierował pikę w jego stronę.

Wanimen chwycił drzewce, wyrwał je z ręki napastnika, odwrócił broń i tępym końcem roztrzaskał tamtemu czaszkę, aż trysnął mózg. Waląc zdobytą piką jak maczugą, dźgając, kopiąc, depcząc, wyjąc, zagłębił się w tłum wrogów. Jakiś człowiek stanął za nim i podniósł topór, by rozłupać mu plecy. Podbiegła Mejwa z nożem w dłoni, nagłym ruchem uniosła brodę wroga i poderżnęła mu gardło.

Pełniący przedtem rolę marynarzy wodnicy dołączyli do tej dwójki, przeciwstawiając nieludzkie siły i witalność ostrej stali. Oczyszczili przestrzeń wokół jednego z luków. Wanimen zawołał wodnice. Wybiegły razem z dziećmi i wskoczyły do morza. To dla nich niewielki oddziałek odpierał ataki ludzi.

Kusznicy na kasztelu galery podnieśli broń do strzału.

Wodnicy mogliby wygrać tę bitwę — gdyby wojna nie była obca ich tradycji.

Nie umieli jednak ani walczyć razem, ani mordować ludzi, których nigdy przedtem nie widzieli. Wanimen nie powinien był wydawać płynącym wprawdzie rozkazu, by pozostali w wodzie. Zrozumiał to za późno, gdy zewsząd otoczyły go żelazne ostrza, i wezwał ich na pomoc; nie usłyszeli go w bitewnym zgiełku i w oszołomieniu krążyli po prostu wokół obu statków. Kilku zostało trafionych strzałami z kuszy, kiedy zauważyli ich weneccy łucznicy.

Dwaj czy trzech wodnicy walczący na statku zginęli w taki sam sposób.

Wenecjanie przegrupowali się, ruszyli do kontrataku. Rozpoczęła się walka wręcz. Pokład spłynął krwią. Większość zabitych stanowiły niewiasty i dzieci, ale piraci wycięli też w pień wszystkich wodnych mężów, jacy jeszcze pozostali na pokładzie kogi — z wyjątkiem ich króla.

Wanimen czuł niejasno, że wrogie ostrza dziurawią i kaleczą jego ciało.

Jakimś cudem — Mejwa znalazła się przy nim, walcząc jak rozwścieczona kotka — przebili się do burty i skoczyli do morza.

Słona woda wzięła w objęcia króla Liri tak, jak niegdyś czyniła to jego matka.

Tłumnie otoczyli go przyjaciele. Pozostawiali za sobą tylko zabitych, ocalił ich przed niewolą, spełnił swój obowiązek i mógł teraz odpocząć...

Nie. Krew lała się z niego strumieniami, ciemna i gorzka. Odniósł ciężkie rany; musiał wyjść na brzeg, żeby je odpowiednio opatrzyć, jeśli nie miał

powiększyć liczby zabitych. Inni wodnicy znajdowali się w podobnym stanie, widział to wyraźnie. Wrogowie poranili wszystkie niewiasty i dzieci.

— Chodźcie — powiedział im — a może i nie powiedział.

Dotarli do lądu, kaszląc oczyścili płuca z wody i ledwo trzymając się na nogach, niekiedy wręcz pełzając, ruszyli w głąb brzegu.

Wenecjanie byli również z pewnością wstrząśnięci niezwykłym spotkaniem.

Przez godzinę lub dwie nie schodzili z rozpadającej się kogi. Tymczasem na ich oczach uciekinierzy opatrywali rannych najlepiej jak umieli — przykładając do ran mech i pajęczyny, które ciasno przewiązywali plecionką z trawy.

I jeszcze raz brak tradycji wojennej okazał się zgubny dla wodników. Po opatrzeniu ran powinni byli oddalić się jak najszybciej, pozostawiwszy najciężej rannych swemu

losowi. Wanimen potrafiłby zmusić ich, by tak uczynili, on jednak leżał

omdlały i nikt nie mógł go zastąpić. Pozostali wygnańcy z Liri przywarli przerażeni do ziemi i

przewodzący chaotyczny spór, nie mogąc uzgodnić między sobą, co teraz należałoby uczynić.

Łowcy niewolników obserwowali wodników i doszli do wniosku, że chociaż te istoty wyglądały niesamowicie, można je schwytać i sprzedać znacznie drożej niż Saracenów czy Czerkiesów. Kapitan galery był odważnym człowiekiem.

Podjął decyzję i wydał rozkazy.

Zachowując konieczną ostrożność, Wenecjanie powiosłowali w stronę lądu.

Przerażeni wodnicy rozbiegli się na wszystkie strony, usiłując dotrzeć do cieśniny. Chmura strzał wypuszczonych z kuszy zmusiła ich do powrotu, kilku poniosło śmierć. Cała grupa mogłaby przedrzeć się do morza, gdyby poprowadził ją energiczny przywódca, ale Wanimen dopiero powoli powracał

do przytomności. Było rzeczą pewną, że nie zdoła przepłynąć nawet kilkudziesięciu jardów. Mejwa objęła króla ramieniem i poprowadziła go w głąb lądu, licząc na to, że może uda im się znaleźć schronienie. Nie widząc lepszego wyjścia, reszta plemienia podreptała za nimi. Postąpili dokładnie tak, jak tego oczekiwał wenecki kapitan. Wiedział bowiem, że jeśli te dziwne istoty rozproszą się po lesie, wiele z nich zdoła umknąć, ale wiele też wpadnie w jego ręce. Złote dukaty zatańczyły mu przed oczami.

Wenecjanie zarzucili kotwicę i opuścili mostek abordażowy. Majtkowie, którzy po nim zbiegli, zanurzyli się tylko po pas w wodzie i szybko wydostali się na brzeg. Dziwne istoty znikły między drzewami i wśród zarośli. Myśliwi pobiegli za nimi.

Z pewnością zdołaliby schwytać wielu wodników, a potem sprzedaliby ich do młynów, cyrków i szczególnego rodzaju zamtułów, a może i jako łowców ryb służących swym panom w wodzie, tak jak sokoły w powietrzu. Zabrakło im jednak szczęścia, zresztą, prawdę mówiąc, popełnili też pewien błąd w ogólnej ocenie sytuacji, a może wszystko potoczyło się po prostu zgodnie z wolą Nieba.

Mieszkańcy wyspy obserwowali całą scenę. To, co zobaczyli, bardzo ich zaniepokoiło, ponieważ aż za dobrze pamiętali napady piratów i nieszczęścia czasu wojny. Goniec z wieścią pobiegł ku brzegowi morza, stamtąd popłynął

łodzią do strzegącej zatoki stolicy bana, a stamtąd konno dotarł do jego garnizonu w Szibeniku. Okręt wojenny wypłynął z portu, a oddział piechoty pośpiesznie wyruszył naprzeciw nieproszonym gościom.

Kiedy kapitan galery dostrzegł w oddali błysk oręża, zrozumiał, że przeholował. Nie miał prawa przebywać na wodach terytorialnych królestwa Chorwacji. A ponieważ między Chorwacją a Wenecją panował teraz pokój, łowca niewolników nigdy by się nie odważył zaatakować królewskiego okrętu.

Należało oddalić się stąd jak najszybciej i liczyć na to, że poselstwo Wenecji kategorycznie zaprzeczy wszelkim pogłoskom, iż jakiś Wenecjanin pozwolił

sobie naruszyć prawo.

Głos trąbki wezwał weneckich marynarzy do odwrotu. A Chorwaci ze swej strony nie spieszyli się nadmiernie z interwencją, kiedy stało się jasne, że obcy statek nie zamierza podejmować walki. Pozwolili mu odpłynąć. Chorwaccy oficerowie pragnęli się dowiedzieć, co zwabił tutaj Wenecjan. Wysłali więc żołnierzy na poszukiwania.

Wanimen dowiedział się o tym wszystkim znacznie później, głównie od ojca Tomisława, który z kolei wydedukował większą część tej historii z zasłyszanych opowieści. W czasie gdy rozgrywały się te wydarzenia, król Lirii, półprzytomny z bólu, jaki mu sprawiały poniesione rany, słyszał tylko głośnie wrzawę.

Spłoszeni nią jego współplemieńcy uciekli jeszcze dalej w głąb lądu.

* * *

Wygnańcy potrzebowali przede wszystkim wody i coraz dotkliwiej odczuwali jej brak. Jednakże nie odważyli się powrócić już teraz do morza, gdyż uzbrojeni ludzie krążyli wzdłuż wybrzeża i szli ich tropem. Wodnicy wyczuli w oddali nie tylko rzekę, lecz także położone nad nią miasto. Musieli ominąć je z daleka.

Ścigający ich żołnierze, zniechęceni niepowodzeniem i perspektywą zmudnych, długich poszukiwań, rychło zrezygnowali z pogoni. Ale dla wodników stanowiło to niewielką pociechę. Prowadzeni przez Mejwę —

ponieważ ich król potrafił tylko z trudem iść, chwiejąc się na nogach, i to pod warunkiem, że miał się o kogo oprzeć — musieli przedzierać się przez leśną gęstwinę, pokonywać coraz bardziej strome wzgórza, przewycięzać pragnienie, głód i strach, podtrzymywać i nieść rannych, ślaniających się z wyczerpania, ponaglani płaczem dzieci. Ostre kamienie, gałęzie i ciernie kaleczyły im delikatne pletwy, gałęzie chwyciły za włosy i ramiona niczym szpony, a w górze wrony naigrawały się z ich niedoli. Kiedy wiatr ucichł, zrobiło się ciepło i cicho, lecz przybyszów z innego żywiołu zaczął dręczyć nieznośny — w ich odczuciu

— upał i wydało się im, że ogłuchli. Nie było tu przyływów ani prądów morskich, fal czy świeżej bryzy, ryb, które mogliby schwytać, ani głębin, w których mogliby szukać schronienia: znaleźli się w nie kończącym się labiryncie i wszystko dokoła wyglądało wciąż tak samo. Z trudem odnajdowali drogę, by iść dalej w głąb lądu.

Chociaż wygnańcom z Liri wydawało się, że ten las nie ma końca, w rzeczywistości nie był zbyt wielki, toteż o zmierzchu dotarli wreszcie na jego kraniec. Ucieszyli się, gdyż o tej porze mogli niepostrzeżenie wędrować przez pola uprawne w poszukiwaniu strumienia. Wanimen wymamrotał, że powinni trzymać się ścieżek — choć kaleczyły im już krwawiące stopy — żeby nie pozostawiać tak wyraźnych śladów jak na polach. W każdym razie w poświęcie przyjaznych gwiazd szło im się łatwiej niż dotychczas. Nie zauważyli w pobliżu żadnych zabudowań. Teren wznosił się coraz bardziej. O północy wyczuli, że gdzieś niedaleko znajduje się nie tylko rzeka, lecz także spore jezioro. Ogarnęła ich rozpacz, gdy ze szczytu wzgórza ujrzeli czarną ścianę drzew. Gęsty bór

odgradzał ich od wody. Byli już bardzo zmęczeni i tylko nieliczni zdołaliby przedrzeć się przez chaszczę: na pewno zresztą nie w nocy, kiedy w pobliżu mogły krążyć nieprzyjazne istoty. Obdarzony najlepszym węchem Unnutar oznajmił, że wyczuł jakieś niedobre moce w samym jeziorze i że kryje się tam coś wielkiego.

— Musimy jak najprędzej zaspokoić pragnienie albo umrzemy — jęknęła Rinna.

— Cicho bądź! — warknęła jakaś matka trzymająca w ramionach omdlałe dziecko.

— Powinniśmy też coś zjeść — dodała Mejwa. Chociaż wodnicy potrzebowali na lądzie mniej pożywienia niż w wodzie, nigdy jeszcze nie byli głodni przez tyle godzin. Wielu chwiało się na nogach z osłabienia, a dzieci wyplakiwały oczy prosząc o odrobinę strawy.

Wanimen starał się odzyskać jasność myśli.

— Zagroda — wymamrotał. — Studnia. Spizarnia, spichlerz, krowy, świnie.

My... przewyższamy liczebnie... wypłoszymy właścicieli... zaspokoimy głód i pragnienie i szybko wrócimy na wybrzeże...

— Tak! — zadzwieczał w mroku głos Mej wy. — Pomyślcie tylko: nie widzieliśmy domów, więc te pola muszą należeć do dużego, zasobnego gospodarstwa. Na pewno jest niedaleko stąd. — I powiodła ich brzegiem lasu.

Po kilku godzinach wędrowcy wyczuli w pobliżu wodę, ludzi i bydło.

Okrążyli jezioro i dotarli do rzeki, która do niego wpadała. Teraz zaczęli biec co sił w nogach. Na wschodzie przedświt zaczął różnić niebo.

I znów niewiedza zgubiła wodników. Tak mało wiedzieli o ludziach — i to tylko o tych z niewielkiego zakątka na Północy. Uznali za rzecz całkowicie pewną, że pola są skupione wokół jednego dworu lub najwyżej wokół

niewielkiej wioski — nie pomyśleli nawet o tym, że może to być zamieszкана przez pańszczyźnianych chłopów duża wieś, strzeżona przez zamek pełen zbrojnych mężów. Niektórzy spostrzegli co prawda zagrożenie, lecz nie zdążyli ostrzec ogarniętych nagłym szaleństwem współplemieńców. Nie bacząc na nic, niemal wszyscy wygnańcy z Liri popędzili ku rzece i rzucili się do wody jak lemingi.

Psy na zamku nie podniosły wrzawy, ale okazały wyraźny strach. Ziewający z nudów żołnierze, którym właśnie kończyła się nocna warta, ożywili się i przywołali gramolących się dopiero spod koców towarzyszy. Mimo tak wczesnej pory można było dostrzec gromadę dziwnych istot, które rzuciły się do rzeki — nagich i w większości nie uzbrojonych. Iwan Subitij, żupan Skradinu, zawsze trzymał swoją drużynę w stałym pogotowiu. Nie minęło więcej niż kilka minut, a żołnierze wypadli za wrota. W chwilę później jeźdźcy przejechali most, otoczyli przybyszów i powstrzymali — kłując koniuszkami włócznie tych, którzy próbowali uciekać. Jeźdźców nie było wielu, lecz już nadciągał pieszo następny oddział.

Wanimen uniósł ręce w górę.

— Zróbcie to samo — polecił swemu ludowi. — Poddajcie się. Zostaliśmy pojmani.

I stracił przytomność.

V

W niecałą milę na północ od Ais las ustępuje miejsca moczarom. Rozciągają się one na jakieś dwie lub trzy mile za drogą, a raczej zwykłą ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu morza. Rzadko kto z niej korzysta, bo ludzie boją się mieszkańców Krainy Czarów, a poza tym ziemie pomiędzy Ais i Cieśniną Skaw są rzadko zasiedlone. Archidiakon Magnus, nieulekły krzyżowiec i, z woli Bożej, pogromca demonów, nigdy nie obawiał się podróżować nadbrzeżnym traktem, ale prości wieśniacy woleli go omijać.

Pewnego chłodnego wieczoru tam właśnie „Herning” zarzucił kotwicę. Na wschodzie połyskiwał w oddali Kattegat, póki nie pochłonał go gęstniejący mrok, na zachodzie zaś ciemniało wybrzeże. Ostatnie promienie słońca barwiły czerwienią fale, trzciny, pagórki i koślawe wierzby. Wiatr niósł od lądu odór bagiennej wody. W głębokiej ciszy zabuczał bąk, wrzasnęła głośno czajka i zahuczała ponuro sowa.

— To dziwne, że właśnie tutaj kończymy naszą wyprawę — mruknęła Ingeborga.

— Nie kończymy, lecz zaczynamy — poprawiła ją Eyjan.

Nils przeżegnał się, bo to miejsce sprawiało niesamowite wrażenie i podobnie jak wszyscy okoliczni mieszkańcy słyszał opowieści o... utopcach, elfach... czy naprawdę widział tańczący w oddali błędny ogień, który wabił ludzi na ich zgubę? Zastanowił się, czy po tym, co robił przez ostatnie tygodnie, pomógłby mu święty znak. Wyciągnął rękę, szukając po omacku dłoni Eyjan, ale córka wodnika już odeszła i zabrała się do pracy.

Najpierw ona, Tauno i Hauau pomogli ludziom wydostać się na ląd. Później przez wiele godzin krążyli tam i z powrotem, przenosząc złoto Awerornu z pokładu kogi, gdzie je uprzednio zgromadzili, na brzeg. Nils i Ingeborga stali na straży, żeby ostrzec ich, gdyby znienacka pojawili się jacyś ludzie, co było zresztą mało prawdopodobne (choć jakiś opryszek — czy nawet dwaj — mógł

rzeczywiście kręcić się gdzieś w pobliżu) — oraz przed jeszcze mniej pożądanymi gośćmi. Nic się jednak nie wydarzyło. Otulili się jedną opończą i objęli ramionami, starając się ogrzać wzajemnie. Przestali tak całą noc.

O świcie zakończono wyładunek. Słońca nie było widać — wszystko wokół przesłaniała gęsta mgła. Tauno i Eyjan, którzy dobrze znali ową bagiennej okolicę, przewidzieli to i przez cały poprzedni dzień trzymali kogę z dala od brzegu, dopóki nie przekonali się, że mogą liczyć na tę szarą, wilgotną zasłonę.

Hauau czuł się we mgle równie dobrze jak dzieci wodnika. Prowadzeni przez nich zmęczeni ludzie

brodzili w wodzie, pomagając w następnym etapie transportu drogocennego ładunku.

Złoto należało bezpiecznie ukryć. Tauno przypomniał sobie pewne strzaskane przez piorun drzewo, dobrze widoczne z nadbrzeżnego traktu. O kilkadziesiąt kroków na zachód od niego znajdował się niewielki staw, płytki 1 mętny, jakby stworzony do przechowywania tajemnic.

Spleciona z łozy mata, która mogła przetrwać pod wodą wiele lat, miała chronić przed pochłonięciem przez muł to, co złożą tam wędrowcy. Transport przebiegał szybciej niż poprzednio, bo teraz było więcej rąk do pracy, a poza tym, idąc dało się unieść więcej niż wtedy, gdy się płynęło. Mimo to musieli się śpieszyć. Często z tego powodu nieostrożna ręka niosącego miażdżyła miękki metal. Widząc jak Tauno zniszczył w ten sposób delikatny jak pajęczna sieć diadem, Ingeborga odezwała się ze smutkiem:

— Kto wie, jaki kochanek ofiarował go pani swego serca, jaki rzemieślnik wykonał go, wkładając w ten trud całe serce. A teraz zniknął ostatni ślad ich życia.

— My musimy żyć teraz! — warknął Tauno. — I tak trzeba będzie stopić to wszystko albo pociąć na małe kawałki, czyż nie tak? A poza tym ich dusze przetrwały i na pewno wszystko pamiętają.

— W jakiejś szarej otchłani poza czasem — powiedziała Eyjan. — Oni nie byli chrześcijanami.

— Tak, sądzę że my mamy więcej szczęścia niż oni — odparł jej brat i nadal układał złoto na dnie stawu. W gęstej mgle nawet z bliska wyglądał jak zjawa.

Ingeborga drgnęła, zaczęła kreślić znak krzyża, zatrzymała rękę i wróciła do pracy.

* * *

Koło południa świeży wiatr poszarpał mgłę na strzępy i pognał ją w stronę morza. Światło słońca docierało do ziemi promiennymi włócznie, które tworząc dziury w szarej zasłonie, odsłaniały coraz bardziej błękit nieba. Zrobiło się cieplej. Fale pluskały cicho na plaży.

Skończywszy pracę cała piątka spożyła zimny posiłek — popito go przyniesionym ze statku kwaśnym winem. Trudno byłoby to nazwać pożegnalną ucztą, ale nie mieli nic lepszego. Później Tauno odciągnął Nilsa na stronę.

Stali chwilę w milczeniu — Tauno z surową, nieprzeniknioną twarzą, Nils onieśmielony i zmęczony. Nagi syn wodnika przewyższał znacznie wzrostem smukłego, odzianego w łańchmany człowieka. Tauno miał twarz surową, Nils zaś znużoną i onieśmieloną. W końcu książę Liri znalazł potrzebne słowa:

— Jeśli źle cię potraktowałem, proszę o wybaczenie. Zasłużyłeś sobie na coś lepszego. Pod koniec podróży próbowałem... ale... za dużo miałem wtedy spraw na głowie... Zapomniałem, co ci zawdzięczam...

Nils oderwał wzrok od ziemi i powiedział z nutą dziwnej rozpacz w głosie:

— To nic, Tauno. Przecież to ja jestem twoim dłużnikiem i nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam spłacić ten dług.

Wodnik uśmiechnął się ponuro.

— A za cóż ty chcesz mi płacić, przyjacielu? Czy za to, że tyle razy narażałeś życie i ciężko pracowałeś dla nie swojej sprawy? Za to, że teraz będą ci zagrażać jeszcze większe niebezpieczeństwa? Co ty mi jesteś winien?

— Pytasz co? Bogactwo i wszystko, co ono oznacza: koniec biedy, harówki i upodlenia dla moich bliskich... oczywiście chodzi przede wszystkim o Małgorzatę, to znaczy Irię, ale czy i ja nie zostanę sowicie nagrodzony?

— Hm. Nie znam ludzkich obyczajów, lecz przypuszczam, że będziesz musiał pokonać jeszcze wiele przeciwności. A jeśli przegrasz, ludzie zadadzą ci śmierć po stokroć straszniejszą niż ta, jaką mógłbyś ponieść w Oceanie czy w paszczy morskiego potwora. Czy pomyślałeś o tym, Nilsie? Czy naprawdę zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Pytam przez wzgląd na Irię, gdyż i jej życie byłoby zagrożone, ale chodzi mi również o ciebie.

Młodzieniec uspokoił się.

— Tak, myślałem — odpowiedział poważnie. — Wiesz, komu oddałem serce. Chcę jej służyć najlepiej, jak potrafię, więc każdą wolną chwilę wykorzystywałem na układanie planów. Moim pierwszym, choć nie jedynym doradcą będzie Ingeborga, ona lepiej zna świat i ludzi. Wszystko jest w ręku Boga, nie tracę jednak nadziei. — Odetchnął głębiej. — Dobrze wiesz, że brak rozwagi mógłby nas zgubić, prawda? Musimy być pewni każdego kroku, zanim go zrobimy.

— Tak. Kiedy mógłbyś skończyć całą sprawę? Za rok? Nils ściągnął brwi i skubnął rzadką bródkę.

— Przypuszczam, że potrwa to dłużej — rzekł. — Przede wszystkim muszę się urządzić, wyrobić sobie pozycję — ale to cię nie interesuje, prawda? Iria...

jeśli wszystko pójdzie dobrze... będziemy mogli wykupić ją za rok. Rozumiesz, to zależy od tego, jakich znajdziemy sprzymierzeńców... Och, powiedzmy, że za dwanaście miesięcy będziemy lepiej wiedzieli, jak sprawy stoją.

Tauno skinął głową.

— Dobrze, skoro tak uważasz. Eyjan i ja wrócimy wtedy po nowiny.

Nils otworzył usta i wykrztusił:

— Odpłyniecie na tak długo?

— Czemu mielibyśmy się tutaj zatrzymywać, skoro powinniśmy szukać naszych współplemieńców?

Nils z trudem przełknął ślinę i zacisnął dłonie. Po dłuższej chwili zdołał się przemóc i zapytał:

— Gdzie chcecie ich szukać?

— Na zachodzie — odparł Tauno, łagodniejszym niż dotąd tonem. —

Popłyniemy w stronę Grenlandii. Pewnej księżycowej nocy na pełnym morzu rozmawiałem o tym z Hauau. On ma proroczy dar. Moja przyszłość jest niejasna; powiedział jednak, iż coś mu szeptem do ucha, że tam dopełni się po części mój los.

Promienie słońca oświetliły jego włosy, nadając im barwę bursztynu. Jakby przywołany tym do rzeczywistości, syn wodnika wzruszył ramionami i zakończył:

— Wydaje się to rozsądne. Może dowiemy się czegoś po drodze, na przykład w Islandii.

— Nie będziesz narażał Eyjan na niebezpieczeństwo, prawda? — zapytał

ślugałnym tonem Nils.

Tauno wybuchnął śmiechem.

— Trudno ją od tego odwieść! — Spojrzał na oblicze chłopca i dodał

łagodniej: — Nie twórzmy sobie dodatkowych kłopotów. I bez tego mamy ich aż za wiele. Lepiej ustalmy, jak znowu się spotkamy.

Nils skupił się bez reszty na tej sprawie, jakby chciał w ten sposób uciec od bolesnych myśli. Rozmawiali jeszcze długo. Rodzeństwo musi go zawiadomić o swoim przybyciu, a później czekać, aż przybędzie na spotkanie. To miejsce nie nadawało się do tego celu. Brzeg był słabo porośnięty; gdyby zobaczyli ich rybacy z Ais, mogłyby się zrodzić różne plotki, co stworzyłoby pewne zagrożenie dla nich wszystkich. Sam zaś Nils, przychodząc tu później po złoto, czułby się znacznie mniej bezpiecznie. Powinien, generalnie biorąc, nie czynić nic takiego, co zwracałoby uwagę mieszkańców wioski, którzy dobrze go znali, musiał stać się w przyszłości kimś znaczącym w królestwie.

W końcu zdecydowali się na położoną na Bałtyku wyspę Bornholm. Tauno znał i lubił to miejsce; znajdowało się tam tylko kilka ludzkich osiedli. W jednej z wcześniejszych podróży Nils także odwiedził to lenno arcybiskupa Lundu i poznał tam starego wilka morskiego, mocno już posuniętego w latach, ale godnego zaufania, który miał łódź w porcie Sandwig. Niech dzieci wodnika odnajdą go, udając cudzoziemców, i przekażą mu starannie ułożone przesłanie.

Co do zapłaty — oboje posiadali spiralne złote bransolety, od których można odciąć kilka kawałków, znajomy Nilsa na pewno zgodzi się popłynąć do Danii, odszukać go i przekazać mu wiadomość.

— Za rok — jeżeli będziemy żyli... Niechaj więc tak będzie! — oświadczył

Tauno. Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni.

Ingeborga i Hauau stali nad brzegiem morza, którego wody srebrzyło niewidoczne słońce. Fale Kattegatu lizały piasek u ich stóp.

— Muszę odpłynąć w południe, zanim pogoda się zmieni i staniemy się widoczni dla ludzkich oczu — powiedział selkie. Ustalili, że fokołak odprowadzi „Herninga” daleko w morze, po czym pozostawi kogę na łasce fal, tak by się roztrzaskała na norweskim lub szwedzkim wybrzeżu. A tymczasem szara foka popłynie w stronę Sule Skerry.

Ingeborga objęła go, zapominając o rybim odorze, którym natychmiast przesiąkła jej suknia.

— Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? — zapytała przez łzy.

Selkie drgnął zaskoczony i zmienił się na twarzy.

— Dlaczego chciałabyś tego, dziewczyno?

— Ponieważ... ponieważ jesteś dobry — wyjąkała.

— Łagodny, miły. — Czy wielu ludzi potrafi kochać... na tym... lub tamtym świecie?

— Co za gamoń z tego wodnika! — westchnął Hauau.

— Ale nie, Ingeborgo, rozdzielią nas morza...

— Mógłbyś kiedyś wrócić. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie — będę miała na własność wyspę lub kawałek wybrzeża...

Otoczył ramieniem jej kibić i długo patrzył jej w oczy.

— Więc jesteś taka samotna?

— Ty jesteś.

— I myślisz, że we dwoje moglibyśmy... — Pokręcił głową. — Nie, moja droga. Tobie przeznaczono inny los i mnie inny...

— Ale... zanim się spełnią...

— Już ci powiedziałem, że nie. — Umilkł. Wiatr niósł strzępy mgły, morze szumiało.

Później selkie jął mówić powoli, jakby każde słowo było ciężkim brzemieniem.

— Dostrzegłem w tobie twój urok śmiertelnej niewiasty. Lecz mój podwójny wzrok — och, nie wiem, bo wszystko jest powleczone mroczną zasłoną, a jednak... jednak zaczynam się teraz o ciebie bać. Dostrzegam coś bardzo dziwnego w twojej przeszłości.

Wypuścił ją z ramion i cofnął się o krok.

— Wybacz mi — wymamrotał, unosząc rozwarłe dłonie, jakby osłaniał się przed ciosem. — Nie powinienem był nic mówić. Żegnaj, Ingeborgo. —

Odwrócił się i odszedł.

Słyszała, jak wszedł do wody i brodził w niej. Słyszała jak odpłynął. Kiedy mgła się uniosła, „Herning” majaczył daleko na horyzoncie.

* * *

Nie mogło być prawdziwego pożegnania. Obie pary pożegnały się, tak jak mogły, już wcześniej. Nils i Ingeborga patrzyli na północ dopóty, dopóki ich kochankowie nie zniknęli wśród fal. Niebo było bezchmurne. Morze lśniło w promieniach zachodzącego słońca, w oddali dostrzegli czarny klucz kormoranów.

Nils otrząsnął się pierwszy.

— No, dobrze — rzekł. — Jeżeli chcemy dotrzeć do Ais przed zmrokiem, czas na nas. Ruszajmy w drogę!

Postanowili, że spędzą tę noc w chacie Ingeborgi. A jeśli okaże się, że rozebrano ją podczas nieobecności właścicielki, może ojciec Knud użyczy im schronienia. Rano muszą stawić czoła ludzkiemu światu, ale przynajmniej mogą zacząć tę walkę w Ais, wśród tych, którzy ich znali.

Ingeborga dzielnie dotrzymywała mu kroku. Piasek skrzypiał im pod nogami.

— Pamiętaj, pozwól mi mówić pierwszej. Nie nauczyłeś się jeszcze kłamać

— powiedziała.

Nils skrzywił się i rzekł:

— Zwłaszcza tym, którzy mi ufają.

— A wszetecznicą jest zawsze fałszywa, tak?

Powiedziała to tak ostrym tonem, że Nils zatrzymał się i odwrócił głowę —

powoli, gdyż był bardzo zmęczony — żeby na nią spojrzeć. Ingeborga wbiła wzrok w ziemię.

— Nie chciałem cię urazić — szepnął zmieszany.

— Wiem — odparła szybko. — Jednakże uważaj dobrze na to, co mówisz, dopóki nie ockniesz się ze snów na jawie i nie odzyskasz jasności myśli.

Chłopiec zaczerwienił się po same uszy.

— Tak, bardzo mi brak Eyjan, ale... och... Ingeborga złagodniała, pogłaskała go po głowie i powiedziała miękko:

— Później ty, jako mąż, będziesz przewodził. Teraz jednak chodzi o to, że znam w Hadsundzie ludzi, którzy nam pomogą w zamian za szczyptę złota, nie zadając niepotrzebnych pytań... i opowiedzą nam to i owo o wpływowych mężach, do których później się zwrócimy. Już o tym rozmawialiśmy.

— Istotnie.

— Mimo to powinniśmy się upewnić, że dobrze się rozumiemy. —

Uśmiechnęła się z przymusem. — Czyż Kraina Czarów znała kiedyś zamiar dziwniejszy od naszego?

Ciężkim krokiem ruszyli na południe.

KSIĘGA TRZECIA:

TUPILAK

I

Kilka mil od wybrzeży Adriatyku wzgórza stają się coraz wyższe i w końcu zmieniają się w góry. Wzniesienie na skraju Swilajej Płaniny było granicą okręgu rozpościerającego się na prawdziwie górskich terenach, w którym utrzymanie pokoju król powierzył żupanowi Iwanowi Subitijowi. Jednakże zamek żupana stał nie w środku okręgu, ale w Skradinie, niedaleko od Szibeniku. Iwan Subitij wybrał to miejsce dlatego, że owa wioska była najludniejsza w jego żupie, a także dlatego, iż w razie potrzeby mógł stąd szybko wezwać na pomoc wojsko z miasta. Prawdę mówiąc, w zasadzie nie potrzebował większych sił: znaczną część okręgu porastała dzika puszcza, a nieliczni mieszkańcy odznaczali się rozwagą i spokojem. Był to więc świat odmienny od wybrzeża Adriatyku z jego statkami, miastami i kontaktami z Zachodem. Przetrwały tu starożytne obyczaje i zjawiska.

Przechodzący właśnie przez Skradin ojciec Tomisław zdawał się je uosabiać.

Stąpał szybciej, niż można by się tego spodziewać po tak barczystym mężu.

Gdyby go napadnięto, jego dębowa laska zmieniłaby się w straszną broń.

Wypłowiwały, pocerowany habit, który podkasał nad zakurzonymi starymi ciżmami, uszyty był z najbardziej szorstkiej wełny. Wiszący u jego pasa różaniec (krzyżyk podskakiwał w takt kroków) wyrzeźbił z drewna wiejski rzemieślnik. Sam ojciec Tomisław pochodził również ze wsi, co łatwo dawało się odczytać z jego szerokiej, ogorzałej twarzy z kartoflanym nosem i małymi piwnymi oczkami połyskującymi nad wystającymi kośćmi policzkowymi, otoczonej aureolą rzadkich siwych włosów. Jego rozłożysta broda sięgała niemal do wydatnego brzucha. Ręce miał duże i zrogowaciałe.

Wielu ludzi pozdrawiało go serdecznie, kiedy tak kroczył wzdłuż ulicy.

Odpowiadał gromko, a gdy podbiegało do niego jakieś dziecko, głąskał je po zmierzwionych włosach. Kilka osób zapytało, czy wie już coś bliższego o cudzoziemcach, czy są niebezpieczni, i co wróżyło ich przybycie. „Dowiecie się wszystkiego we właściwym czasie” — odpowiadał, nie zwalniając kroku.

„Tymczasem nie lękajcie się niczego. Strzeże was sam Bóg i jego święci”.

W bramie zaczął go strażnik: „Żupan chce się z tobą spotkać w Sokolej Komnacie” — rzekł. Tomisław skinął głową i pośpiesznie przebył brukowany dziedziniec, kierując się do drzwi zamku. Tę niewielką twierdzę zbudowano przed ponad stu laty z brązowego wapienia wydobywanego w pobliskich kamieniołomach. Nie było w niej szklanych szyb, odpowiednich kominów ani innych współczesnych udogodnień. Od strony północnej nad zamkiem wznosiła się spora wieża strażnicza, pod której dachem znajdowała się ustronna komnata, skąd mężowie mogli oglądać rozległe widoki i czasami wypuszczać sokoły.

Można też tam było rozmawiać bez świadków.

Wspiąwszy się na wieżę, Tomisław, dysząc ciężko, wychylił się z okna. W

dole kipiał zgiełk, trwała codzienna krzątanina: słudzy, rzemieślnicy, psy, drób, okrzyki, odgłosy kroków, szcęk metalu, kłęby dymu, woń nawozu i piekącego się chleba. Dalej rozciągały się łąny dojrzałego już niemal zboża, falujące na wietrze, który przygnał skądś na niebo kilka białych obłoków. W górze roiło się od ptaków — gołębi, wron, drozdów i skowronków. Na południe od zamku dzika puszcza zielonym murem zamykała horyzont; przez szpary w tym murze prześwitywały wody jeziora.

Kapłan poszukał spojrzeniem przepływającej przez Skradin Krki, która nieco dalej wpadała do jeziora. O jakąś milę za wsią, nad rzeką, rosła kępa jabłoni ogrodzona drewnianym płotem, żeby chłopcy nie zjedli owoców, gdy jeszcze wisiały na gałęziach, a świnie nie pożarły ich, gdy opadną na ziemię. Dostrzegł

też obok płotu połyskujący w słońcu hełm i grot włóczni jednego z jeźdźców, którzy otaczali sad. W cieniu jabłoni siedzieli więźni do niewoli cudzoziemcy.

Usłyszawszy kroki na schodach, Tomisław odwrócił się. Do komnaty wszedł

żupan — wysoki mąż o energicznej, surowej twarzy. Podłużna blizna przecinała jego lewy policzek. Przyprószone siwizną włosy opadały mu do ramion, ale brodę strzygł krótko. Odziany był jak zawsze w wyszywany kaftan, obcisłe spodnie wpuszczone w wysokie buty, miał sztylet u pasa, nie nosił żadnych ozdób.

— Niech Bóg ześle ci dobry dzień — powitał go Tomisław kreśląc w powietrzu znak błogosławieństwa. Powiedziałby to samo do najbiedniejszej starowinki.

— To będzie zależało również od ciebie — odparł kwaśnym tonem żupan.

Oczy Tomisława zabłyśły na chwilę gniewem — nie zdołał się opanować —

gdy ujrzał, że za Iwanem Subitijem wszedł do komnaty ojciec Petar, zamkowy kapelan. Był to chudy mąż, który rzadko się uśmiechał. Obaj kapłani przywitali się chłodno, lekkim skinieniem głowy.

— Czy masz dla nas jakieś cenne nowiny? — zapytał żupan.

Tomisław zawahał się.

— Może tak, a może nie. Mój umysł nie potrafi pojąć tego wszystkiego zbyt szybko.

— Nic dziwnego! — warknął Petar. — Ostrzegałem cię, synu, że tracisz tylko czas posyłając po... po kogoś, czyje j owieczki tłoczą się w leśnej głuszy. Nie obraż się, Tomisławie. Mam nadzieję, iż zgodzisz się ze mną, że tę sprawę powinni zbadać uczeni doktorzy, aby ban lub regenci mogli podjąć właściwą decyzję.

— Nierychło nam odpowiedzą — rzekł na to Iwan. — A tymczasem musimy pilnować i żywić ponad setkę dziwacznych przybyszów. Utrzymanie ich kosztuje, nie mówiąc już o niepokojach, jakie ich obecność budzi wśród pospólstwa.

— Jakie wieści otrzymałeś z Szibeniku? — spytał Tomisław.

Żupan wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Tylko to, co ci pokrótce opowiedziałem wczoraj, zaraz po twoim przybyciu. Znalaziono wrak obcego statku, na pokładzie martwe ciała mężów i kobiet tego plemienia i zwłoki Włochów — najprawdopodobniej Wenecjan — z którymi tamci musieli walczyć. Tyle dowiedzieli się ludzie satnika. Satnik postąpił bardzo mądrze — podjął wszelkie kroki, aby sprawa nie nabrała rozgłosu. Ciała pochowano w tajemnicy, a żołnierzom nakazano nikomu nic nie mówić. Pogłoski i tak się rozejdą, lecz możemy mieć nadzieję, że pozostaną tylko pogłoskami i że po jakimś czasie ludzie o nich zapomną.

— Ale nie tutaj — mruknął Petar i rozczesał palcami jasną brodę. Paciorki różańca, który trzymał w drugim ręku, przesunęły się z cichym trzaskiem.

— Tak. No cóż, niewielu kupców przybywa do Skradina i niewielu go opuszcza — podsumował Iwan. — Posłałem prośbę o pomoc — o żywność i posiłki — lecz jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi. Satnik na pewno wysłał list do bana Pawle z prośbą o instrukcje i nic nie robi, dopóki ich nie otrzyma. Cały ciężar odpowiedzialności spadł na mnie, więc szukam porady tam, gdzie mogę.

— I u każdego, kim by nie był? — zadrwił Petar. Tomisław nastroszył się i ścisnął mocniej swój kij.

— A ty, co byś doradził? — warknął.

— Najbezpieczniej byłoby ich zabić — odparł kapelan.

— Mogą być ludźmi albo nie, lecz na pewno nie są chrześcijanami — nie są katolikami obrządku zachodniego, choć jeden z nich zna łacinę, ani też naszego.

To nie prawosławni schizmatycy czy wyznawcy plugawej bogomilskiej* herezji, ba, nawet nie Żydzi czy poganie. — Podniósł głos. Spocił się, chociaż w kamiennej komnacie panował chłód.

— Nadzy, bezwstydni, widziano jak na oczach wszystkich spółkowali...

przecież nawet poganie bywają obyczajni i znają coś w rodzaju małżeństwa. A ci... mimo, że znajdują się w tak ciężkim położeniu, nie widziano, żeby się modlili, składali ofiary czy oddawali cześć bogom.

— Jeśli to prawda — odrzekł łagodniejąc Tomisław

— to zabicie ich byłoby najcięższym z grzechów, bo przecież możemy zaprowadzić ich do Boga.

* Bogomili — sekta odrzucająca wszystkie sakramenty z wyjątkiem chrztu, potępiająca kult świętych i relikwii, wrogo nastawiona wobec możnowładców i duchowieństwa (przyp. tłum.).

— Nie możemy — upierał się Petar. — Oni są pozbawionymi duszy bestiami albo czymś jeszcze gorszym, istotami prosto z piekła rodem.

— To trzeba udowodnić — wtrącił Iwan. Petar wczepił się palcami w przegub żupana.

— Panie... mój synu... mój synu... czy odważymy się narazić na wieczne potępienie, które mogą na nas ściągnąć? Święty Kościół Głagolicki* i tak już jest zagrożony — przez papieża, który powinien być naszym kochającym ojcem, przez prawosławnych z Serbii i Cesarstwa, przez podjudzanych przez szatana bogomiłów...

— Dość! — Iwan uwolnił rękę. — Poleciałem ojcu Tomisławowi, aby przybył

tutaj i spotkał się z tymi istotami, mając po temu rozsądne powody. Czy mam ci je wyliczyć? Od dawna wiem, że na swój sposób jest mędrcom. Nie zalicza się też do ignorantów, gdyż uczył się w Zadarze, a później służył u biskupa tej diecezji. Co zaś się tyczy diabelskich sztuczek albo czarów, mieszka tam, gdzie ludzie wiedzą o nich znacznie więcej niż my. Sam się z tym zetknął...

Wyraz twarzy Tomisława sprawił, że żupan zamilkł. Po chwili dokończył, dość niezręcznie: — Czy dowiedziałeś się czegoś?

Wiejski ksiądz stał przez jakiś czas w milczeniu, starając się zapanować nad swymi uczuciami, po czym odpowiedział z wymuszonym spokojem:

— Myślę, że tak. Gdy okazało się, że ich przywódca zna nieco łacinę, Petar przemówił do niego i źle go potraktował. Tamten jest dumny, cierpi od ran i dręczy go straszny niepokój o los jego ludu. Nakrzyczano na niego jak na niewolnika i drwiono z obyczajów jego plemienia jakże więc mógł się zachować inaczej? Naturalnie odwrócił się plecami. Dobrze zrobiłeś, żupanie, że posłałeś medyka wojskowego, by opatrzył im rany.

— A więc rozmawiałeś po cichu z ich przywódcą. Co ci powiedział? —

zapytał Iwan.

— Na razie niewiele. Czuję jednak, że powodem tego nie jest niechęć ani zła

* Kościół Głagolicki — założony na przełomie IX i X w. przez uczniów Cyryla i Metodego (przyp. tłum.) wola. On bardzo słabo mówi po łacinie i ma straszny akcent — zachichotał

Tomisław.

— Wyznam, że i moja łacina nieco zardzewiała, co na pewno nie ułatwiło nam rozmowy. W dodatku jesteśmy sobie zupełnie obcy. Czyż w tej sytuacji mogliśmy się porozumieć w ciągu paru zaledwie godzin?

Dał mi do zrozumienia, że nie przybyli tu jako wrogowie, lecz w poszukiwaniu nowych siedzib — na dnie morza. — Ta wiadomość zaskoczyła słuchaczy mniej, niż można by tego oczekiwać, gdyż wygląd wodników od pierwszej chwili stał się pożywką dla różnorakich, najbardziej fantastycznych przypuszczeń. — Wygnano ich z ich ojczyzny na dalekiej Północy. Nie dowiedziałem się, jak do tego doszło i dlaczego. Przyznaje, że nie są chrześcijanami, ale nadal nie wiem, kim naprawdę są. Obiecał mi, że jeśli pozwolimy im odejść, powędrują do morza i nigdy już tu nie wrócą.

— Kłamię się łatwo — wtrącił Petar.

— Czy myślisz, że mówił prawdę? — spytał żupan.

Tomisław skinął głową.

— Tak. Oczywiście, nie mógłbym na to przysiąc.

— Czy masz jakieś wyobrażenie o ich naturze? Tomisław ściągnął brwi i spojrzał w niebo.

— Hm–m–m... mam kilka przypuszczeń. Ale są to tylko domysły, oparte na tym, co wiedzą lub w co wierzą moje owieczki, na tym, co sam czytałem albo słyszałem, i na moim własnym... moim własnym doświadczeniu. Bardzo możliwe, że się mylę.

— Czy należą do świata śmiertelnych? — indagował Iwan.

— Można ich zabić tak samo jak nas.

— Nie o to pytałem, Tomisławie. Ksiądz westchnął.

— Przypuszczam, że nie są z krwi Adama. — I dodał pośpiesznie: — Nie znaczy to, że są źli. Pomyśl raczej o borowcu, domowym skrzacie, polewiku i o podobnych do nich nieszkodliwych istotach, które bywają niekiedy psotne i nieco złośliwe, lecz na ogół są dobrymi przyjaciółmi biednych ludzi...

— Z drugiej strony — wtrącił Petar — pomyśl o wilach.

— Milcz! — zawołał gniewnie Iwan. — Przestań natychmiast krakać, słyszysz? Mogę poprosić biskupa, żeby przysłał mi innego spowiednika.

Spojrzał na Tomisława.

— Przykro mi, mój stary — rzekł jakby zmieszany.

— Nie... jestem... aż taki wrażliwy — odpowiedział z wysiłkiem pasterz wiejskiej zadrugi. — Wydaje się, że w ostatnich latach jakaś wiła rzeczywiście pojawiła się w sąsiedztwie mojej parafii. Niech Bóg wybaczy złośliwym plotkarzom.

Rozprostował ramiona i oświadczył z mocą:

— Przypuszczam, że najlepiej zrobimy pozwalając im odejść. Każ ich zaprowadzić z powrotem nad morze, pod strażą, jeśli uznasz to za stosowne, ale każ tam ich zaprowadzić — i zwróć im wolność.

— Nie odważę się tego zrobić, chyba że otrzymam rozkaz zwierzchnika —

odparł Iwan. — Nie uwolnię ich, nawet gdybym mógł, zanim nie upewnię się, że nie wyniknie stąd nic złego.

— Wiem — westchnął Tomisław. — Cóż, skoro tak, moja rada brzmi: nie wypuszczaj ich na wolność, lecz traktuj dobrze. I pozwól ich przywódcy pójść ze mną, do mojego domu, żebyśmy mogli lepiej się poznać.

— Co takiego?! — wrzasnął Petar. — Oszalałeś?! Nawet żupan się zdziwił.

— Jesteś co najmniej nierozważny — zawyrokował. — Ten stwór jest ogromny. Kiedy wyzdrowieje, będzie mógł rozerwać cię na strzępy.

— Nie sądzę, żeby chciał to zrobić — odrzekł ojciec Tomisław. — W

najgorszym razie zabije tylko moje ciało, a zaraz potem uśmiercą go moi parafianie. Już dawno przestałem się bać o swoje życie.

* * *

Zadruga ojca Tomisława była wioską liczącą mniej niż sto dusz; ich rodziny łączyło bliskie pokrewieństwo. Leżała o cały dzień drogi od Skradina w pobliżu szerokiej ścieżki, która wijąc się wiodła najpierw na północ, a później na zachód, przez puszcę wokół jeziora, choć nigdy się do niego nie zbliżała na odległość człowieka wzroku. Przed laty ludzie oczyścili tutaj ziemię wokół

strumyka i pobudowali domy. Żyli z uprawy roli, trudniąc się dodatkowo drwalnictwem, smolarstwem, wypalaniem węgla drzewnego i myślistwem.

Uprawiali rolę wspólnie, jakby byli wolnymi kmięciami. W rzeczywistości większość z nich stanowili chłopci pańszczyźniani, ale ta różnica nie miała istotnego znaczenia, bo chorwaccy

wielmoże na ogół rzadko ich dręczyli czy obciążali nadmiernymi daninami, żaden z nich tedy nie miał chęci opuszczać ojcowizny.

Ich chaty stały podwójnym rzędem wśród pól uprawnych, ocienione drzewami pozostawionymi tu jeszcze przez pierwszych osadników. Zbudowane z drewna, kryte słomą, jedno— lub dwuizbowe, wznosiły się wysoko nad ziemią

— stawiano je nad pomieszczeniami dla bydła. Wchodziło się do nich po specjalnych pomostach. Biegącą między nimi drogę, która — zależnie od pogody — tonęła albo w błocie, albo w piaszczystym pyłe, pokrywała gruba warstwa gnoju. Jednakże przykre zapachy nie dawały się nikomu zbyt w znaki, bo pochłaniały je słodko pachnące zielone przestrzenie. Mieszkańcy wioski nie zwracali też uwagi na letnie muchy. Za każdą chatą znajdował się ogród warzywny.

Nie opodal stały spichlerze, małe, zbite z wąskich desek, oparte na cienkich palach z podpórkami, jak na ptasich nogach, niczym słynna chatka Baby Jagi. W

kilku szopach przechowywano narzędzia i sprzęty gospodarskie. Kolorowe dwukołowe wozy stały obok domostw, jeśli akurat ich nie używano. Na jednym końcu drogi zbudowano mały warsztat, a na drugim — niewiele odeń większą kaplicę, pomalowaną w wymyślne wzory, z dachem w kształcie cebuli podtrzymującej krzyż. W wiosce nie było młyna, lecz zachowane fundamenty i pozostałości ziemnej tamy wskazywały na to, że stał tu kiedyś'.

Wszystkie pola i łąki znajdowały się w zasięgu wzroku. Zewsząd otaczała je puszcza. W niektórych miejscach podpełza blisko, w innych wyparto ją na pewną odległość, lecz czuło się ją i widziało wszędzie — wierzchołki drzew rozjaśnione słońcem i zalegający w dole mrok. Rosły tam przeważnie dęby i buki, spotykało się jednak także kilka innych gatunków drzew. Gęste zarośla szczelnie wypełniały przestrzeń między potężnymi pniami.

Pod wieloma względami ta mała dalmatyńska wioska przypominała Wanimenowi Ais. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że podobieństwo to było bardzo powierzchowne.

Podróż na grzbiecie pożyczonego osła okazała się dla wodnika prawdziwą męczarnią. Kiedy jednak zamieszkał już w chacie Tomisława, gdzie ległszy na łożu mógł spokojnie wypoczywać, karmiony solidnie i obficie, zaczął szybko powracać do zdrowia. Żaden człowiek, który odniósłby tyle ran, co on, nie odzyskałby sił tak prędko. Innym darem Krainy Czarów była łatwość, z jaką nauczył się języka chorwackiego. Zaczął niebawem prowadzić z księdzem długie rozmowy i z każdym dniem przychodziło mu to łatwiej. A kiedy mieszkańcy wioski przestali się go już bać, nawiązał z nimi znajomość, poznał

też trochę ich życie.

Siedział z Tomisławem na ustawionej na pomoście dużej ławie, pod okapem dachu o długich krokwiach. Była niedziela, pora kiedy ludzie wypoczywali po mszy. Ksiądz pracował przy żniwach równie ciężko jak jego parafianie.

Wanimen, który odzyskał już swoje niespożyte siły, pomagał im, choć niewprawnie.

Lato ustępowało miejsca jesieni. Liście traciły pomału swą poprzednią, intensywnie zieloną barwę. Niebo także przybladło, naznaczone kluczami dzikich gęsi, których przeciągłe okrzyki budziły w sercu niezrozumiałą tęsknotę.

A gdy słońce kryło się za wierzchołkami drzew, chłodny dotąd wiatr stawał się lodowato zimny. O tej godzinie, jak zwykle w niedzielę, wieśniacy siedzieli przeważnie w swoich domach. Nieliczni przechodnie pozdrawiali Tomisława i jego gości. Przyzwyczaili się do wyglądu przybysza. Ubrany jak oni, gdyby nie bosa odmienna stopy, Wanimen mógłby uchodzić za potężnie zbudowanego człowieczego męża.

Popijali z drewnianych kubków piwo, które szumiało im już w głowach.

— Jesteś dobrym człowiekiem — zauważył wodnik. — Chciałbym pomóc ci żyć lepiej.

— To, co powiedziałaś, każe mi przypuszczać, że mógłbyś zostać obdarowany łaską Bożą, gdybyś tylko zechciał — odparł żywo Tomisław.

Wyzbywszy się nieufności, Wanimen rozmawiał z nim szczerze. Ksiądz zrelacjonował jego opowieść w raportach, które przysyłał żupanowi przez wiejskiego chłopca, łagodząc ją nieco. — Nie będę kłamał, ale też nie chcę spowodować, by wzrosła wrogość wobec was — wyjaśnił wodnikowi.

Ze swej strony Tomisław starał się wytłumaczyć gościowi, w jakich stronach się znalazł. Chorwacja tworzyła wraz z Węgrami jedno królestwo. Bogaty z natury kraj, obdarzony licznymi portami umożliwiającymi zamorski handel, był

ważną częścią państwa. Mógłby nabrać jeszcze większego znaczenia, gdyby nie miejscowe wielkie rody, które bez przerwy zwalczały się wzajemnie, czasem nawet toczyły otwartą wojnę. Niestety, cudzoziemcy, to znaczy przekłęci Wenecjanie, wykorzystali chaos, jaki powstał w Chorwacji, i zagarnęli nie swoje ziemie. Obecnie w kraju panuje spokój. Sojusz rodów Subitijów i Frankaponow zapewnia silne rządy. Najpotężniejszym z wielmożów był hrabia Bribiru, Pawle Subitij, który już przed laty zdobył urząd bana, zarządcy prowincji, tyle że jego prowincja obejmowała dzisiaj całą Chorwację. Iwan był

krewnym hrabiego.

Tego wieczoru Wanimenowi udało się uniknąć rozmowy o wierze.

— Ciężka praca i bieda mogą oczyścić duszę, lecz szkodzą ciału i umysłowi

— powiedział. — Przecież ty nawet nie masz własnej gospodyni.

Wiejskie kobiety po kolei pracowały na plebanii, ale żadna nie miała na to zbyt wiele czasu ani sił. Często proboszcz sam musiał gotować sobie strawę —

co zresztą robił dobrze, bo lubił smacznie zjeść — i sprzątać. Zawsze też sam pracował w ogrodzie i warzył piwo.

— Naprawdę jej nie potrzebuję. Mam skromne potrzeby. Potrafię się też weselić. Zobaczysz, kiedy urządzimy dożynki. — Tomisław zamilkł na chwilę, po czym ciągnął: — Tak, po śmierci mojej biednej małżonki mój ziemski żywot stał się łatwiejszy. Była nieuleczalnie chora i wymagała ciągłej opieki. —

Przeżegnał się. — Bóg wezwał ją do siebie i uzdrowił. Jestem pewien, że przebywa w niebie.

— Byłeś żonaty? — zapytał ze zdziwieniem Wanimen.

— Wiem, że kiedyś księża mogli się żenić, przynajmniej na Północy, lecz nie słyszałem o czymś takim od wielu pokoleń.

— Tak, jesteśmy katolikami, ale obrządku głągoliczkiego, innego niż rzymski. I chociaż papieżom zawsze się to nie podobało, nigdy nie nakazali nam otwarcie, żebyśmy porzucili nasze obyczaje.

Wanimen pokręcił głową i powiedział:

— Nigdy nie zrozumieję, dlaczego wy, ludzie, kłóciecie się o takie błahostki

— jak w ogóle możecie to robić — zamiast cieszyć się pięknym światem. —

Spostrzegł, że jego gospodarz nie ma ochoty dyskutować na ten temat, więc rzekł: — Opowiedz mi, jeśli możesz, o swojej przeszłości. Jak dotąd wspominałeś o niej tylko kilka razy.

— Nie ma tu nic do opowiedzenia — odparł Tomisław. — Ot, taki zwyczajny, niezbyt udany żywot śmiertelnika. Na pewno nie zainteresuje kogoś takiego jak ty, kto całe wieki oglądał dziwy wykraczające poza ludzką wyobraźnię.

— Och, zainteresowałby, i to bardzo — mruknął Wanimen. — Jesteś dla mnie istotą równie dziwną i niezwykłą jak ja dla ciebie. Gdybyś pozwolił mi zajrzeć choć na moment w głąb swego wnętrza, mógłbym zrozumieć... cóż, nie tylko jak plemię Adama żyje na ziemi, ale dlaczego...

— Mógłbyś zrozumieć, co znaczy Bóg! — zawołał Tomisław. — Ha, dla takiej szansy warto otworzyć przed tobą serce. Nie znaczy to wcale, że mam wiele do wyjawienia. Pytaj, o co zechcesz, gdy będę opowiadał.

Mówiąc to ksiądz ściszył głos. Podniósł oczy w górę, ponad wznoszący się naprzeciwko dach, ku drzewom i niebu (ku minionym latom, pomyślał

Wanimen), a potem zaczął opowiadać. Co pewien czas pociągał łyk piwa, lecz nie dla przyjemności, jak to zwykle czynił, ale po to, żeby zwilżyć zaschnięte gardło.

— Urodziłem się jako chłop pańszczyźniany, choć nie tutaj, a w Skradinie,

„w cieniu zamku”, jak powiadają. Mój ojciec był tam stajennym. Tamejszy kapłan uznał, że warto nauczyć mnie sztuki czytania i pisania. Kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, czternaście lat, polecił mnie biskupowi. Udałem się na naukę do Zadaru, żeby zdobyć święcenia kapłańskie — a było to

ciężkie zadanie zarówno dla ciała, jak i dla ducha. Znalazłem się w tętniącym życiu mieście, gdzie roiło się od przybyszów z najrozmaitszych krain, mieście pełnym najprzeróżniejszych bogactw tego świata i wszelkich uciech. Wyznaję, że na jakiś czas pograżyłem się w grzechu. Później jednak pokajałem się i ufam, że zostało mi to wybaczone. Zdobyłem też wtedy tę szczególną umiejętność, która pozwala nam wnikać w dusze naszych bliźnich.

Skrucha za grzechy przeorała moje serce, zatęskniłem za rodzinnymi stronami, za prostotą obyczajów i za podobnymi do mnie ludźmi. Ale przez kilka lat nie było w tym regionie wakującej parafii. Zostałem więc sekretarzem biskupa.

A tymczasem zastąpiłem lubieżność prawowitym małżeństwem, poślubiając niewiastę z tych stron. Ponieważ bardzo tego pragnąłem, stało się to, jeszcze zanim otrzymałem święcenia. Ach, jakże piękna była za młodu moja Sena!

Jednakże wcześniej pograżyła się w dziwnej melancholii. Początkowo powodem tego mogło być nowe otoczenie. Tłumy ludzi, zgiełk, spory, intrygi, niepokoje i ciągłe zmiany — wszystko to przerażało ją i kładło się ciężkim brzemieniem na jej sercu. W dodatku choroby zabrały nam dwoje dzieci. W

trojgu, które przeżyły, moja żona znalazła mniej pociechy, niż ja, a może raczej mniej, niż tego oczekiwałem.

Wreszcie otrzymałem tę parafię. Początkowo biskup nie chciał mnie puścić, lecz pozwolił mi odejść, gdy mu wyjaśniłem, jakie znaczenie mogło to mieć dla Seny.

No cóż, nie na wiele się to zdało. Straciliśmy jeszcze kilkoro dzieci — umarły w niemowlęctwie albo urodziły się martwe. Co gorsza, pozostała przy życiu trójka równie źle się czuła na wsi, jak ich matka w mieście. Tęskniły za wielkim światem, stały się rozdrażnione, krnąbrne i nieposłuszne. Gdy zostałem księdzem, cała moja rodzina otrzymała wolność i żadne prawo nie przywiązywało ich do jednego, określonego miejsca. Kiedy nasze dzieci podrosły, wszystkie po kolei zbuntowały się i uciekły z domu.

Najpierw wyruszył na morze Franjo. Odbił kilka podróży, po czym jego statek zaginął bez wieści. Mógł się rozbić i zatonać, mógł wpaść w ręce piratów lub łowców niewolników. Kto wie, czy mój syn nie jest obecnie eunuchem w jakimś tureckim haremie?. *Kyrie elejson.*

Lepiej powiodło się Zince. Wyszła za mąż za kupca, którego widziała tylko raz, gdy byliśmy w Szibeniku — poślubiła go bez naszej zgody, niemal następnego dnia. Nie mogliśmy nic zrobić, gdyż ksiądz, który połączył ich węzłem małżeńskim, był ziomkiem pana młodego. Kupiec ten zabrał Zinkę do Austrii i odtąd nie otrzymaliśmy od niej żadnej wiadomości. Modlę się, żeby była szczęśliwa. *Kyrie elejson.*

A potem uciekł nasz najmłodszy syn, Juraj. Przebywa w Splicie, pracuje dla faktora weneckiego — dla Wenecji, naszego odwiecznego wroga! Od czasu do czasu znajomy kupiec z dobroci serca śle mi wieści o nim — on sam nigdy nie napisał do mnie nawet słowa. *Kyrie elejson.*

Może potrafisz zrozumieć, jak ciężko przeżyła to wszystko Sena. Nigdy już nie przysłała do siebie po tych ciosach. W kilka lat po urodzeniu naszego ostatniego dziecka pogrzyżała się w milczeniu i prawie przestała się poruszać...

całymi dniami leżała tylko na łożu, patrząc nie widzącymi oczami przed siebie. I chociaż płakałem, gdy umarła przed dziecięciu laty, wiem, że w istocie Bóg zlitował się nad nią i nade mną.

Tomisław otrząsnął się i zaśmiał nienaturalnie.

— Myślisz na pewno, że przesadnie się nad sobą roztkliwiam — rzekł, powróciwszy do rzeczywistości. — Nie, wcale nie. Bóg pociesza mnie na wiele sposobów: Samym Sobą, zielenią lasu, muzyką, weselem, poczuciem ludzkiej wspólnoty, ufnością mojej trzódki i... i miłością ich maleńkich dzieci...

Utkwił spojrzenie w kubku.

— Jest pusty — oświadczył. — Twój także. Pójdę odszypuntować beczułkę.

Mamy jeszcze trochę czasu do nieszporów.

Kiedy wrócił, wodnik powiedział ostrożnie:

— Ja również utraciłem moje dzieci. — Nie dodał, że utracił je na zawsze. —

Opowiedz mi o dziewczynce, która urodziła się ostatnia. Czy ona także umarła?

— Tak — rzekł Tomisław opadając na ławę. — Była śliczną panną.

— Jak to się stało?

— Nikt nie wie. Utopiła się w jeziorze, nad które zawędrowała. Może potknęła się i uderzyła głową o korzeń. Ale tym razem nie mogła to być sprawka utopca, ponieważ po wielu dniach poszukiwań znaleźliśmy jej ciało unoszące się na wodzie...

— ...wzdęte i cuchnące. — Wanimen wiedział o tym.

— Ja... ja nie pochowałem jej obok jej matki i innych mych dzieci — ciągnął

Tomisław. — Zawiozłem trumnę do Szibeniku.

— Dlaczego?

— Och, myślałem, że... myślałem, że będzie się jej tam lepiej leżało...

rozumiesz, byłem oszołomiony. Żupan pomógł mi uzyskać pozwolenie.

Jakby szykując się do odparcia ataku, ksiądz pochylił się jeszcze niżej i dodał:

— Ostrzegalem cię, że nie będzie to zajmująca opowieść. Zresztą na ciebie również spadły nieszczęścia i musisz jakoś stawić im czoło...

Chociaż Wanimen miał umysł bardziej stateczny niż większość wodników, potrafił jednak — jeśli była taka potrzeba — szybko zmienić nastrój lub temat rozmowy.

— Tak, chodzi tu o całe moje plemię. Chciałem poruszyć z tobą tę sprawę.

— Już to zrobiłeś — Tomisław spróbował się uśmiechnąć — w ostrych słowach.

— Musiałem się poskarżyć, bo nadal są uwięzieni, a słyszałem też, iż niewiasty i dzieci trzymane są oddzielnie od mężów.

— No cóż, ich zachowanie było nieobyčajne. Petar twierdził, że rozmowy o tym zaczęły zagrażać moralności publicznej.

— Jak długo to musi jeszcze trwać? — Wanimen uderzył pięścią w udo. —

Widzę — jakże wyraźnie widzę, wyczuwam, słyszę, czuję ich cierpienie w niewoli.

— Powiedziałem ci, że ban nakazał trzymać ich pod strażą, traktując należycie, tak długo dopóki nie dowie się o nich wszystkiego — odparł

Tomisław. — Myślę, że ten czas jest już bliski. Ty i ja nauczyliśmy się wiele od siebie nawzajem. A teraz, kiedy już znasz chorwacki, możesz sam z nim porozmawiać. Pragnie tego.

Król Liri potrząsnął głową.

— Kiedy? — zapytał z rozpaczą. — Powiedziano mi, że ban jest ciągle zajęty, że przenosi się z miejsca na miejsce, że może nawet odjechać na kilka tygodni. A tymczasem mój lud cierpi katusze. Twój baron może sądzić, że dobrze ich karmi, lecz mój własny brzuch mówi mi, że jem za dużo ziarna i mleka, a za mało ryb. Oni pochorują się — również z braku wody. Na pewno mają jej dość, by zaspokoić pragnienie, ale kiedy po raz ostatni pływali, kiedy przebywali w głębinach?... a do tego przecież zostali stworzeni... Ty pozwalasz mi się odświeżać w tutejszym strumyku, a przecież czuję, jak moje ciało powoli wysycha.

Tomisław skinął głową.

— Wiem, Wanimenie, mój przyjacielu. A czego nie wiem, tego się domyślam. Lecz cóż można na to poradzić?

— Zastanawiałem się nad tym — odrzekł wodnik raźniejszym tonem. —

Niedaleko stąd jest jezioro. Wypuście nas tam. Część z nas, któregoś, dowolnie ustalonego dnia. Reszta będzie zakładnikami i będzie oczekiwać na swą kolej.

Jezioro nie zastąpi nam oczywiście w pełni morza, ale doda nam sił. Zniknie widmo powolnej

śmierci, które zawisło nad nami.

Poza tym dowiedziałem się, że w tym jeziorze nikt nie łowi ryb. My moglibyśmy to robić. Jezioro musi się roić od nich. Nałapałibys' my ich tyle, że moglibyśmy dzielić się z ludźmi. Zwrócilibyśmy koszty naszego utrzymania z nawiązką. Czy to się spodoba twojemu baronowi?

Tomisław ściągnął brwi.

— Mogłoby, gdyby jezioro nie było przeklęte.

— Przeklęte?

— Żyje w nim utopiec, potwór wodny. Opróżniał sieci, które zarzucali tam rybacy. Kiedy wysłano przeciw niemu łodzie ze zbrojnymi, ich broń się go nie miała. Łodzie zatonęły, a nie umiejący pływać dzielni młodzieńcy potopili się.

Raz chłopci chcieli zbudować tutaj młyn, żeby nie wozić ziarna do Skradina. Gdy prawie go ukończyli, utopiec popłynął w górę strumienia i jał się pławić w zasilającym młyn stawie. Wszyscy tak się przerazili, iż sami zniszczyli to, co zbudowali, żeby tylko potwór wrócił do jeziora.

Wanimen przemógł się i zapytał Tomisława:

— Dlaczego ty, będąc kapłanem, nie wypędziłeś go stamtąd?

— Ponieważ wieśniacy nie zgodziliby się na to. Kościół i możni wolą dać posłuch ich życzeniom. Egzorcyzmy przepędziłyby bowiem z okolicy wszystkie istoty z Krainy Czarów, a niektóre z nich, jak wierzą w to tutejsi kmiecie, przynoszą szczęście. Lepiej nie korzystać z jeziora i pozwolić, żeby czasem w puszczy borowiec wyprowadził cię na manowce, a mieć polewika, co zniszczy rdzę na zbożu, skrzata czuwającego nad pomyślnością domu i całej rodziny, oraz kikimorę, która może pomóc przeciążonej pracą niewieście... — Kapłan westchnął. — To pogaństwo, ale nieszkodliwe pogaństwo. Nie przeszkadza prawdziwej wierze wieśniaków i pozwala im wytrwać, choć ich życie pełne jest trosk i nieszczęść. Bogomili wypędzili wszystkie takie przeżytki dawnych czasów, tam gdzie ich sekta ma przewagę, lecz oni są ponurymi, nie znającymi radości ludźmi i nienawidzą świata, który Bóg uczynił dla nas takim pięknym.

Po dłuższej chwili Tomisław dodał głośnym szeptem:

— Tak, to co nawiedza wody i puszcze może również być piękne.

Wanimen prawie go nie usłyszał. Zerwał się na równe nogi i zawołał, wznosząc wysoko pięść, jakby groził gwiazdzie wieczornej:

— Tak, właśnie w tym możemy wam pomóc my, wodnicy! Możemy dać wam dowód naszej dobrej woli! Ja sam stanę na czele oddziału, który przepędzi potwora!

W Hadsundzie mieszkał pewien zamożny handlarz koni, które Duńczycy eksportowali od wielu lat. Nazywał się Aksel Hedebo. W swoim czasie Ingeborga często go odwiedzała. Było wszakże dla niego nie lada zaskoczeniem, gdy zjawiała się któregoś dnia w jego faktorii w towarzystwie młodzieńca o dość prostodusznym obliczu i oznajmiła, że pragnie przeprowadzić z nim poufną rozmowę.

— Zamierzamy prosić cię o pewną przysługę — powiedziała — i chcemy ci ofiarować drobny upominek, aby zjednać sobie twoją przychylność.

Pierścień, który mu pokazała, kryjąc go w dłoni przed wzrokiem praktykantów, nie był błyskotką. Aksel Hedebo ocenił jego wartość na pięć srebrnych marek.

— A więc chodźcie za mną — rzekł z nieruchomą jak maska twarzą i zaprowadził ich do mieszkalnej części budynku, gdzie starannie zamknął za nimi drzwi.

Znaleźli się w wykładanej ciemną boazerią komnacie z masywnymi meblami i wspaniałymi szybami w oknach, które handlarz niezwłocznie zasłonił, dzięki czemu pokój pograżył się w przychylnym wszelkim tajemnicom mroku.

Wziąwszy do ręki pierścień, usiadł przy stole i przyjrzał się wyrytym w złocie osobliwym wzorom.

— Siadajcie! — rzucił. Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak zaproszenie.

Zajęli miejsca na krzesłach. Przyglądali się Akselowi z pewnym niepokojem.

Gospodarz był otyły, miał wydatne usta i gładko wygolone policzki o niebieskawym odcieniu. Jego bogaty strój wydzielał niemiłą woń starego potu.

Po krótkiej chwili podniósł oczy i zwrócił się do Nilsa:

— Coś ty za jeden?

Nils podał swoje imię, miejsce urodzenia i zawód. Kupiec nie spuszczał zeń badawczego wzroku. Zauważył, że podobnie jak Ingeborga gość wyglądał czysto, miał na sobie nowe ubranie, był ponadto starannie uczesany i ogolony. Ale na twarzach obojga widniały jeszcze ciągle, nieco już zatarte, ślady pozostawione przez słońce, wiatr i niedostatek.

— Czego chcecie ode mnie? — zapytał Aksel.

— To długa historia — zaczęła Ingeborga, starannie dobierając słowa. —

Jesteś kupcem, więc sam rozumiesz, dlaczego nie ujawniamy wielu szczegółów.

Krótko mówiąc, chodzi o to, że zdobyliśmy spory majątek i potrzebujemy kogoś, kto pomoże nam dobrze go ulokować. Obecny tu Nils uważa, że postąpimy najrozsądniej kupując udziały we flocie handlowej. Ty zaś masz do czynienia z kapitanami statków, różne kontakty zagraniczne — na pewno z... ze Związkiem Hanzeatyckim, czy tak, Nilsie? Jeśli przyślesz do nas odpowiedniego człowieka,

któremu polecisz, by wykonywał posłusznie nasze polecenia — uśmiechnęła się sztucznie, tak jak robiła to na jarmarku — nie okażemy się skąpcami.

Handlarz szarpnął lok czarnych włosów.

— Podobna propozycja, w ustach kogoś takiego jak wy, brzmi bardzo dziwnie — powiedział bez ogródek.

— Musze więcej wiedzieć o tym wszystkim. Jak wielki jest ten majątek i w jaki sposób go zdobyliście?

Jego spojrzenie powędrowało w stronę wypchanej sakiewki wiszącej u pasa Nilsa. W środku były duńskie pieniądze, co nie powinno wywołać żadnych komentarzy. Ingeborga otrzymała je od znajomego złotnika z Hadsundu, męża, który nie bał się narazić na konflikt z prawem, gdy oferowano mu sprzedaż bryły kruszcu po cenie znacznie niższej od jej wartości. Zarówno ona, jak i Nils mieli przy sobie coś, co było warte znacznie więcej — zaszyte w ubraniu kawałki złota, ale była to rezerwa na wypadek nieprzewidzianych wydatków w najbliższej przyszłości.

Odrzekła więc chłodnym tonem:

— Jego prawdziwa wartość będzie zależała od tego, jak zdołamy go wykorzystać — dlatego właśnie zwracamy się do ciebie po radę. Znaleźliśmy skarb.

Aksel zeszywniał.

— Należy on zatem do Korony! Chcecie, żeby was powieszono?

— Och, nie, to wcale nie tak — zapewniła go Ingeborga. — Pozwól mi wyjaśnić. Na pewno pamiętasz pana Ranilda i jego kogę i wiesz, że w tym roku wyruszył na morze wcześniej niż zwykle, nikomu nie mówiąc o celu podróży, wiesz także, jak sądzę, że odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Nils był

marynarzem na jego statku; mnie także Ranild zabrał ze sobą.

— Co takiego? — zdumiał się kupiec. — No, tak... Ludzie rzeczywiście zastanawiali się, co się stało z Ingeborgą—Dorszem. Ale niewiasta na morzu przynosi nieszczęście.

— Nie! — zaprzeczył gniewnie Nils. Ingeborga uciszyła go jednym gestem i ciągnęła:

— Miał mało ludzi i śpieszył się. A ja mogłam mu się przydać.

— Zapewne! — parsknął śmiechem Aksel.

Nils spiorunował go wzrokiem.

Ingeborga uniosła wyżej głowę.

— Dodam jeszcze — mówiła dalej — że jakiś czas temu dotarli do mnie różne wieści, jak to się nieraz zdarza. Z tego, czego się dowiedziałam, połączonego z tym, co Ranild usłyszał z innego źródła, wynikało, że w pewnym miejscu na oceanie, w starym pogańskim grobowcu ukryty jest skarb. Nie można więc mówić ani o rabunku, ani o świętokradztwie, ani też o odmowie zapłacenia należności koronie. Jednakże złoto obudziło chciwość w sercach marynarzy, poląła się krew, paru zginęło. Pamiętasz chyba, co to byli za zbóje

— poza jednym Nilsem. Później rozszalała się straszna burza. Skończyło się na tym, że spośród wszystkich ludzi, którzy wypłynęli w morze na pokładzie

„Herninga”, ocaleliśmy tylko my dwoje, a statek zatonął. Udało nam się jednak przenieść na brzeg pewną ilość kruszcu i teraz chcemy go wykorzystać.

W komnacie zapadła cisza. Po dłuższej chwili Aksel warknął:

— Czy to prawda?

— Klnę się na wszystkie świętości i gotowa jestem złożyć każdą przysięgę, jakiej zażadasz, że to wszystko prawda od początku do końca — odparła Ingeborga. — Nils przysięgnie także.

Młodzieniec skinął głową.

— Hm, hm — kupiec znów szarpnął kosmyk tłustych włosów. — Opuściłaś ponad połowę tej bajeczki.

— Uprzedziłam cię o tym. Zrobiłam to po to, abyś nie musiał się niepokoić.

— Ingeborga uśmiechnęła się szeroko. — Czy kiedykolwiek opowiedziałeś o mnie swojej małżonce?

Spoważniała znowu i powiedziała głosem, w którym dawało się wyczuć wyraźne napięcie:

— Możesz wiele zyskać przy minimalnym wysiłku i bez żadnego ryzyka. Nie chcemy łamać prawa. Potrzebujemy kogoś, kto nam doradzi, jak tego uniknąć.

Ale byłoby głupotą z naszej strony gadać za wiele, bo ten, kto ma wysoką pozycję i wielkie wpływy, łatwo znajdzie jakiś pretekst, by nas obedrzeć ze skóry.

— Ta—a—ak — zgodził się Aksel — jesteście dostatecznie rozsądni, by zdawać sobie sprawę, że potrzebujecie koniecznie protektora, który was osłoni i wprowadzi w środowisko kupieckie, gdzie będziecie mogli żyć spokojnie i dostatnio. — Zmarszczywszy brwi wpatrzył się w pierścień i jął go obracać na stole przed sobą.

— Hanza! — wykrzyknął Nils. — Ich statki przewożą większość ładunków na całej Północy, prawda? Słyszałem, że należące do tego związku miasta stają się coraz potężniejsze... że czują przed nimi respekt nawet królowie... Czy mógłbym zostać jednym z armatorów?

Handlarz pokręcił głową.

— Mało prawdopodobne, chłopcze. Znam ich dobrze. To chciwe diabły, które zazdrośnie strzegą swojej własności, nie lubią obcych, dbają, by nikt, nawet w najmniejszym stopniu, nie uszczuplił władzy żadnego patrycjusza ani żadnej gildii. Na przykład takie Visby na Gotlandii nadaje kupcom liczne przywileje, ale tylko tym, którzy tam się urodzili. Myślę, że gdybyś udał się do któregoś z tych niekoronowanych książąt, wyciągnąłby on z ciebie wszystko, po czym ograbiłby cię bez skrępowań, a przy okazji także i mnie.

Nils drgnął. Ingeborga przykryła dłonią jego dłoń.

— Przecież musi być jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli się udać! —

zaprotestował.

— Kto wie, może jest, może jest — powiedział w zamyśleniu Aksel. —

Zaskoczyliście mnie. Daj mi pomyśleć... — Wprawił pierścień w ruch obrotowy. Jego furkotanie wydawało się nienaturalnie głośnie — Hm-m...

Kopenhaga... duży port morski... lenno biskupa Roskilde, który nie pozwala, żeby zapuściła tam korzenie jakakolwiek gildia... tak, każdy mieszczuch wykonuje swój zawód na podstawie koncesji uzyskanej od władz miasta...

Może właśnie... Niewiele wiem ponadto, ponieważ mało mego towaru tam wędruje.

— Sam widzisz — oświadczyła Ingeborga — że jeśli zechcesz, może nam pomóc. Rozważ wszystko bez pośpiechu. Jak cię znam, najpierw zaczniesz targować się o zapłatę.

Kupiec podniósł głowę. Jego twarz stężała gwałtownie.

— A skąd masz pewność, że tak zrobię?

— O co ci chodzi? — spytała Ingeborga. Nils pobladł gwałtownie.

— Nie powiedzieliście mi właściwie prawie nic, a i to, co usłyszałem, na pewno jest tylko stekiem kłamstw.

— Przysięgniemy na Boga, że mówimy prawdę.

— Nie wątpię, że krzywoprzysięstwo byłoby najłżejszym z twoich grzechów, Ingeborgo, zwana Dorszem.

— Aksel wydał wargi w ironicznym grymasie. — Ta historyjka wydaje mi się niewiarygodna. Na pewno znaleźliście skarb tu, w Danii — chyba że dokonaliście morderstwa na morzu — a za to również grozi szubienica. Chcecie mnie pociągnąć za sobą? Muszę być ostrożny.

— A więc wolisz udawać tchórza! — rzuciła Ingeborga w odpowiedzi.

— Jestem prawomyślnym mężem, który ma na utrzymaniu rodzinę.

— Łżesz jak pies! Powiedziałam, że udajesz tchórza niczym wędrowny komediant. Znam cię, znam doskonale ludzi twego pokroju — odparła szyderczo niewiasta.

— Postanowiłeś sam nas ograbić. Nie uda ci się to. Powiedz wyraźnie, że ta sprawa cię nie interesuje, poszukamy sobie wtedy kogoś innego, albo układaj się z nami jak przyzwoity łajdak.

Nils poruszył się i oparł dłoń na rękojeści marynarskiego kordelasa.

Kupiec uśmiechnął się nieszczerze:

— Och, moja droga, to tylko dlatego, że nie chce igrać z katem. Musze mieć pewność — na początek chciałbym rzucić okiem na ten skarb.

Ingeborga podniosła się z krzesła.

— Chodźmy, Nilsie. Nic tu po nas — powiedziała.

— Zaczekajcie — Aksel nie tracił spokoju. — Usiądź. Porozmawiajmy.

Ingeborga pokręciła głową.

— Przez te wszystkie lata wyrobiłam sobie niezłego nosa — wyczuwam natychmiast zdradę. Idziemy, Nilsie.

Młodzieniec wstał, a w tej samej chwili Aksel uniósł rękę w górę.

— Powiedziałem: „czekajcie” — wycedził przez zęby. — Czy mam zawołać moich terminatorów, żeby was pojмали?

— To wam się na pewno nie uda! — wrzasnął Nils.

Ingeborga uciszyła go.

— Co masz na myśli? — zapytała chłodno.

— A to — odrzekł kupiec z uśmiechem. — Podejrzewam, że albo wzięliście udział w pirackim napadzie, albo ukradliście królewską własność. Pewne jest, że nawet nie zastanowiliście się nad tym, jaki podatek powinniście zapłacić od owego zysku. Jesteście nędzarzami i nie macie rodzin. Mnie zaś Bóg wyznaczył

wyższą godność, mam więc znacznie więcej do stracenia. Nie zamierzam ryzykować, że zostanę zrujnowany, jeśli stawka ma być mniejsza niż cały skarb.

Nils i Ingeborga zamarli z wrażenia. Kupiec dodał:

— Oczywiście dałbym wam coś za fatygę.

Tamci dwoje nadal milczeli. Aksel spochmurniał i uderzył ręką w stół.

— A więc dobrze — powiedział. — Żeby sprawa była zupełnie jasna: ja nie zamierzałem zostać waszym wspólnikiem. Zadałem wam tylko parę pytań, żeby się przekonać, co mi odpowiecie. Moim obowiązkiem jest donieść o wszystkim

— nie, nie wójtowi, ale samemu baronowi. A na razie muszę oczywiście przeszkodzić wam w ucieczce, czyż nie tak?

Dobrze się zastanówcie. Słyszałem, że kat junkra Falkvora jest bieglejszy w swym rzemiośle od innych. Wyciśnie z was, a raczej z tego, co z was pozostanie, całą historię dla swego pana.

— A ty bez wątpienia otrzymasz sowitą nagrodę — rzuciła szyderczo Ingeborga.

— Tak mi nakazuje ostrożność — ciągnął kupiec.

— Będzie mi trochę żal, bo zachowałem miłe wspomnienie o tobie, Ingeborgo, a twój towarzysz ma jeszcze przed sobą całe życie. Lepiej więc usiądźcie i posłuchajcie głosu rozsądku.

— Nilsie — odezwała się Ingeborga.

Jej przyjaciel zrozumiał. Wyciągnął nóż, który wydawał się ogromny w pogrążonej w mroku komnacie.

— Idziemy! — rzucił ostro. — Wyprowadzisz nas stąd. Jeśli będą jakieś kłopoty, umrzesz pierwszy. Wstawaj!

Pobladły nagle Aksel podniósł się z krzesła. Nie miał już przed sobą niedorosłego młodzika. Nils wsunął kordelas do pochwy, lecz nie zdejmował

dłoni z jego rękojeści. Ingeborga wrzuciła pierścień za pazuchę.

Wyszli we troje. Na jednej z uliczek, w znacznej odległości od domu Aksela, Nils uwolnił kupca. Kiedy tamten, potykając się, ruszył z powrotem, Ingeborga powiedziała z goryczą:

— Myślałam, że jest najmniej przewrotny z całej tej zgrai. Gdzie mamy szukać miłosierdzia wśród chrześcijan?

— Lepiej uchodźmy stąd, zanim narobi krzyku — ostrzegł Nils.

Okrężną drogą wrócili na przystań nad Fiordem Mariagerskim. Stał tam na kotwicy mały statek i czekał na odpływ, żeby wyruszyć ku portom położonym w cieśninie Sund. Nils i Ingeborga już wcześniej zapłacili za podróż i przynieśli na pokład niezbędne bagaże. Ta przezorność okazała się teraz bardzo pożyteczna. A ponieważ dołożyli jeszcze kapitanowi sumę wystarczającą, by mógł pić za ich zdrowie przez całą noc, więc pozwolił im odpoczywać w swojej kajucie do chwili wyjścia w

morze.

III

Księżyc w lisiej czapie wisiał wysoko na niebie. Zalane jego poświatą wierzchołki drzew otaczających jezioro wyglądały jak pokryte szronem, niewielkie fale srebrzyły się w delikatnym blasku. Zimny jesienny powiew szedł

od wody, szeleszcząc w umierających liściach.

Utopiec wynurzył się na powierzchnię jeziora i popłynął w stronę brzegu.

Starzał się, kiedy księżyc ubywało, i młodniał, gdy przybywało. Tej nocy był

pełen sił i dręczył go nieznośny głód. Jego wielkie jak trzy rumaki bojowe, ciało, porośnięte mchem i roślinami wodnymi, nie różniłoby się wcale od ludzkiego, gdyby nie gruby ogon, stopy o długich palcach złączonych błoną pławną i pazurzaste ręce. Twarz była płaska, gęsta szczcę otaczała przepastną szczękę. Oczy żarzyły się jak rozpalone węgle.

Dotknawszy brzuchem ziemi, utopiec zatrzymał się. Z mroku zalegającego pod drzewami dobiegł go szelest rozchylanych gałęzi krzewów i odgłos kroków.

Bez względu na to, czego ludzie mogliby tutaj szukać o tej porze, któryś z nich, być może, okaże się na tyle nieostrożny, że wejdzie do wody. Utopiec zastygł

więc niby skała. Srebrzyste zmarszczki, które wywołał na wodzie, już się wygładziły.

Jakiś kształt wychynął z cienia i zawisł nad brzegiem jeziora: wyprostowany, smukły i biały jak księżycowa poświata. W ciszy zadźwięczał perlisty śmiech:

— Ach, ty głuptasie! Pokażę ci, jak należy się czaić!

— Szybko jak wiatr wzleciał na pobliski dąb. — Nakarmię cię! — Żołędzie poleciały w dół, odbijając się od cielska potwora.

Gniewne stęknienie utopca zabrzmiało niczym daleki pogłos gromu. Przez ostatnie trzy lata wiła dokuczła mu nieustannie. Raz nawet wyczołgał się kilka nędznych jardów na brzeg starając się ją schwytać, lecz wyśmiała go tylko.

Niebawem opuści las, by spędzić zimę w wodach jeziora i rzeki, ale to w niczym nie pomagało monstrualnemu mieszkańcowi głębin. Chociaż pod wpływem zimna wiła stawała się senna, nigdy nie była jednak ani na tyle nieostrożna, ani powolna, żeby mógł ją dopaść. Zresztą w chwilach gdy nie doprowadzała go do wściekłości, niejasno wyczuwał, iż nie byłby w stanie nic zrobić takiej zjawie. Jednakże kiedy spotykali się zimą, złośnica pozdrawiała go tylko niemrawo jak lunatyczka, i to było wszystko, co zyskiwał, gdy chodzi o nią, o tej porze roku.

— Wiem! — zawołała. — Masz nadzieję schwytać smacznego, soczystego człowieka. Ale nic z tego!

— Gestem dłoni obudziła lekki wiatr, który zawirował wokół utoPCA. — Ci podróżni należą do mnie.
— Nastrój wily zmienił się momentalnie i wiatr ucichł. — Tylko czemu chodzą po nocy? —

zapytała samą siebie ze zdumieniem.

— I nie przynieśli ognia, żeby lepiej widzieć. Ludzie mieliby ogień — czyż nie tak? Nie mogę sobie przypomnieć...

Usadowiła się wysoko na gałęzi, objęła ramionami kolana i poczęła kołysać się tam i z powrotem, pozwalając igrać ze swymi bladymi jak obłok włosami wietrzykowi, który muskał lekko kędziory nocnych wędrowców. Nagle zawołała:

— Ależ oni nie są ludźmi!... Większość z nich... naprawdę nie są... —

Wspięła się wyżej i ukryła wśród liści.

Utopiec odprowadził ją spojrzeniem, syknął, zgarbił się i czekał.

Wodnicy wyszli z lasu. Było ich około dwudziestu, Wanimen kroczył na czele. Nie mieli na sobie żadnej odzieży, jedynie pasy ze sztyletami, w rękach trzymali harpuny i sieci przyłączone do metalowych obręczy. W grupie sześciu ludzi, którzy mieli obserwować polowanie, był także Iwan Subitij. Prowadzeni w mroku przez obdarzonych czarodziejskim wzrokiem towarzyszy potykali się co chwila. Gdy zniecka oślepił ich blask księżyca, zaczęli gwałtownie mrugać oczami.

— Jest tam! — zawołał Wanimen. — Znaleźliśmy go! Byłem pewien, że brak ognia ułatwi nam poszukiwania.

Iwan wyteżył wzrok i zapytał:

— Czy to głaz?

— Nie, przyjrzyj się uważniej, zauważysz czerwone oczy. — Wanimen podniósł harpun i krzyknął coś w swoim języku.

Wodnicy z pluskiem weszli do jeziora. Rycząc z radości, połyskując kłami, utopiec rzucił się na najbliższego. Ten wymknął mu się zwinnie. Skoczył w stronę innego i też nie zdołał go schwycić.

Teraz zarówno on, jak i przybysze unosili się na wodzie. Wodnicy otoczyli potwora ciasnym kręgiem, szydzieli zeń głośno i kłuli go harpunami. Utopiec dał

nurka. Poszli jego śladem.

Na kilka chwil woda zakotłowała się i zmętniała.

Później zapadła cisza, jezioro się uspokoiło, a niebiosa znów pogrzyły w lodowatych snach. Głos któregoś z żołnierzy jakby zagubił się wśród tego ogromu:

— Walka toczy się zbyt głęboko, żebyśmy mogli coś zobaczyć.

— Jeżeli to jest walka — odparł inny żołnierz. — Ten stwór pozostanie nieśmiertelny aż do Sądnego Dnia. Żelazo się go nie ima. Cóż mogą mu zrobić twoi niesamowici myśliwi, panie?

— Ich przywódca opisał mi kilka sposobów, jakimi zamierza się posłużyć —

odrzekł Iwan. Nie miał w zwyczaju zwierzać się podwładnym. — Sam wybierze ten, który okaże się najlepszy.

— Chyba, że potwór wymorduje jego drużynę — odezwał się trzeci. — I co wtedy?

— Wtedy zaczekamy, aż nadejdzie świt, i bez trudu będziemy mogli odnaleźć drogę do domu — oznajmił żupan.

— Ta bestia nie może nas tu schwytać.

— Tylko że gdzieś tutaj podobno jest jeszcze coś.

— Drugi żołnierz rozejrzał się dokoła. Promienie księżyca migotały na białkach jego oczu, tak iż sprawiał wrażenie ślepego.

Iwan podniósł krzyż, który nosił na szyi. Górski kryształ przykrywał

wydrążony w nim otwór.

— Jest tu kość z palca świętego Marcina — oznajmił.

— Módlmy się jak prawdziwi chrześcijanie, a żadne ciemne moce nie zdołają nam zagrozić.

— Twój syn Michajło myślał inaczej — odważył się mruknąć inny żołnierz.

Żupan usłyszał to i spoliczkował zuchwalca. Odgłos uderzeń odbił się głośnym echem. „Trzymaj język za zębami, niedołęgo!” — rzucił gniewnie Iwan. Pozostali żołnierze przeżegnali się pośpiesznie obawiając się, że taka kłótnia źle wróży.

Wolno pełzły godziny. Mróz tężał. Czekający w napięciu ludzie drżeli z zimna, tupali, kryli dłonie pod pachami. Ich oddechy unosiły się ku górze niczym kłęby dymu. Coś białego poruszyło się niespokojnie na szczycie wielkiego dębu, lecz nikt nie zadał sobie trudu, by podejść bliżej i przyjrzeć się temu uważniej.

Księżyc już zachodził, gdy naraz donośny okrzyk wydarł im się z piersi.

Czarna plama zmąciła srebrzystą gładź jeziora. Jakiś odrażający kształt zaczął

się przesuwać w stronę brzegu, a gdy zatrzymał się w pewnej odległości od nich, spostrzegli, że wodnicy otaczają utopca ciasnym kręgiem.

Wanimen podpłynął do mielizny, dotknął nogami dna, wyprostował się i podszedł do ludzi. Woda ściekająca z jego ciała połyskiwała niczym żywe srebro. Promieniał dumą jak wschodzące właśnie słońce.

— Zwyciężyliśmy! — obwieścił.

— Bogu niech będą dzięki! — ucieszył się Iwan. W następnej chwili stał się znowu rozsądnym, trzeźwo myślącym wojownikiem. — Czy jesteś tego pewien? Co z nim zrobiłeś? Co teraz nastąpi?

Wanimen skrzyżował ramiona na piersi i roześmiał się pogodnie.

— Moglibyśmy go zabić — rzekł. — Lecz właśnie tej nocy, kiedy był

najsilniejszy, prześcignęliśmy go w pływaniu. Nasza broń zadawała mu ból.

Nikogo z nas nie pochwycił, my tymczasem dręczyliśmy go tak długo, że nie potrafił już tego znieść. Pokazaliśmy mu też, jak łapiemy ryby. I w tym również nie zdołał nam dorównać. Możemy je złapać wcześniej niż on, odstraszyć je i skazać go na głód.

Wreszcie powiadomiliśmy go za pomocą czaru umożliwiającego zrozumienie, że zamierzamy robić to tak długo, jak będzie potrzeba. Niech sobie lepiej zaoszczędzi niepotrzebnych mąk i odpłynie stąd. Będziemy eskortowali go w górę rzeki poza wasze miasto, a później puścimy wolno, by powędrował w nie zamieszkałe górskie regiony. Już nigdy więcej nie przysporzy wam trosk.

Iwan pochwycił go w objęcia. Żołnierze wznieśli radosny okrzyk na cześć zwycięzców. Wodnicy odpowiedzieli donośnie z jeziora. Utopiec rozmyślał o czymś z ponurą miną.

— Idźcie wzdłuż brzegu — poradził ludziom Wanimen.

— Będziemy prowadzili go tak, by pozostawał w zasięgu waszego wzroku.

— Odwrócił się, chcąc dołączyć do swych współplemieńców.

Biały kształt spłynął w dół między więdnącymi liśćmi. Wiele z nich posypało się w dół, kiedy zeskoczył na ziemię z najniższej gałęzi.

— Och, nie! — zaśpiewał. — Czyżbyście chcieli wypędzić stąd biednego starego brzydala? To jego dom. Jezioro stanie się bez niego bardzo puste, a gdy zniknie stąd dziw, z kim będę się bawiła?

Wanimen zobaczył zwiewną postać tańczącą nad oszronioną trawą, postać nagiej dziewczyny, ślicznej jak malowanie, ale bezbarwnej, niemal przezroczystej. Ani z jej nozdrzy, ani z ust nie wypływała mgiełka oddechu.

— Rusalka! — wrzasnął i uciekł do jeziora.

Dziwna istota zatrzymała się.

— Kim jesteś? — zapytała żupana wysokim, słodkim głosem. — Czy powinnam cię pamiętać?

Iwan wzdrygnął się, zimny pot wystąpił mu na czoło. Na jego twarzy, kiedy ruszył w stronę wiły, malowały się raczej gniew i nienawiść niż strach.

— Demonie piekielny, zły duchu, gubicielko dusz! — zawołał przeraźliwie.

— Idź precz! Wracaj do grobu, wracaj do piekła!

Zamachnął się mieczem, lecz, o dziwo, broń nie uderzyła. Wiła podniosła ręce do góry.

— Dlaczego się gniewasz? Nie gniewaj się — poprosiła. — Zostań. Jesteś taki ciepły, a ja czuję się bardzo samotna.

Żupan wypuścił miecz z ręki i podniósł krzyż.

— Odejdź stąd w imię Trójcy Przenajświętszej i świętego Marcina, którego sztandar nosił w boju święty Stefan — odejdź!

Wiła odwróciła się i pobiegła w las. Usłyszeli jej płacz, który po chwili zamienił się w śmiech, a wkrótce potem nie było już śladu po niej.

W Skradinie rozdzwoniły się wszystkie dzwony. Mieszkańcy miasta jęli się przygotowywać do hucznego święta: zaczęło się ono po południu i przeciągnęło aż do wieczora.

Obudzeni przed świtem mieszkańcy ujrzeli przerażający widok: utopca krocącego przez miasto pod strażą wodników. Wydawało się, że na chwilę cały świat — zamek, kościół, samo miasto, domy, pola, odwieczny porządek dnia i czas mierzony od Wielkanocy do Wielkanocy — rozsunał się jak zasłona i ludzie zobaczyli na mgnienie oka to, co przed nimi ukrywał: nie było to przytulne Niebo, lecz odwieczna niepokonana, dzika natura.

Wczesnym rankiem, gdy myśliwi Wanimena wrócili z żupanem i jego żołnierzami, zapomniano o strachu. Zaczęto rozmawiać o połowach. To prawda, że puszcza stanowiła nadal teren niebezpieczny i było rzeczą pewną, że zanim zostanie wykarczowana, musi jeszcze upłynąć wiele stuleci. Ale każdego roku wyrąbywano spore jej połacie, rosła powierzchnia pól uprawnych i liczba domów; przetrzebiono też knieję na znacznej części brzegu jeziora. Po wypędzeniu utopca można będzie bezpiecznie wypływać stamtąd łodziami —

tylko, że nie należy zbliżać się zbyt do brzegu w miejscach wciąż jeszcze porośniętych lasem.

Żupan potwierdził dobre wieści. Widział, jak utopiec rozstał się ze zwycięskimi wodnikami i powoli ruszył w górę rzeki, dysząc ciężko, czasem płynąc, czasem przedzierając się przez ostre skały, aż wreszcie zniknął w oddali.

Wyglądał na załamane. Możliwe, że zginie na długo przed nadejściem dnia Sądu Ostatecznego; beznadziejność położenia może go skłonić do rozstania się z życiem.

Ojciec Petar odprawił dziękczynną mszę z nieco kwaśną miną. Później rozpoczęła się zabawa. Pobliska łąka wypełniła się tłumem mężów i niewiast w świątecznych strojach, wyszywanych kaftanach, luźnych koszulach i szerokich spódnicach odsłaniających kostkę w tańcu. Wół piekł się nad wielkim ogniskiem, z zawieszonych nad mniejszymi płomieniami kotłów rozchodziły się smakowite zapachy, a z beczek płynęły strumienie piwa, miodu pitnego i wina.

Dudy, flety, rogi, bębny i jednostrunne skrzypce rozbrzmiewały wesoło wśród wrzawy.

Wygnańcy z Lirii krążyli swobodnie pomiędzy wieśniakami. Iwan Subitij uwolnił ich na własną odpowiedzialność. Nie obawiał się, że mogą nie dotrzymać słowa i umknąć. Dzisiaj wszyscy okazywali im sympatię i przyjaźń, ich przyszłość rysowała się pomyślnie. Kierując się względami przyzwoitości, żupan polecił im się ubrać. Większość, z konieczności przyodziła się w pożyczone, stare i nie dopasowane stroje, na co zresztą nie zwracali niemal uwagi, uszczęśliwieni, że są znowu razem. W dodatku ubrania te łatwo można było zrzucić, gdy mąż z niewiastą opuściwszy wioskę kryli się w krzakach lub na zadrzewionym brzegu rzeki.

Najbardziej się cieszył i najgłośniej objawiał swą radość ojciec Tomisław.

Przybył do Skradina razem z Wanimenem po tym, jak Iwan zaaprobował

pomysł wodnika, i postanowił wziąć osobiście udział w wyprawie na utopia — z wielkim trudem udało się żupanowi odwieść go od tego zamiaru. Teraz, kiedy mężowie wzięli się za ręce otoczywszy jeden z kotłów, żeby zatańczyć „koło”, jego energia pobudzała wszystkich do płasów. „Hej, hop! Wyżej nogę! Skacz jak Dawid przed Panem!” — wołał. — „Ach, to wy, moje drogie! — krzyknął

mijając śliczne dziewczęta — poczekajcie tylko, aż ustawimy się szeregiem!” Wanimen i Mejwa wynagrodzili sobie długą rozłąkę.

Weszli na łąkę, kiedy „koło” się kończyło. Luka, syn Iwana, przepchnął się przez tłum, by ich powitać. Jaskrawy strój smukłego młodzieńca dziwnie kontrastował z jego poważną, pełną zadumy twarzą. Od początku ogromnie polubił wodników, bardzo pragnął poznać ich jak najlepiej i ciągle się domagał, aby ich lepiej traktowano. Teraz zbliżył się do Wanimena z wyrazem uwielbienia na twarzy — wyczyn króla Liri wzbudził w nim olbrzymi podziw.

— Witaj — odezwał się przekrzykując wrzawę. — Masz ponurą minę, choć powinieneś się radować. Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Dziękuję, ale obawiam się, że to niemożliwe — odparł Wanimen.

— Co się stało?

— Porozmawiam o tym później z twoim ojcem. Nie chcę psuć twojej radości.

— Nie, proszę cię, powiedz mi, o co chodzi. Może potrafiłbym coś zrobić.

— No cóż — zdecydował się Wanimen. Mejwa, która jeszcze nie mówiła po chorwacku, odsunęła się dyskretnie na bok. — No cóż, skoro tego chcesz, Luko.

Czy słyszałeś, że spotkaliśmy nad jeziorem rusałkę?

Młodzik zamrugał oczami.

— Co powiedziałaś?

— Rusałkę — powtórzył wodnik. — Ducha dziewczyny, nawiedzającego miejsce, w którym się utopiła.

— Och... — Oczy Luki rozwarły się szerzej, oddech zamarł mu w piersi. —

Wię. Widziałeś ją...? — Urwał. — Nie, nie słyszałem. O podobnych sprawach ludzie nie lubią mówić.

— Czy „wiła” to nazwa u was przyjęta? — zapytał chłodno Wanimen. — Już raz miałem do czynienia z jej siostrzycą, daleko na Północy. Dlatego zorientowałem się od razu, kim jest. Przeraziłem się i uciekłem. Teraz dręczy mnie wstyd. Twój ojciec ją przepędził, ale kiedy później starałem mu się wyjaśnić, dlaczego nagle opuściła mnie odwaga, powiedział, że wolałby o tym nie rozmawiać. Luka skinął głową i odparł:

— Tak, on ma swoje powody. Myślę jednak, że cię wysłucha, jeśli będziesz nalegał. Wszyscy o tym wiedzą... to ponura, ale nie haniebna sprawa.

— Taka... wiła... szydzi z naszego zwycięstwa — powiedział Wanimen. —

Słyszałem, jak wieśniacy gadali o połowach i o tym, że moje plemię miałyby im pomagać. Czy postradali zmysły? Utopiec mógłby ich tylko po prostu pożreć.

Czy nie boją się tego, co robi z nimi wiła?

— A cóż takiego mogłaby zrobić? — zapytał ze zdziwieniem Luka. — Płata tylko nieszkodliwe figle, psoci tak jak borowiec — nasyla wiatr, który zdmuchuje pranie z trawy, zabierze czasem niemowlę matce, kiedy ta nie patrzy, ale zaraz potem je oddaje — poza tym piołun nie pozwala jej podejść bliżej.

Mąż, który uległby jej urokowi, popełniłby z pewnością grzech śmiertelny. Ale na to nikt sobie nie pozwoli, nie wydaje się też, żeby kiedykolwiek próbowała kogoś kusić w ten sposób. Przecież duch jest przerażający z samej swej natury.

Wiem o tym, panie, chociaż wolałbym tego nie wiedzieć.

Wodnik obrzucił go uważnym spojrzeniem i zapytał:

— Skąd?

Mimo iż słońce świeciło jasno, a muzyka rozbrzmiewała głośno i wesoło, Luka zadrżał.

— Dwa lata temu byłem z bratem na owym polowaniu, kiedy to odnalazła go... Ja także zobaczyłem jej twarz, twarz Nady, która utopiła się rok wcześniej...

Czyjaś ręka schwyciła go za kark i rzuciła na ziemię.

— Kłamiesz! — wrzasnął ojciec Tomisław. Podszedł nie zauważony i wszystko usłyszał. — Kłamiesz, tak jak tamci wszyscy!

Na łące zapadła nagle cisza. Stary ksiądz stał przez chwilę nieruchomo nad rozciągniętym na murawie chłopcem, potem odzyskał panowanie nad sobą.

— Nie, nie kłamiesz, wierzę, że nie kłamiesz — powiedział ochryple. —

Zwiodło cię przypadkowe podobieństwo lub może były to diabelskie sztuczki.

Przykro mi, Luko, wybaczone, proszę, ten wybuch. — Przebiegł spojrzeniem po twarzach stojących wokół osób. Łzy płynęły mu z oczu. — Moja córka nie była samobójczynią — chry—piał. — Nie jest duszą potępioną. Spoczywa w Szibeniku, w poświęconej ziemi. Jej, jej dusza jest... w... Raju...

Ruszył naprzód chwiejnym krokiem. Tłum rozstąpił się, żeby go przepuścić.

* * *

Nocny wiatr wył przeciągle i chłostał deszczem ściany zamku. Chłód wypełzał z kamieni i przenikał przez gobeliny, mrok czaił się wokół lampy.

Iwan Subitij siedział przy stole, naprzeciw Wanimena z Liri. Odesłał służbę, nakazał jednak pozostać żonie. Siedziała w kącie, grzejąc się przy piecyku, dopóki nie dał znaku, żeby dołała im wina.

— Tak — odezwał się żupan. — Lepiej opowiem ci o wszystkim, bo inaczej będziesz unikał jeziora, a tego bym nie chciał, gdyż mam nadzieję, że osiedlicie się wśród nas i pomożecie się nam wzbogacić dzięki swoim umiejętnościom w dziedzinie rybołówstwa. Zresztą w tym, co się wydarzyło, nie ma nic takiego, co przyniosłoby ujmę memu rodowi, naprawdę nic. Pozostał mi tylko żal —

westchnął. — Nie, to nie żal, lecz zawiedzione nadzieje, chociaż dobrze wiem, iż nie powinienem tak na to patrzeć.

Pogładził bliźnię szpecącą jego oblicze i ciągnął:

— Ty również nie masz się czego wstydzić, Wanienie, że przed nią uciekłeś, jeżeli podobne do niej istoty na Północy są tak straszne, jak powiedziałeś. Mógłbym opowiedzieć ci także wiele okropnych historii, które zamierzam zabrać ze sobą do grobu, mimo że uważam się za odważnego męża.

Lecz — nie wiem dlaczego, może różnimy się od Rusów w jakiś sposób i ta różnica utrzymuje się nawet po śmierci... jakby tam zresztą nie było, wiła nie jest przerażającym stworem, takim jak, wedle twoich słów, rusałka. Och, oczywiście jakiś mąż, który byłby tak nierozsądny, że poszedłby za nią...

mógłby stracić duszę, ale ty... — Iwan urwał.

Wodnik uśmiechnął się chłodno.

Żupan wypił łyk wina, po czym powiedział pośpiesznie:

— Mam do Nady żal o to, że z jej powodu mój najstarszy syn wyrzekł się świata. No cóż, tak myślę, że to przez nią się stało, lecz mogę się mylić. Któż poza Bogiem zna tajniki ludzkiego serca? Michajło był tak pełnym życia młodzieńcem. Wydawało mi się, że się w nim odrodziłem. A teraz przebywa w klasztorze. Nie powinienem tego żałować, prawda? W ten sposób łatwiej osiągnie zbawienie. To właśnie Luka o wiele bardziej zawsze niż Michajło zdawał się być stworzonym na mnicha i to on odziedziczy... Nie, nie odziedziczy, ponieważ żupana wybierają równi mu stanem rodowcy albo mianuje go król, oni zaś szybko się zorientują, że Luka nie ma w sobie rycerskiego ducha.

Przytknęli kielichy do ust i przez jakiś czas tylko burza miała głos. W końcu Wanimen zapytał cicho:

— Czy ta wiła rzeczywiście była kiedyś córką Tomisława?

— On nie może znieść tej myśli — odrzekł Iwan — i ci, którzy go kochają, nie mówią o tym w jego obecności. Wybaczylem mu to, jak postąpił dzisiaj z moim synem. Zresztą nie wyrządził mu krzywdy. A Luka powinien był bardziej uważać na to, co mówi.

Niemniej jednak... no dobrze, opowiem ci to, o czym wszyscy tutaj wiedzą.

Może ty, który pochodzisz z Krainy Czarów, zdołasz lepiej osądzić tę sprawę niż my, ludzie.

Musisz wiedzieć, iż Sena, żona Tomisława, była nieszczęśliwa od urodzenia.

Jej ojciec był bękartem mojego poprzednika, spłodzonym z chłopką pańszczyźnianą o niezwyklej, jak mówią, urodzie. Ów żupan wyzwolił syna i ten został gęślarzem — wędrownym muzykantem i nicponiem — a w końcu —

co wywołało ogromną sensację w okolicy — przywiózł do domu małżonkę z ludu Cyganów, pozbawionych ojczyzny pogan, którzy ostatnimi laty licznie tutaj napływali. Ona sama była oczywiście chrześcijanką, chociaż nie wiadomo w jakim stopniu naprawdę się nawróciła.

Oboje umarli młodo na jakąś chorobę. Ich córkę, Senę, wychowywali krewni, którzy — to muszę

podkreślić

— zawsze tłumaczyli wszystkie jej dziecięce przewinienia pochodzeniem dziewczynki. Często zastanawiałem się, czy Tomisław prosząc o jej rękę, nie powodował się w tej samej mierze litością, co podziwem dla jej urody.

Słyszałeś o nieszczęściach, które na nich spadły. W jakiś czas po urodzeniu Nady, Sena pogrążyła się w dziwnym odrętwieniu i pozostała już w tym stanie aż do śmierci. Jakie wspomnienia o swej matce mogła zachować ta dziewczyna?

W dość przypadkowy sposób Nada dowiedziała się od sąsiadek tego, o czym powinna wiedzieć każda niewiasta. Tomisław przelał na córkę całą swoją miłość, bo ona jedna mu pozostała, ale co dobrego może dziać się mąż?

Niewykluczone, że zwierzał się jej częściej i szczerzej niż powinien — kapłan zna nieszczęścia trapiące wielu ludzi — skutkiem czego zbyt wcześnie zrozumiała, iż świat jest w istocie doliną pełną łez. Nie wiem. Jestem tylko żołnierzem, Wanimenie.

Iwan wypił znowu łyk, polecił żonie dolać wina i siedział chwilę w milczeniu, zanim podjął swą opowieść.

— Ja sam dobrze pamiętam Nade. Jako żupan wiele podróżuję po kraju, żeby wiedzieć na bieżąco, co robią i jak postępują kneziowie (sędziowie wiejscy), księża oraz niektóre inne osoby. Poza tym Tomisław przyprawdzał do Skradina swoją rodzinę tak często, jak tylko mógł, na przykład zawsze w dni targowe.

Wprawdzie nie mamy tutaj odpowiedniego placu targowego, ale mimo to wieśniacy spotykają się regularnie, żeby sprzedawać i kupować. Przypuszczam, że choć w części chciał uśmierzyć niepokój swoich starszych dzieci i zaspokoić ich ciekawość świata.

Och, Nada wyrosła na prawdziwą piękność! Słyszałem też, że była bystra i dobra, nawet w stosunku do zwierząt. Widywałem ją nieraz roześmianą i figlarną, choć bywała też niekiedy skryta, milcząca i smutna bez powodu.

Myślę, że dlatego nie miała konkurentów, chociaż młodzieńcy radzi z nią tańczyli i żartowali, jeżeli była w dobrym nastroju; w dodatku dostałaby bardzo mały posag. Miała też zbyt szczupłą figurę. Czy potrafiłaby rodić jedno dziecko po drugim, żeby zapewnić rodowi przetrwanie? Ojcowie musieli brać to pod uwagę, nawet gdyby synowie nie przywiązywali na razie zbyt wielkiej wagi do tej sprawy.

Żupan przełknął ślinę, odstawił kielich i wpatrzył się w zamknięte okiennice, jakby chciał przebić je wzrokiem i rozpląnąć się gdzieś w deszczu.

— No cóż — odezwał się po chwili — teraz dotarłem do tego, o czym trudno mi będzie opowiedzieć. Postaram się z tym uporać możliwie szybko.

Nada rozkwitła jak róża. Kiedy Michajło, mój starszy syn, przyjechał do domu w odwiedzinach i zobaczył ją tu, w Skradinie, od razu zaczął się do niej zalecać. Przyjeżdżał często do jej zadruży, a

czy Tomisław mógł odmówić mu gościny? Michajło umiał tak pokierować sprawami, że dziewczyna nieraz pojawiała się w Skradinie z okazji tego lub innego święta — och, wszystko było niby jak należy, ale Michajło pragnął jej i postanowił ją zdobyć.

Mój starszy syn był... jest... czarującym człowiekiem. Dwaj bracia i siostra Nady wyfrunęli z rodzinnego gniazda, a i do niej samej dotarły niewątpliwie jakieś wiadomości o wielkim świecie, gdzie może zyskałaby większą swobodę wyboru i nie musiałaby zostać albo służącą, albo mniszką... Nie wiem. Wiem tylko, że jej ojciec, Tomisław, przyszedł do mnie pewnego dnia i zapytał, czy Michajło zamierza się z nią ożenić.

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Znałem mojego chłopaka. Wiedziałem, że jeśli się kiedyś ożeni, zrobi to tylko po to, żeby coś na tym zyskać, a przedtem i potem chciał się zabawiać. Tomisław podziękował mi za szczerłość i oświadczył, że tych dwoje musi przestać się widywać ze sobą. Zgodziłem się, ponieważ go szanowałem. Michajło najpierw pokłócił się ze mną, ale w końcu obiecał mi, że spełni moją wolę. Nada nie znaczyła dla niego tak wiele.

— Lecz on dla niej... — szepnął wodnik. — A jej ojciec... jego także musiała kochać. Melancholia owładnęła nią w chwili, gdy jej serce zostało rozdarte...

— Znalaziono ją utopioną w jeziorze — przerwał szorstko żupan. — Wydaje się, że od tej pory ciągle je nawiedza. Ale wy, wodnicy, nie musicie jej się obawiać. Czy musimy dłużej zawracać sobie głowę tą ponurą historyjką? —

Podniósł kielich pełen wina. — Och, lepiej upijmy się razem.

* * *

Rankiem Tomisław powędrował do domu. Przedtem przyszedł pożegnać się z Wanimenem.

Wstawał świt, świeży i czysty po nocnym deszczu. Stali na skraju lasu.

Niebo, białe na wschodzie, błękitne w górze, na zachodzie pozostało tak fioletowe, że można było dostrzec Gwiazdę Zaranną. Drzewa przybrały barwy brązu, mosiądku i krwi, a opadłe liście szeleściły pod nogami. Mgła przesłaniała ścierniska. W oddali zapały koguty, przerywając ciszę chłodnego poranka.

Tomisław oparł swoją laskę o pień i uściśnął w obu dłoniach prawicę Wanimena.

— Będziemy się często spotykać — przyrzekł solennie.

— Chciałbym, żeby tak było — odparł wodnik.

— Bądź pewien, że nie opuszczę tych stron bez pożegnania z tobą.

Tomisław uniósł ze zdziwieniem brwi.

— Dlaczego miałbyś stąd odejść? Przecież wszyscy was kochają — i ciebie, i całe twoje plemię.

— Tak jak się kocha psa. W Liri byliśmy wolni. Czy mamy stać się oswojonymi zwierzętami? Nigdy się z tym nie pogodzimy — nawet gdyby nasi panowie dobrze nas traktowali.

— Och, na pewno nie zrobiono by z was chłopów pańszczyźnianych, jeśli to cię niepokoi. Wasze umiejętności są zbyt cenne. — Tomisław umilkł. — To prawda, że lepiej by było, gdybyście zostali chrześcijanami. — Jego oczy zapłonęły nagle niezwykłym blaskiem, brzydka twarz stała się prawie piękna. —

Przyjmij chrzest, Wanimenie! Wtedy Bóg da ci duszę, która przeżyje gwiazdy w chwale przed Jego obliczem.

Wodnik pokręcił głową.

— Nie, przyjacielu. W ciągu wieków trzykrotnie widziałem, co stało się z moimi pobratymcami, którzy tak postąpili.

— I...? — zapytał po chwili milczenia Tomisław.

— Przypuszczam, że osiągnęli to, czego pragnęli, nieśmiertelność w Niebie.

Ale tu, na ziemi, zapomnieli o swym dotychczasowym życiu. Wszystko zniknęło z ich umysłów, jak gdyby nigdy niczego nie było — marzenia, radości, podróże, wszystko, czym żyli. Pozostali tylko potulni biedacy ze zniekształconymi stopami. — Morski król westchnął. — Tomisławie, boję się tego bardziej niż zagłady. Moi współplemieńcy czują podobnie.

Po twarzy Tomisława widać było, że nie został przekonany. Lekki wiaterek rozwiewał jego siwą brodę.

— Wanimenie, myślałem o tych sprawach, zastanawiałem się długo i wydaje mi się, że Bóg nie robi nic na próżno. Nic, co do niego należy, nie zginie bez powodu. Tak, może to herezja, lecz mam nadzieję, że gdy nadejdzie Dzień Sądu, wszystko, co utracisz, będzie ci zwrócone.

— Może masz rację, a może nie — odparł wodnik.

— Ale nawet jeśli ją masz, nadal pogardzam takim życiem. Ja, który polowałem na narwale pod lodami Północy i miałem kochanki piękne jak zorza polarna — zniżył głos — ja, który żyłem z Agnetą... — Uwolnił dłoń. — Nie, nie zamienię tego na waszą nudną wieczność.

— Źle mnie zrozumiałeś — odrzekł na to ojciec Tomisław. — Czytałem wiele legend. Wiem, co się zazwyczaj dzieje, gdy ludy Krainy Czarów przyjmują chrześcijaństwo. Ale nie zawsze tak być musi. Sądzę zresztą, że chodzi tu o ich własne dobro. Jednakże kroniki opowiadają także o nielicznych baśniowych istotach, które ochrzciły się i nie straciły pamięci. — Pochwycił

wodnika w ramiona. — Będę modlił się o znak, że Bóg okaże ci tę łaskę.

Johan Kwag, biskup Roskilde, często miewał coś do załatwienia w Kopenhadze. Był bowiem jej suwerenem. Teraz spoczywał we wspaniałym fotelu zdobionym rzeźbionymi postaciami Apostołów, od dłuższej już chwili przyglądając się młodzieńcowi siedzącemu naprzeciw niego na zwyczajnym taborecie. (Znajdowali się w domu biskupa, w komnacie przeznaczony do poufnych rozmów.) Skromne ubranie i jutyjski akcent zupełnie nie pasowały do złota ofiarowanego przez młodego gościa Kościołowi, który to dar skłonił

biskupiego majordomusa do wyjednania dlań tej audiencji.

— Powiedziałaś mi mniej, niż mogłaś, synu — oświadczył wreszcie.

Nils Jonsen skinął głową. Mimo młodego wieku i niskiej pozycji społecznej okazywał godną podziwu zimną krew.

— Tak jest, eminencjo — przyznał. — Ale gdyby ta historia została ujawniona w całości, do końca, niektórzy mogliby na tym ucierpieć. Przysięgam na Boga, że wszystko, o czym mówiłem, to szczerą prawdą, i że nie zdobyłem tego skarbu niezgodnie z prawem.

— A teraz chciałbyś podzielić się nim ze mną. Jeżeli twoja ocena jego wartości jest właściwa, byłby to dar, któremu z trudem mógłby dorównać nawet sam cesarz.

— Podział pozostawiam tobie, panie, gdyż wierzę w twą sprawiedliwość.

— Nie masz wyboru — rzekł sucho biskup. — Bez mojej protekcji zginiesz, a już na pewno nie staniesz się bogaty.

— Wiem o tym, eminencjo. Johan oparł brodę na dłoni.

— A mimo to się targujesz — mruknął. — Zapominasz, że bogactwa tego świata są niebezpieczeństwem dla twojej duszy.

— Mam nadzieję, że mój spowiednik ustrzeże mnie przed tym niebezpieczeństwem — odrzekł Nils.

— Jesteś pewny siebie, co?

— Nie chciałem cię urazić, panie. Ale są ludzie, którym pragnąłbym pomóc, mam na myśli moją matkę i rodzeństwo. Poza tym, biorąc pod uwagę sposób, w jaki Hanza dosłownie wpycha się do Danii, myślę, że królestwu przydałby się wielki armator, który byłby Duńczykiem.

Biskup roześmiał się, odzyskując nagle pogodę.

— Dobrze powiedziane! — zawołał. Oblicze Nilsa pojaśniało gwałtownie.

— Więc wasza eminencja mi pomoże?

— Nie tak prędko, mój synu, nie tak prędko. Przedtem muszą zostać spełnione pewne warunki. Najpierw, chociaż zataiłeś przede mną kilka tajemnic, musisz opowiedzieć o wszystkim księdzu, aby

mógł dać ci rozgrzeszenie.

Opalona twarz wydłużyła się. Biskup uśmiechnął się i dodał:

— Wyślę cię do ojca Ebbe z kościoła świętego Mikołaja. To twój patron, a Ebbe sam pochodzi z żeglarskiej rodziny, jest więc wyrozumiały, jeśli chodzi o sprawy, które inni mogliby uznać za zbyt osobliwe.

— Stokrotne dzięki, panie.

— Następnie musisz zaprowadzić do miejsca, gdzie skarb jest ukryty, zaufanych ludzi, żeby mogli go obejrzyć.

— Johan splótł palce dłoni. — Musimy zachować ostrożność. Jeżeli skarb jest tak wielki, jak twierdzisz, nie możemy wydobyć go z dnia na dzień.

Wybuchłaby wojna, starano by się nim zawładnąć pod jakimkolwiek pretekstem. Przed kilku laty Kopenhagę zaatakowali Norwegowie, a kiedy pomyślę o niemieckich książętach... Tak, sądzę, że zrobimy najlepiej, pozostawiając większą część skarbu w ukryciu.

— Ależ z jego pomocą można zrobić tak wiele dobrego! — zaprotestował

Nils.

— Złoto nie może więcej kupić dla biednych, niż kraj jest w stanie wytworzyć. Zresztą duchowieństwo też nie jest wolne od pokus, z których najgorszą może być władza.

Biskup podniósł rękę uspokajającym gestem.

— Na pewno będziemy mogli wykorzystać spore ilości — ciągnął. —

Postaramy się wprowadzić je dyskretnie do obiegu. Podobnie zrobimy z tobą, synu. Nie tylko nie możesz stać się w jednej chwili bogaczem, lecz będziesz musiał się jeszcze najpierw wiele nauczyć, jeśli zamierzasz w przyszłości kierować firmą armatorską.

Wyjaśnimy, że odziedziczyłeś spadek i że uznałem, iż zasługujesz na moje poparcie. No cóż... Ludzie zaczną przypuszczać, że jesteś bękartem jakiegoś zamożnego1 męża, może mojego krewnego, który właśnie umarł. —

Dostrzegłszy nagły cień na twarzy Nilsa Johan dodał:

— Oczywiście, nie rzuci to cienia na cześć twojej matki. Po prostu uznają, że tak było... zwyczajna rzecz, która często się zdarza, i która na krótko stanie się pożywką dla plotek, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

W odpowiednim momencie każę uczynić cię mieszczaninem i będziesz mógł

otrzymać zezwolenie na handel... Nie miej takiej zawiedzionej miny, chłopcze

— zachichotał biskup. — Nie obawiaj się, to nie będzie trwało latami...

— Jesteś wspaniałomyślny, eminencjo. — Nils zacisnął w pięść dłoń spoczywającą na kolanie. — Lecz pewne sprawy nie mogą czekać zbyt długo.

Johan skinął głową.

— To prawda. Wspomniałeś o twojej matce. I bez wątpienia z góry się cieszysz na myśl o rozrywkach. Nie widzę w tym nic złego, jeśli tylko w ich wirze nie zapomnisz o Bogu. A może chcesz odbyć kilka podróży i chciałbyś zaraz wyruszyć? Wszystko to jest zupełnie możliwe, jeśli cię na to stać, a ty przecież masz pieniądze, musisz tylko zachować w tajemnicy to, że masz ich aż tak wiele. — Radość odmalowała się na jego twarzy. — Idź z moim błogosławieństwem. Porozmawiamy jeszcze jutro.

* * *

Fosy, mury obronne i wieże strzegące Kopenhagi wyglądały niezwykle okazale. Lecz otoczone nimi miasto składało się głównie z drewnianych, krytych słomą domków, stłoczonych wzdłuż krętych, wąskich i brudnych uliczek. Ludzie wypełniający te uliczki byli w większości wyrobnikami; szarość ich ubiorów ożywiały to tu, to tam jaskrawe łachmany kuglarza lub skrzypka.

Poruszano się przeważnie na własnych nogach, ale niekiedy przez tłum pieszych przedzierał się ciężki wóz, witany gromkimi przekleństwami. Rzadziej można było zobaczyć, wyróżniających się pięknymi strojami, konnego rycerza, bogatego kupca lub słynną kurtyzanę w lektyce. Świnie, drób, psy i dzieci kręciły się pod nogami. Hałas przyplływał i cofał się jak morska fala: ludzkie głosy, tupot nóg, skrzypienie kół i uderzenia młota. Pod niskim, zachmurzonym niebem powietrze cuchnęło dymem, nawozem, odpadkami i cmentarzem.

A przecież, myślał Nils, torując sobie drogę w tłumie, prawdą było to, co mówiono: tutaj oddychało się wolnością. Upojony nadzieją dał się ponieść marzeniom. Tu była kolebka przyszłości. Mógłby prawie zapomnieć o Eyjan, choć tęsknota za nią nigdy go nie opuszczała, w miejscu tak różnym od wszystkiego, co było z nią związane.

Dotarł do zajazdu, w którym się zatrzymali, pośpiesznie przeszedł przez szynk, skinąwszy tylko dłonią na powitanie gospodarzowi i pijącym gościom wbiegł schodami na górę i ruszył przez korytarz. „Niebieski Lew” był najlepszą gospodą w jakiej mogli otrzymać miejsce prości ludzie, jeśli starczyło im na to pieniędzy — czystą i bezpieczną. Oprócz ogólnej sypialni mieściło się tam także kilka niewielkich pokoi noclegowych, przeznaczonych dla zamożniejszych gości. Zapukał do jednego z nich.

Ingeborga wpuściła go do środka. Zdążyła już kupić figurkę Matki Boskiej i postawiła ją na półce. Spostrzegłszy jej pogniecioną suknię Nils domyślił się, że się modliła. Spojrzała mu w oczy, zadrżała, otworzyła usta, lecz nie mogła wykrztusić słowa.

Zamknął drzwi.

— Ingeborgo — powiedział. — Zwyciężyliśmy.

— Och... — Zasłoniła dłonią usta.

— Biskup zgadza się. To porządny człowiek. No cóż, chce działać powoli, ale ma rację, tego wymaga rozsądek. Szczęście nam dopisało. — Nils wydał

radosny okrzyk i zatańczył w miejscu, gdyż ogromne łoże pozostawiało w pokoju niewiele wolnej przestrzeni. — Mamy szczęście, Ingeborgo! Koniec z biedą, koniec z nierzędem — świat należy do nas!

Ingeborga przeżegnała się.

— Dziękuję ci, Maryjo — szepnęła.

— Tak, ja również ci dziękuję... zapalimy wiele świec... lecz teraz cieszymy się i weselmy — trajkotał chłopak. — Dziś wieczorem będziemy ucztowali, każę przygotować w kuchni wszystko, co lubisz, będziemy ucztowali przy świecach, pili wino, słuchali muzyki... Och, raduj się, Ingeborgo. Zasłużyłaś sobie na to.

Objął ją ramieniem. Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

— Naucz mnie, jak być szczęśliwą — poprosiła.

Nils spojrzał na nią i znieruchomiał. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest pociągająca: pełne kształty, delikatne rysy twarzy, błyszczące piwne oczy.

Całowali się kiedyś, zdarzyło się to nawet kilka razy, były to jednak zawsze pośpieszne, czysto przyjacielskie pocałunki. Teraz zapragnął tego z całej duszy

— zapragnęli oboje. Niegdyś zastanawiał się czasami, jak mu się uda znieść ciągłą tęsknotę za Eyjan, teraz już wiedział, lecz w tej chwili była przy nim Ingeborga.

— Jesteś piękna — powiedział ze zdumieniem.

— Nilsie, nie. — Próbowwała się cofnąć, ale przytulił ją mocno. Mieszanina zapachów jej ciała upajała jak wino. Pocałunek zdawał się trwać bez końca.

— Nilsie — szepnęła drżącym głosem — czy rozumiesz, czego chcesz?

— Tak, kochana Ingeborgo. — Położył ją na łóżko.

Później, gdy leżeli przytuleni do siebie, powiedziała:

— Proszę cię o jedno, Nilsie.

— Zrobię wszystko, czego zechcesz, obiecuję. — Poglaskał ją po plecach.

— Nigdy nie nazywaj mnie „kochaną” ani „najdroższą” lub podobnie, tak jak to teraz robiłeś.

Podniósł głowę i zapytał zdziwiony:

— Jak to? Dlaczego nie?

— Mamy tylko siebie. Choć złoto czyni cuda, upłynie sporo czasu, zanim znajdziemy takich przyjaciół, którym będziemy mogli zaufać. Wierz mi. Więc nie okłamujmy się nigdy nawzajem.

— Jesteś mi tak bliska, tak droga...

— Bardzo cię lubię, naprawdę bardzo. — Musnęła ustami jego policzek. —

Ale jesteś dla mnie za młody i za dobry...

— Nie.

— I tak naprawdę, tęsknisz za Eyjan. Na to nie znalazł odpowiedzi. Ingeborga westchnęła.

— A ja, oczywiście, za Taunem — wyznała. — Obawiam się, że żadne z nas nie ma najmniejszej szansy. No cóż, może zdołam zwrócić twoje serce ku jakiejś śmiertelnej pannie.

— A co z tobą? — zapytał. Poczuł, że wzruszyła ramionami.

— Ja jestem twarda. A poza tym, cokolwiek by się nie stało, jeśli pozostaniemy uczciwi jedno wobec drugiego, będziemy mieli siebie.

V

Ogrzana płonącym na marmurowym kominku ogniem komnata dzięki rudawym draperiom zdobiącym ściany i grubemu perskiemu dywanowi pokrywającemu podłogę sprawiała dość przytulne wrażenie. Przez oszklone okna widać było doskonale wewnętrzny dziedziniec; rosnące tam kwiaty i krzewy dawno już przekwitły, ale na inkrustowanym stole w kryształowym wazonie stały róże z solarium. W komnacie znajdowało się około dwudziestu książek pisanych w języku greckim i łacińskim. Pawle Subitij, ban Chorwacji, był w głębi duszy bardziej człowiekiem Zachodu niż Wschodu.

W długiej jedwabnej szacie, ze starannie przystrzyżonymi siwymi włosami i brodą wyglądał równie dostojnie jak król Liri, chociaż Wanimen, odziany podobnie w podarowany przez bana strój, górował nad nim wzrostem. Obaj byli zbyt rozgrzani ożywioną dyskusją, by siedzieć.

— Tak, mam nadzieję, że twoje plemię pozostanie w tym państwie —

powiedział ban. — Może nie wytłumaczyłem dostatecznie przekonująco, jak bardzo tego pragnę. Przy waszych zdumiewających zdolnościach bylibyście doskonałymi rybakami, żeglarzami i pilotami. Ale grozi nam wojna z Wenecją.

Tu wasza pomoc mogłaby się okazać bezcenna. — Utkwił badawcze spojrzenie w twarzy swego rozmówcy. — Oczywiście, wynagrodziłbym was najlepiej, jak potrafię.

Wanimen spochmurniał.

— Czemu mielibys' my się mieszać w spór, który zupełnie nas nie dotyczy?

— spytał.

— Będzie was dotyczył, bo staniecie się naszymi ziomkami.

— Naprawdę? Nie tego tutaj szukaliśmy.

— Wiem. Chcieliście wrócić do życia, jakie prowadziliście kiedyś, mieć jak najmniej do czynienia ze śmiertelnymi ludźmi. No cóż, przekonałeś się, co jest lepsze. Zbawienie, dusza nieśmiertelna i opieka boska są najcenniejsze ze wszystkiego. Nie gardź jednak dobrami doczesnymi, które stanowią pociechę dla ducha. Na przykład, już kilka dni temu, na początku swojej wizyty, opowiedziałeś, jak ciężkie i pełne niebezpieczeństw było życie w morzu, jak często traciliście najbliższych. Czyżbyś nie chciał, aby twoi ludzie — a zwłaszcza dzieci — pozbyli się wreszcie zagrożenia ze strony rekinów?

Wanimen zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem, splótłszy palce obu dłoni za plecami.

— Naprawdę chcielibyśmy być waszymi przyjaciółmi — powiedział. —

Dajcie nam niewielką wysepkę, na której będziemy mogli żyć, pozostając w pełni sobą, a przekonacie się, że potrafimy z wami współdziałać lepiej niż ktokolwiek inny... gdy idzie o handel, żeglugę, różne inne prace... tak, nawet na wojnie, jeżeli nie można jej uniknąć. Ale ty żądasz znacznie więcej. Pragniesz zmienić nas całkowicie, narzucić nam coś zupełnie obcego. Dlaczego domagasz się, żebyśmy się ochrzcili?

— Bo muszę — odrzekł Pawle. — Gdybym pozwolił na to, aby ten teren stał

się siedzibą baśniowych istot, byłbym skończony w oczach kościoła, króla i nawet pospólstwa. A kto wtedy byłby waszym protektorem? Od początku starałem się za wszelką cenę nie dopuścić, by wieści o waszym przybyciu rozeszły się szeroko; kosztowało mnie to znacznie więcej trudu, niż możesz sobie wyobrazić. Poza okolicą Skradina krążą o was tylko mętne pogłoski.

Dzięki temu panuje tu spokój, co pozwala nam poznać się lepiej wzajemnie. Ale to nie potrwa długo.

Jeśli połączycie się z nami postaram się, żeby wszystko odbyło się bez rozgłosu. Nie zostanie to podane do wiadomości publicznej, nie będzie listów do króla czy papieża. Pozostaniecie tu, gdzie teraz przebywacie, lub przeniesiecie się na wybrzeże, jeśli wolicie się zająć żeglarskim rzemiosłem. Ci, którzy wyruszą dalej na morze, na statkach naszej floty wojennej czy na kupieckich korabiach, popłyną pojedynczo lub po kilku, zawsze razem z niewielką grupą ludzi.

Chodzi tu zarówno o wasze, jak i moje dobro, Wani—menie. Gdyby wieści o was rozeszły się szeroko, wywołane przez nie poruszenie mogłoby przybrać niebezpieczne formy. Ciemne umysły pod

wpływem strachu przed nieznanym utożsamiałyby was z diabłami. Mogłoby to skończyć się polowaniem na was jak na dzikie zwierzęta; szczęśliwsi zostaliby zamordowani na miejscu, a resztę spalono by na stosie.

— Tak — mruknął wodnik — masz rację... I mimo to chcesz, żebyśmy się stali takimi jak wy?

Zatrzymał się, wyprostował i rzekł:

— Nie. Wrócimy do morza i będziemy szukali dalej. Pozbądźcie się nas.

— Przypuśćmy, że nie pozwolę wam odejść — powiedział spokojnie ban.

— Wymkniemy się twoim oddziałom albo przebijemy przez nie lub umrzemy wolni — odparł równie spokojnym tonem Wanimen.

Pawle uśmiechnął się smutno.

— Uspokój się. Nie zrobię tego. Jeżeli naprawdę zechcecie stąd odejść, macie na to moje pozwolenie. Ale gdzie i jak zamierzacie szukać tego wymarzonego miejsca? Nie będziecie mieli wstępu do tego królestwa i myślę, że żaden spośród krajów położonych nad Morzem Śródziemnym nie przyjmie was także.

Jeżeli dotrzecie do Oceanu... No cóż, możecie popłynąć na południe, wzdłuż wybrzeży Afryki, chociaż z pewnością poniesiecie w drodze ogromne straty.

Lecz czy wy, mieszkańcy Północy, potraficie żyć w tropikach?

Wanimen milczał. Pawle odczekał chwilę.

— Wyobraźmy sobie, że jakimś sposobem uda się wam znaleźć nową ojczyznę. Co wtedy zyskacie? W najlepszym wypadku kilka stuleci. Potem Kraina Czarów na pewno przestanie istnieć, a wy razem z nią.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał wodnik.

Ban poklepał go po ramieniu i powiedział bardzo łagodnie:

— Wolałbym, żeby się tak nie stało. Razem z Krainą Czarów zginęłoby zbyt wiele piękna i dziwów. Obawiam się, że to, co ją zastąpi, będzie o wiele mniej bliższe ludziom niż ona.

Przez zamkowe mury dotarł do nich dźwięk dzwonów katedralnych.

— Posłuchaj — dodał Pawle. — Czas, kiedy mają dzwonić, ustala się nie na podstawie obserwacji słońca, księżyca czy gwiazd, lecz wskazuje go zegar, twarde, sztuczny, pozbawiony jakichkolwiek tajemnic przyrząd.

Już za mojego życia rosła siła kartaczy, rakiet i znaczenie saperów.

Spowoduje to zagładę rycerstwa, którego najświetniejsi reprezentanci, tacy jak Artur, Orlando, Ogier czy Huon* — zawsze łączyli wojenne rzemiosło z Zaświatami.

Dzika natura cofa się przed siekierą i pługiem, a tymczasem to, co się rzeczywiście liczy, gromadzi się w miastach, gdzie wszystko jest dziełem człowieka i nawet najmniejszy skrzat nie znajdzie nigdzie schronienia.

Z każdym rokiem statki pływają po morzach coraz dalej i liczba ich ciągle wzrasta, a żeglarze wyznaczają kierunek według wskazań kompasu i astrolabium, a nie jak niegdyś — według znaków orientacyjnych czy też na podstawie obserwacji lotu ptaków lub wyczucia, które zawdzięcza się wieloletniemu obcowaniu z morzem. Kiedyś okrążą Ziemię, i wszędzie w tych nielicznych miejscach, gdzie dziś jeszcze znajdują schronienie istoty z Krainy Czarów, wzniosą się wysoko, zakończone krzyżami, wieże chrześcijańskich kościołów.

Ziemia jest okrągła, jak może wiesz, i można ją zmierzyć. Uczni mężowie obliczają drogi gwiazd lepiej, niż czynili to starożytni, i starają się poznać dokładnie prawdziwą strukturę wszechświata. W ich systemach nie ma miejsca na żadną magię.

Spójrz na to. — Ban podszedł do stołu i podniósł dwie soczewki oprawione w druciane ramki. — To jest coś, co niedawno wynaleziono w Italii. Kiedy się o tym dowiedziałem, zażyczyłem sobie, by mi natychmiast przysłano ten

* Artur — legendarny król Celtów; Orlando (Roland), Huon z Bordeaux i Ogier Duńczyk — słynni rycerze Karola Wielkiego (przyp. tłum.).

przedmiot. W miarę jak się starzałem, z bliskiej odległości widziałem coraz gorzej, doszło wreszcie do tego, że z trudem mogłem czytać i pisać. Dzisiaj wkładam to na nos i widzę niemal tak dobrze, jak za młodu. — Podał dziwny przyrząd Wanimenowi. — To jest dopiero początek — praprzodek instrumentów, które pozwolą człowiekowi widzieć wszystko z wielkiej odległości lepiej niż orzeł, a z bliska lepiej niżli kret. Moi potomkowie będą z ich pomocą obserwować niebo i badać wnętrza własnych ciał. Może Bóg położy wtedy kres istnieniu świata, nie chcąc by ludzie poznali zbyt dokładnie to, co On stworzył. A może i nie. Ale jestem pewien, że wykluczą zeń Krainę Czarów.

Wanimen spojrzał na okulary. Trzymał je na dłoni tak, jakby były lodowato zimne.

— Czy więc źle ci radzę, zachęcając cię, byś pogodził się z losem i starał się znaleźć dla siebie miejsce w Raju? — zakończył Pawle.

— Nie będę cię do niczego zmuszał, lecz powinieneś podjąć decyzję w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Namyśl się. Wróć do Skradina i naradz się ze swym ludem. Porozmawiaj też z tym księdzem z zadruży, którego tak szanuje Iwan. Poproś, żeby modlił się za ciebie.

* * *

Ojciec Tomisław ukląkł na twardej polepie. Był sam. Otaczała go zimowa noc, spokojna i mroźna. W nikłym blasku świecy zapalonej przed figurką świętego, którego zamierzał błagać o pomoc, z

trudem dostrzegął postać ukrzyżowanego Chrystusa na ołtarzu.

— Święty Andrzeju — powiedział; jego głos gubił się w nocnym mroku jak płomyk świecy — byłeś rybakiem, kiedy nasz Pan wezwał cię do Siebie. Czy nigdy później już nie tęskniłeś za morzem... choćby odrobinę? Fale wokół

ciebie, słony wiatr, śmigające w powietrzu mewy... Nie żałowałeś, że zostałeś kapłanem. Oczywiście, że nie. Ale czasami wspominałeś... prawda? Ja sam tęsknię za morzem połyskującym u stóp Zadaru i przejazdami łodzią... jakaż swoboda, ogrom przestrzeni, świeżość! — a przecież jestem szczurem lądowym.

Powinieneś rozumieć, co czują wodnicy. To nie ich wina, że nie mają dusz i że nie mogą pragnąć zbawienia. Paganie nie pragną go również, czyż nie tak?

Bóg stworzył wodników dla swoich mórz. Gdyby zapomnieli o naturze, którą im dał, przypuszczam, iż nadal mogliby oddychać pod wodą, lecz na co by im się to zdało? Byliby jak ludzie, którzy zapomnieli chodzić.

Ale morze było przede wszystkim ich życiem, ich miłością. Tak, miłością.

Nawet pies może miłować, a przecież, gdy chodzi o umysł, wodnicy nie ustępują ludziom. Czyż ja chciałbym zapomnieć o mojej Senie? Nie. Te wspomnienia są bolesne, miłuję je jednak. Wiesz, ile mszy odprawiłem za spokój jej duszy.

Święty Andrzeju, żeglarzu, wstaw się u Boga za biednymi wodnikami.

Wyjaśnij, że gotowi są przyjąć chrzest, jeśli uzyskają pewność, że nie stracą przez to pamięci. Nie buntują się przeciw Niemu, nic podobnego... Po prostu taką mają naturę. Gdy otrzymają dusze, staną się inni. Ale dlaczego miałbyś zabrać im to, czym byli przedtem? Pozwól, by umieli opowiedzieć ludziom o cudach, które On stworzył w głębinach mórz, żeby mogli wielbić Go jeszcze goręcej. Czyż to, co mówię, nie brzmi sensownie?

Święty Andrzeju, daj mi jakiś znak.

Prymitywna drewniana rzeźba drgnęła. Na ustach zakwitł uśmiech, a ręka uniosła się w geście błogosławieństwa.

Tomisław zamarł na chwilę z otwartymi ustami. Później padł na twarz, szlochając.

— Chwała niech będzie Panu, chwała niech będzie Panu!

Kiedy po jakimś czasie podniósł się na kolana, wszystko było znowu tak jak przedtem. Świeca paliła się niewielkim płomieniem, mróz ścisnął ziemię, a gwiazdy na niebie wędrowały w stronę północy.

— Dziękuję ci, Andrzeju — powiedział pokornie Tomisław. — Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Dopiero po chwili uświadomił sobie coś i zadrzał nagle.

— To mnie pozwolono ujrzeć cud! Mnie! — wykrzyknął wstrząśnięty. Złożył

ręce. — Panie, nie jestem godzien.

Postanowił, że będzie czuwał do s'witu.

— Ojczy Nasz, który jesteś' w Niebie, święć się imię Twoje — zaczął drżącymi wargami.

Rankiem, na pół przytomny ze zmęczenia, spojrzął nieśmiało na twarz świętego.

— Andrzeju — wymamrotał — ludzie mówią takie straszne rzeczy o mojej córeczce. Czy mógłbyś mi dać jeszcze jeden znak? Wiem, że te opowieści nie są prawdziwe. Nada jest tam, gdzie ty jesteś. Może właśnie teraz przebywa u twego boku i patrzy na swego starego tatę. Gdyby tylko Judzie to zobaczyli... Czy mógłbyś im to pokazać?

Rzeźba nawet nie drgnęła. Tomisław pochylił głowę i zagryzł wargi do krwi.

Kiedy zabłyśło światło dnia, wstał, pokłonił się przed ołtarzem i wyszedł z kościoła.

* * *

Wanimen i Mejwa szli szeroką leśną drogą. Śnieg, który popadał trochę parę godzin temu, pod drzewami zachował pierwotną czystość. Kontury nagich konarów i gałęzi rysowały się ostro na tle błękitnego nieba. Powietrze było nieruchome i prawie ciepłe.

— Nie wątpię nawet przez chwilę w jego uczciwość — powiedział wodnik.

— Był jednak na wpół śpiący i równie dobrze mógł sobie wyobrazić to, czego bardzo pragnął.

Mejwa zadrzała, ale nie z zimna.

— Albo martwy człowiek, którego wzywał, mógł mu spłatać figła.

— Nie, sędzę, że Najwyższy nie pozwoliłby na to. Jest sprawiedliwy.

Spojrziała na niego ze zdziwieniem.

— Nigdy dotąd tak nie mówiłeś.

— Żadne z nas nie chciało ani mówić, ani myśleć o takich sprawach.

Przekraczały nasze rozumienie, tak jak delfin nie mógłby pojąć, jak się wykuwa nóż i do czego służy. Zналиśmy jedynie ślepy los, który mógł nam sprzyjać albo nie, a w końcu — wcześniej czy później — zawsze czekała nas zguba. Bóg nie troszczył się o nas... tak w każdym razie przypuszczaliśmy... i nie mieliśmy z Nim nic wspólnego.

— Ale dzisiaj zastanawiam się nad tym — powiedział Wanimen, po przejściu kolejnych kilkunastu jardów. Uśmiechnął się, jak zwykł to czynić zawsze w obliczu niebezpieczeństwa: — Chyba powinienem, czyż nie tak?

— Czy naprawdę uważasz, że powinniśmy wyrzec się Krainy Czarów? —

Mejwa skubnęła ciemnobrązową suknię, która odgradzała ją od świata i od której swędziało ją ciało. — Byliśmy dotąd wolni jak łabędzie.

— Obawiam się, że Pawle Subitij ma rację — odparł z powagą król. —

Powinniśmy przystać na to, choćby przez wzgląd na nasze dzieci, jeśli nie na nas samych.

— Czy rzeczywiście to nowe życie, jakie ich czeka, będzie warte takiej ceny?

Ludzie rzadko bywają szczęśliwi.

— Nasze plemię da sobie na pewno radę. Wiesz przecież, że nasze pływackie zdolności są wysoko cenione, a przy tym jesteśmy tutaj naprawdę lubiani.

Musiałaś już zauważyć, że wodnicy i ludzkie panny, wodnice i młodzieńcy zaczęli do siebie wzdychać nawzajem, a głowy rodzin już się zastanawiają nad korzyściami, jakie mogłoby przynieść takie małżeństwo.

Mejwa skinęła głową.

— No cóż, potomstwo z takich związków otrzyma znacznie więcej ziemskich cech niż naszych, a następne pokolenie nie będzie się już w ogóle różniło od ludzi — oni mogą już tonąć. Wiemy, że tak się stanie, widzieliśmy to wielokrotnie w ciągu minionych stuleci, czyż nie tak? Za sto lub dwieście lat krew Liri tak się przemiesza z ludzką, że przestaniemy istnieć, przetrwamy tylko jako mit, w który nie uwierzy nikt, żaden rozsądny człowiek.

— Zapominasz o Niebie — powiedział. W pobliżu zakrakał głośno kruk.

— Chciałbym... — zaczął Wanimen i urwał.

— Co, najdroższy? — Pogłaskała go po ramieniu.

— Chciałbym zrobić to dlatego, że naprawdę pragnę poznać Boga — wydusił z siebie. — Nie chciałbym przyjść do Niego jak nędzarz.

— Ty, Wanimenie? — szepnęła zdumiona.

— Tak, ja — odparł cicho.

Przystanęli oboje. Wyprostował się i dodał:

— Zrobię to pierwszy, tak aby inni mogli zobaczyć, co się ze mną stanie.

Wtedy sami dokonają wyboru.

Jestem Waszym królem — dodał.

Ojciec Petar poczuł się głęboko urażony, gdy się dowiedział, że ceremonia ma się odbyć w lesie i że to ksiądz Tomisław będzie ją celebrował. Żupan musiał mu przypomnieć, że taki jest rozkaz bana, który nie życzył sobie, by uroczystość oglądało zbyt wielu ludzi, uważając, że byłoby to niewskazane z różnych istotnych względów.

Gdy obrzęd dobiegł końca, Wanimen przeprosił wszystkich i wyruszył

samotnie w stronę wybrzeża. Dzień i noc wiosennej równonocy spędził w głębi morza. Nigdy potem nie powiedział nikomu, co wtedy robił i o czym myślał.

Wrócił w przeddzień święta św. Gabriela. Następnego dnia, rano, kiedy skończyła się msza, wszedł do kościoła. Mieszkańcy zadruży pozostali tam, aby być świadkami tego, co się stanie. Nie odtrącił go żaden święty wizerunek. Na zewnątrz czekało jego plemię, chroniąc się pod drzewami przed ulewnym deszczem.

Wyszedł, wyciągnął ku nim ramiona i zawołał w ich własnym języku:

— Och, pośpieszcie się, pośpieszcie, kochani! Chrystus chce obdarzyć was łaską!

VI

Po kilku miesiącach od dnia, w którym opuścili Danię, Tauno i Eyjan dotarli do Grenlandii. Najpierw przeszukali najbliższe wody, choć sami nie bardzo wierzyli, że znajdą tu swoje plemię. Mogłoby ono żyć w tych okolicach tylko w rozproszeniu, co wydawało się rzeczą niemożliwą. Wszędzie, od North Cape i Zatoki Bothnia do wybrzeży Galway i Wysp Owczych, nieliczne tereny łowieckie, których nie zapragnęli ludzie i które nie stały się niedostępne z powodu klątwy rzuconej przez chrześcijańskiego kapłana, znajdowały się we władaniu innych plemion wodników. Każde z tych plemion liczyło w zasadzie tylu członków, dla ilu wystarczało pożywienia na danym obszarze.

Chociaż pobratymcy odnieśli się dość przyjaźnie do rodzeństwa, nie mieli zupełnie pojęcia, dokąd mogli udać się wygnańcy. Wydawało się to dość dziwne, gdyż w morskim świecie wieści rozchodziły się szeroko i daleko, przenoszone przez wędrujących samotnie lub w małych grupach wodników i przez delfiny. Kilka osób słyszało o jakiejś grupie, która przeprowadzała się przez Kattegat i Skagerrak, ale tutaj trop się urywał.

Dlatego też Tauno i Eyjan wyruszyli do Islandii i przybyli tam w środku zimy. Nie dowiedzieli się niczego w żadnej z trzech podmorskich osad, które jeszcze przetrwały u brzegów tej wyspy, choć przyjęto ich tam gos'cinnie, mimo zimy tak surowej, jakiej rodzeństwo nigdy dotąd jeszcze nie przeżyło. Starsi wodnicy, liczący sobie po kilka wieków, powiedzieli im, że w ostatnich os'miu lub dziewięciu dziesięcioleciach chłody stają się coraz bardziej dokuczliwe.

Lody polarne pokryły wszystkie fiordy niegdyś od nich wolne, a góry lodowe spotykało się na szlakach morskich, którymi przed trzystu laty swobodnie żeglował Eryk Rudy.

Nie przeszkadzało to wodnikom; w chłodnych wodach czuli się lepiej niż w ciepłych. Król Liri mógł zatem poprowadzić swoje plemię ku wolnym jeszcze wybrzeżom Grenlandii. Jego dzieci wyruszyły tam na wiosnę.

W drodze spotkali kilka delfinów i usłyszeli wieści, które potwierdziły ich podejrzenia. Wanimen i jego plemię wsiedli na statek w jakimś miejscu położonym na zachód od Norwegii. Niestety, wkrótce potem zerwał się wielki sztorm i zepchnął statek z kursu tak daleko, że żadne z tych zwierząt — których tereny łowieckie, choć ogromne, są jednak ograniczone — nigdy tam nie dotarło.

— Gdyby statek zatonął — rozumował Tauno — żeglarze znów staliby się pływakami. Oczywiście wszystko zależy od tego, dokąd zagnała ich burza. Na pewno starali się dotrzeć do celu, skoro uznali to za możliwe. A gdyby nie zatonął, wówczas bez wątpienia zawróciłiby, aby kontynuować podróż do wybranego wcześniej miejsca. Tak, skoro już jesteśmy w pobliżu Grenlandii, najlepiej będzie, jeśli tam popłyniemy.

Eyjan zgodziła się z nim.

Spędzili całe lato na zachodnim wybrzeżu tej wyspy, lecz ich poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Spotkani tam nieliczni krewni ich ojca okazali się nieokrzesanymi barbarzyńcami, którzy nigdy nie słyszeli o Liri —

ponieważ wodnicy mieli mniej okazji po temu by przepływać Ocean niż dzieci Adama. A kiedy spotkali grupę Inuitów, przyłączyli się do nich w nadziei, że może zdobędą jakieś nowiny.

Gdy jeszcze żyli w Danii, docierały do nich jakieś plotki o nowej odmianie ludzi, która wędruje na południe przez skutą lodem wyspę. Teraz mógł się przekonać, że Inuici byli odważni, zręczni, chętni do pomocy i szczodrzy.

Okazali się weselszymi towarzyszami i lepszymi kochankami niż większość mieszkańców europejskich wybrzeży. Jako poganie nie mieli wyrzutów sumienia uprawiając miłość z mieszkańcami Krainy Czarów. Tauno i Eyjan poduczyli się nawet trochę języka gospodarzy. Jednakże po kilku miesiącach ich życie zaczęło wydawać się rodzeństwu nieznośnie monotonne. Przekonawszy się, że nie zdobędą tu na pewno żadnych wiadomości o tym, co ich interesowało, pożegnali się i wrócili do morza.

Płynąc na południe wśród spiętrzonych kry wkrótce pozostawili za sobą ostatnie ślady Inuitów, którzy nigdy jeszcze nie odeszli tak daleko od swych północnych siedzib. Okrążywszy przylądek na południowym krańcu wyspy, spotkali delfiny i dowiedzieli się od nich, że na zachodnim wybrzeżu pojawiło się coś czarodziejskiego. Wiadomość ta poruszyła do głębi dzieci wodnika, lecz delfiny nie umiały im powiedzieć nic bliższego: nigdy nie zapuszczały się w tamte strony i dotarły do nich jedynie plotki, właśnie takie, jakie lubiły przekazywać dalej. Nie zamierzały wybierać się tam osobiście, by zobaczyć, co się dzieje, na własne oczy, krążyły bowiem wieści, iż są to bardzo niebezpieczne czary, Tauno i Eyjan uznali, że owo niebezpieczeństwo nie było może w istocie wcale

tak wielkie, jakim się komuś wydało. Na przykład założenie nowego Liri mogło bardzo przstraszyć stworzenia, które nie tylko nigdy dotąd nie widziały podwodnego miasta, ale nawet nigdy nie słyszały o nim. Zresztą, cokolwiek kryło się pod tym wszystkim, musieli koniecznie poznać to z bliska.

Od ludzi poznanych w Danii dzieci Wanimena dowiedziały się o rozmieszczeniu ludzkich skupisk na wybrzeżach Grenlandii. Po tej stronie, gdzie klimat był mniej surowy, Normanowie założyli trzy osady. Najstarszą z nich, największą i wysuniętą najdalej na południe, była Osada Wschodnia, Ostri Bygd. Niedaleko od niej leżała Mid Bygd. W odległości wielu mil od nich w kierunku północnym (wbrew nazwie, jaką nosiła) znajdowała się, założona nieco później, Osada Zachodnia, Westri Bygd. Opowieści o groźnej magii dotarły właśnie stamtąd.

Tauno i Eyjan wyruszyli w kierunku Westri Bygd. Nadciągała jesień.

VII

Jakiś umiak* sunął po morzu, prawą burtą od strony lądu, otoczony flotyllą kajaków. Dzieci wodnika wynurzyły się o jakieś osiemset metrów od nich, oczyściły płuca z wody i zatrzymały się w miejscu, z którego mogły bezpiecznie ocenić sytuację. Ich plemię w odwiecznej walce z rekinami, orkami, sztormami i morderczymi prądami wyzbyło się lęklivosti, ale nauczyło się też postępować ostrożnie i rozsądnie.

— Z tego, co powiedziały delfiny, wynikałoby, że ów... stwór... grasujący w tych stronach jest wrogiem białych ludzi — przypomniał Tauno. — Jeśli więc to nie nasi krewni musieli bronić się przed atakami, jest to z pewnością sprawa Inuitów. Nie chciałbym, aby ugodzono mnie harpunem tylko dlatego, że wzięto mnie za białego człowieka.

— Och, to przecież nonsens — odparła Eyjan. — Nigdy nie widziałam ludzi tak łagodnych, jak tamci, którzy nas gościli.

— Ci tutaj są inni, siostró. Zresztą słyszałem, że co jakiś czas i u tamtych zdarzają się morderstwa.

— W każdym razie szybko spostrzegą, że nie jesteśmy ludźmi. Nie powinniśmy się obawiać ataku z ich strony, starajmy się tylko ich nie przstraszyć. Płynmy powoli do przodu, z najweselszymi minami.

— Gotowi w każdej chwili dać nurka. Niech i tak będzie.

Oddychając powietrzem, popłynęli na ukos, żeby przeciąć drogę konwojowi.

Woda była lodowata, ale nie kasała ich i nie mroziła tak jak śmiertelników, wręcz przeciwnie, ześlizgiwała się pieszczotliwie ze wszystkich mięśni, napelniając je ciepłem. Wyczuwali w niej nie tylko sól, ale także coś znacznie subtelniejszego — życie, głębokości i odległości. Gdy tak płynęli, wzburzone morze kołysało ich miarowo — zwieńczone białą pianą fale o tysiącu odcieni

* Umiak — łódź eskimoska (przyp. tłum.).

granatu przemieszanego z zielenią szumiały i bulgotały nieustannie, a daleko od wybrzeża ryczały

groźnie. Wiał zimny zachodni wiatr, pod srebrzystoszarym niebem wodorosty unosiły się jak dym, wysoko pod chmurami krzyczały głośno mewy. Z prawej strony wznosił się stromo ląd: ciemne klify, żółtawe łąki ukryte w zacisznych zakątkach, pokryte siwizną śniegu szczyty gór, a za nimi przyćmiony blask zwiastujący obecność lodowca.

Rodzeństwo skupiło swoją uwagę przede wszystkim na łodziach. Płynący w nich ludzie musieli wracać z polowania; żaden Eskimos nie mieszkał tak daleko na południu. Łódź była wielka, wykonano ją ze skóry naciągniętej na szkielet z kości wieloryba i z wyrzuconego przez morze drzewa; przy wiosłach siedziało jakieś dwadzieścia niewiast. Towarzyszyło im tyle samo mężów, każdy w swoim kajaku. Wszyscy byli w pogodnych nastrojach, a ich krzyki i śmiech mieszały się z kwileniem mew i pluskiem fal. Dzieci Wanimena zobaczyły, jak jakiś młodzik podpłynął do umiaka i powiedział coś do niańczącej niemowlę niewiasty. Musiała być jego matką, gdyż porzuciła wiosło, podniosła kaftan i dała mu się napić z piersi.

Inna niewiasta spostrzegłszy pływaków krzyknęła głośno. Wąskie niby brzeszczot miecza kajaki pomknęły w ich stronę.

— Płyn tuż za mną, Eyjan — powiedział Tauno. — Trzymaj włócznię w pogotowiu pod powierzchnią wody. — Sam podpłynął do Eskimosów, od czasu do czasu podnosząc ręce, aby pokazać, że były puste.

Pierwszy kajak zatrzymał się przed nim w otoczce z piany. Mąż, który w nim siedział, sam mógłby być równie dobrze wodnikiem lub raczej morskim centaurem, bo on i jego łódka sprawiali wrażenie spojonych ze sobą.

Pokrywająca szkielet kajaka skóra była szczelnie przytroczona do pasa ubranego w focze futro Eskimosa — kajak mógłby się wywrócić do góry, a on nie zamoczyłby nawet butów. Posługując się podwójnym wiosłem ślizgał się po falach jak kormoran. Przed nim leżał luźno przywiązany harpun; wypełniony powietrzem pęcherz unosił się obok na wodzie.

Przez jakiś czas Eskimos i dzieci Wanimena przyglądali się sobie wzajemnie w milczeniu. Tauno próbował dostrzec w twarzy tamtego coś więcej oprócz zdziwienia i ocenić go jako człowieka. Był młody, zbudowany jeszcze potężniej niż większość jego krępych współplemieńców i — ze swymi małymi oczami, spłaszczoną twarzą i szorstkimi czarnymi włosami — na swój sposób przystojny. Pokryta warstwą brudu i tłuszczu skóra miała barwę kości słoniowej.

Szybko otrząsnął się z zaskoczenia i ku zdziwieniu rodzeństwa zapytał ich po normańsku wymawiając słowa z wyraźnym obcym akcentem:

— Wy rozbitkowie? Potrzebować pomocy?

— Nie, dziękuję, jesteśmy u siebie — odparł Tauno. Duński, który dobrze znał, był wystarczająco zbliżony do języka osadników — spodziewał się więc że tamten zrozumie go bez trudu. Uśmiechnął się i obrócił się w wodzie, aby Inuk mógł go lepiej zobaczyć.

Sądząc po wyglądzie można go było wziąć za Normana, gdyby nie brak brody, oczy o barwie

bursztynu i zielony odcień sięgających ramion włosów.

Lecz żaden z ziemskich mężów nie mógłby pływać w morzu nago podczas grenlandzkiej jesieni. Tauno miał na sobie tylko podtrzymującą kędziory przepaskę, pas z zatkniętymi zaś obsydianowymi nożami i przywiązany do barków wąski zwój natłuszczonej skóry, za którym tkwiła włócznia o kościanym grocie.

Eyjan była uzbrojona tak samo jak brat. Jej uśmiech oczarował Inuka.

— Wy... jesteście... — Eskimos wypowiedział długie słowo, które zapewne oznaczało: „czarodziejskimi istotami”.

— Jesteśmy waszymi przyjaciółmi — oświadczył po eskimosku Tauno i tym razem to on mówił łamanym językiem. Podał swoje imię i imię swej siostry.

— Ta osoba nazywa się Minik — odrzekł młodzieniec. Zachowywał się odważnie niż jego towarzysze, którzy woleli trzymać się w pewnej odległości od nieznajomych. — Czy wejdziecie do umiaka, żeby odpocząć?

— Nie... — zaprotestował nerwowo któryś z jego współplemieńców.

— Oni nie są Sąsiadami — wyjaśnił Minik. Pozostali ustąpili z wyraźną niechęcią. Podobny brak gościnności był czymś niesłychanym u ludzi ich rasy.

Nie mógł wy pływać z obawy przed czarami. Eskimosi żyli bowiem w świecie pełnym duchów i zawsze starali się pozyskać ich przychyłność i łagodzić ich gniew. A teraz mieli przed sobą tylko dwie istoty o ludzkich kształtach, które im wcale nie zagrażały i na pewno mogły opowiedzieć o wielu cudach. Musiało dojść do czegoś strasznego pomiędzy nimi a mieszkańcami Westri Bygd. A poza tym...

Eyjan zauważyła to pierwsza.

— Tauno! — zawołała. — Wśród nich jest biała niewiasta!

Jej brat bardzo czujnie obserwował harpuni Inuitów, więc nie przyglądał się zbyt uważnie zbliżającemu się umiakowi. Teraz zobaczył, że mniej więcej na środku łodzi, oszołomiona tak jak wszyscy, klęczała znacznie wyższa od innych niewiasta. Jej gęste warkocze połyskiwały złotem ponad odrzuconym do tyłu kapturem futrzanego kaftana.

Dzieci wodnika wgramoliły się do umiaka, ostrożnie jak mogły, żeby go nie przewrócić, i jeszcze bardziej czujnie uklęknęły na dziobie, by w każdej chwili być gotowe do skoku. Łódź była wypełniona ciałami i poplamiona krwią upolowanych alek. Tauno i Eyjan skupili całą uwagę na jedynym obecnym tam mężu, który, jako pasażer, siedział na rufie. Był siwy, pomarszczony, a z zębów pozostały mu tylko pniaki. Na ich widok nakreślił jakieś znaki w powietrzu, stęknął, zaskomlał, po czym nagle uspokoił się i zawołał:

— Nie wyczułem w nich żadnego grożącego niebezpieczeństwa! —

Następnie zwrócił się do rodzeństwa: — Ta osoba ma na imię Panigpak i niektórzy nazywają ją angakokiem — szamanem, czarownikiem spoufalonym z duchami i demonami, znachorem i jasnowidzem w jednej osobie, który w razie potrzeby może zesłać nieszczęście na wrogów.

Mimo, że zachowywał się bardzo skromnie, podobnie jak wszyscy współplemieńcy, z jego wyschniętej ze starości postaci emanowała duma dzikiego zwierzęcia. Tauno pomyślał jednocześnie o wilku i białym niedźwiedziu.

Niewiasty paplały piskliwymi głosami; kilka roześmiało się bojaźliwie; ich oczy śmigły jak czarne żuki ponad wystającymi kośćmi policzkowymi. Płynął

od nich, bynajmniej nie nieprzyjemny, zapach gorącego ciała przemieszany z wonią dymu, tłuszczu i uryny, w której myły włosy. Mężowie w kajakach stłoczyli się wokół umiaka. Zachowywali się z większą rezerwą — odrobinę większą.

Tylko Normanka zachowała spokój. Miała na sobie taki sam skórzany kaftan, spodnie i obuwie jak wszyscy i tak jak wszyscy ciało smarowała tłuszczem, lecz jej oczy były niebieskie. I właśnie te jej oczy, włosy, regularne rysy twarzy i smukła postać obudziły w Taunie tęsknotę, której nie mogła całkowicie zaspokoić żadna eskimoska niewiasta. Powściągnął owo uczucie i odezwał się w te słowa:

— Wybaczcie, że ten ktoś nieskładnie mówi. Nauczyliśmy się waszego języka wśród dalekiego plemienia Prawdziwych Ludzi. Polowaliśmy wraz z nimi, łowiliśmy ryby, ucztowaliśmy, wymienialiśmy też podarunki i zostaliśmy przyjaciółmi. Nie pozostaniemy tutaj długo. Szukamy naszej rodziny. Chcemy was prosić tylko o jedno

— żebyście nam powiedzieli wszystko, co o niej wiecie. Wiał zimny wiatr, łódź kołysała się, szumiały fale. Lecz gdy jasnowłosa dziewczyna przemówiła w swym ojczystym języku, wydało się Taunowi, że wokół zapadła głęboka cisza:

— Kim jesteście? Coście za jedni? Myślę, że... nie jesteście prawdziwymi wodnikami. Palce waszych nóg nie są połączone błonami pławnymi.

— Więc słyszałaś o nas? — zawołała z radością Eyjan.

— Tylko opowieści przy ognisku, pochodzące w większości ze starego kraju.

Nic innego.

Eyjan westchnęła.

— No cóż, nie mylisz się co do naszej natury. Ale ty zdumiewasz nas nie mniej niż my ciebie.

Niewiasta przytuliła do siebie dziecko, które zabrała na polowanie, podobnie jak większość wioślarek. Jej potomek miał lniane włosy.

— Czy naprawdę możemy swobodnie porozmawiać?

— zapytała.

Paru mężów sprzeciwiło się rozmowie w języku, którego nie rozumieli. Czy to wszystko i bez tego nie było wystarczająco niesamowite? Normanka znalazła zręczniejszą odpowiedź niż ta, jakiej potrafiłyby im udzielić dzieci Wanimena.

Ci pływacy najlepiej znali duński. Czyż nie należało pozwolić, żeby właśnie nim się posługiwali? W ten sposób wytłumaczą wszystko szybko i jasno. A później ona przekaze to, co jej powiedzieli. Odwołała się do Mini—ka i do Panigpaka. Angakok przyjrzał się przybyszom czarnymi jak smoła oczami. Po chwili zgodził się.

Tauno zorientował się, że Minik był jej małżonkiem. Ciekawe, jak do tego doszło? — pomyślał.

— Ja, ja nazywam się Bengta, córka Haakona — wyjąkała Normanka. Urwała i zasępiła się. — Ja byłam Bengtą, córką Haakona. Teraz jestem Atitak. A moja córka... — przytuliła do siebie mocno roczne niemowlę — była Hallfridą, ale nazywamy ją Aloqisaq po babce Minika, która umarła na krze wkrótce po tym, jak do niego przybyliśmy.

— Czy zostaliście porwane? — spytała cicho Eyjan.

— Nie! — Bengta swobodną ręką chwyciła Minika za ramię i mocno zacisnęła palce. Zaczerwienił się, zakłopotany gestem, na jaki nie pozwoliliby sobie nikt z Inuitów, lecz nie stracił jej dłoni. — Opowiedzcie mi o sobie —

poprosiła.

Eyjan wzruszyła ramionami.

— Mój brat i ja jesteśmy w połowie ludźmi — rzekła, po czym opowiedziała pokrótce o tym, co się wydarzyło. Zakończyła lekko drżącym głosem: — Czy nie słyszeliście czegoś o przybyciu wodników?

— Nie — wymamrotała Bengta. — Chociaż, być może, nie dotarło to do mnie, ponieważ w moim życiu zaszła wielka zmiana.

— Porozmawiaj ze swymi towarzyszami, moja droga. Powiedz im, że wodnicy nie są ich wrogami. Mieszkańcy morza i żyjący na ziemi ludzie mogliby razem dokonać tego, czego żadne z obu plemion osobno nie jest w stanie osiągnąć.

Rozmowa trwała dość długo. Często Panigpak zwracał się z pytaniami bezpośrednio do rodzeństwa — gdy miał kłopoty z jakimś słowem, pomagała mu Normanka. Pomału zarysował się obraz sytuacji. Nie, ci Inuici nic nie wiedzieli o przybyciu wodników do Grenlandii. Większość czasu spędzali na lądzie, polując, i rzadko wyruszali na morze — nigdy zresztą tak daleko jak biali ludzie, którzy w przeszłości wypływali poza horyzont i przywozili gdzieś z daleka drzewo (Bengta mówiła o jakiejś krainie, którą nazwała [Marklandia*](#)), a latem nawet obecnie podejmowali długie szaleńcze wyprawy na swych szybkich łodziach. (Zimą natomiast siedzieli skuleni w swoich domach — w tym samym czasie Inuici podejmowali podróże na ciągniętych przez psy saniach po lądzie lub po przybrzeżnym

lodzie.) Dlatego mieszkańcy Vestri Bygd w przeciwieństwie do biednych Eskimosów mogli coś wiedzieć o tym, co działo się na takiej lub innej wyspie. Gdyby wodnicy naprawdę pojawili się gdzieś w tych stronach, z pewnością wiedziałby o tym ojciec Bengty, był bowiem najważniejszym mężem w osadzie.

Tauno i Eyjan zauważyli, z jakim przerażeniem wymawiano imię Haakona, syna Arnora. Nawet jego własna córka wzdygnęła się i jej głos nabrał

ochryplego brzmienia. A mimo to...

— No cóż, chyba powinniśmy się z nim zobaczyć — mruknęła Eyjan. — Czy mamy mu przekazać jakieś wieści od ciebie, Bengto?

Dziewczyna załamała się. Wybuchnęła płaczem.

— Przekażcie mu moje przekleństwo! — wrzasnęła.

* Marklandia (Kraina Lasów) — półwysep Labrador (przyp. tłum.).

— Powiedzcie mu... powiedzcie im wszystkim... żeby opuścili tę ziemię...

zanim zgładzi ich tupilak... którego nasłał na nich nasz angakok... za jego zbrodnię!

Minik ścisnął w rękę harpun. Panigpak głębiej wtulił się w futra. Niewiasty i mężowie w kajakach odsunęli się od siedzącej na dziobie dwójki. Dzieci wyczuły niepokój dorosłych i zaczęły płakać.

— Lepiej wynośmy się stąd — powiedział cicho Tauno. Eyjan skinęła głową.

Jednocześnie przeskoczyli ponad burtą umiaka i zniknęli w niespokojnych, mroźnych wodach Oceanu.

VIII

Podczas rozmowy z Eskimosami Tauno i Eyjan dowiedzieli się, w którym miejscu nad wielką zatoką dającą schronienie Vestri Bygd znajdowała się zagroda Haakona. Kiedy ją odnaleźli, krótki dzień ustąpił już miejsca zmierzchowi. Korzystając z osłony mroku włożyli na siebie stroje schowane dotąd w skórzanych workach. Były wykonane nie z tkaniny, która szybko przegniłaby w wodzie, lecz z trzech warstw rybich skór z Lirii, o mieniących się tęczą łuskach. Choć krótkie, te tuniki nie mogły urazić chrześcijan tak bardzo jak nagość. Z wodoszczelnych opakowań wyjęli stalowe noże, ale nie pozbyli się swojej nie rdzewiejącej broni — włóczni z kamienia i kości.

Potem poszli w stronę zagrody Haakona. Mroźny wiatr świszcział głośno, fale kruszyły kamienie na plaży, trąc je o siebie. Obdarzeni czarodziejskim wzrokiem Tauno i Eyjan widzieli w ciemności więcej, niż zobaczyliby ludzie, ale teren zamknięty garbatymi wzgórzami wydawał się — jakby nań nie spojrzeć — opuszczony i pusty. Osada nie była miasteczkiem, lecz składała się z kilkudziesięciu domów rozrzuconych na przestrzeni wielu kilometrów. Ponie waż zboża często nie dojrzewały, trawa na pastwiskach i w postaci siana dla zwierząt domowych była jedynym plonem, na który mieszkańcy

Vestri Bygd mogli naprawdę liczyć. Idąc boso po rzadkich rżyskach wędrowcy zrozumieli, jak mizerne były ostatnie zbiory. Ogrodzony płotem z wyblakłych kości wieloryba wygon zajmował dużą przestrzeń i kiedyś pewnie przebywało tam dużo zwierząt, ale teraz zobaczyli na nim tylko kilka chudych owiec i parę wynędzniałych krów. W tym miejscu kończyła się mniejsza zatoczka. Na piasku leżały trzy łodzie, sześciuosobowe skify. Były porządnie wykonane, ale Tauno zauważył, że warstwa świeżej smoły pokrywała stare drewno.

Przed nimi wznosiły się zabudowania gospodarskie. Dom, stodoła i dwie szopy otaczały brudne podwórko. Zbudowane z omszałych kamieni, pokryte warstwą torfu z trudem zadowolilyby najbiedniejszego duńskiego rybaka. Dym z palącego się torfu uchodził przez otwór w dachu. Wątle światło sączyło się szparami w starych, wypaczonych okiennicach. Cztery psy z głośnym ujadaniem wypadły spod drzwi. Były to duże zwierzęta, z domieszką wilczej krwi, straszliwie wychudzone, co nadawało im przerażający wygląd. Ale gdy poczuły zapach dzieci wodnika, natychmiast podkuliły ogony i uciekły.

Drzwi się otwały. W półmroku pojawiła się czarna sylwetka wysokiego męża z włócznią w dłoni. Kilku innych stało za jego plecami.

— Kto idzie? — zawołał nieufnie.

— Tylko my dwoje — odparł Tauno. — Nie przestraszcie się, jeżeli wydamy się wam dziwni. Nie mamy wobec was żadnych wrogich zamiarów.

Gdy on i Eyjan znaleźli się w miejscu oświetlonym blaskiem ognia, jeden z ludzi jęknął, kilku zaklęło, a któryś prędko odmówił modlitwę. Wysoki mąż przeżegnał się.

— W imię Jezusa, powiedzcie, kim jesteście — zapytał, wstrząśnięty, lecz nie przestraszony.

— Nie jesteśmy śmiertelnikami — powiedziała Eyjan. (To wyznanie zawsze brzmiało mniej przerażająco dla ludzi, jeśli wychodziło z jej pięknych ust.) Możemy jednak, tak jak wy, wymówić imię Jezusa Chrystusa i w niczym wam nie zagrażamy. Jesteśmy nawet gotowi wam pomóc, w zamian za niewielką przysługę, jaką moglibyście nam wyświadczyć.

Mąż z włócznią w dłoni głośno wciągnął powietrze do płuc, opuścił broń i podszedł do dzieci Wanimena. Choć najwyraźniej nigdy nie odznaczał się nadmierną tuszą, teraz był chudy tak samo jak jego psy, lecz natura obdarzyła go dużymi, silnymi rękami. Miał pociągłą twarz o zapadniętych policzkach, prosty nos, wąskie usta i podbródek w kształcie lemiesza, wyblakłe niebieskie oczy, siwe włosy i równie siwą, krótko przystrzyżoną brodę. Pod długim płaszczem z odrzuconym na plecy kapturem widać było pończochy i buty z foczej skóry; wszystko to nieprzyjemnie pachniało. Był uzbrojony także w miecz, który przypasał zapewne w chwili, gdy usłyszał hałas. Sądząc po kształcie, wykuto go dla jakiegoś wikinga. Czy ci ludzie byli rzeczywiście aż tak zacofani? A może nie mogli sobie pozwolić na nic nowego?

— Czy podacie nam wasze imiona i nazwę waszego plemienia? — raczej rozkazał, niż zapytał. I dodał wyzywającym tonem: — Ja jestem Haakon, syn Arnara, a to moja zagroda, Ulfsgaard.

— Wiemy o tym — odparła Eyjan — ponieważ dowiedzieliśmy się, kto jest tutaj przywódcą. — I niemal tymi samymi słowami co przedtem Bengcie, teraz opowiedziała jej ojcu historię ich poszukiwań. Nie ujawniła tylko, że to egzorcyzmy zmusiły wodników do ucieczki — powiedziała, iż Liri stało się obszarem jałowym. Tymczasem pozostali mężowie nabrali odwagi i podeszli bliżej, a niewiasty i dzieci stłoczyły się w drzwiach. Ludzie ci byli na ogół

młodszy od Haakona, wielu skarłało na skutek złego odżywiania; niektórzy mieli krzywe nogi, inni kuleli, czego powodem były bóle reumatyczne lub zdeformowane kości. Drżeli od nocnego chłodu w swych połatanych ubraniach.

Z domu buchał smród, którego nie mógł całkowicie przytłumić gryzący dym —

kwaśny odór nie mytych ciał stłoczonych na niewielkiej przestrzeni.

— Czy wiecie coś o tym? — zapytała na zakończenie Eyjan. — Zapłacimy wam... nie tymi złotymi pierścieniami, chyba że sami sobie ich zażyczycie, ale taką ilością ryb i zwierząt morskich, jakiej sami nie moglibyście złowić czy upolować.

Haakon zamyślił się. Wiatr jęczał, ludzie szeptali i kreślili w powietrzu znaki

— nie zawsze znaki krzyża. W końcu starzec podniósł wysoko głowę i warknął:

— Kto wam o mnie powiedział? Skrelingowie, co?

— Kto taki?

— Skrelingowie. Nasi brzydzy, krępi poganie, którzy w ciągu ostatnich stu lat napłynęli do Grenlandii z zachodu. Napłynęli razem z mroźnymi latami, nieurodzajem. Bóg przeklął nas i myślę, że to przekleństwo ściągnęli nam na głowę ich czarownicy!

Tauno natężył umysł i mięśnie.

— Istotnie — odpowiedział. — Spotkaliśmy jedną z grup, i była w niej twoja córka Bengta, Haakonie. Czy wymienisz wieści, których szukamy, na nowiny o niej?

Podniósł się krzyk oburzenia. Haakon wyszczerzył zęby i z sykiem wciągnął

powietrze do płuc. Później uderzył włócznią o ziemię i ryknął: „Dosyć!

Uspokójcie się, szczeniaki!” A kiedy zapadła cisza, powiedział spokojnie:

„Wejdźcie do środka, porozmawiamy”.

Eyjan pociągnęła Tauna za łokieć.

— Czy powinniśmy? — spytała w języku wodników. — Jeśli pozostaniemy tu, na zewnątrz, zdołamy uciec przed napaścią. Jeśli jednak znajdziemy się pośród ścian, mogą nas złapać w pułapkę.

— Musimy zaryzykować — zdecydował jej brat.

— Czy zapraszasz nas w gościnę? — zwrócił się do Haakona. — Czy zapewnisz nam święty pokój, kiedy będziemy przebywali pod twoim dachem?

Starzec nakreślił w powietrzu znak krzyża.

— Przysięgam to na Boga i świętego Olafa, jeżeli przyrzekniecie, że wyrzekacie się wszelkich złych zamiarów wobec nas.

— Przyrzekamy na nasz honor — odrzekli. Takie przyrzeczenie było najbliższym odpowiednikiem przysięgi u ludów Krainy Czarów. Oboje wiedzieli, że chrześcijanie oburzają się, gdy pozbawione duszy istoty, takie jak oni, powołują się na to, co święte.

Gospodarz przeprowadził ich przez próg. Gdy poczuli panujący we wnętrzu chaty smród, Eyjanomal nie zwymiotowała, a Tauno zmarszczył nos. Inuici nie byli wybredni, ale zapachy w ich domach świadczyły o zdrowiu mieszkańców i obfitości pokarmu. Tymczasem tutaj...

Mizerny płomyk, którym palił się torf w zagłębieniu polepy, był jedynym źródłem światła, dopóki Haakon nie polecił napełnić tranem kilku lamp steatytowych i zapalić ich. Wtedy panująca w jego domu bieda objawiła się w całej pełni. W chacie była tylko jedna izba. Mieszkańcy właśnie szykowali się do snu. Rozłożono słomiane sienniki na ławach pod ścianami, na składanym łóżku, które musiało należeć do pana domu, i na podłodze — dla służby. Spało tu w sumie około trzydziestu osób, musiało się więc, leżąc, słuchać chrapania sąsiadów i odgłosów pośpiesznie uprawianej miłości, jeśli jakiejś parze starczało jeszcze na to sił. W jednym z kątów izby urządzono prymitywną kuchnię. Na krokwiach zawieszono wędzone mięso i sztokfisze, a na poprzecznych belkach ułożono wbite na tyczki okrągłe suchary. Jak na początek zimy było ich strasznie mało.

A przecież przodkom tych ludzi powodziło się zupełnie nieźle. W izbie stały wysokie krzesła dla pana i pani domu, bogato rzeźbione, choć farba dawno już z nich odpadła. Przywieziono je zapewne z Norwegii. Nad nimi połyskiwał

krucyfiks ze złoczonego brązu, trochę dalej stały porządne cedrowe kufry.

Zbutwiałe i czarne od dymu draperie były kiedyś piękne. Nadal z przyjemnością patrzyło się na stojące między nimi narzędzia i broń. Było tego wszystkiego znacznie więcej, niż mogli potrzebować mieszkańcy chaty. Tauno szepnął do Eyjan:

— Myślę, że kiedyś ta rodzina i jej czeladź mieszkali w znacznie lepszych warunkach, w prawdziwym dworze. Zapewne opuścili go, gdy się okazało, iż nie są w stanie ogrzać go odpowiednio, i wtedy zbudowali tę chałupę.

Jego siostra skinęła głową.

— Tak. Gdyby nie nasza obecność, nie używaliby tych lamp dziś wieczorem.

Myślę, że oszczędzają tran na czas głodu, który ma nadejść. — Zadrzała. — Brr, ta ciemna

grenlandzka zima! Zatopiony Awerorn był od niej weselszy.

Haakon usiadł na wysokim krześle i wskazał swoim gościom miejsca na ławie naprzeciwko. Rozkazał przynieść piwa. Piwo było cienkie i kwaśne, lecz podano je w srebrnych kubkach. Wyjaśnił, że jest wdowcem. (Z zachowania ciężarnej, brudnej dziewczki rodzeństwo wywnioskowało, że to jego dziecko nosiła w łonie.) Czworo jego dzieci — trzech synów i córka — żyło, jak sądził.

Najstarszy chłopak dostał się na statek płynący do Oslo i od lat nic o nim nie słyszał. Drugi ożenił się i miał małe gospodarstwo. Trzeci, Jonas, pozostał z ojcem. Był to żyłasty młodzik o ostrym nosie i prostych jasnych włosach, który spoglądał na Tauna z lisią podejrzliwością, a na Eyjan ze źle ukrywanym pożądaniem. Prócz nich w chacie mieszka li ubodzy krewni oraz czeladź, która pracowała za wik i miejsce pod dachem.

— A co do mojej córki... t . . ; Ludzie poruszyli się, mamrocząc coś' wśród gęstych, zmieniających się cieni. W blasku lamp połyskiwały białka oczu, w zadymionej izbie zapachniało strachem.

— ...Co możecie mi o niej powiedzieć? — warknął Haakon.

— A co ty możesz nam powiedzieć o wodnikach? — odparował Tauno.

Norman zastanawiał się przez chwilę.

— Może mam... coś.

Ktoś jęknął i zakaszłał w półmroku.

— Nie wierzę — szepnęła bratu na ucho Eyjan. — Myślę, że on kłamie.

— Obawiam się, że masz rację — odparł równie cicho.

— Ale grajmy dalej w tę grę. To jakaś tajemnica.

Głośno powiedział:

— Spotkaliśmy ją na morzu, niedaleko stąd, wśród Inuitów — wy ich nazywacie Skrelingami? Ona i jej dziecko dobrze wyglądali. (Znacznie lepiej niż każdy spośród tu obecnych, pomyślał. Możliwe, że Haakon zadbał o to, by dobrze jadła w okresie, kiedy dorastała, bo chciał, żeby mu urodziła zdrowych wnuków, albo dlatego, że ją kochał.) — Ostrzegam cię jednak, że nie spodoba ci się to, co kazała nam tobie przekazać. Pamiętaj, iż my nie mamy z tym nic wspólnego. Rozmawialiśmy z nią bardzo krótko i nie rozumiemy nawet, co mają znaczyć jej słowa.

Ojciec Bengty zacisnął palce na rękojeści miecza tak mocno, że aż zbieleły.

Siedzący obok niego na ławie jego syn Jonas ścisnął z tą samą siłą sztylet.

— No więc? — burknął Haakon.

— Jest mi przykro. Bengta cię przeklęła. Powiedziała, że wszyscy powinniście opuścić tę krainę, gdyż inaczej zginiecie przez... tupilaka, cokolwiek by to nie było... a zrobił go ich czarownik, żeby ukarać cię za jakiś grzech.

Jonas zerwał się na równe nogi.

— Czy oprócz ciała porwali także jej duszę? — zawołał przekrzykując wrzawę.

Czy Haakon jęknął? W inny sposób nie zdradził, jak bardzo go to zabolalo.

„Uspokójcie się!” — rozkazał, ale zgiełk nadal rósł. Starzec wstał, wyciągnął miecz, potrząsnął nim i powiedział bezbarwnym głosem:

— Siadajcie. Zamknijcie się. Kto tego nie robi, będzie mniej jadł przez całą zimę.

Zapadła cisza, tylko wiatr świszczal wokół ścian chaty i węszył u drzwi.

Haakon schował miecz i znów usiadł.

— Mam dla was pewną propozycję — zwrócił się do rodzeństwa. — Będzie to uczciwa wymiana. Powiedzieliście nam, że w połowie jesteście ludźmi, ale możecie oddychać pod wodą tak samo jak prawdziwi wodnicy i niemal równie dobrze pływać. Sądząc po waszej broni, możecie tam również walczyć.

Tauno skinął głową.

— A ponieważ wy sami pochodzicie z Krainy Czarów, więc czarów się nie obawiacie.

Eyjan zeszywniała. Jonas dodał pośpiesznie:

— Och, ojciec nie miał na myśli tego, że coś was łączy z diabłem.

— Nie — potwierdził Haakon. — W istocie, chcę zawrzeć z wami umowę. —

Pochylił się do przodu. — Posłuchajcie. W pobliżu jednej z wysp na zachodzie rzeczywiście... żyje grupa istot, które... muszą być wodnikami. Widziałem je przelotnie na krótko przed tym... przed tym, jak zaczęło nas prześladować nieszczęście. Łowiłem ryby w towarzystwie Sturliego i Mikkela — dodał (Eyjan i Tauno zauważyli wyraz zdumienia, który w tym momencie odmalował się na twarzach domowników) — ale pamiętacie, że potem dopadł ich tupilak.

Byliśmy... zatrwożeni tym, cośmy zobaczyli, nie wiedzieliśmy, jak my, chrześcijanie, powinniśmy postąpić... i uznaliśmy, że najlepiej będzie siedzieć cicho, dopóki nie porozumiemy się z księdzem. Mam na myśli mądrego księdza, nie zaś wielebnego Sigurda z naszej parafii, który nie umie czytać i przekręca mszę. Wiem, że tak jest, gdyż bywałem w koś—ciele w Ostri Bygd i przysłuchiwałem się uważnie temu, co mówiono i śpiewano podczas nabożeństwa. Wielebny Si—gurd nie potrafił nas uwolnić od tupilaka. Tutejsi ludzie szybko pogrążają się w ignorancji, gdyż jesteśmy odcięci od... —

Grymas wykrzywił mu twarz. — Tak, stają się poganami. Minęła dłuższa chwila, zanim się uspokoił.

— No cóż — powiedział w końcu. — Zamierzaliśmy zasięgnąć rady u biskupa w Gardarze, a na razie nic nie mówić o tym, cośmy widzieli, żeby ktoś nie wpadł w panikę i nie zrobił jakiegoś głupstwa albo czegoś gorszego. Ale wtedy przybył tupilak i my... i ja nie miałem możliwości, żeby udać się do Gardaru. — Spojrzał na swoich gości. — Oczywiście nie mogę przysiąc, że te istoty są waszymi krewnymi. W każdym razie przybyły tam niedawno, więc wydaje się to prawdopodobne, czyż nie tak? Wątpię, żebyście sami zdołali odnaleźć tę wyspę. Od Marklandu dzieli nas spory kawał morza. W każdym razie wymagałoby to długich, niebezpiecznych poszukiwań, po dwakroć niebezpiecznych z powodu tupilaka. Umiem sterować za pomocą gwiazd i kamienia słonecznego i mógłbym was tam zawieźć. Ale... nikt, kto pochodzi z Vestri Bygd i wypływa na morze, nie powraca już żywy i to się nie zmieni, dopóki tupilak nie zostanie zniszczony.

— Opowiedz nam o nim — zachęciła go Eyjan. Haakon się wyprostował, wypił resztę piwa, gestem dłoni polecił, by dolano wszystkim, i powiedział

szybko:

— Najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku, od owych czasów, kiedy ludzie odkryli Grenlandię i założyli tu pierwsze osady. Żeglowali wtedy jeszcze dalej.

Nie udało im się zasiedlić Winlandii*, chociaż, jak powiadają, były tam dobre warunki po temu, ale jeszcze przez długie lata pływali do Marklandii i przywozili stamtąd drzewo do naszego prawie pozbawionego lasów kraju. I co roku przybywały statki z innych krajów, aby wymienić żelazo, płótno i podobne towary za nasze skóry, futra, puch kaczek edredonowych, kości wielorybów, kły morsa, róg narwala...

Tauno nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Widział na własne oczy, jak ten ostatni sprzedawano w Europie jako róg jednorożca.

Haakon zmarszczył brwi, ale mówił dalej:

— My Grenlandczycy nigdy nie byliśmy bogaci, lecz dobrze nam się powodziło, rośliśmy w liczbę, aż wreszcie spragnieni ziemi osadnicy wyruszyli na północ i założyli tę trzecią osadę. Jednakże po jakimś czasie pogoda zaczęła się pogarszać, z początku powoli, a później coraz szybciej

— mrozy w lecie i jesienne grady uniemożliwiały nam uzyskanie nawet lichych plonów; dokuczały nam też sztormy, gęsta mgła, coraz częściej pojawiały się góry lodowe na morzu. Żegluga stała się niebezpieczna, dlatego też

— a także z powodu wrzenia w kraju — przybywało do nas coraz mniej statków. Teraz mijają lata, zanim pojawi się nowy statek z towarami.

Pozbawieni wielu dóbr potrzebnych do życia i pracy, których nie mogliśmy wytworzyć na miejscu, zbiednieliśmy, staliśmy się zacofani i coraz trudniej jest nam walczyć z przeciwnościami. I... Skrelingowie napływają do Grenlandii.

— Oni są pokojowo usposobieni, czyż nie tak? — zapytała cicho Eyjan.

Haakon zaklął, a Jonas splunął na podłogę.

— Są chytry jak trolle — mruknął starszy mąż.

— Dzięki czarom mogą wyżyć tam, gdzie chrześcijanie nie są w stanie; ale te czary sprowadzają gniew Boży na Grenlandię.

— Jak, będąc tak śliczną dziewczyną, możesz dobrze mówić o tych

* Winlandia (Kraj Wina) — Ameryka Północna, odkryta przez Leifa, syna Eryka (Eryksa) około roku 995

(przyp. tłum.).

wstrętnych stworach? — dodał Jonas, próbując się do niej uśmiechnąć. Haakon rozciął dłonią powietrze.

— Co się tyczy mojej rodziny, to niewiele mam do powiedzenia. — Przez ponad dwadzieścia lat banda Skrelingów obozowała, polowała i łowiła ryby niedaleko od naszej osady, na północ od Vestri Bygd. Przychodzili tutaj, żeby z nami handlować, a normańskie statki już wtedy rzadziej nas odwiedzały. Nie podobało mi się to, lecz nie mogłem zakazać handlu ze Skrelingami, gdyż oferowali to, czego potrzebowaliśmy. Wszelako zachęcali naszych ludzi do grzechu — przede wszystkim młodych mężów, ponieważ ich niewiasty nie znają wstydu i rozłożą nogi dla każdego za wiedzą i zgodą swych małżonków...

Niektórzy młodzieńcy starali się też poznać ich łowieckie sztuczki i opanować inne skrelingskie umiejętności, takie jak budowanie chat ze śniegu i tresowanie psów do ciągnięcia sań...

W jego głosie zabrzmiał ból:

— Cztery lata temu wydałem moją córkę za Swena, syna Egila. Był

obiecującym chłopcem... i przypuszczam, że żyli szczęśliwie, chociaż miał

tylko niewielkie gospodarstwo położone na skraju Vestri Bygd, bliżej od Skrelingów niż wszystkie inne, poza jednym czy dwoma. Mieli dwoje dzieci i parobka do pomocy.

Ostatniego lata bieda mocno nas przycisnęła. Nie udało się zebrać siana, więc musieliśmy wybić większość naszego żywego inwentarza, ale i tak czekałby nas głód, gdyby nie to, co czerpaliśmy z morza. Nadeszła straszliwa zima. Po zamieci szalejącej przez wiele dni — nie, przez znaczną, nikt nie wie jak wielką, część długiej, niemal całkowicie ciemnej nocy, którą jest tutejsza zima —

pośpieszyłem wraz z innymi ludźmi na północ, żeby zobaczyć, co się dzieje z Bengtą. Znaleźliśmy ciała Swena, mojego wnuka Daga i ich parobka pod niewielkimi kamiennymi kopcami, ponieważ ziemia zbyt przemarzła, aby dało się wykopać grób. W domu nie było opału. Bengta i mała

Hallfrida zniknęły. Ślady sani i psie łajno świadczyły o tym, że zabrał je jakiś Skreling.

Oszalały z gniewu i żalu poprowadziłem moich ludzi do kamiennych chat, w których te stwory gnieźdzą się w zimie. Przekonaliśmy się, że większość Skrelingów opuściła swoje nory i polowała lub szwendała się po okolicy, sam już nie wiem. Bengta była z nimi. Ci, którzy pozostali na miejscu, powiedzieli, że przybyła do nich z własnej woli, wraz ze swym ocalałym dzieckiem —

przybyła z jednym spośród ich samców, weszła do jego plugawego łoża, mimo że miał już samicę... Wyrznęliśmy ich w pień. Oszczędziliśmy tylko jedną staruchę, która miała przekazać reszcie, że jeśli nie oddadzą naszych dziewczyn, na wiosnę wytluczemy ich jak robactwo, którym w istocie są.

Cienie powiększyły się, bo ognisko przygasło. Wilgotny chłód przenikał do szpiku kości. Słumionym głosem Eyjan zapytała dyszącego ciężko Haakona.

— Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogli powiedzieć prawdę? Na ciałach, któreście odnaleźli, nie było przecież śladów gwałtownej śmierci, czyż nie tak? Sądzę, że po wyczerpaniu się zapasów zginęli z głodu i zimna albo zabiła ich jedna z chorób, które tacy jak wy ściągają na siebie, żyjąc w brudzie.

Potem przybył Minik, Inuk — a przybył tam, gdyż się o nią niepokoił — i Bengta schroniła się u niego. Przypuszczam, że od dawna byli przyjaciółmi.

— Tak — wyznał Haakon. — Bengta zawsze interesowała się Skrelingami, zaczęła paplać w ich języku równie wcześnie jak w normańskim, a kiedy tutaj przychodzili, moja kochana, ufna dziewczynka słuchała z uwagą ich opowieści.

No cóż... przecież mógł przywieźć ją do mnie, czyż nie tak? Wynagrodziłbym go za to. Nie, musiał uprowadzić ją siłą. A później... to, co usłyszałeś od niej w ich

łodzi, świadczy niezbicie, że ten przekłety stary czarownik rzucił na nią czar.

Boże, zmiłuj się! Jest uwięziona i tak zagubiona jak zwabiony do elfowego wzgórza podróżny — stracona dla krewnych... a jej dusza nie zazna już zbawienia, tak samo jak dusza mojej wnuczki... chyba... chyba, że zdołamy je wyrwać z ich rąk...

— Co było później? — zapytał po chwili Tauno.

— Oczywiście Skrelingowie opuścili swoje nory i przenieśli się gdzie indziej, w dzikie pustkowie. Wczesną wiosną nasi myśliwi natknęli się na jednego z nich i przyprowadzili go, związanego, do mnie. Powiesiłem go nad wolnym ogniem, żeby zdradził, gdzie jest reszta jego plemienia, ale nie wydobyłem z niego ani jednego słowa. Więc puściłem go wolno — bez jednego oka, na dowód, iż nie żartuję — i poleciłem mu, żeby im powiedział, iż jeśli nie odeślą mi córki i wnuczki, a także tych łotrów, którzy ją splugawili, bym mógł im wymierzyć sprawiedliwość, żaden mąż w Vestri Bygd nie spocznie, dopóki nie wybijemy tych trolli do nogi, wszyscy bowiem musimy strzec naszych niewiast.

Parę dni później przybył tupilak.

— A cóż to takiego? — zapytał Tauno. Mimo woli mrówki przeszły mu po grzbiecie.

Haakon skrzywił się i odparł:

— Kiedy Bengta była jeszcze dzieckiem, opowiedziała mi historię o tupilaku, którą usłyszała od Skrelingów. Powiedziałem jej, że to tylko straszna opowiadanka, która sprowadzi na nią koszmarne sny. Wtedy ona zaczęła mnie pocieszać, obiecując, że na pewno tak się nie stanie. Och, była najbardziej kochającą córką, jaką mąż może mieć, dopóki...

No cóż, tupilak to stworzony za pomocą czarów potwór morski. Czarownik buduje szkielet, obciąga go skórą morsa, wypycha sianem, zeszywa, dodaje kły, pazury i... i śpiewa nad nim. Potem tupilak zaczyna się poruszać, odnajduje morze, zanurza się w nim i poluje na wrogów. Ten atakuje białych ludzi. Wybija dziurę w skifie lub przewraca go do góry dnem albo też wpełza do niego. Ani włócznie, ani strzały, ani topory nie mają się stwora, który nie ma w sobie krwi i który właściwie naprawdę nie żyje. Później pożera załogę... Potwierdzili to nieliczni, którzy zdołali uciec.

Przez całe lato nie udało nam się wypłynąć na morze. Nie możemy łowić ryb, polować na foki i ptaki ani zbierać jaj na wyspach, gdzie są kolonie pingwinów; nie możemy też wysłać wieści do Ostri Bygd i poprosić o pomoc. Kilku mężów wyruszyło w tę stronę, ale wszelki śluch o nich zaginął. Niewykluczone, że dopadli ich Skrelingowie, choć równie dobrze mogli zabłądzić i umrzeć z głodu w tej lodowej pustyni. Mieszkańcy południowej osady przywykli do tego, że rzadko docierają do nich jakieś wieści od nas, poza tym mają własne kłopoty, a jeśli nawet wysłali do nas jedną lub dwie łodzie, napadł na nie zapewne tupilak.

Zapasy z trudem wystarczą nam na przeżycie tej zimy, lecz w przyszłym roku czeka nas niechybnie śmierć.

— Moglibyście stąd odejść — powiedział spojrzawszy na wykrzywioną bólem twarz gospodarza Tauno. — Teraz rozumiem, co Bengta miała na myśli.

Musicie opuścić to miejsce i przenieść się na południe. Przypuszczam, że angakok odwoła swego potwora, jeśli tak postąpicie.

— Jeżeli zechcecie, możemy podjąć się roli pośredników — zaproponowała Eyjan.

Kilku mężów głośno zakląło, inni krzyknęli gniewnie. Jonas sięgnął po nóż.

Haakon nie poruszył się nawet, siedział sztywno jak wykuty w kamieniu.

— Nie. Tu są nasze domy, nasze wspomnienia, nasi pogrzebani przodkowie, tu jesteśmy wolni. Mieszkającym na południu Grenlandczykom powodzi się niewiele lepiej niż nam tutaj. Zresztą, oni mogliby nas przyjąć tylko jako najmitów i nędzarzy. Nie, nigdy stąd nie odejdziemy. Będziemy za to nękać tych Skrelingów tak długo, aż wszyscy zginą.

Jeszcze raz pochylił się do przodu, lewą dłoń zaciśniętą w pięść oparł na kolanie, prawą zaś podniósł, zakrzywiając palce jak szpony grenlandzkiego sokoła.

— Iw ten sposób doszliśmy do mojej propozycji — powiedział. —

Wypłynemy jutro łodziami na morze. Tupilak dowie się o tym i przybędzie w to miejsce. Podczas gdy my będziemy walczyć z nim na górze, wy zaatakujecie go z dołu. Można go zabić — a w każdym razie pociąć na kawałki. Historia, którą Bengta usłyszała od Skrelingów, opowiada o tym, jak pewien dzielny mąż pozbył się tupilaka. Zbudował kajak, żeby móc w razie potrzeby wywrócić go do góry dnem i dopaść potwora pod wodą. Możliwe, że to tylko bajka wymyślona przez stare baby. Nikt z nas zresztą nie umie pływać taką łódeczką.

Ta opowieść dowodzi jednak, że Skrelingowie uważają zniszczenie potwora za rzecz możliwą. A ktoś zna go lepiej niż oni?

Pomóżcie nam uwolnić się od tego demona, a ja zaprowadzę was do miejsca, gdzie przebywa wasz lud. — Haakon uśmiechnął się sztucznie. — Nie zdziwiłbym się, gdyby tupilak wziął was za Normanów i pozabijał. Należycie w połowie do naszego plemienia. Pozostańcie więc mu wierni, a my odpłacimy wam tym samym.

Znowu zapadła cisza, tylko wiatr świszczął na dworze. Tauno i Eyjan wymienili spojrzenia.

— Nie — powiedział syn Wanimena.

— Co takiego? — wybuchnął Haakon. Próbował szydzić: — Czy się boicie?

Mimo, że będziecie mieli sprzymierzeńców? Skoro tak, uciekajcie z tych wód o świcie.

— Sądzę, że skłamałeś — odrzekł Tauno. — Nie wtedy, gdy opowiadałeś o waszym krwiożerczym postępowaniu wobec Inuitów i ich zemście... Ale to, co mówiłeś o wodnikach... wyczułem w tym fałsz...

— Obserwowałam twarze — wtrąciła Eyjan. — Twoi domownicy nie uwierzyli w tę bajeczkę.

Jonas chwycił za sztylet.

— Uważasz, że mój ojciec jest kłamcą?

— Uważam, że jest człowiekiem oślepionym rozpaczą — odparł Tauno. —

Lecz — wskazał na krucyfiks wiszący nad wysokim krzesłem — weź do rąk ten znak waszego Boga, Haakonie, synu Arnora. Ucałuj waszego Boga w usta i przysięgnij na swoją wiarę, że pójdziesz do Niego po śmierci, iż powiedziałaś nam, twoim gościom, całą prawdę. Wówczas staniemy po waszej stronie.

Haakon usiadł i utkwiał w nich niedobre spojrzenie. Eyjan wstała.

— Lepiej chodźmy stąd, Tauno — westchnęła. — Dobrzy ludzie, jest nam bardzo przykro. Ale dlaczego mielibyśmy narażać życie za nic, walcząc w obronie nie swojej i w dodatku niesłusznej sprawy? Radzę wam, zróbcie to, co powiedziała Bengta, i opuśćcie tę nieszczęsną okolicę.

Haakon zerwał się na równe nogi. Miecz błysnął w jego dłoni.

— Złapcie ich! — wrzasnął.

Tauno błyskawicznie wyciągnął nóż. Miecz zawirował, opadł w dół, wytrącając mu go z ręki. Niewiasty i dzieci podniosły wrzawę. Obawiając się tego, co mogłoby się stać, gdyby tych dwoje uciekło, mężowie rzucili się na nich.

Po dwóch uczepiło się rąk i nóg Tauna. Potrząsnął nimi wściekle. Otrzymał

cios maczugą w głowę. Ryknął. Spadł na niego drugi i trzeci cios. Przeszył go straszny ból, gwiazdy zamigotały mu przed oczami i osunął się na polepę. Przez moment widział jeszcze Eyjan. Ludzie przyparli ją do ściany. Zewsząd otaczały ją ostrza włóczni, z góry zagrażał miecz, a Jonas przyłożył jej sztylet do gardła.

W następnej chwili Tauno zapadł się w mroczną otchłań.

IX

Posępne czerwone światło wstającego dnia przedarło się przez chmury, spiętrzone kry pokrywające fiord zalśniły stalowym blaskiem. Dął ostry wiatr.

Czy wiatr zawsze bywa tutaj tak przejmująco zimny?, zastanawiał się Tau—no.

Obudził się na słomianym sienniku, tu, gdzie go wczoraj położono, i zobaczył nad sobą niewyraźną jak cień postać Haakona.

— Wstawajcie! — zawołał przywódca.

Mężowie wydali pomruk niezadowolenia, niemowlęta zakwiliły, a starsze dzieci zapłakały.

— Czy z tobą wszystko w porządku? — zapytała Eyjan z drugiej strony izby.

Podobnie jak jej brat spędziła noc na podłodze, ze związanymi rękami i nogami, przywiązana za szyję do podtrzymującego dach pala.

— Cały zeszywniałem — odparł. Po kilku godzinach snu ból już nie pulsował mu w skroniach, jak wtedy, gdy po raz pierwszy odzyskał przytomność. — A ty, siostrze?

Roześmiała się ochryple.

— Ten drań Jonas przyczołgał się o brzasku i zaczął mnie obmacywać, ale nie odważył się rozwiązać mi nóg i nie osiągnął tego, co chciał, choć miał wielką ochotę.

— No cóż — odrzekł Tauno. — Jesteśmy pozbawionymi duszy zwierzakami i ludzie mogą robić z nami, co zechcą — musisz o tym pamiętać.

Haakon powiedział prawie to samo wieczorem poprzedniego dnia, gdy już leżeli związani.

— Nigdy nie podniosłem ręki na człowieka, którego uznałem za gościa, nawet na Skrelinga. Ale wy nie jesteście ludźmi. Czyż człowiek łamie słowo, gdy zarzyna swoją owcę? Zgrzeszyłbym, gdybym nie zmusił was do ocalenia moich ziomków. Jutro pomożesz nam w walce z tupilakiem, Tauno. Twoja siostra zostanie w domu jako zakładniczka. Jeżeli zwyciężysz, oboje odzyskacie wolność. Przysięgnę na krzyż.

— Czy możemy wierzyć zdrajcy? — warknęła Eyjan.

Człowiek wykrzywił usta:

— A czy macie wybór?

Kiedy rankiem uwolnił Tauna, rozkazał swym odzianym w koszule i spodnie ludziom otoczyć wodnika i trzymać miecze w pogotowiu. Syn Wanimena wstał, poruszył zeszywniałymi kończynami, podszedł do Eyjan i pocałował ją.

Jonas przestąpił z nogi na nogę.

— No cóż — powiedział niewyraźnie, gdyż przeżuwał suchara z serem — no cóż, chodźmy i skończmy z tym.

Tauno potrząsnął przecząco głową.

— Nie, najpierw dacie mnie i mojej siostrze pokarm i wodę — tyle, ile potrzebujemy.

Haakon spochmurniał.

— Przed bitwą lepiej jeść niewiele albo wcale.

— Nie dotyczy to istot takich jak my. Ciemnowłosey mąż w średnim wieku imieniem Steinkil zaśmiał się rubasznie.

— Racja. Haakonie, sam wiesz, jak foki się objadają. Przywódca wzruszył

ramionami. Z trudem opanował przerażenie, gdy ujrzał, ile mięsa zjedli jego jeńcy. W końcu warknął: „Czy pójdziesz wreszcie?” — i ruszył w stronę drzwi.

— Jeszcze chwilę — odparł Tauno. Haakon odwrócił się błyskawicznie.

— Czy zapomniałeś, kim tu jesteś?

Tauno odpowiedział twardym spojrzeniem na jego spojrzenie.

— A czy ty zapomniałeś, kto dowodzi... nawet tutaj? Książę Liri ukląkł obok siostry, wziął ją w ramiona i mruknął, zanurzwszy twarz w jej pachnących włosach:

— Eyjan, ja mam więcej szczęścia. Jeżeli umrę, będzie to szybka śmierć. A ty... Będą cię pilnowały niewiasty, bachory i starcy. Czy nie mogłabyś wykorzystać ich lęku albo w jakiś sposób ich oszukać i...?

— Spróbuję — odpowiedziała. — Ale, och, Tauno, będę przez cały czas myślała o tobie! Gdybyśmy mogli pójść teraz razem!

Pocałował siostrę, a ona oddała mu pocałunek. Wstał i wyszedł na zewnątrz.

Towarzyszyło mu jedenastu mężów i chłopców zdolnych do noszenia broni.

Mogli oni obsadzić dwa spośród trzech skifów należących do Haakona. Jonas chciał ściągnąć posiłki z okolicznych gospodarstw. „Jeśli nam się nie uda i zginiemy” — rzekł — „wtedy ten dom pozostanie bezbronny”.

— Jeżeli nam się nie uda i tak wszyscy zginą — zaprzeczył Haakon. — Cała flota naszych łodzi nie mogła pokonać tupilaka. Próbowaliśmy, wiesz o tym.

Trzy łodzie uciekły, gdy potwór zniszczył pozostałe. Naszą jedyną nadzieją jest wodnik, który będzie walczył sam. Poza tym — jego twarz rozjaśniła się na chwilę — jestem głównym królewskim sędzią w tym hrabstwie i mam strzec ludzkiego życia, nie wolno mi go narażać. Jeżeli taka garstka nas zwycięży, żyć będziemy w sagach dopóty, dopóki ludzie będą zamieszkiwać Grenlandię.

Kiedy Normanowie spuścili łodzie na wodę, Tauno rozebrał się i wykapał.

Miał otrzymać broń dopiero tuż przed walką, gdyż większość mężów obawiała się go prawie tak samo jak tupilaka. I chociaż powalili go i związali, nadal wydawał im się niesamowity. Niewykluczone, że inny przywódca, pozbawiony żelaznej woli Haakona, nie zdołałby ich zmusić do wyprawy w jego towarzystwie.

W milczeniu zajęli swoje miejsca. Wiosła skrzypnęły w dulkach, plusnęły fale, zaszemrały o burtę i zakołysały łodzią. Pył wodny osiadł solą na ustach.

Ojczyste łąki pozostały za rufą, zamknięty między wysokimi klifami ciemny, pokryty pianą fiord, zaczął się rozszerzać. Na tle zachmurzonego nieba przeleciało stado czarnych nurzyków. Ich okrzyki zagłuszył ponury śpiew wiatru. Słońce — przyćmiony, pozbawiony ciepła krążek — wisiało tuż nad górami. Wydawało się, że chłód promieniował z ich ośnieżonych szczytów i rozciągającego się poza nimi lodowca.

Każdy z mężów trzymał jedno wiosło, Tauno także. Siedział obok Haakona na dziobie. Przed sobą miał Jonasa i Steinkila; z tyłu usadowiła się para niechlujnych karłów, których imion nie znał, zresztą nie obchodziło go to, jak się nazywają. Druga łódź zrównała się z nimi i płynęła z prawej strony w odległości kilku metrów. Syn wodnika zajął się wiosłowaniem, rad że nadarza się okazja, by rozprostować kości i rozgrzać zmarznięte ciało, mimo że było to dlań przygnębiające zajęcie.

Wkrótce Haakon rzekł:

— Zwolnij trochę, Tauno, nie możemy ci dorównać.

— Silny jak niedźwiedź, co? — rzucił przez ramię Steinkil. — Ale ja wolałbym mieć w łodzi niedźwiedzia.

— Nie żartuj z niego — powiedział nieoczekiwanie Jo—nas. — Tauno, ja...

jest mi przykro. Wierz mi, że dotrzemy danego ci słowa. Mój ojciec jest człowiekiem honoru. Ja staram się nim być.

— Tak jak wobec mojej siostry ostatniej nocy? — zadrwił wodnik.

Wiosło Haakona zawisło w powietrzu.

— Co to ma znaczyć?

Jonas spojrział błagalnie na Tauna. Ten przemyślał coś szybko i rzekł: „Och, każdy mógł widzieć, jak do niej wzdychał”. W istocie wcale go nie gniewała ta próba gwałtu. Takie sprawy dla nich obojga niewiele znaczyły. Jeżeli Eyjan miała mniej partnerów niż on partnerek, to tylko dlatego, że była od niego o dwa lata młodsza. Znała też czar, który nie dopuszczał, by zaszła w ciążę wbrew swojej woli. Tauno chętnie przespałby się z Bengtą, siostrą Jona—sa, gdyby taka dość nieprawdopodobna okazja kiedyś się nadarzyła — zwłaszcza że i jemu, i jego siostrze coraz trudniej było trzymać się z dala od siebie podczas tej długiej podróży (czynili to przez wzgląd na ich matkę, która czuła wstręt do podobnych związków).

— To grzech śmiertelny — warknął Haakon. — Porzuć tę żądzę, chłopcze.

Wyspowiadaj się — i poproś dobrotliwego ojca Sigurda, żeby wyznaczył ci prawdziwą pokutę.

— Nie potępiaj go za to — powiedział Steinkil. — To najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widziałem, i do tego bezwstydnie odziana.

— Naczynie grzechu — wydusił z siebie Haakon.

— Strzeżcie się, mówię wam, strzeżcie się. Tracimy wiarę w naszej samotności. Boję się myśleć, czym się to może skończyć dla naszych potomków, chyba że... Kiedy już skończymy z tupilakiem... powiadam; kiedy skończymy... wyruszę po moją córkę... Dlaczego ona to zrobiła? — wrzasnął

niemal. — Wyrzec się Boga — rodziny, swego plemienia, prawdziwego domu, pożywienia, napojów, odzieży, narzędzi i obyczajów białych ludzi, wszystkiego, co staraliśmy się zachować przez tyle pokoleń — być nałożnicą dzikusa, który ją zgwałcił, kulić się w chacie ze śniegu i pożerać surowe mięso... Jakie moce piekielne zmusiły ją do tego?

Spostrzegł, jakim wzrokiem patrzą nań mężowie stanowiący załogę drugiego skifa, przerwał nagle i wiosłował dalej w milczeniu.

Płynęli już blisko godzinę, do ich uszu zaczął dobiegać huk fal szturmujących skaliste cyple i wtedy właśnie odnalazł ich wróg.

W sąsiedniej łodzi jakiś mąż zawył ze strachu. Tauno zobaczył otoczone pianą duże, brunatne cielsko. Tupilak uderzył w bok skifu, który przechylił się z pluskiem.

— Odpędźcie go! — ryknął Haakon. — Użyjcie włóczni! Wiosłujcie, tchórze! Musimy tam dopłynąć!

On i Tauno odłożyli wiosła i przykucnęli. Syn wodnika podniósł z dna łodzi pas z trzema schowanymi w pochwach nożami, o który wcześniej poprosił, i zapiął go. Jeszcze nie wskoczył do wody. Jego łódź zbliżyła się do tamtej, a on wpatrywał się w fale przenikliwym spojrzeniem, słyszał każde pluśnięcie, uderzenie wiosła, przekleństwo, każde słowo modlitwy, chłonąc nozdrzami wiatr, by wzmocnić płuca i serce. Ujrawszy potwora zawahał się na chwilę, lecz wspomnienie Eyjan dodało mu sił.

Tupilak zaczepił zakończoną niedźwiedzimi pazurami płetwą o nadburcie.

Ważył mniej od żywego zwierzęcia, ale zaatakowana łódź przechyliła się i trwała w tym położeniu, toteż jej załoga z trudem utrzymywała się na nogach i broniła przed wypadnięciem za burtę. Dwie włócznie ugrzęzły w pomarszczonej skórze potwora, kołyszając się groteskowo obok tkwiących tam już połówek dwóch innych, którymi trafiono go w poprzednich walkach. Z ran nie płynęła krew. Na końcu długiej, ruchliwej szyi tkwił rekini łeb, szkliste ślepia płonęły wściekłą nienawiścią. Tupilak szarpnął, skif zakołysał się. Jakiś mąż wpadł do paszczy potwora, który przegryzł go na pół. Trysnęła krew i w wodzie pojawiły się wnętrzności.

Jeden z wiosłarzy na rufie łodzi Haakona zaczął coś bełkotać ze strachu.

Steinkil dał mu kuksańca i uparcie wiosłował dalej. Podpłynęli do tupilaka od tyłu. Haakon stanął w rozkroku i zadał cios włócznią. Tauno wiedział, iż starzec chciał rozerwać skórę potwora, by wypuścić z niej siano i gnijące trupy...

Wielorybi ogon uderzył w dziób skifu i roztrzaskał go. Haakon upadł. Tauno skoczył w dół, w spienione fale.

Potrzebował tylko minuty, żeby opróżnić płuca z powietrza, wpuścić do nich słoną wodę i przystosować ciało do oddychania w morzu. Lodowata zielona toń wokół niego pociemniała i skróciła jego pole widzenia. Zobaczył wściekłą kipieli nad sobą i przed sobą — odgłosy walki uderzały raz po raz niby młoty w jego bębenki uszne. Poczul w wodzie zapach żelaza i smak ludzkiej krwi. Ciało martwego męża przesunęło się tuż obok, powoli opadając ku oczekującej na nie gromadzie węgorzy.

— Postaramy się zająć potwora tak długo, jak będziemy mogli, gdy ty będziesz atakował go z dołu — powiedział mu przed bitwą Haakon. — Lecz nie potrwa to długo.

Gotów już do walki syn wodnika włożył nóż w zęby i ruszył szybko do przodu. Atakując pozbył się strachu, a jednocześnie utracił poczucie własnej tożsamości. Nie było ani Tauna, ani tupilaka, ani

gromady ludzi, była tylko walka.

Łodzie stały się cieniami, które łamały się i ponownie formowały na strzaskanym jasnozielonym suficie jego świata. Tupilak był znacznie wyraźniejszy, zwłaszcza zarys jego brzuszyska... Tauno dostrzegł szwy łączące skórę czarodziejskiego stwora, poczuł zapach wyciekającej zeń pleśni i odór gnijącego ciała. Na tylnych płetwach sterczały pazury. Tauno rzucił się na wroga.

W jednej chwili nóż znalazł się w jego dłoni. Szybkim ruchem przeciął bok tupilaka. Ostrze przesunęło się wzdłuż szwu, w skórze potwora otworzyła się długa szczelina. Zdążył uchylić się przed ciosem płetwy.

Wygiąwszy się w łuk w strumieniu pęcherzyków powietrza, zobaczył

opadające w dół kości żeglarzy. Pozbawiony rozumu potwór nadal mordował

Normanów. Tauno zobaczył na moment, jak tupilak wściekle wywija ogonem, usłyszał ogłuszający bitewny zgiełk.

„Atakuj śmiało, wstrzymaj oddech pod wodą, aby nie wciągać do płuc cmentarnego plugastwa, rozcinaj dalej szew, złap za róg, rozedrzyj szerzej skórę!” Pazury drasnęły go po żebrach, wypuścił nóż z ręki i w ostatniej chwili zdążył odpłynąć w bok.

Tupilak ryknął. Rekini łeb obrócił się, szukając wroga. Płetwy i ogon skierowały wielkie cielsko ku synowi wodnika. Przeleciało mu przez głowę, że gdyby ci ludzie tam w górze byli Inuitami, umieliby wbić w tupilaka kilkanaście harpunów z przywiązanyymi do nich pęcherzami, które krępowałyby ruchy potworowi. No cóż, ten ludojad był na szczęście powolny i niezdarny. Mógłby bez trudu opłynąć go dookoła wiele razy. Ale żeby zbliżyć się do przeciwnika...

należało znaleźć jakiś sposób...

Paszczka z głuchym trzaskiem obróciła się w stronę Tauna, szkielet potwora...

tak, szkielet w paru miejscach zaczął się jakby rozpadać. Lecz nadal mógł

płynąć, tam gdzie chciał — łapy i ogon ciągle się poruszały, a szczęki wciąż się zwierzały i rozwierały. Tauno wdrapał się na grzbiet bestii, gdzie nic mu nie mogło zagrozić. Zacisnął mocno uda, nie zważając na to, że pąkle wbijały mu się w ciało, wyjął drugi nóż i zabrał się do roboty. Po pewnym czasie zrobiło mu się ciemno przed oczami. Musi się wycofać, żeby trochę odpocząć.

Czy tupilak coś pojął, choćby bardzo mętnie, czy też starał się sprawić, by spełniło się do końca przekleństwo rzucone przez angakoka? Ruszył ociężale w stronę łodzi.

Jeżeli je zatopi, nawet jeśli sam także przestanie istnieć, to czy Normanowie uwolnią Eyjan? Tauno usłyszał, jak tupilak uderzył w poszycie skifu. Wynurzył

się, żeby zobaczyć, co się działo na powierzchni morza.

Druga łódź dryfowała bezwładnie i zanosilo się, że będzie to trwało tak długo, dopóki czwórka ocalałych żeglarzy nie zdoła wyczerpać z niej wody i nie odzyska pływających w pobliżu wiosła. Potwór raz po raz walił w skif Haakona

— złamał już dziobnicę i poodrywał klepki poszycia. Rozwarłszy paszczę sięgnął po zdobycz. Gdzie był Haakon? Jego syn Jonas, uzbrojony w topór, walczył dzielnie — podobnie jak stojący obok niego Steinkil. Na oczach Tauna starszy mąż potknął się nagle. Tupilak zacisnął szczęki. Krew trysnęła strumieniem. Steinkil cofnął się, zaciskając lewą ręką przegub obok miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą była jego prawa dłoń.

Haakon wstał. Musiał stracić przytomność. Twarz i pierś miał pokryte krwią, jej szkarłat był jedyną jaskrawą barwą pod szarym jak wilcza sierść niebem.

Udało mu się jakoś odnaleźć wzrokiem oddalonego o kilkanaście metrów od łodzi Tauna.

— Czy potrzebujesz pomocy, Wodniku? — zawołał. Wyjął spod ławki kotwicę. Trzonek miała co prawda drewniany, ale jej pierścień i łapy sporządzono z zachowanego z dawnych dni żelaza. Kotwica była przywiązana rzemieniem do tego, co pozostało z dziobnicy. Kiedy Steinkil został okaleczony, Jonas cofnął się. Dwaj inni żeglarze kulili się za jego plecami. Haakon chwiejnym krokiem wszedł na rufę. Zębata paszcza rozwarła się tuż pod nim.

Podniósł wysoko kotwicę i z całych sił cisnął ją w dół. Jedna z żelaznych łap wybiła prawe ślepie tupilaka i utkwiała w oczodole.

Pochwyciły go wielkie szczęki. Choć ciężko ranny, zdołał się uwolnić.

— Płyńcie, ludzie! — krzyknął. — Tauno, zajmij się tą bestią... — Osunął się na dno łodzi.

Syn Wanimena odzyskał siły i rzucił się naprzód. Nie zważając na ostre pazury tupilaka, rozdzierał potwora. Kątem oka zauważył, że skif Haakona kieruje się w stronę zatoki. Tupilak nie ścigał go. Tauno okazał się zbyt groźnym przeciwnikiem, to jego należało najpierw zgładzić.

Zanurkował za nim, starając się go pochwycić, lecz właśnie wtedy druga łódź

dowlokła się wreszcie na pole walki. Potwór nie był w stanie ruszyć jej z miejsca, mogłoby się wydawać, że morze wokół niej zamarzło.

Tauno uderzał raz po raz, przywracając kolejne odcięte kawałki ciała potwora śmierci, której odebrał je angakok.

Po pewnym czasie było już po wszystkim, na wodzie unosiła się tylko pusta skóra, a rekini łeb utonął w ciemnej głębinie. Fale same się oczyściły. Kiedy syn wodnika, znowu oddychając powietrzem, dotarł do drugiej łodzi, poczuł na czole dotknięcie wiatru niby czyjeś błogosławieństwo.

Chociaż skif znów nadawał się do użytku, Tauno nie próbował się wdrapać do środka — w

przeziątej, potrzaskanej i przeciekającej łodzi znajdowało się już dziewięciu mężów — dziewięciu, ponieważ udało się zabrać z wraku pierwszego skifu Haakona i Steinkila. Tauno uczeplił się krawędzi burty.

Siedzący wewnątrz spojrzeli nań oszołomieni, byli śmiertelnie wyczerpani, nie czuli już nic prócz lęku. Kikut Steinkila był owinięty prymitywnym bandażem, wyglądało na to, że ranny przeżyje. Haakon nie miał na pewno żadnych szans.

Jego ciało było rozdarte od mostka aż po męskość. Leżał nieruchomo pomiędzy dwiema ławkami w kałuży krwi pośród wylewających się zeń wnętrzności.

A jednak wciąż jeszcze zachowywał się przytomnie. Jego oczy napotkały oczy Tauna, wyblakły błękit spotkał się z bursztynem. Książę Liri usłyszał tylko ochrypy szept: „Dziękuję ci, wodniku... Jonasiu, dotrzyмай mojej przysięgi...”

Wodniku... wybac, że skłamałem, mówiąc o twoim ludzie...”

— Musiałeś myśleć o swoim — odparł łagodnie Tauno.

— I o mojej córce... Będzie z tobą rozmawiać... nie mam prawa cię prosić...

ale znajdziesz ją i... — Zabrakło mu tchu. — Błagaj ją — lecz jeśli nie zechce, powiedz jej... że nigdy nie wyparłem się mojej Bengty... i będę modlił się za nią w czyścicu...

— Tak — oświadczył Tauno. — Eyjan i ja tak zrobimy...

Haakon uśmiechnął się.

— Może wy, wodnicy, macie jednak dusze. Niedługo potem umarł.

X

Zmysły wodników odnalazły ślad, na który nigdy nie trafiliby śmiertelnicy.

Już po paru dniach poszukiwań Tauno i Eyjan dotarli do obozowiska spotkanych wcześniej Inuitów.

Ukryte było w małej, zacisznej dolinie obok osłoniętej wysokimi klifami zatoki. Z łąki kręta ścieżka prowadziła w dół nad morze. Niewielkie źródło wypływało spod poźółkłej, lecz wciąż jeszcze miękkiej darni. Na porozrzucanych tu i ówdzie karłowatych brzozech i wierzbach pozostało już zaledwie kilkanaście wyschniętych żółtych liści. W dali wznosiły się ku niebu potężne góry, szaroniebieskie tam, gdzie nie leżał śnieg. Przez wiodącą na wschód rozpadlinę połyskiwał tajemniczo zielony łądolód. Promienie otoczonego złocistą aureolą, zachodzącego słońca, rozjaśniały połyskliwe, nieruchome powietrze.

Psy zaniósł się głośnym szczekaniem, kiedy do obozowiska zaczęły zbliżać się, stawiając wielkie kroki, dwie postacie w tunikach z rybich skór, potem pochwyciły ich woń i zamilkły. Nie przypadły do ziemi tak jak psy białych ludzi. Myśliwi wyszli przybyszom naprzeciw trzymając w rękach

harpuny, noże lub łuki, ale nie wygrazali nimi. Kobiety nie przerwały swych zajęć, tylko dzieciom przykazały trzymać się w pobliżu. Nie wydawały okrzyków strachu czy nienawiści.

Wszyscy zdawali się czuć jak u siebie w domu i najwyraźniej cieszyli się z udanego polowania. Nad ogniskami piekło się focze i niedźwiedzie mięso —

płynął stamtąd aromatyczny, kuszący zapach; oczyszczono już większe skóry, a kobiety zaczęły zuć mniejsze, by nadać im pożądaną giętkość. Choć nadal stały tu kamienne chaty, w których Inuici mieszkali w zimie, rozbito też stożkowate namioty. Mijając jeden z nich przybysze zauważyli jeszcze nie ukończoną rzeźbę z rogu wołu piźmowego. Była przepiękna.

Podnieśli do góry rozwarłe dłonie i zawołali:

— Przychodzimy w pokoju! Spotkaliśmy się w umiaku. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi.

Myśliwi opuścili broń lub rzucili ją na ziemię. Małzonek Bengty zaczął się tłumaczyć: „Nie widzieliśmy was za dobrze. Słońce nas oślepiło. Ten ktoś się wstydzi”.

Ona sama wyszła gościom na spotkanie.

— Nie zdradzicie nas Normanom, prawda? — poprosiła w języku swego ojca.

— Nie — odparł Tauno. — Mamy dla ciebie posłanie od nich.

— I przykre dla ciebie wieści — dodała Eyjan. Ujęła dłonie Bengty w swoje dłonie. — Twój ojciec nie żyje. Zginął walcząc z tupilakiem; został jednak pomszczony — nie ma już potwora... pobłogosławił cię przed śmiercią.

— O—o—och... — Dziewczyna znieruchomiała. Jej oddech (był trzaskający mróz) zmienił się w obłoki pary, które ulatywały w górę ku niebu, mającemu taką samą barwę, jak jej oczy. Dym przyciemnił jej włosy, spięte w kok inuickim obyczajem. Była jednak cała, zdrowa i odziana w futra, których królowa mogłaby jej pozazdrościć. — Och, ojczu, nigdy bym nie myślała... —

Zaniosła się łzami. Eyjan objęła ją i zaczęła pocieszać.

Minik zrozumiał, o czym mówiły. Niezdarnie poklepał ją po ramieniu.

— Wybaczcie jej — odezwał się w swojej mowie.

— Ona... jeszcze nie umie się odpowiednio zachować... ten ktoś ma nadzieję, że z czasem się tego nauczy. Kuyapikasit, moja pierwsza żona, przygotowuje dla was jedzenie i rozścieli posłania. — Uśmiechnął się do nich nieśmiało, ale widać było, że współczuje Bengcie.

Angakok Panigpak wystąpił z kręgu wpatrzonych w nich ludzi. Niepokój malował się na jego pomarszczonej twarzy.

— Ktoś myśli, że usłyszał coś o tupilaku — wykrztusił. Choć Tauno górował

nad nim wzrostem, szaman stał spokojnie i bez lęku patrzył mu w oczy.

— Dobrze słyszałeś — odparł syn wodnika.

On i Eyjan ustalili zawczasu, co powiedzą w języku Inuitów. W krótkich słowach opisał im bitwę z tupilakiem.

Szmer przerażenia rozszedł się wśród Eskimosów. Panigpak był najbardziej przygnębiony.

— Jestem głupcem — jęknął. — Naraziłem was na niebezpieczeństwo, was, którzy nie wyrządziliście nam nic złego.

— Któż to mógł przewidzieć? — pocieszył go Tauno.

— Słuchaj dalej, to jeszcze nie wszystko. — Po powrocie do osady, Jonas, syn Haakona, rozesłał swoich parobków, by wezwali wszystkich mężów z Vestri Bygd na wiec, spotkanie, na którym podejmuje się ważne decyzje. Moja siostra... usłuchał jej i mówił tak, jak mu radziła. A pozostali usłuchali mnie.

Przestraszyliśmy ich, rozumiecie, choć sądzili, że Wielka Natura zesłała nas po to, żebyśmy ich uratowali. (Określenie „Wielka Natura” oznaczało w języku Inuitów pojęcie najbardziej zbliżone do pojęcia „Bóg”.) Tauno mówił dalej:

— Wkrótce przekonaliśmy się, że tylko żelazna, wola Haakona trzymała ich tam, gdzie przebywali do tej pory. Posłuchali naszego ostrzeżenia — tego, co powiedzieli nam mądrzy mieszkańcy morza — że na tej ziemi z każdym rokiem coraz trudniej będzie wyżyć, aż w końcu ci, którzy pozostaną, umrą z głodu.

Postanowili wyruszyć na południe. Większość głosowała za tym. Ale najpierw muszą się upewnić, że nikt i nic nie napadnie na ich łodzie. Dlatego właśnie przybyłem tutaj z moją siostrą — chcemy otrzymać od was obietnicę, że latem przyszłego roku będą mogli podjąć podróż, mając pewność, iż nic im nie zagraża z waszej strony. Później cała ta kraina na północy będzie należeć do was.

Eskimosi wydali radosny okrzyk, zaczęli tańczyć wesoło i otoczyli ciasnym kołem rodzeństwo. Wyglądało jednak na to, że bardziej są podnieceni tymi wieściami, niż uradowani, i bardziej zadowoleni z tego, że krwawy spór się zakończył, niż z tego, że zwyciężyli.

— Obiecuję, obiecuję im to! — zaszlochał Panigpak. — Tak, wystosuję posłanie tak szybko, jak to będzie możliwe, żeby Sedna* zapewniła im dobrą pogodę i dużo ryb. Zapytam też tę, która rządzi głębinami, czy wie coś o waszym plemienu.

— A więc, Bengto — powiedziała cicho Eyjan — musisz podjąć decyzję o swoim losie i losie swego dziecka.

Córka Haakona uwolniła się z jej objęć. Łzy wyłobiły bruzdy w warstwie sadzy pokrywającej jej twarz; odsłonięta cera była delikatna jak kwiat głogu.

Teraz jednak przestała płakać, uniosła głowę wysoko, pewnością i siłą zadźwięczały w jej głosie, gdy powiedziała po normańsku:

— Zrobiłam to już w zeszłym roku, kiedy wybrałam Minika dla nas dwóch.

Goście spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Zaciśnęła pięści i śmiało spojrzała im w oczy. Inuici zamilkli.

— Tak — powiedziała. — Czy myśleliście, że zabrał mnie dlatego, bo mnie pożądał? Nigdy nie wzięłyby siłą żadnej niewiasty ani nie oszukałyby jej. Nie umiałyby tak postąpić. Kiedyś byliśmy towarzyszami zabaw. Chciał zawieźć mnie i Hallfridę do mojego ojca, ale prosiłam go, żeby tego nie robił, i posłuchał

mnie, z dobrego serca. Ma dobrą i pracowitą żonę — ona także przyjęła mnie życzliwie. (Niewielu Inuitów chce mieć dwie żony, bo w razie potrzeby mogą je sobie pożyczać.) A ja? Ja nie miałam pojęcia o żadnej z tych rzeczy, które muszą znać i umieć robić inuickie niewiasty. Mogłam tylko przysiąc, że spróbuję się tego nauczyć. Mam nadzieję, że z czasem przestanę być dla niego ciężarem.

— Więc go kochasz? — zapytała półgłosem Eyjan.

— Nie tak, jak kochałam Swena — odparła Bengta. — Ale... tak, miłuję Minika za jego serce.

* Sedna — wrogo nastawiona do ludzi eskimoska bogini morza i zwierząt morskich. Tylko odpowiednie ofiary mogą zapewnić myśliwym jej przychylność. Rządzi podmorską krainą Adliden, w której zmarli pokutują za grzechy (przy. tłum.).

Nie wiedzieli, ile z tego potoku słów płynącego z jej ust zrozumiał jej małżonek. Zarumienił się i choć speszony, sprawiał wrażenie zadowolonego.

— On jest naszym jedynym oparciem i jedyną nadzieją dla mnie i dla Hallfridy — mówiła dalej. — Czyż mogę liczyć na kogoś innego? Od dziecka rozmawiałam z tymi ludźmi tak często, jak tylko mogłam. Podobnie jak wy zdałam sobie sprawę, że zbliża się Wielka Zima*. Powiedzieli mi, że zauważyli, iż z roku na rok rosną lodowce, a morze coraz wcześniej zamarza i coraz później topi się na nim kra. Kiedy w końcu nadszedł ten dzień, siedziałam w źle zbudowanym domu, bez ognia, razem z trzema trupami, i tuląc w ramionach cicho płaczące z głodu dziecko, byłam pewna, że wkrótce sama umrę. My, mieszkańcy Vestri Bygd, mogliśmy trwać uparcie w naszej biedzie, dopóki by nas nie zadusiła albo udać się na południe do Mid i Ostri Bygd — jeżeli one przetrwały — i tam stać się nędzarzami. Podczas gdy Inuici... Rozejrzyjcie się wokoło. Oni dokonali tego, na co uparci Normanowie nigdy się nie zdobędą, nauczyli się żyć w tym kraju, który mimo wszystko, jest moją ojczyzną — i dobrze żyć. Gdybyś była na moim miejscu, Eyjan, czy nie wykorzystałabyś okazji, i nie przyłączyłabyś się do nich?

— Oczywiście — odparła wodnica. — Ale ja nie jestem chrześcijanką.

— A czym jest dla mnie Kościół? — krzyknęła Bengta. — Majaczeniami niepiśmiennego starca. Ja, która poznałam piekielny lód, mogę się narazić na ogień piekielny.

Opuściła ją duma. Nagle ukryła twarz w dłoniach i jęknęła:

— Ale długo będę pokutować za to... ze przyczyniłam się do śmierci mego ojca.

— Czemu tak mówisz? — zapytała Eyjan. — Po twojej ucieczce prześladował niewinnych i bezbronnych ludzi. Wątpię, czy kiedykolwiek podejrzewałaś, że ten surowy mąż tak bardzo cię kochał... Po tym, czego się dopuścił, ich krewni mieli chyba prawo szukać zemsty i starać się pozbyć

* Wielka Zima — straszliwa zima poprzedzająca Ragnarok — koniec świata i zagładę bogów w mitologii skandynawskiej (przyp. tłum.)

zagrożenia, jakie dla nich stanowił!

— Tupilak to był mój pomysł! — wrzasnęła Normanka. — To ja sobie o nim przypomniałam, kiedy Inuici zamierzali odesłać mnie do ojca, by uratować pokój. Tak długo męczyłam Panigpaka, aż go w końcu zrobił. To moja wina!

Osunęła się na kolana i mówiła dalej:

— Powiedziałam i jemu, i innym... że wszystko, co zrobili osadnicy, będzie się powtarzało, że z każdym rokiem będzie coraz więcej kłótni i zabójstw, w miarę jak będą rosły bieda i głód, dopóki Normanowie tu pozostaną, jeśli ich zaś wypędzimy, to choćby niektórzy z ich plemienia musieli nawet przy tym zginąć, dla nich także będzie to dobrodziejstwem — i wierzyłam, że mówię prawdę.

Biorę na świadka Maryję, Matkę Bożą, że w to wierzyłam!

Eyjan podniosła ją z kolan i znowu objęła. Tauno zaś powiedział powoli:

— Rozumiem. Chciałaś, żeby twoi krewni, wśród których żyłaś w młodości i których kochałaś, opuścili te strony, dopóki nie jest za późno. Ale bez względu na to co by się stało, angakok po nadejściu wiosny odwołałby i rozebrał na części tupilaka, czyż nie tak?

— T-t-ak — wyjąkała Bengta, kryjąc twarz na piersi Eyjan. — Lecz ten stwór zabił mego ojca.

— Powiedzieliśmy ci już, że pobłogosławił cię przed śmiercią — odparł

Tauno. Rozczesał palcami włosy. — Tak, to... dziwne... bardzo dziwne...

tupilak wysłany w imię miłości, a nie nienawiści.

Bengta, obecnie Atitak, druga żona Minika, uspokoiła się na tyle, że mogła pomóc w przygotowaniach do uczyty. Owej nocy zorza polarna zapłonęła wyjątkowo wspaniałym blaskiem i pokryła połowę nieba.

XI

Minęło lato, wróciła jesień. Duński wrzos kwitł purpurowo, jarzębina płonęła i wybuchała, drzała

osika obsypana złotem. Pod księżycem w nowiu płynęła smutna pieśń dzikich gęsi. Rankiem oddech unosił się ku górze obłokiem pary i zamrożone kałuże skrzypiały pod nogami.

Blask słoneczny i chmury goniły się po niebie na skrzydłach zimnego wiatru, ale w klasztorze pod wezwaniem św. Asmildy nikt nie zwracał na to uwagi.

Kwadratowy budynek otoczony dębami, które szumiały resztką liści (jego cegły wydawały się jeszcze czerwiesze na tle otaczających go wrzosów) spoglądał ponad małym jeziorkiem na Wiborg — na wieże katedry, na iglicę kościoła dominikanów i na mury zamku — jakby to miasto było nierealne. Nie dałoby się tego powiedzieć o samych siostrach; słynęły one z miłosierdzia i ofiarnej działalności charytatywnej. Tutaj jednak miały swe schronienie, cichą przystań, której harmonii świat nie był w stanie zmącić.

Lub tak się może tylko wydawało.

Troje podróżnych przybyło konno z Wiborga, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dokonanymi listownie. Wyglądali na ludzi godnych szacunku, mieli na sobie dostatnie stroje utrzymane w spokojnych barwach, a konie, na których przyjechali, pochodziły na pewno ze znakomitych stajni. Smukły, jasnowłosy młodzieniec pierwszy zeskoczył z rumaka, po czym dwornie pomógł zsiąść ślicznej, choć starszej od niego niewieście. Krzepki mąż, który zajął się ich wierzchowcami, pełnił zarazem funkcję sługi i strażnika. Pierwszych dwoje poprosiło o przyjęcie, okazując należyne podobnemu miejscu szacunek.

Mimo to przeorysza powitała ich chłodno.

— Muszę posłuchać rozkazu biskupa — powiedziała

— ale święci świadkami, że jest to w najwyższym stopniu niezgodne z regułą.

Wiedziecie, iż będę się modlić, żebyście nie zdołali nas pozbawić naszego najpiękniejszego klejnotu.

— Nie mamy takich zamiarów, wielbna matko — oświadczył

najłagodniejszym tonem Nils, syn Jonsa.

— W jednym z listów, jak pamiętasz zapewne, wspomniano, że my dwoje spłacamy dług honorowy.

— Niewiele dano mi do przeczytania, a zresztą miałam wrażenie, że leży przede mną palimpsest* — warknęła przeorysza. — Nie jestem tak naiwna, żeby nie wiedzieć, iż mam do czynienia z nadużyciem — z tajnymi umowami, naciskami i kuszeniem — tak, nawet dostojników Kościoła.

— To są ciężkie oskarżenia, wielbna matko — ostrzegła ją Ingeborga, córka Hjalmara.

Uświadomiwszy sobie że powiedziała za dużo, przeorysza zbladła.

Ingeborga uśmiechnęła się.

— Rozumiem. Ta dziewczyna stała ci się bliska, czyż nie tak? Powinnaś więc być zadowolona, gdyż teraz będzie miała możliwość dokonania wyboru i jeśli zechce tu pozostać — a to jest przecież możliwe — stanie się to dowodem, że jej pobożność jest prawdziwa, a nie wymuszona.

— Ty ośmielasz się mówić o pobożności, ty? Zadbaliśmy o to, by dowiedzieć się czegoś bliższego o tobie. Twoja obecność kła ten dom.

— Słyszałem, że gniew zaliczany jest do grzechów śmiertelnych —

powiedział czerwony jak burak Nils. — Może lepiej wrócimy do naszej sprawy, wielbna matko?

W ten sposób spełniła się wola biskupa. Zaprowadzono Nilsa i Ingeborgę na dziedziniec klasztorny. Nie pozostał na nim nikt, kto mógłby podsłuchiwać.

Parę zakonnice na pewno zerkało z okien w tę stronę, lecz z takiej odległości, że nie mogły usłyszeć ani jednego słowa.

Małgorzata, która niegdyś była Irią, wyszła pod klasztorną arkadę i zatrzymała się. Mimo że jeszcze nie była nowicjuską, miała na sobie czarną

* Palimpsest — rękopis pisany na pergaminie, z którego wytarto tekst pierwotny (przyp. tłum.).

szatę i kwef przypominające zakonny habit. I chociaż urosła o jakieś parę cali, a jej luźna suknia nie mogła całkowicie ukryć krągłości bioder i piersi, nadal sprawiała wrażenie dziecka. Patrzyła na przybyszów szeroko otwartymi oczami, rozchyliwszy lekko usta.

Ingeborga podeszła do niej i ujęła jej ręce w swoje dłonie.

— Droga Małgorzato — powitała ją. — Nie znasz nas, ale o nas słyszałaś.

Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i przybyliśmy tu, żeby ci pomóc.

Dziewczyna cofnęła się.

— Powiedziano mi, że muszę się z wami zobaczyć — szepnęła.

— Ha! I co jeszcze ci o nas naopowiadały? — parsknął Nils. — Jesteś skarbem, którego tak łatwo się nie wyrzekną. Same wpływy z pielgrzymek...

Ingeborga spojrzała na niego znad ramienia dziewczyny i zmarszczyła brwi.

— Cicho bądź — powiedziała. — Nie czas na takie rozmowy. — Po czym rzekła do Małgorzaty: — Chcemy tylko, żebyś nas wysłuchała, a potem pytaj, o co zechcesz. Rozmawiamy na osobności, bo gdyby wieść o naszym spotkaniu dotarła tam gdzie nie trzeba, pewne osoby mogłyby przez to ucierpieć. Musisz przysiąc, że sama nie piśniesz o nim słowa, chyba że usłyszałabyś coś złego i mogłabyś zgrzeszyć, utrzymując to w tajemnicy. Obiecuję, że nic takiego nie usłyszysz. Chodzi nam o tych, którzy tak bardzo troszczyli się o twoje dobre samopoczucie, że narażali swe życie... o twoich

braci i siostrę, Małgorzato.

— Nie mam nikogo — wyjąkała. — Już teraz nie...

— Czy mogłabyś się ich wyrzec? Gdyby nie zaprowadzili cię na brzeg, do dziś pozostałabyś w morzu, jeśli byś nie umarła, tak jak umierają zwierzęta.

Usiądź — Ingeborga podprowadziła Małgorzatę do ławki. — Słuchaj uważnie.

Wiatr wpadł na dziedziniec, hałaśliwy i niesforny. Chmura przepłynęła po niebie jak biała chorągiew. Wrony roześmiały się chrapliwie.

Opowieść o dzieciach wodnika wkrótce dobiegła końca, gdyż Nils i Ingeborga wiele pominęli. W pierwszej chwili Małgorzata pobała jak chusta, lecz później jej twarz nabrała wyraźnych rumieńców.

— Rezultat jest taki — kończył Nils — że zainteresowani tą sprawą dostojnicy kościołni i świeccy wiedzą tylko tyle, że zamierzam dotrzymać słowa danego przyjacielowi i że mój spowiednik na to pozwolił. Biskup Roskilde przez cały czas udzielał mi poparcia; staliśmy się przyjaciółmi. No a ofiary złożone przeze mnie z... hm... wdzięczności dla świętych, przyniosły jeszcze więcej tego złota Kościołowi jako całości, nie zwracając niczyjej uwagi. Poza tym biskup zgadza się, że masz prawo do spadku po krewnych — bo oczywiście orientuje się już teraz, że to oni przewodzili tej wyprawie, chociaż nic więcej mu nie powiedziałem.

No cóż, w Kopenhadze czeka na ciebie majątek. Biskup Johan znalazł pewną rodzinę — rodzinę bogatego kupca — która z radością cię zaadoptuje, wychowa i wyda dobrze za mąż. Jeśli chcesz, możesz tam z nami pojechać.

— Spotkałam się z tą rodziną — dodała Ingeborga.

— To dobrzy, życzliwi i rozsądni ludzie. Ten dom jest pełen spokoju.

— Jest także pełen życia — uśmiechnął się Nils. — Na pewno ci się spodoba.

— Czy oni są pobożni? — spytała Małgorzata.

— Przecież to biskup ich wybrał, czyż nie tak? Dziewczyna milczała przez dłuższą chwilę.

— Ostrzegano mnie przed tym — rzekła w końcu, wpatrując się w kamienne płyty dziedzińca. — Matka Ellina była bardzo temu przeciwna...

— Czy jesteś tu szczęśliwa? — spytała Ingeborga.

— Co się stało z... Taunem i Eyjan?

Małgorzata nie zauważyła grymasu bólu, który przebiegł przez twarze jej rozmówców.

— Nie wiemy — odparł Nils. — Nie widzieliśmy ich od przeszło roku.

Ingeborga objęła dziewczynę ramieniem.

— Czy jesteś tu szczęśliwa? — powtórzyła pytanie.

— Jeśli naprawdę tak jest, to cóż, zostań. Możesz ofiarować swój spadek klasztorowi albo zrobić z nim, co zechcesz. Przybyliśmy tu tylko po to, żeby zwrócić ci wolność, kochanie.

Małgorzata wciągnęła gwałtownie powietrze do płuc. Zacisnęła palce na kolanach.

— Siostry... są... dla mnie... dobre. Uczę się... różnych rzeczy...

Ingeborga skinęła głową.

— Ale masz w sobie tę samą krew, która płynie w żyłach Tauna.

— Powinnam zostać! Matka Ellin mówi, że powinnam!

— Jej zwierzchnicy powiadają, że nie musisz — przypomniał jej Nils.

— Och, j a c h c i a ł a b y m m i e ć d z i e c i ...

Pochyliła się i zaczęła płakać.

Ingeborga próbowała ją objąć, ale Małgorzata cofnęła się, wyprostowała, uciekła za kolumnę, otoczyła ją ramionami i tak stała przez czas jakiś. Szloch wstrząsał jej szczupłym ciałem. Ingeborga i Nils czekali cierpliwie.

Po paru minutach dziewczyna uspokoiła się, odwróciła do nich i walcząc z dokuczającą jej wciąż jeszcze czkawką rzekła:

— Tak, muszę się modlić o radę, lecz myślę, że chyba odejdę stąd. Ale jednak nie z wami, tak będzie lepiej. Czy możecie mi przysłać inną eskortę, och, w przyszłym tygodniu?

— Możemy pozostać do tego czasu w Wiborgu — zaproponował Nils.

Małgorzata, stojąc sztywno przed nimi, wykrztusiła:

— Nie, proszę, nie. Nie powinnam widywać się z wami częściej, niż to konieczne. Jestem bowiem żywym dowodem łaski Bożej, podczas gdy wy —

słyszałam o waszych obyczajach — och, poprawcie się, weźcie ślub!

Trzymajcie się z dala od tamtej dwójki, bo przecież chodzi tu o wasze zbawienie, chyba że nakłonicie ich, aby przyjęli chrzest. Nie sądzę jednak, żeby to wam się udało i... tak, oni byli dla mnie bardzo dobrzy, będę się za nich modliła, jeśli ksiądz powie, że mogę, ale chrześcijaństwo nie

powinni zadawać się z nieczystymi, pozbawionymi duszy, pogańskimi stworami, prawda?

KSIĘGA CZWARTA:

WIŁA

I

Panigpak powiedział, że trzeba poczekać, aż spadnie śnieg i będzie można zbudować igloo. Nie minął tydzień, a z nieba zaczęły się sypać białe, gęste płatki. Angakok pościł przez trzy dni i trzy noce. Później poszedł samotnie w góry, a mężowie tymczasem zbudowali igloo o takich rozmiarach, że wszyscy mogli się w nim pomieścić. Wyłożyli je wilczymi skórami, ale na ławie naprzeciwko drzwi położyli skórę niedźwiedzia.

Kiedy wszyscy zebrali się tam po zmroku, wykrzyknięto trzykrotnie imię Panigpaka. Szaman wszedł do środka.

— Po co tu przyszliście? — zapytał. — Ta osoba nie może wam pomóc.

Jestem tylko starym głupcem i kłamcą. No cóż, jeśli tego chcecie, spróbuję was oszukać moimi głupimi sztuczkami.

Podszedł do ławki i rozebrał się do naga. Inni już wcześniej obnażyli się do pasa lub całkowicie, gdyż w igloo było bardzo gorąco. Pot lśnił w blasku lamp, oczy błyszcząły; oddechy były głośne jak fale przybrzeżne. Szaman usiadł i mąż zwany Ulugatokiem związał mu ręce i nogi rzemieniami, ciasno aż do bólu.

Panigpak jęknął, ale nie wydał nawet słowa skargi.

Pomocnik angakoka postawił przy nim bęben, obok rozłożył suchą foczą skórę, po czym przyłączył się do siedzącego na podłodze tłumu.

— Zgaście lampy — powiedział. — Cokolwiek by się nie stało, zostańcie tam, gdzie jesteście. Ten, kto się teraz zbliży do niego, może umrzeć.

Mrok zalał wnętrze igloo, bo jarzył się tu tylko jeden mały płomyk, zbyt wąty by mógł oświetlić postać szamana. Panigpak zaczął śpiewać piskliwie rytmiczną pieśń, jego głos z każdą chwilą nabierał mocy. Bęben dudnił, sucha skóra grzechotała w ciemnościach i wydawało się, że te dźwięki rozbrzmiewają wszędzie, chwilami tu, chwilami tam, niekiedy w górze, niekiedy pod ziemią.

Po pewnym czasie obecni przyłączyli się do śpiewu. Pieśń zawładnęła nimi, zagubili się w niej, kołysali się miarowo, miotali, wili, wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe słowa, wyli i wrzeszczeli. Szaleństwo ogarnęło również Tauna i Eyjan, aż w końcu, choć obdarzeni czarodziejskim wzrokiem, nie spostrzegli nawet, kiedy i w jaki sposób Panigpak zniknął.

Nie było go. Obecni wciąż śpiewali drżącymi głosami tę samą, nie kończącą się, jak zimowa noc, pieśń. Inuici wyszli z siebie, opuścili swoje ciała.

Zgodnie z ich wierzeniami angakok płynął teraz poprzez skały ku podziemnemu światu i ku znajdującym się niżej wodom. Minął krainę umarłych; otchłań, w której wiecznie wirował krąg z lodu i kipiał kocioł pełen fok; przemknął obok psa—strażnika, większego od niedźwiedzia, psa, który szczekał i próbował chwycić go zębami; przebył bezdenną przepaść po moście, wąskim jak ostrze noża, i w ten sposób dotarł w końcu przed oblicze olbrzymiej, jednookiej Sedny, którą niektórzy nazywają Matką Morza.

Wydawało się, że to wszystko będzie trwało aż do przedednia Sądu Ostatecznego, ale w końcu Ulugatok zawołał: „Spokój! Spokój! Cień dojrzewa”.

— Nie ośmielił się nazwać niczego po imieniu — człowiek musi być cieniem, jego zbliżanie się — dojrzwaniem — w przeciwnym razie bowiem duchy go usłyszą i zaatakują szamana. Zdmuchnął ostatnią lampę, ponieważ Pangakok zginąłby, gdyby ktoś go zobaczył, zanim zdążyłby znowu wdziąć na siebie skórę, którą pozostawił, wyruszając pod ziemię.

W głębokim mroku wszystkim wydawało się, że wirują, spadają, niesieni bezładnie na skrzydłach wichury, której huk odbijał się echem od niewidocznego nieba. Potem bęben znów zaczął dudnić, a sucha skóra grzechotać. Ulugatok zanucił czarodziejską pieśń w języku, którego nikt poza nim nie znał. Być może miało to na celu uspokojenie zgromadzonych. Nie zamilkł dopóty, dopóki nie zapanowała niemal zupełna cisza — słychać było tylko płacz przestraszonych dzieci.

Panigpak powiedział zmęczonym głosem:

— Dwoje z nas musi umrzeć tej zimy. Ale za to zdobędziemy obfitość mięsa, mnóstwo ryb, wiosna i lato będą łagodne, a Sąsiedzi odejdą na zawsze. Mam również coś do powiedzenia naszym gościom, ale z nimi muszę porozmawiać później, na osobności. Dokonało się.

Jakiś mąż wyszedł po omacku z igloo, poszedł do najbliższej chaty po ogień, wrócił i ponownie zapalił lampy. Panigpak siedział na ławce, związany rzemieniami. Ulugatok podszedł, żeby go od nich uwolnić. Szaman upadł i leżał

jakiś czas w omdleniu. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł wśród siedzących wokół

niego współplemieńców Tauna i Eyjan. Uśmiechnął się słabo.

— To nic takiego — mruknął. — Tylko kłamstwa i błazeństwa. Jestem starym oszustem i nie ma we mnie mądrości.

Inuici niechętnie rozmawiali o takich rzeczach, kiedy się już dokonały.

Panigpak sprawiał wrażenie onieśmiałego, gdy odpocząwszy już i pożywiwszy się trochę odszukał dzieci wodnika. Wszyscy troje poszli na brzeg morza.

Było cicho i zimno. Słońce ześlizgiwało się w dół, daleko na południe. Jego promienie nadały błękitnostonalową barwę dwóm górom lodowym wędrującym przez szare wody. Morze zamarzło przy brzegu, ale lód był jeszcze zbyt cienki, aby można było nań wejść. Mewy arktyczne szybowały w górze, ich kwilenie ledwie docierało do trójki stojącej na pokrytych śniegiem kamykach.

— Nic w morzu nie może się ukryć przed tą, która mieszka pod nim —

powiedział Panigpak tonem bardziej poważnym, niż zamierzał powiedzieć. —

Ona wie wszystko o waszym pleminiu, Tauno i Eyjan. Ten ktoś musiał

nakłonić ją, żeby wyrzuciła z siebie słowo, tak jak powinien ją zmuszać — jeśli potrafi — aby wypuszczała foki w porze, gdy jest ich mało. Sedna nie jest przyjaźnie nastawiona do ludzi.

Tauno położył rękę na ramieniu angakoka. Stali w milczeniu.

Wreszcie Eyjan, zniecierpliwiona, potrząsnęła rudawymi pukłami i zapytała:

— No więc, gdzie oni są?

Skóra na twarzy Panigpaka napięła się, a zmarszczki spłyły. Spojrzał gdzieś przed siebie i powiedział cicho:

— Trudno jest to zrozumieć. Wydarzyło się coś, co nawet ją irytuje. Musicie pomóc mówić temu głupcowi, ponieważ zrozumiecie znacznie więcej, niż on mógł pojąć. Chociaż suchy ład nie podlega władzy Sedny, zna ona nazwy wielu nadbrzeżnych krain. Myślę, że nauczyła się ich od utopionych żeglarzy.

Pamiętam ich brzmienie — bo nie zapomina się niczego z tego miejsca — ale one nic nie znaczą dla takiego ignoranta jak ja, chociaż wy na pewno będziecie wiedzieli, o co chodzi.

Na podstawie jego relacji dzieci Wanimena zdołały odtworzyć większą część najnowszych dziejów swego plemienia. Wodnicy z Liri wsiedli w Norwegii na statek, który być może porwali. Płynęli do Marklandii lub do Winlandii —

mieszkający w Norwegii Normanowie nie wiedzieli już, gdzie która z tych zachodnich krain leżała — kiedy zerwał się wielki sztorm. Musiała to być ta sama nawałnica, która uszkodziła „Herninga”, mimo że znajdowali się daleko od jej centrum. Ten drugi statek na pewno odczuł jej pełną moc, zagnała go z powrotem do Europy. Dzięki naukom ojca, Tauno i Eyjan na tyle dobrze znali geografię tego kontynentu, że zrozumieli, iż później statek wodników skierował

się na Morze Śródziemne. Nie znali miejsca, w którym zakończył podróż, lecz Panigpak podał im nazwy — wyspa Zlarin, wybrzeże Dalmacji — będą mogli zapytać o to później. Zdaje się, że wodnicy zostali tam zaatakowani i że uciekli na ląd.

To, co się z nimi później stało, budziło niepokój i było niezrozumiałe. Ocaleli wodnicy musieli przebywać gdzieś w pobliżu, ponieważ nadal pojawiali się na krótki czas na pełnym morzu: pojedynczo lub po kilku naraz, Sedna nie miała już innych możliwości, by ich obserwować. A poza tym zmienili się w istotny sposób, byli już nie tacy jak przedtem — na czym to polegało, Sedna nie mogła powiedzieć — i zmiana ta sprawiła, że ją samą, Matkę Morza, ogarnęły złe przecucia.

Tauno spochmurniał:

— Stało się coś niedobrego — rzekł.

— Może nie — odparła Eyjan. — Może odkryli jakiś czar, który pozwala im cieszyć się nową ojczyzną na lądzie.

— Musimy ich odnaleźć i dowiedzieć się wszystkiego. Będziemy potrzebowali pomocy ludzi.

— To prawda. No cóż, i tak zamierzaliśmy wyruszyć do Danii, w sprawie Irii.

Panigpak przyjrzał się rodzeństwu. W swym długim życiu widział wiele tragedii i nieszczęść.

— Może ktoś będzie mógł wam pomóc w inny sposób — powiedział

łagodnie.

Pewnej spokojnej nocy gwiazdy tak wypełniły czarny puchar nieba, że przesłoniły go niemal zupełnie. W ich odbitej od śniegu poświacie Bengta, córka Haakona — teraz Atitak — mogła bez trudu iść zboczem doliny, w której Inuici rozbili obozowisko. Kiedy mówiła, jej oddech unosił się białym obłokiem w górę, ale nie zamarzał na kapturze z wilczej skóry. Tylko skrzypienie śniegu pod nogami i jej głos przerywały głęboką ciszę.

— Czy naprawdę musicie opuścić nas tak szybko? Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyście z nami pozostali. Nie chodzi o ryby i foki, które nam dostarczacie w takiej obfitości. Chodzi o was samych.

Idący obok niej Tauno westchnął.

— Za morzem mamy krewnych, którzy mogli wpaść w tarapaty i za którymi tęsknimy. Nawet w obiecanych przez was kajakach — na pewno dzięki nim będziemy mogli podróżować szybciej, niż gdybyśmy płynęli w pław

— ta podróż zajmie nam wiele tygodni. Pamiętaj, że w drodze musimy polować, spać i często walczyć z przeciwnymi wiatrami. Już odpoczęliśmy po tej sprawie z tupi—lakiem. Prawdę mówiąc, pozostaliśmy tutaj znacznie dłużej, niż to było konieczne. Już niebawem Inuici zaczną wędrować po okolicy. Jeśli będziemy czekać na nich, nie uda się nam wyruszyć w drogę do Danii przed wiosną.

Niewiasta spojrzała na potężną nagą postać oświetloną blaskiem gwiazd, ujęła jego dłoń w swoją dłoń i odważyła się zapytać:

— Więc czemu w ogóle zostaliście? Eyjan stała się ostatnio niespokojna. To ty radziłeś, żebyście zaczekali.

Tauno zatrzymał się, Bengta przystanąła także. Odwrócił się do niej, pogłodził ją po policzku i rzekł:

— To z powodu ciebie, Bengto.

Mieszkał w chacie Minika i Inuk rad był, że może mu ustąpić swojej żony.

Rozstawali się tylko wtedy, gdy co jakiś czas oboje na zasadzie milczącej zgody uznawali, że Bengta powinna przespać się ze swym małżonkiem, a Tauno z jego pierwszą żoną Kuyapikasit, żeby nie urazić ich uczuć. (Eyjan natomiast zachowywała się nie jak niewiasta, lecz jak myśliwy, i zależnie od kaprysu przenosiła się od jednej rodziny do drugiej. Spała ze wszystkimi mężami w obozowisku.)

Bengta stała nieruchomo. Powiedziała tak cicho, że z trudem usłyszał jej słowa:

— Tak, to było cudowne. Teraz musicie odpłynąć, ale czy potem do nas wrócicie?

Tauno pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie.

Spuściła wzrok.

— Twoje serce wodnika... — Znów na niego spojrzała.

— Ale co we mnie zobaczyłeś? Czy chodzi o to, że bardziej przypominam wodnicę niż jakakolwiek Inuitka? No cóż, Europa roi się od białych niewiast.

— Niewiele jest tak pięknych jak ty, Bengto.

— Myślę, że znam powód — zaczęła — chociaż może ty sam go nie... —

urwała.

— Co? Zagryzła wargi.

— Nic. Przejęczyłam się. — Zaczęła schodzić w dół.

— Wracajmy do chaty i pójdźmy na ławę. Śnieg skrzypiał im pod nogami.

— Co miałaś na myśli? — zapytał szorstko Tauno.

— Nic, nic!

Chwycił ją za łokieć. Poprzez warstwę skóry i futra jego palce wpiły się w jej ciało. Skrzywiła się z bólu.

— Powiedz mi. — Uśmiechnął się szeroko, aż jego zęby zabłysły w gwiazdnej poświacie.

— Pomyślałam — wyznała — pomyślałam, że jesteś tą, która najbardziej przypomina ci Eyjan, i że podczas t podróży nie będzie przy tobie nikogo prócz niej... Wybacz mi, kochany Tauno. Oczywiście nie miałam racji.

Jego oblicze przybrało obojętny wyraz, a głos stracił barwę.

— Nie mam ci nic do wybaczenia. Czy twój wymysł może obrazić istotę, która nie ma duszy?

Nagle znów się zatrzymał, przyciągnął ją do siebie, uśmiechnął się i pocałował czule.

Gdy spoczęli na zasłanej futrami ławie w ciemnej chacie, Bengta szepnęła:

— Oby nasienie w moim łonie było twoim. To możliwe, policzyłam dni.

Minik jest kochany i pragnę również urodzić jego dzieci, ale oby jego bogowie ofiarowali mi taką pamiątkę po moim Taunie.

* * *

Dzień stał się już uciekinierem, pokazywał się tylko na krótko, po czym ciemność szybko przepędzała go precz. Nocny mrok nie przeszkadzał

wodnikom obdarzonym czarodziejskim wzrokiem, lecz rodzeństwo odpłynęło za dnia, aby Inuitom łatwiej było ich pożegnać.

Przybyli całą gromadą. Weszli na lód tak daleko, jak wydawało się to bezpieczne. Ziemia za ich plecami tonęła w bieli, z wyjątkiem miejsc, gdzie ze śniegu wynurzały się klify lub turnie. Przed nimi rozpościerało się morze, szare, lekko wzburzone i hałaśliwe. Ostry wiatr gnał niskie chmury.

Panigpak wyszedł z grupy i zbliżył się do czekającego nań rodzeństwa.

Trzymał w dłoni kościany krążek, lekko wygięty do środka i zawieszony na rzemyku z foczej skóry, który przechodził przez otwór wywiercony tuż przy brzegu. Średnica krążka wynosiła około półtora cala.

— Bardzo nam pomogliście — powiedział. — Tauno zniszczył tupilaka, którego stworzyło szaleństwo tej osoby. Przestraszył naszych wrogów i dzięki niemu żyjemy teraz w pokoju. Eyjan... — Potrząsnął siwą głową, zachichotał i zamrugał szybko... — Eyjan, kiedy stanę się tak stary, że nie będę się już nadawał do niczego i odejdę, aby samotnie usiąść na lodzie, ogrzeją mnie wspomnienia o tobie.

— Och, odwdzięczyliście się nam z nawiązką — odparł Tauno, a jego siostra musnęła wargami czoło angakoka. Powiedziała już kiedyś bratu, że szaman nie był mocny w tych sprawach, ale był za to naprawdę słodki.

— Nie liczy się przysług między przyjaciółmi — przypomniał im Panigpak.

Gdyby nigdy nie zetknął się z Normanami, nie wiedziałby, co teraz powiedzieć.

— Ktoś chciałby coś wam podarować na pożegnanie. Podał Taunowi kościany krążek. Wodnik położył go na dłoni, żeby mu się lepiej przyjrzeć. We wgłębieniu wryte były znaki, które zaczerwiono, żeby rysowały się wyraźniej na białozółtym tle: ptak o ciemnej głowie i zakrzywionym dziobie lecący przed sierpem księżyca. Przeszedł go dziwny dreszcz, gdy wyczuł w środku chłód

czarów.

— Będziesz szukał obcych krajów — rzekł szaman.

— Ich mieszkańcy mogą mówić językami, których nie znasz. Ale ten, kto będzie nosił ten amulet, zrozumie to, co usłyszysz, i będzie mógł odpowiedzieć w tej samej mowie.

Eyjan dotknęła krążka czubkami palców.

— Z takimi rzeczami trzeba zawsze uważać — powiedziała, mimo woli zniżając głos. — Twoje czary nie są takie jak nasze. Co powinniśmy o nim wiedzieć?

— To wielkie czary — odparł równie cicho angakok.

— Wykonanie go zupełnie wyczerpało nędzne moce tej osoby. Musiałem zacząć od otwarcia grobu mojego ojca, żeby wziąć kawałek jego czaszki... och, on się nie rozgniewał; przebywając wśród cieni czuje niejasną radość, ponieważ mógł mi pomóc...

Ten amulet łączy duszę z duszą. Uważajcie, żebyście się nie wpatrywali za długo w rysunek — tak, lepiej noście go pod ubraniem albo czystą stroną do góry — ponieważ mógłby wciągnąć duszę, gdyby zechciała ona opuścić ten świat, a to przecież oznacza śmierć. — Urwał. — Gdyby tak się stało, uwięziona dusza może wejść w tego, kto nosi amulet, jeśli owa osoba tego pragnie. Lecz któż chciałby stać się w połowie kimś obcym?

Tauno pośpiesznie zacisnął w dłoni kościany krążek.

Eyjan wyjęła mu go z ręki i zawiesiła na szyi zgodnie z radą Panigpaka.

— Dziękujemy ci — powiedziała lekko drżącym głosem.

— Nie ma za co — odrzekł. — Stary głupiec miał do ofiarowania tylko coś takiego.

Wymienili jeszcze kilka słów i ostatnie uściski, po czym dzieci wodnika podniosły swoje kajaki i ruszyły w drogę. Łódź załamał się im pod nogami, tworząc krę, z której spuścili łódki do morza. Wsiedli do kajaków, zasnurowali kaftany i odwiązali wiosła. Pomachali rękami i krzyknęli coś na pożegnanie, a potem skierowali się na południe. Inuici i Bengta patrzyli wciąż za nimi, dopóki nie zniknęli w oddali.

II

W powrotnej drodze do ojczyzny Tauno spotkał stado grenlandzkich wielorybów podróżujących wokół czoła świata i usłyszał ich wędrowną pieśń.

Udało się to tylko nielicznym wodnikom, ponieważ władcy wielkich wód rzadko zbliżali się do lądów — a któż szukałby ich na pełnym morzu i co mógłby powiedzieć tym majestatycznym istotom?

Tauno właśnie polował. Eyjan przy nim nie było, holowała za swoim kajakiem jego zamknięty kajak.

Robili to na zmianę, raz ona, raz on, bo nie pilnowane łódki odpląnęłyby tak daleko, że nie dałoby się potem ich odnaleźć.

Kiedy baraszkowali wśród fal, by rozprostować kości, starali się trzymać blisko siebie, a gdy zasypiali na powierzchni wody, przywiązywali się do kajaków i do siebie nawzajem. Było to dosyć kłopotliwe i na pewno lepiej by im się polowało razem, ale generalnie rzecz biorąc, dzięki kajakom podróż przebiegała znacznie szybciej i łatwiej, niż gdyby płynęli wplaw.

Tauno zanurkował; liczył na to, że upoluje dużą rybę, mniejszych nie warto było zabijać; potrzebowali paliwa dla swych ciał, by im było ciepło i by mogli pracować. Dlatego owe dźwięki dotarły do niego znacznie szybciej, niż gdyby niosły się przez powietrze, i dźwięczały w mięśniach, krwi i kościach — nie tylko w uszach. Usłyszawszy je niewyraźnie w oddali, ruszył w kierunku, z którego dobiegały. Kiedy zaś zorientował się, kto tak dostojnie pruł fale, nie zawrócił, wiedział bowiem, że wędrówka wielorybów zaalarmuje wiele stworzeń i że łatwo znajdzie pośród nich zdobycz. Później władcy mórz zaczęli śpiewać.

Oszołomiony Tauno płynął wciąż do przodu, milę za milą, znacznie dalej niż zamierzał, aż w końcu je zobaczył — grzbiety wznoszące się nad wodą jak skaliste wysepki, brzuchy i wielkie, rozwarte paszcze, większe od człowieka płetwy, burzące morze ogony. Każdy z nich przewyższał rozmiarami większość budowanych przez ludzi statków. Powolny grzmot ich ruchów był nieodłączną częścią tej niezwyklej muzyki, która huczała i wibrowała tryłami, nurkowała tak nisko i wzbijała się tak wysoko, że większości dźwięków nie byłby w stanie wychwycić żaden człowiek. Pieśń wtargnęła do jego wnętrza, wlała się weń jak w naczynie, oczarowała go swoją mocą i tajemniczością.

Tauno słabo znał język wielorybów, a to Eyjan miała teraz amulet Panigpaka.

Nikt z krewnych jego ojca nie opanował tej mowy, ponieważ nie przypominała ona w ogóle żadnego z ludzkich języków ani języków Krainy Czarów. Dźwięki nie były słowami, lecz szczególnymi konstrukcjami albo odpowiednikami całych wydarzeń, a każdy mieścił w sobie tyle znaczeń — choć żadnego nie dałoby się wypowiedzieć — ile pełna ksiąg biblioteka lub życie, na które spogląda umierający. Tauno był obdarzony podwójnym dziedzictwem i był

także poetą. Później zdołał odtworzyć fragment tego, co wówczas usłyszał.

Wiedział jednak doskonale, że zrekonstruował tylko niewielki odłamek, przypadkowo odłupany od całości, której kształtu i celu nigdy nie ukaże.

Przewodnik stada: *Wszystko, co żyje, wyszło z przyływów, Którymi rządzi księżyc okrążający w pustce*

Ten świat. On podczas swej podróży

Wywiera wpływ na morza, przyciąga je do siebie

Znacznie mocniej niż czyni to z oddali Słońce...

Słońce, Księżyc i ten glob tańczą w koło

Przez niezmierzone głębiny i pył gwiazdny.

Stare samice: Tak, one krążą, krążą,

Jak wspomnienie

Maleństwa, które umarło,

Kiedy matka nie może

Odstawić go od piersi,

I pozwolić mu odpłynąć

Od swego boku w nicość.

Młode samce: W zimie Ocean

Ciężko faluje pod niskim niebem.

Ciepłe są tylko pragnienia

Zbudzone przez jego fale.

Latem zaś się szukamy,

By kochać się z wigorem.

Śmieć się głośno,

Ciesząc się, że żyjesz!

Młode samice: Bądźcie ożywczym światłem.

Bądźcie wiatrem i deszczem,

Z których rodzą się fale.

My jesteśmy oceanem i Księżycem,

My jesteśmy przyływami i odpływami

Które odmładzają waszą matkę.

Małe wieloryby: Blask słonych chmur,

Skrzydła w górze, łuski w dole,

Mlecznobiała piana — wszystko nowe, nowe!

Stare samce: Pory roku przychodzą i odchodzą,

Z głębin w górze do głębin w dole,

I czas skruszy naszą dumę i smutki,

Tak jak fale kruszą najtwardszą skałę.

Krążymy po morzach tam, gdzie rozpostarły się p astwiska, Gdzie czają się orki, żeby oderwać za długi język.

Chociaż to nas błogosławią wody,

Nasze kości utoną w mrocznych głębinach.

Nasz ród jest stary, lecz świat jest znacznie starszy, I nadejdzie dzień, gdy wieloryby będą musiały odejść.

Nic nie trwa wiecznie, I świat kiedyś pochłonie ostatnia fala.

Stare samice: A przecież żyliśmy.

Młode samce: A przecież żyjemy.

Małeńkie wieloryby: A przecież będziemy żyć.

Młode samice: A przecież dajemy życie.

Stare samce: I to wystarczy.

Przewodnik stada: Płynmy naprzód.

Zanim Tauno i Eyjan wyruszyli niebezpiecznym (z uwagi na niezwykle groźne prądy) szlakiem przez cieśninę Pentland Firth, obok Merry Men of Mey, między wyspami Swalchie i Wells of Swona i wokół Bores of Duncansbay, znaleźli na wybrzeżu Caithness miejsce, gdzie mogli naprawić zniszczone kajaki i odpocząć.

Po obu stronach zatoczki wznosiły się czerwone klify, na jej końcu ciągnął

się pas piasku obrzeżony błotnistą, miękką darnią. Za nim wspinało się w górę strome skaliste zbocze. Między głazami i rzadkimi krzewami, wiła się wąska ścieżka, ale wszystko wskazywało na to, że ludzie odwiedzali to miejsce rzadko i na pewno nie w zimie.

W zatoczce było dosyć ciepło i podróżni odetchnęli wreszcie z ulgą po trudach ostatnich tygodni.

Wyciągnąwszy kajaki na brzeg Tauno i Eyjan rozłożyli na darni skóry świeżo upolowanych fok.

Nasączyli tranem zebrane na zboczach gałązki, za pomocą krzemienia i stalowego ostrza sztyletu rozniecili ogień i szybko podpalili stos znalezionych na brzegu kawałków drewna. Poza mięsem fok mieli alkę, którą zamierzali upiec, oraz ryby, które zawsze jedli na surowo.

— Ach — odezwał się Tauno. — To smacznie pachnie.

— Owszem — odparła Eyjan. Przykucnąwszy wpatrywała się w czubek trzymanego w rękę szpikulca. Tauno objął ramieniem kolana, oparł na nich brodę i zapatrzył się w zatokę.

— Cieszymy się dobrą pogodą, póki jeszcze możemy — powiedział po chwili milczenia. — Nie potrwa długo.

— Nie, nie potrwa.

— No cóż, naprawa kajaków nie zabierze nam wiele czasu.

— Na pewno nie.

— Mimo wszystko, przebyliśmy... ile? Dwie trzecie drogi?

— Może trochę więcej.

Żadne z nich dwojga nie miało już nic ponadto do powiedzenia. Zbliżała się noc.

Eyjan szturchnęła kościanym nożem piekącego się ptaka. Kiedy się nachyliła, jej rozpuszczone włosy odsłoniły białą skórę i różowe sutki.

— Wkrótce będzie gotowy — powiedziała. — Możesz już zacząć czyścić ryby.

— Tak — Tauno oderwał wzrok od morza i zajął się rybami. Przy każdym ruchu jego potężne mięśnie falowały pod skórą.

— Nie musimy się śpieszyć z naprawą łodzi — odezwała się Eyjan po kilku minutach. — Odpoczynek dobrze nam zrobi.

— Tak, mówiliśmy już o tym. Ale na to będziemy mieli chyba dość czasu na Bornholmie, zanim Nils otrzyma od nas wieści i przybędzie na spotkanie.

— O tym również mówiliśmy.

— Pamiętaj, że to ja będę rozmawiał z ludźmi. W Europie inuicki przydzwiewek nie wyda się zbyt dziwny na mężu, ale na niewieście...

— Tak, tak! — burknęła. Nagła czerwień zalała jej policzki, spłynęła po szyi i dotarła do piersi.

— Proszę o wybaczenie — powiedział lekko ochrypłym głosem i podniósł

swoje złociste oczy ku szarym oczom Eyjan.

— Och, to nieważne — odrzekła pośpiesznie. — Jestem przemęczona i burczy mi w brzuchu.

Tauno uśmiechnął się szeroko.

— Mnie także. To co słyszysz, nie jest hukiem morza. Ta wymiana zdań zmniejszyła nieco utrzymujące się pomiędzy nimi napięcie. Mimo to, kończąc przygotowania do posiłku milczeli prawie przez cały czas. Jedząc, również nie rozmawiali ze sobą, wymienili tylko kilka słów o tym, jakie to wszystko było smaczne i jak przyjemnie jest siedzieć przy ognisku.

Kiedy skończyli posiłek, Tauno przyniósł nową porcję drewna i dołożył ją do ognia. Zapadała wczesna noc, niebo nad nimi przybrało granatową barwę.

Dzieci wodnika dobrze widziały w mroku, ich oczy nie potrzebowały wiele światła. Usiedli naprzeciw siebie przy ognisku, żeby nacieszyć się czerwonymi, żółtymi i niebieskawymi błyskami żarzących się węgli, swojskim trzaskiem płomieni i ostrym zapachem dymu.

— Powinniśmy iść spać — powiedział Tauno. — Ja nie jestem śpiący, ale ty się połóż, jeśli masz ochotę.

— Ja także nie jestem śpiąca. Oboje wpatrzyli się w płomienie.

— Zastanawiam się, jak się ma Iria — powiedziała w końcu, bardzo cicho.

— Dowiemy się.

— Chyba, że Nilsowi i Ingebordze się nie udało.

— W takim razie spróbujemy czegoś innego.

— Sądzę, że nie stało im się nic złego — szepnęła Eyjan. — Niemal wierzę w to, że jakiś bóg mógłby im pomóc, gdybym się o to modliła.

— Och, oni są twardzi — odparł Tauno. — Mam nadzieję, że wkrótce znów ich zobaczę.

— Ja także. Nils jest... Lubię go najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam.

— A ona... Uuch! — prychnął Tauno mrużąc oczy i machając ręką przed nosem. — Nagle dym uwziął się właśnie na mnie.

Eyjan podniosła na niego wzrok. Księżycowa poświata posrebrzyła jego jasne włosy o zielonkawym odcieniu i rozjaśniła szerokie ramiona, nie oświetlone blaskiem ogniska.

— Chodź do mnie — powiedziała.

Zesztywniał, ale po chwili znalazł się blisko niej. Siedzieli teraz jedno przy drugim, stykając się bokami, wyciągnawszy ręce w stronę ognia, i patrzyli przed siebie. Wiatr szumiał cicho nad szczytami klifów.

— Co będziemy robili na Bornholmie czekając na wieści? — spytała w końcu Eyjan.

Tauno wzruszył ramionami. Dotknął przy tym mimo woli jej ręki. Z trudem przełknął ślinę i dopiero po jakimś czasie odpowiedział:

— Będziemy odpoczywać i nie robić nic — poza polowaniem. Zasłużyliśmy na to.

Skinęła głową. Pukle jej kasztanowatych włosów musnęły jego ramię.

— Tak, wiele dokonaliśmy, prawda?... ty i ja.

— A jeszcze więcej zostało do zrobienia.

— Razem damy sobie z tym radę.

Wiedzeni nagłym impulsem jednocześnie zwrócili ku sobie twarze. Poczuli wzajemnie swoje oddechy, czysty zapach ciał... usta Eyjan znalazły się zaledwie o cal od ust Tauna. Nigdy nie dowiedzieli się, które z nich pierwsze wyciągnęło ramiona.

— Tak, tak — prawie zaszlochała, kiedy ich wargi rozłączyły się na chwilę.

— Och, tak, tak!

Tauno cofnął się.

— Nasza matka...

Eyjan przywarła do niego gwałtownie. Wyczuwał pośpieszny rytm jej serca, które biło jeszcze szybciej niż jego własne. Roześmiała się gardłowo.

— Za długo się tym przejmowaliśmy. Jesteśmy wodnikami, kochany Tauno.

— Zerwała się na nogi i pociągnęła go za rękę. — Tam, na trawie, mamy posłanie... dopiero teraz wiem, jak bardzo za tym tęskniłam.

— Ja też. — Potykając się wstał. Siostra niemal go tam zawlokła, a później ściągnęła na ziemię.

Księżyc zniknął za klifami. Gwiazdy świeciły blado na ciemnym niebie.

Eyjan uniosła się na łokciu.

— Nic z tego, tak? — zapytała z goryczą. — To wszystko nie ma sensu.

Wciąż jeszcze leżąc na posłaniu Tauno zasłonił twarz ramieniem.

— Czy myślisz, że mnie to cieszy? — wymamrotał.

— Nie, oczywiście, że nie. — Córka Wanimena uderzyła pięścią w udo. —

Chrześcijanie mogą nas egzorcyzmować! — krzyknęła. — Dlaczego my nie możemy egzorcyzmować chrześcijan? To niesprawiedliwe!

— Sprawiedliwość, niestety, nie istnieje. Przykro mi.

— Tauno przewrócił się na bok, odwracając się plecami. Eyjan usiadła prosto, spojrzała na brata, przesunęła dłoń wzdłuż jego boku i zatrzymała ją na biodrze.

— Nie gardź sobą, mój bracie — zdołała powiedzieć.

— Istnieją gorsze klątwy. Oboje mamy świat, w którym możemy żyć.

Nic nie odpowiedział.

— Pozostaniemy przyjaciółmi. Towarzyszami broni — mówiła dalej.

Zmęczenie podróżą okazało się niespodziewanie czymś zbawiennym. Zasnął.

* * *

Obudził się i zobaczył nieznane konstelacje. Ognisko zgasło, mróz ścisnął

mocniej. Jego ciało spaliło tymczasem niemal zupełnie pożywienie, które mu niedawno dostarczył. Znow poczuł głód. Przeciągnął się i uśmiechnął.

Błyskawicznie przypomniał sobie wszystko. Zaczerpnął łapczywie powietrza.

Po chwili zauważył, że Eyjan zniknęła. Spochmurniał, wstał i wpatrzył się w mrok. Nie mogła się przed nim ukryć w niewielkiej zatoczce. Gdzież więc była?

Rozejrzał się, szukając jej zmysłami wodnika. Nie weszła powtórnie do wody.

Pozostała tylko ścieżka... tak, to były jej ślady, choć ledwo widoczne... poczuł

jak krew gwałtownie pulsuje mu w żyłach.

Zatrzymał się. Domyślał się, dokąd i po co poszła, ale mógł się mylić, a zresztą któż wie, jakie niebezpieczeństwa czyhały na nią w tej dzikiej, zamieszkannej przez chrześcijan okolicy. Podjął decyzję. Przypasał nóż, podniósł

harpun i ruszył w drogę.

Księżyc wisiał nisko nad klifami. Z drugiej strony urwiska porośnięte wrzosem zbocze opadało ku wrzosowisku. Szron i płatki śniegu rozjaśniały szarą płaszczyznę. Tauno kroczył szybko ścieżką, która biegła najpierw brzegiem morza, a potem skręcała na południe, do płytkiej doliny. Na kawałku oczyszczonej z wrzosów ziemi stała tam niewielka zagroda. Jej mieszkańcy siali nędzny owies i jęczmień, ale ich głównym zajęciem była hodowla owiec, które latem zapuszczały się w głąb wrzosowiska. Syn Wani—mena zobaczył

owczarnię, stogi siana i dwa małe, przytulone do siebie budynki. Za nimi wznosił się kurhan z czasów Wikingów i majaczyły ruiny piktyjskiego [zamku](#).

Ślady Eyjan wiodły w te strony. Tauno poszedł jej tropem. Kiedy zbliżył się do zagrody, wypadły stamtąd z głośnym ujadaniem dwa psy i jak zawsze, gdy tylko go zwęszyły, zaskomlały i uciekły.

Jego uwagę zwrócił nieco cichszy dźwięk. Skulił się i bezszelestnie niby duch podszedł tak blisko, że mógł zajrzeć przez otwarte drzwi do wnętrza szopy. W

środku stała jakaś niewiasta, przedwcześnie postarzała od ciężkiej pracy.

Kołysząc w ramionach niemowlę płakała żałośnie. Dwie podrośnięte córki skuliły się u jej stóp. Drżały z zimna; wszystkie trzy miały na sobie tylko koszule, najwyraźniej narzucone w pośpiechu.

Tauno ruszył w stronę chaty. Przez szpary w okiennicach, tuż pod niskim okapem ułożonego z torfu dachu, przeświecało blade światło.

Przyłożył ucho do ściany i wyteżył zmysły.

Powiedziały mu one natychmiast, że w środku było czterech ludzkich mężów

— wszyscy dyszeli ciężko — i jego siostra, która wrzeszczała jak kocica. Kiedy tak nasłuchiwał, jeden z ludzi krzyknął. Eyjan zawołała natychmiast: „Twoja kolej, Roderyku.”

* Piktowie — pierwotni mieszkańcy Szkocji (przyp. tłum.).

Tauno ścisnął harpun w dłoni z taką siłą, że aż zbieleły mu palce.

No cóż, pomyślał po pewnym czasie, sobie samemu mogę tylko za to podziękować, a zresztą jakież to miało znaczenie? Zachichotał na myśl o tym, co musieli czuć wieśniak i jego synowie, gdy Eyjan zjawiała się niespodziewanie w nocy zupełnie naga i zaczęła walić do drzwi. Amulet pomógł jej powiedzieć to, co chciała: że istotnie była elfiną, ale nie zagrażała ani duszy, ani ciała człowieka, nie bała się Krzyża, mogła wypowiedzieć imię Chrystusa. Nie pytali o nic więcej, po prostu skorzystali z okazji.

Tauno powrócił do obozu. Kiedy Eyjan przyszła o świcie, udał, że śpi.

III

Teraz, kiedy utopca zmuszono do opuszczenia jeziora, wiła była w zimie zupełnie sama. W wodzie pływały tylko ryby, które nigdy nie stanowiły dla niej odpowiedniego towarzystwa. W dodatku o tej porze roku stały się ospałe i rzadko radowały jej oko pełnymi wdzięku ruchami i błyszczącą łuską, tak jak w lecie. Żaby nie kumkały o zmierzchu, lecz spały na dnie, zagrzebane głęboko w mule. Łabędzie, dzikie gęsi, kaczki i pelikany odleciały; ptaki, które pozostały nad jeziorem, ani nie pływały, ani nie nurkowały, ich okrzyki rozbrzmiewały niewyraźnie nad zaśnieżoną ziemią i pozbawionymi liśćmi drzewami.

Wiła pływała, śniąc, po ciemnych wodach jeziora. Jej białą, smukłą postać otaczał obłok jasnych włosów. Wielkie oczy o barwie przesłoniętego lekką mgiełką nieba nie drgnęły ani razu i nigdy nie mrugnęły. Jej małe piersi nie unosiły się oddechem.

Pływała tak, bezwładnie, całymi dniami, tygodniami, miesiącami — nie liczyła ich; czas przestał dla niej istnieć — aż pewnego razu woda w jeziorze poruszyła się, gdyż ktoś do niej wszedł. A kiedy ruch wody przybrał na sile, wiła nagle się ocknęła. Wyciągnęła ręce do przodu, odbiła się, zatoczyła łuk i jasną smugą pomknęła ku brzegowi. Mimo że wzbudziła tylko wątle fale, przybysz wyczuł je i popłynął jej na spotkanie. Początkowo był tylko falującym cieniem, ale szybko stał się postacią z

krwi i kości. Emanowało od niego ciepło, siła, życie. Jego ruchy wzbudzały prądy, pieszczotliwe wiry; bąbelki powietrza tańcząc mknęły w górę.

Gdy przybysz i wiła znaleźli się w odległości około jarda jedno od drugiego, zatrzymali się i przez jakiś czas, leżąc swobodnie w wodzie, przyglądali się sobie wzajemnie.

Nieznajomy nie był nagi jak mieszkanka jeziora: miał przepaskę na włosach i pas wokół bioder z zawieszonym przy nim nożem; jego lędźwie owijała tkanina.

Wysoki, barczysty, miał jasną skórę, złote włosy i zielone oczy. Różnił się od zwyczajnych ludzi brakiem zarostu, płetwia—stymi stopami i zdolnością oddychania pod wodą. Lecz dla wiły te drobne różnice niewiele znaczyły, stokroć ważniejsze było to, że miał ludzką, chrześcijańską duszę.

— Och, witaj, po stokroć witaj — szepnęła nieśmiało, zebrawszy się na odwagę. Jej głos, który przybysz odebrał pod wodą czułym słuchem, drżał

lekko.

Odpowiedział surowo:

— Jak ci się zdaje, dlaczego tu przybyłem?

Wiła cofnęła się.

— Ty... czy ty nie jesteś... wspomnienia są jak mgła, ale... Jesień, może dwie jesienie temu... czy to ty wypędziłeś stąd utopca?

— Zrobił to ten, którym wtedy byłem — odparł z powagą niskim, silnym głosem.

— Przestraszyłeś się mnie. — Wiła zachichotała dźwięcznie. — Mnie! Ty!

Ogarnięta nagłą radością wyciągnęła ku niemu ramiona.

— Dowiedziałeś się już, że nie zrobię ci nic złego? Jak mnie to cieszy.

Pozwól mi podzielić się z tobą moim weselem!

— Milcz, zły duchu! — ryknął. Oszołomiona, wzdrygnęła się i cofnęła gwałtownie.

— Ależ... ależ ja nie skrzywdziłabym ciebie! — wyjąkała. — Jakże mogłabym to zrobić? I po cóż miałabym to czynić? Nie mam żadnego przyjaciela.

— Macko ciemności...

— Bylibyśmy ze sobą szczęśliwi w zielonym letnim lesie i w zimowych wodach. Ogrzałabym się na twojej piersi, a sama byłabym dla ciebie chłodną kaskadą, zalany blaskiem księżyca wieńcem z liści...

— Przestań! Chciałabyś zawlec mężów do piekła! Wiła zadrżała i umilkła.

Jeżeli płakała, to jezioro wypilo jej łzy.

Nieznajomy mąż uspokoił się nagle.

— Och, może sama nie wiesz, kim jesteś — powiedział. — Ojciec Tomisław zastanawia się, czy Judasz naprawdę wiedział, co robi, wtedy gdy nie było jeszcze za późno.

Urwał i przyglądał się jej uważnie. Widząc, że stłumił w sobie wściekłość, odprężyła się błyskawicznie, odważyła się lekko uśmiechnąć i zapytała:

— Judasz? Czy powinnam go znać?... Tak, może kiedyś o nim słyszałam —

ale wszystko zapomniałam.

— Ojciec Tomisław — powiedział ostro, jakby zadawał cios toporem.

Pokręciła głową.

— Nie. — Zmarszczyła brwi, dotknęła palcem policzka i rzekła z wahaniem:

— To znaczy tak. Ktoś bliski i drogi, prawda? Lecz tutaj trudno sobie coś przypomnieć. Wszystko jest takie... Może gdybyś mi powiedział... —

Zesztywniała i rozwarła jeszcze szerzej oczy; stały się teraz ogromne. — Nie!

— krzyknęła podnosząc ręce, jakby chciała zasłonić się przed uderzeniem. —

Proszę, nie mów mi!

Westchnął głęboko.

— Biedny duchu, wierze, że mówisz prawdę. Zapytam, czy mogę się za ciebie modlić.

Lecz zaraz dodał stanowczo:

— Mimo wszystko, jesteś obecnie pokusą do grzechu. W zeszłym roku mężowie po raz pierwszy łowiący ryby w tym jeziorze widywali cię przelotnie, jak przemykałaś się cichaczem o zmierzchu. Niektórzy słyszeli twoje wołanie i przykro im było, że nie odpowiedzieli komuś o tak słodkim głosie. Przybędą tutaj w jeszcze większej liczbie. Nie wolno ci porwać ani jednej duszy spośród nich. Przybyłem tu, żeby do tego nie dopuścić.

Wiła złękła się, gdyż to on pokonał utopca. Wyciągnął nóż i trzymając go za ostrze, tak że stał się swoistym krzyżem, skierował w jej stronę.

— Przez wzgląd na męża, który mnie ochrzcił, nie chciałbym cię zniszczyć

— zadzwonił w wodzie jego głos. — Możliwe, że nawet ty możesz dostąpić zbawienia. Ale na pewno nikt nie powinien zostać potępiony z twojej winy.

Nie wolno ci więcej kusić chrześcijan, Nado. Koniec z psotami, z wzywaniem wiatru, żeby zrzucił na trawę świeżo upraną bieliznę, z wykradaniem niewiastom dzieci, gdy zmęczone śpią w letnie południe...

— Ja tylko tulę je do siebie przez jakiś czas — szepnęła. — I prędko oddaję.

Nie mam dla nich mleka.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, ciągnął:

— Nie wolno ci więcej śpiewać tam, gdzie może cię usłyszeć ludzkie ucho, śpiew twój bowiem budzi marzenia, które powinny pozostać uspięne. Opuść te strony. Trzymaj się z dala od dzieci Adama — tak, jakbyś w ogóle nie istniała.

W przeciwnym wypadku ja sam ciebie dopadnę. Będę miał przy sobie piołun, którego zapachu nie możesz znieść. Za pierwszym i za drugim razem wysmagam cię. Kiedy zawiniśz po raz trzeci, przybędę, pobłogosławiony przez kapłana, z wodą święconą, żeby wysłać cię do piekła.

I będziesz gorzeć w piekle, ty istoto z liści, mgły i wody. Ogień piekielny będzie trawił cię bez końca i nigdy nie dotrze do ciebie nawet jedna kropla rosy ani nawet jeden płatek śniegu, żeby zmniejszyć twoje męczarnie.

Czy zrozumiałaś?

— Tak! — wrzasnęła i uciekła.

Pozostał tam, gdzie był, do chwili aż zniknęła mu z oczu i przestał ją słyszeć, jakby rzeczywiście zapadła się w nicość.

IV

Wczesną wiosną, a więc w porze roku, kiedy kapitanowie nie lubili wypływać w morze — jeszcze przed zrównaniem dnia z nocą — pewien statek opuścił

Kopenhagę kierując się ku wyspie Bornholm. Po ciężkiej podróży przez Bałtyk zarzucił kotwicę w Sandvig, na północnym brzegu wyspy, gdzie urwiste wybrzeże podnosi się aż do stóp twierdzy zwanej Hammer House. Załodze pozwolono zejść na ląd. Mąż i niewiasta, którzy wynajęli statek, wyruszyli konno w stronę pewnej bezludnej zatoczki.

Pod bladym niebem wiatr wzdymał szare, zwieńczone białą pianą bałwany.

Kiedy fale się cofały, kamyki na plaży grzechotały niczym wielkie żarna. Mewy krążyły w górze, kwiląc przenikliwie. Porozrzucane na piasku brązowe kłębowiska morszczyku pachniały morską głębią. Za wydmami rozciągało się wielkie wrzosowisko, gdzie dawno zapomniany lud ustawił

niegdyś wysoki kamienny blok.

Tauno i Eyjan wyszli z morza na brzeg, by powitać swoich gości. Jeśli nie liczyć broni, talizmanów i tego, co pozostało z ich złotych bransolet, oboje byli nadzy. Mokre kędziory Tauna miały zielonozłotą barwę, a loki Eyjan kasztanową, z lekkim, zielonkawym odcieniem. Ingeborga i Nils rzucili się im w ramiona.

— Boże mój, to trwało bardzo długo — powiedział drżącym głosem młodzieniec.

Niewiasta, niezdolna wymówić choćby słowa, tuliła się tylko i płakała.

Gdy się trochę uspokoili, Tauno, trzymając Ingeborgę za ramiona, cofnął się o krok i obejrzał ją uważnie.

— Widzę, że dobrze ci się powodziło — rzekł. — Masz na sobie porządny strój, zniknęły także wszystkie ślady nędzy. Zaznałaś wreszcie prawdziwego spokoju, czyż nie tak?

— Dopiero teraz, gdy się tu zjawiłeś — odrzekła lekko drżącym głosem.

Pokręcił głową.

— Nie o to mi chodziło. Obejmując cię, czuję, że już się nie boisz, iż świat w każdej chwili może cię zmiażdżyć. A zatem dobrze ci się powodziło?

Skinęła głową i powiedziała:

— Dzięki Nilsowi.

— Hm — odparł Tauno. — Wydaje mi się, że i Nils wiele ci zawdzięcza.

Ingeborga przyjrzała mu się znacznie uważniej niż on jej — Z wami było gorzej, prawda? — szepnęła. — Jesteś zmizerowany i... wyczułam, że drżysz.

Czy wasze poszukiwania się nie powiodły?

— Jeszcze ich nie zakończyliśmy. Ale tu wreszcie będziemy mogli odpocząć.

— Znów wziął ją w objęcia. — Brakowało mi ciebie.

Uścisnęła go tak mocno, że jej paznokcie stały się białe.

Mimo wszystko nie uszło całkowicie ich uwadze, jak przywitali się Nils i Eyjan. Córka wodnika pocałowała ciepło młodzieńca, a potem zapytała go:

— Jak się ma Iria?

— Małgorzata — odparł Nils krzywiąc się. — Teraz jest ona tylko Małgorzatą. — Starannie

dobierał słowa. — Przekazaliśmy waszej siostrze przeznaczoną dla niej część skarbu. Nie było to łatwe. Odkąd junkrzy zwęszyli złoto, widmo kata towarzyszyło nam przez cały czas, dopóki nie znaleźliśmy schronienia. Dopięliśmy jednak swego i teraz Małgorzata przebywa w rodzinie, która zadba o jej przyszłość. Ale... Nie to, że nie jest wam wdzięczna... tylko że... ona jest bardziej pobożna niż większość ludzi. Rozumiesz? Jest szczęśliwa, ale najlepiej będzie, jeśli nie będziecie jej szukać.

Eyjan westchnęła.

— Nie oczekiwaliśmy niczego innego. Przestało nam to sprawiać ból.

Zrobiliśmy dla Irii wszystko, co byliśmy w stanie uczynić. Niech więc odtąd będzie naprawdę Małgorzata.

Spojrzała na niego uważnie, a potem zapytała:

— Jaką pozycję zajmujesz obecnie w świecie? Jakie masz plany na przyszłość?

— Dobrze mi się powodzi — odrzekł. — Jeżeli nie zakończyliście poszukiwań... jeśli mogę wam w tym lub w czym innym pomóc... powiedzcie tylko... — Głos mu się załamał. — Nawet gdyby to oznaczało, że mamy się rozstać na zawsze.

Córka wodnika uśmiechnęła się i znów go pocałowała.

— Nie mówmy teraz jeszcze o tych sprawach — powiedziała. — Kiedy czekaliśmy na was, nie mając prawie nic do roboty...

Ingeborga dostrzegła nagłą zmianę na twarzy Tauna. Teraz ona rozchyliła usta do pocałunku. Przytulił ją mocno. Jej ręka powędrowała w dół i syn wodnika nagle się roześmiał.

— ...z myślą o waszym przybyciu zbudowaliśmy chatę na samym końcu tego przylądka — powiedziała Eyjan.

Wkrótce będzie tam ciepło i jasno. Gdziekolwiek byśmy się później nie udali, dobre wspomnienia to lekki bagaż. Gdy cała czwórka opuszczała plażę, dzieci wodnika szły z tyłu, osłaniając ludzi swymi ciałami przed zimnym, dmącym od morza wiatrem.

V

Chociaż Nils wiele się jeszcze musiał nauczyć, szybko zdobywał życiową wiedzę. Zawiązał spółkę ze starszym od siebie, doświadczonym mężem.

Wszystko wskazywało na to, że za kilka lat, gdy tamten kupiec zestarzeje się na tyle, iż zacznie myśleć o przejściu w stan spoczynku, a młodszy wspólnik przejmie całą firmę, jego kompania będzie prosperowała znakomicie i będzie mogła rywalizować z Hanzą. Tymczasem, prowadząc interesy, nawiązali stosunki z rozmaitymi ludźmi — kontakty te umożliwiło im niezwykle przymierze z biskupem Roskilde. Nils znalazł także zajęcie dla wszystkich swoich braci i siostr i zadbał o to, żeby

każde z nich znalazło zadowolenie w pracy, doszło do zamożności i zyskało przychylną wpływowych osób. (Swojej matce po prostu zapewnił dostatnie życie, tak że mogła się poświęcić ogrodnictwu i dobroczynności.)

W ten sposób Nils mógł się dowiedzieć o tym, czego nie wiedział, a czego nie był w stanie zrobić sam, wykonywali dlań, na jego zlecenie, inni.

Oczywiście nie zawsze wszystko można było załatwić z dnia na dzień, zwłaszcza wtedy, gdy należało utrzymać w tajemnicy powód określonych zabiegów. Zgodnie z jego planem Tauno i Eyjan mieli popłynąć statkiem do Dalmacji zaopatrzeni w listy polecające od Kościoła i Korony, które ułatwiłyby im poszukiwania po zejściu na ląd. Należało przedtem stworzyć im fałszywe tożsamości, takie, aby wynajęcie statku wydawało się czymś całkowicie naturalnym. Młodzieniec musiał działać bardzo ostrożnie, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Wymagało to wielu tygodni zachodów i jego obecności w Kopenhadze — także zresztą i ich obecności, aby w razie potrzeby mogli mu coś doradzić i żeby nabrali wprawdy w naśladowaniu zachowania śmiertelników.

Poza tym teraz, gdy Tauno i Eyjan byli w Danii, ani Nils, ani Ingeborga nie znieśliby rozłąki z nimi.

* * *

— Ach, ach, ach — szepnęła Ingeborga. — To było cudowne. Ty zawsze jesteś cudowny.

Ciepła, mokra od potu, pachnąca piżmem, rozczochrana, przytuliła się najmocniej jak mogła do syna wodnika. Tauno objął ją ramieniem, przykrył

udem jej uda i igrał z każdą cząstką jej ciała, której mógł dosięgnąć. Świeca rzucała miękkie światło i monstrualne cienie na ściany sypialni.

— Kochaj się ze mną znów, jak tylko będziesz mógł — szepnęła.

— Czy nie rozboli cię całe ciało? — odpowiedział pytaniem Tauno, gdyż odziedziczył po ojcu potęgę lędźwi.

W chichocie Ingeborgi zabrzmiała nuta smutku.

— Taki ból to nic złego. — Nagle wstrzymała oddech i syn wodnika poczuł, jak zatrzęsa się w jego ramionach.

— O co ci chodzi? — zawołał.

Ukryła oblicze między jego szyją a ramieniem. Jej palce wpiły mu się w ciało.

— Boli mnie to, że odjeżdżasz — powiedziała drżącym głosem. — Ten ból nigdy nie ustaje; często jest tak wielki, jak gdyby ktoś obracał mi nóż w ranie.

Daj mi wszystko, co możesz, kochany, dopóki jeszcze tu jesteś. Spraw, żebym zapomniała tej nocy, że wkrótce stąd odjedziesz. Później będzie czas na to, żeby ją wspominać.

Tauno spochmurniał.

— Myślałem, że ty i Nils jesteście ze sobą szczęśliwi — rzekł.

Ingeborga podniosła na niego zażawione oczy. Zadrżał w nich blask świecy.

— Och, tak, jesteśmy do siebie przywiązani. Nils jest dobry, łagodny, szczodry... i tak, ma dar uprawiania miłości... ale nie może się z tobą równać, nie może! Nie dorównuje ci też urodą i inteligencją. Różnica między wami jest taka, jak między wypoczynkiem na łące w pełni lata, gdy obserwujesz chmury płynące po niebie, a znalezieniem się na wietrze, który je gna, i w słońcu, które dodaje im blasku. Nie mogę zrozumieć, jak wasza matka mogła opuścić waszego ojca.

Tauno zagryzł wargi.

— Na początku rada udała się z nim na dno morza, ale po pewnym czasie uświadomiła sobie, że nie należy i nigdy nie będzie należała do Krainy Czarów.

W takich związkach zawsze ktoś zostaje skrzywdzony — albo jedno z dwojga, albo oboje. Obawiam się, że już cię skrzywdziłem.

— Nie! — Ingeborga uwolniła się z jego uścisku, usiadła i patrzyła na niego niemal z przerażeniem.
— Nie, kochany, nie! — Odzyskała panowanie nad sobą i dodała:

— Rozejrzyj się tylko wokoło. Mieszkam w pięknym domu, dobrze jem, jestem dobrze ubrana, przestałam sobą kupczyć, a wszystko to jest w zasadzie dziełem twoich rąk, Tauno.

— Na pewno nie tylko moich. — Leżał nadal na posłaniu wpatrując się w sufit. — Poza tym wspomniałaś o beznadziejnej tęsknocie — która może, jak przypuszczam, narazić twoją duszę na niebezpieczeństwo... Tak, najlepiej zrobię nie zatrzymując się tutaj na dłużej, chociaż i mnie będzie bardzo ciebie brakowało.

— Naprawdę?! — zawołała i pochyliła się nad nim.

— Więc nie byłam dla ciebie taka zła?

— Nie, Ingeborgo — odparł bardzo łagodnie i spojrzał jej w oczy. — Dałaś mi więcej, niż możesz przypuszczać. Dlatego powinienem odejść, zanim zadam ci ranę, której wieczność nie zdoła uleczyć.

— Ale mamy dzisiejszą noc!

— I jutrzejszą i jeszcze wiele innych. — Przyciągnął ją do siebie.

* * *

Nils wrócił do domu z kościoła z ponurą miną. Ubrana jak dama Eyjan powitała go przy drzwiach, a spostrzegłszy wyraz jego twarzy spokojnie zaprowadziła go do bocznej komnaty, gdzie mogli swobodnie porozmawiać, nie obawiając się, że ktoś ich usłyszy.

— Co się stało? — zapytała półgłosem.

— Dzisiaj ojciec Ebbe, mój spowiednik, zapytał mnie, czemu to moi goście nigdy nie przychodzą na mszę — wyjaśnił.

— Och, więc usłyszał o nas?

— A jak mógłby nie usłyszeć? Przecież słudzy i sąsiedzi wciąż plotkują. —

Nils zmarszczył brwi, wsunął kciuki za pas i wpatrzył się w podłogę. — Ja, ja wyjaśniłem... że załatwiacie pewne poufne sprawy i gdyby was rozpoznano ...

utrudniłoby to wasze zadanie, więc dlatego chodźcie na mszę gdzie indziej, do pewnej kaplicy. Nie powiedział nic więcej, ale jego twarz przybrała bardzo surowy wyraz. Na pewno wie, że sypiam z tobą, a Ingeborga z Taunem — i to w Wielkim Poście, w Wielkim Poście — mimo że żadne z nas nie wyznało mu tego na spowiedzi... Lecz przed Wielkanocą będziemy musieli... żebyśmy mogli przystąpić do komunii.

— Czy to istotnie będzie niebezpieczne? Przecież nie kryjecie się z tym, iż nie jesteście małżeństwem.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się krzywo.

— W tym nie ma nic nadzwyczajnego. Zadaje nam za to jako pokutę kilka zdrowasiek, ponieważ bierze pod uwagę nasze dobre uczynki, które spełniamy z pomocą naszych pieniędzy. Ale gdybyśmy mu powiedzieli, że znowu jesteśmy waszymi kochankami... kochankami półkrwi wodników... i to nie dlatego, że nie mogliśmy znaleźć sobie innych partnerów, lecz po prostu z własnej nieprzymuszonej woli... obawiam się, że rozkazałby nam wyrzucić was natychmiast. A gdybyśmy odmówili... ekskomunika — pomijając już zagrożenie dla naszych dusz czy nawet naszego bezpieczeństwa na ziemi —

uniemożliwiłaby nam dalszą pomoc dla was.

— No cóż, mam na to prostą radę — odrzekła wesoło Eyjan. — Przyznajcie się do zamiany, ale nic nie mówcie o naszej prawdziwej naturze. Poza tym Tauno oświadczył, że mogę chodzić na mszę — wątpię, żeby wizerunki świętych odwróciły się od nas — jeżeli powiesz nam, jak należy się tam zachowywać.

Cofnął się o krok.

— Nie! — wykrztusił przerażony. — Sama nie wiesz, co mówisz!

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

— Możliwe, że nie. Niewiele z tego, co się dowiedziałam o tym twoim chrześcijaństwie, ma dla mnie sens.

— Szarpnęła suknię i zakłęła pod nosem. — Gdybym tylko mogła zrzucić ten śmierdzący łach i wykąpać się w morzu...

— I tak już ciężko zgrzeszyłem — ciągnął Nils drżącym głosem. — Żeby przyjąć komunię zataiwszy ciężki grzech... Kiedy Szatan zobaczy, na co sobie pozwoliłem, ognie piekielne zaczną się obliżywać, czekając na mnie. Eyjan zaniepokoiła się. Podeszła do młodzieńca i ujęła jego dłonie.

— Tauno i ja nie dopuścimy do tego. Wyruszymy sami na południe... już jutro o świcie...

— Nie! — wykrztusił i głos zmienił mu się nagle.

— Miałbym wyrzec się najlepszych przyjaciół, jakich miałem w życiu?

Nigdy. Zostańcie.

I jak gdyby jej obecność natchnęła go nową myślą, zaczął tłumaczyć z zapalem:

— Posłuchaj. Załatwię wszystko tak, że będziemy mogli przystąpić do spowiedzi tuż przed Wielkanocą, a wy wkrótce potem odpłyniecie. Myślę, że wtedy ojciec Ebba nie zada nam zbyt ciężkiej pokuty. Lubi on wygłaszać kazania o tym, co człowiek winien jest swoim przyjaciołom i towarzyszom.

Eyjan usiłowała zrozumieć, to co powiedział.

— A gdybyś umarł, zanim dokonasz tego obrzędu — albo gdyby ów ksiądz kazał ci wyrzec się nas na zawsze, ty zaś w istocie nie uczyniłbyś tego — czy nie będziesz potępiony?

Nils wyprostował się.

— Może tak, a może nie. Podejmę to ryzyko. Później zaś będę się starał

odpokutować za grzechy, ale nigdy nie będę żałował, że cię pocałowałem. —

Objął spojrzeniem jej pełne kształty niby wygnaniec, który po powrocie do ojczyzny obchodzi dziedziczone po przodkach włości.

— Będę za tobą tęsknił na jawie i we śnie, przez cały czas, jaki mi jeszcze pozostał. I... i będę się modlił o śmierć i pogrzeb w morzu, w twoim morzu, Eyjan.

— Za wcześnie oplakujesz rozstanie. Nie rób tego.

— Objęła go ramionami za szyję. — Mamy dla siebie jeszcze wiele pocałunków, Nilsie.

A po chwili dodała ze śmiechem:

— No cóż, do obiadu zostało jeszcze trochę czasu, a tutaj jest posłanie. Tak, chwytajmy to, co się nam nadarza, zanim na zawsze odbierze nam to odpływ.

— Mam dobre nowiny — oznajmił Taunowi Nils.

— Wreszcie będziecie mogli używać chrześcijańskich imion.

— Ale już nam je przecież raz dałeś — odparł zaskoczony syn wodnika.

Wyjechali z Kopenhagi, żeby porozmawiać na osobności i żeby nacieszyć się pięknym wiosennym dniem. Jechali przez okrywające się świeżą trawą błonia; w oddali młode liście zieloną mgiełką przesłaniały konary drzew w niewielkim lasku. Na niebie zobaczyli bociany, które wracały do ojczyzny, zapowiadając nadejście lata. Wiał silny wiatr, niosąc mnóstwo zapachów. Kopyta koni uderzały miękko w wilgotną ziemię.

Nils rozczesał palcami włosy.

— Przypomnij sobie, że tamte imiona były najlepszymi, jakie mogliśmy wymyślić na poczekaniu — powiedział.

— Dałem wszystkim do zrozumienia, że są one fałszywe, ponieważ załatwiacie pewne poufne sprawy. Teraz zaś nie musicie ich już używać —

uśmiechnął się szeroko — bo mamy już gotowe odpowiednie przebrania. Lepiej będzie, jeśli przedtem wszystko omówimy, dlatego że ty musisz grać rolę głowy rodziny.

Koń Tauna spłoszył się nagle. Jeździec szybko nad nim zapanował, ale Nils zwrócił mu uwagę, że zbyt mocno ściągnął wodze.

— Jazda konna to jeszcze jedna sztuka, której musisz się nauczyć, jeżeli chcesz uchodzić za człowieka — ostrzegł Tauna.

— Mów dalej — mruknął syn wodnika.

— A więc trwało to tak długo, ponieważ należało ustalić, kim moglibyście być. Nie chcieliśmy narazić was na ryzyko spotkania kogoś, kto zacznie się upierać, że dobrze zna okolicę, z której pochodzicie, i nigdy o was nie słyszał.

Potrzebujecie też pewnych dokumentów, ale te łatwiej było załatwić, gdyż mój sekretarz to szczwany lis.

No cóż, ty będziesz panem Karolem Brede, szlachcicem z odległego zakątka Skanii — jest to duńskie terytorium po drugiej stronie cieśniny Sund, wiedziałeś o tym? Znaczną jego część porasta puszcza i niewielu ludzi tamtędy podróżuje.

Chociaż nie jesteś bogaty, pochodzisz z dobrej rodziny. Twój przodek towarzyszył sławnej królowej Dagmarze, kiedy sto lat temu przybyła tu z Czech, by poślubić króla Waldemara Zwycięskiego. Dowiedziałeś się, że jeszcze dalej na południe, w Chorwacji, żyją twoi krewni, i postanowiłeś się przekonać, czy to prawda i czy można będzie wyciągnąć z tego jakąś korzyść.

Nie rozgłaszałeś tego w obawie, żeby nie zamordowali cię agenci Hanzy, podejrzewając, iż bez ich pośrednictwa chcesz zawrzeć porozumienie handlowe na terenie Cesarstwa. Choć szanse na powodzenie całej sprawy nie są zbyt wielkie, moja kompania zdecydowała się podjąć ryzyko i dostarczy ci statek wraz z załogą. Zakładam, że będziemy umieli sprzedać przywiezione towary.

Powinieneś też uzyskać bez trudu listy polecające od króla i biskupów już choćby tylko dlatego, że wielmoże duńscy będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o Chorwacji.

Tauno zachichotał i potrząsnął głową.

— Na kości mojej matki, aleś ty się zmienił! — zawołał. — Słuchając tych wykwintnych słów, trudno uwierzyć, że nie tak dawno byłeś prostym majtkiem na „Herningu”. Ich potok porywa mnie i unosi gdzieś w dal...

Nils spochmurniał.

— Będziesz musiał nauczyć się, jak pływać pośród nich i jeszcze wielu innych rzeczy. Inaczej bowiem zdradzisz się i wtedy zginiesz, a z tobą zginie Eyjan.

Tauno ściągnął gwałtownie cugle.

— Właśnie, a co z nią? Kim ona będzie w czasie podróży?

— Będzie panią Sygrydą, twoją owdowiałą siostrą, która wybiera się z tobą oficjalnie po to, by odbyć pielgrzymkę do pewnego miejsca, a nieoficjalnie po to, by znaleźć lepszą partię, niż te, jakie się jej trafiają w Danii.

Tauno zmierzył go twardym wzrokiem.

— Moja siostra? A dlaczego nie moja małżonka? Nils odpowiedział takim samym spojrzeniem, aż trysnęły niewidzialne iskry.

— Czy wy naprawdę tego chcecie? — zapytał. Książę Liri zaciął konia i pogalopował przodem.

Deszcz chlustał z nieba, z szumem spływał z dachów i zamieniał ulice miasta w rzeki. Błyskawica rozdarła mrok, grzmot potoczył się daleko.

Kafłowy piec ogrzewał główną komnatę w domu Nilsa, syna Jonsa, blask kilku świec padał na boazerię, zasłony i rzeźbione meble. Ingeborga odesłała służbę i zamknęła drzwi, by móc dalej uczyć Eyjan zasad niewieściego zachowania.

— Oczywiście ja nie jestem damą, ale obserwowałam takie niewiasty, nauczyłam się je naśladować, a ty chodzisz zbyt dumnie.

— Wystarczy! — wrzasnęła córka wodnika. — Mdli mnie już od nonsensów, którymi mnie nakarmiłaś. — Urwała, uspokoila się, uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Wybacz mi. Wiem, że robisz dla nas co możesz. Ale tu jest tak gorąco i ciasno, a w dodatku ta wełniana szata czepia się mojej skóry i wywołuje swędzenie. Duszę się, już nie mogę w niej wytrzymać.

Ingeborga obserwowała ją przez jakiś czas w milczeniu. W komnacie zaległa cisza, słychać było tylko uderzenia wiatru o okiennice.

— Musisz wytrzymać — powiedziała w końcu. — Taki jest niewieści los i na czas podróży musisz stać się niewiastą. Nigdy o tym nie zapominaj, bo inaczej zdradzisz Tauna, a wtedy czeka go śmierć.

— Dobrze, ale czy możemy skończyć na dzisiaj?

— Zgoda, tak będzie chyba rzeczywiście lepiej.

— Pozwól mi odetchnąć przez chwilę, zanim znów znajdę się w twoim świecie. — Zręcznie zdjęła z siebie odzież i gwałtownym ruchem rzuciła ją na podłogę. Naga podeszła do kredensu i naląła sobie kielich miodu.

— Chcesz trochę?

Ingeborga zawahała się na chwilę, po czym odrzekła:

— Tak, dziękuję ci. Ale uważaj, żeby się nie upić. To jest zarezerwowane dla nierządnic, nędzarek i... i mężów.

— Czy w twoim chrześcijaństwie wszystko jest tylko dla mężów?

— Nie, tak naprawdę to nie. — Ingeborga wzięła od niej kielich, podeszła do krzesła i usiadła. — Uczymy się, jak wykraść od nich jak najwięcej.

— Na dnie morza nikt nie musiał nic wykradać.

— Eyjan prawie rzuciła się na krzesło stojące naprzeciw krzesła jej gospodyni.

— Lecz na niewiastach z lądu ciąży przekleństwo Ewy. Jakże często powtarzano mi słowa Boga: „w męce rodzić będziesz, mimo to, ku twemu małżonkowi będziesz kierowała pragnienia twoje, on zaś będzie panował nad tobą”. Ingeborga zacisnęła kurczowo ręce na poręczy krzesła. Ona nigdy nie urodzi dzieci.

Eyjan spojrzała na nią i zaczęła niezdarnie ją pocieszać.

— Tobie przypadł w udziale lepszy los niż większości niewiast, czyż nie tak?

Z Nilsem miło jest żyć i widziałam, jak zasięga twojej rady w różnych sprawach; nie jesteś tylko jego ulubionym zwierzakiem.

— To prawda. A jednak jestem jego utrzymanką, z którą żadna godna szacunku niewiasta nie chce

mieć nic wspólnego, jeśli nie musi. Ani, oczywiście, żaden godny szacunku mąż. Ci kupcy, szlachcice i kapitanowie statków witają się ze mną dos'ć uprzejmie, lecz na powitaniach się kończy. Nils później może, ale wcale nie musi mi powiedzieć, o czym z nim rozmawiali. A on jest bardzo zajęty i większość czasu spędza poza domem. Nie chcę narażać na szwank jego pozycji społecznej, więc nie mogę zaprzyjaźnić się z kimś ze służby. Och, w tamtej chacie na brzegu morza nie byłam taka samotna. —

Dodała ze śmiechem:

— Nie przypuszczam, żebyś chciała dziękować losowi, za to co masz, Eyjan, ale powinnaś się z tego cieszyć.

— A więc nie masz nadziei na lepsze życie? — zapytała cicho księżniczka Liri.

Ingeborga wzruszyła ramionami.

— Któż to może przewidzieć? Doskonale wiem, że szczęście mi sprzyja i już wiele lat temu nauczyłam się wypatrywać następnej okazji.

— Lecz jako ślubna małżonka Nilsa... Ingeborga zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.

— Nie. Zaproponował mi to, ale widziałam z jak wielką ulgą przyjął moją odmowę. Cóż go właściwie łączy z byłą nierządnicą, która nie ma użytecznych powiązań rodzinnych i która nawet nie może dać mu synów? Nie, kiedy się ożeni, odejdę... och, spokojnie, z honorem... dopóki oboje będziemy żyli, zawsze będzie mnie osłaniał

— tego jestem pewna — może od czasu do czasu prześpimy się ze sobą po starej znajomości — będę jednak musiała odejść.

Przemogła się i dodała:

— Jeśli w ogóle kiedykolwiek się ożeni. Jego namiętność ku tobie jest tak silna... Ze mną może być szczerzy i wiele razy tuliłam go do siebie, kiedy płakał

z tęsknoty za tobą. Ale inna... Oszczędź mu tego, Eyjan, jeśli możesz.

— Jak? — zapytała wodnica. — Wasze zwyczaje nie są moimi. — Po chwili dodała: — Czy za tę twoją nieśmiertelną duszę warto zapłacić niewieścim losem?

Ingeborga zadrżała.

— Niech Bóg mi wybaczy — szepnęła. — Nie wiem.

Nadeszła szalona wiosna pełna kwiatów i ptasich śpiewów, pora miłości, pora zapomnienia i pożegnań. „Brunhilda” rozpostarła żagiel, spuszczone cumy i statek odpłynął w morze. Ingeborga i Nils stali na przystani machając rękami na pożegnanie, dopóki nie zniknął im z oczu.

Potem niewiasta powiedziała:

— No cóż, mieliśmy ich przez jakiś czas.

Zacisnął pięść, jakby chciał kogoś uderzyć, nie odrywając wzroku od horyzontu.

— Obiecała, że wróci — wymamrotał. — Przynajmniej raz, żeby opowiedzieć mi, jak się jej wiedzie. Jeżeli zdoła. Jeżeli będzie żyła.

— A tymczasem ty masz swoją pracę — rzekła ostro. — Ja zaś nie mam nic... — Wzięła go pod ramię. — Nie ma sensu stać tu tak dalej. Chodźmy do domu.

Stojąc na pokładzie Tauno obserwował czas jakiś brzeg, wodę, mijające ich żagle, po czym wciągnął głęboko powietrze do płuc i westchnął:

— Nareszcie wydostaliśmy się z tej śmierdzącej dziury! O wiele za późno.

Czułem, że zaczynam już gnić.

— Czy tutaj jest nam lepiej? — odparła Eyjan. — Tamtych dwoje kochało nas.

— Tak, byli nam wierni.

— Znacznie więcej niż wierni. Czy kiedykolwiek znajdziemy gdzieś kogoś, kto dałby nam tyle z siebie?

— Wśród naszych współplemieńców.

— Jeśli pozostali tacy, jakimi ich zapamiętaliśmy. A nawet jeżeli są... —

Eyjan urwała. Po dłuższym milczeniu — statek tymczasem odpływał coraz dalej i ostatnia wieża Kopenhagi zniknęła im z oczu — dokończyła: — To będzie długa podróż, bracie.

W miarę jak mijały kolejne dni i tygodnie, załoga „Brunhildy” zaczęła odczuwać coraz wyraźniej, że płynąca na statku para pasażerów ma w sobie coś niezwykłego, coś tajemniczego. Nie chodziło tylko o to, że pan Karol i pani Sygryda mówili niewiele, nie opuszczał ich ponury nastrój, potrafili całymi godzinami wpatrywać się w fale lub gwiazdy albo też, dla odmiany, nie wychodzili w ogóle ze swoich kajut, uprzedziwszy w dodatku marynarzy, iż nie chcą, by im tam przynoszono jedzenie lub picie. Paru marynarzy miało niemal pewność, że widzieli, jak któreś z tych dwojga (może oboje?) wymknęło się kiedyś nocą z kajuty i skoczyło do morza. Nikt nie widział natomiast, jak wracali na pokład. W dodatku właściciel kogi wydał dziwny rozkaz: polecił

mianowicie, żeby statek przez całą drogę ciągnął za sobą drabinkę sznurową.

Trudno było orzec czy kryło się coś za tym, czy też nie (kapitan Asbern, syn Ribolda, przypomniawszy swej załodze, że łatwowierność i skłonność do ulegania przesądom to powszechnie znane cechy żeglarzy), na pewno jednak żadne z tych dwojga nigdy nie uczestniczyło we wspólnej modlitwie,

oboje oświadczyli, że wolą się modlić na osobności. Ciekawe do kogo? Szeptano, że na pokładzie

„Brunhildy” płynie czarownik z czarownicą.

Nikt jednak nie mógł mieć pewności co do tego. Karol i Sygryda nie popełnili nic złego, a i statkowi nie zagroziły poważniejsze niebezpieczeństwa. Przeciwnie wiatry i cisze morskie świadczyły z kolei, że nikt nie kierował pogodą za pomocą czarów. Poza tym Nils, syn Jonsa i jego wspólnik byli porządnymi ludźmi i nigdy na pewno nie zmusiliby podstępem biednych majtków do zadawania się z diabelskimi siłami. Nils nakazał uprzedzić załogę, że czeka ich niezwykła podróż, niepodobna do żadnej z tych, o jakich słyszeli, równie ryzykowna jak gra w kości w jednym z zajazdów w Wisby... ale że otrzymają dobrą zapłatę... bardzo dobrą zapłatę.

I chociaż przez cały czas dręczyły marynarzy różne pytania i wątpliwości, ogólnie rzecz biorąc podróż przebiegała spokojnie. Przez Morze Północne, Kanał Angielski, wokół Bretanii, przez Zatokę Biskajską, wzdłuż brzegów Hiszpanii (czujnie wypatrując krążowników mauretańskich z Afryki) dotarli do Słupów Herkulesa. Gdy je minęli, kapitan Asbern najał pilota, żeby pokazał im drogę. Bardzo pomogło im to, że, jak się okazało, pan Karol znał język tego awanturnika z Majorki (Skąd...?). Tak więc w połowie lata koga dotarła do Dalmacji i popłynęła wzdłuż jej wybrzeży.

VI

Wynajawszy w Szibeniku konie i służbę pan Karol i pani Sygryda udali się do Skradina. Satnik przekazał wcześniej wiadomość do zamku i żupan przysłał

wojskową eskortę dla swych znamienitych gości. Jadąc wijącą się wśród gór drogą orszak przedstawiał piękny widok: metal połyskiwał w słońcu, barwne pióra i płaszcze powiewały na wietrze, kopyta miękko uderzały o ziemię, uprząż dzwoniła. Z bezchmurnego nieba lał się żar wydobywając mocne, słodkie zapachy z utrudzonych koni, oraz z dojrzewającego zboża, suszącego się siana i wysokiego lasku, które mijali.

Mimo to Tauno zmarszczył nos.

— Uch, ile tu kurzu! — powiedział po duńsku, tym językiem bowiem łatwiej się rozmawiało o takich sprawach niż językiem Liri. — Moje wnętrzości zamieniły się w... w cegielnię. Czy możesz uwierzyć, że wodnicy dobrowolnie osiedlili się na tym wybrzeżu?

Eyjan pchnęła swego rumaka tak, by przysunął się do wałacha Tauna i rzuciła bratu twarde spojrzenie spod kwefu kryjącego jej kasztanową grzywę.

— Może nie dobrowolnie — odparła. — Czego się dowiedziałeś?

Ponieważ był mężem, na nim spoczęło zadanie porozumiewania się z ludźmi, amulet Panigpaka wisiał, ukryty pod koszulą, na jego piersi. Aż do tej pory nie mógł porozmawiać z nią na osobności, gdyż spragnieni rozmowy z tak interesującym cudzoziemcem Chorwaci nie zostawili mu nawet jednej wolnej chwili.

— Niewiele — przyznał. — Nie odważyłem się nalegać zbyt uparcie, bo oficjalnie ta sprawa nie może nas interesować. A ja nie umiem wyciągać chytrze od każdego wszystkiego, co wie o tym czy o owym. Mogłem tylko wspomnieć, że w drodze słyszałem różne pogłoski i że mnie to zaciekało. Ludzie unikali tego tematu. Odniosłem wrażenie, że to nie lęk przed czymś niesamowitym jest główną tego przyczyną — tu chodzi raczej o naciski ze strony wyżej postawionych osób.

— Ale czy potwierdzili fakt, że wodnicy mieszkają tam dokąd jedziemy?

— Tak. Powiedzieli, że czasami, po dwóch lub trzech, przychodzą na brzeg morza, żeby popływać. Jest to oczywiście niezbędne dla ich zdrowia, ale moi rozmówcy dodawali też, że wodnicy wykonują pożyteczne prace; sporządzają mapy mielizn, poszukują miejsc, gdzie można złowić najwięcej ryb. Ostatnio pewna liczba mężów odplynęła na statkach pozostających w służbie księcia czy jaki tam tytuł nosi tutejszy władca. Wybuchła wojna. Nie dowiedziałem się dokładnie, jakie są jej przyczyny, kto jest przeciwnikiem Chorwatów. — Tauno wzruszył ramionami. — Nasz gospodarz bez wątpienia powie nam więcej.

Eyjan przyjrzała mu się uważnie.

— Mimo, że masz kwaśną minę, bracie — mruknęła — naprawdę aż drżysz cały, tak bardzo pragniesz znowu się spotkać z nimi.

— A ty nie? — zapytał zaskoczony. — Długo ich szukaliśmy... — spuścił

oczy i zniżył głos — a ta ostatnia podróż chyba najbardziej nam się dłużyła.

Na jej twarzy pojawił się niepokój. Odwróciła wzrok.

— Tak — odparła. — Na „Herningu” i później w Danii mieliśmy przyjaciół, którzy nas kochali.

— Ale nasi współplemieńcy...

— Poczekaj i sam się przekonaj... — Nie chciała powiedzieć nic więcej.

Tauno poczuł nagłą ulgę, gdy dowódca eskorty podjechał do nich i zagaił pełną szacunku rozmowę.

Mimo że w linii prostej odległość między Szibenikiem a Skradinem nie była wielka, droga wiała się wielkimi zakolami, żeby ominąć las, a odjazd nieco się opóźnił, toteż kiedy orszak dotarł do wioski, słońce już się chyliło ku zachodowi, złocąc zimowe powietrze i rzucając wielkie cienie. Jadąc w stronę zamku dzieci wodnika rozglądały się wokoło z bijącym sercem. Domy były drewniane, kryte torfem lub słomą, tak jak na Północy; zbudowano je jednak w innym stylu i pomalowano jaskrawymi farbami, więc wydały się im zupełnie obce, podobnie jak stojący na przeciwległym krańcu drogi kościół z kopułą w kształcie cebuli. Ludzie, którzy przystawali, żeby przyjrzeć się nowo przybyłym, byli często wysocy i jasnowłosi, ale większość miała okrągłe czaszki i wystające kości policzkowe. Ich stroje różniły się krojem i ozdobami od tych, które rodzeństwo widywało w Danii. Wieśniacy wyglądali na dobrze odżywionych i nie płaszczyli się przed żołnierzami. Mężowie pozdrawiali ich wesołymi okrzykami, niewiasty natomiast, jak wszędzie w Dalmacji, potulnie trzymały się z tyłu, (niektóre z nich dźwigały znacznie większe ciężary, niż to było przyjęte w Danii).

Nagle Tauno zeszywniał. Przeniósł spojrzenie z głowy owiniętej szalem, spod którego wysunął się na czoło zielonkawy kosmyk — na gołe, płetwiaste stopy.

— Raksi! — wrzasnął i szarpnął gwałtownie wodze.

— Tauno, czy to ty, Tauno? — zawołała ta osoba w ich dawnym języku.

Potem jednak cofnęła się, przeżegnała i zaczęła pośpiesznie wyrzucać z siebie chorwackie słowa: „Nie, Boże zmiłuj się, Jezu, zmiłuj się, nie mogę, Maryjo, pomóż mi...” Odwróciła się błyskawicznie, odbiegła, potykając się, za róg chaty i zniknęła mu z oczu.

Tauno sprężył się, jakby chciał zeskoczyć z konia i pobiec za nią, ale Eyjan chwyciła go za rękę w przegubie.

— Opanuj się, głupcze — warknęła.

Wzdrygnął się, wciągnął głęboko powietrze do płuc, i cmoknięciem ponaglił

konia do dalszego biegu.

— Tak, to zaskakujący widok — zauważył dowódca eskorty. — Ale nie obawiaj się ich, panie. Teraz są dobrymi chrześcijanami, dobrymi sąsiadami i lojalnymi królewskimi poddanymi. Ja sam się zastanawiam, czy nie wydać mojej córki za któregoś młodzieńca z ich plemienia.

* * *

Obok Iwana Subitija, który wyszedł powitać gości, stał jakiś ksiądz, nie kapelan żupana, lecz krzepki, odziany w szatę z szorstkiej tkaniny siwobrody mąż; przedstawiono go im jako ojca Tomisława. W czasie gdy przygotowywano posiłek, gdy pani Sygryda odpoczywała we wskazanej jej komnacie, ci dwaj rozmawiali na osobności z panem Karolem.

Rozmowa toczyła się w izbie położonej na szczycie wieży strażniczej. Z

okien pomieszczenia rozciągał się wspaniały widok na okolice zamku. Na zachodzie słońce skryło się za lasem osłaniającym jezioro. Jego blask nadal barwił skrzydła jaskółek i nietoperzy śmigających pod fioletowym niebem.

Lekkie mgły, które wkrótce miały przesłonić pola, podnosiły się znad ziemi. Nie opodal połyskiwały wody dwóch połączonych rzek, a dalej na północ i wschód lśniły szczyty Swilajej Płaniny. Na zewnątrz zaległa głęboka cisza.

Mrok zmiękczył kontury naznaczonej blizną twarzy Iwana, ale w jego głosie zabrzmiały stalowe nutki, kiedy zeszywniał na swojej ławie i położył kres wzajemnemu prawieniu sobie grzeczności.

— Posłałem po Tomisława, gospodarze Karolu, ponieważ on z nas wszystkich najwięcej wie o wodnikach

— może nawet więcej niż oni sami — a z raportów, jakie mi dostarczono, dowiedziałem się, że rozpytywałeś o nich.

— To miło z twojej strony, panie — odrzekł zaniepokojony Tauno. Zwilżył

wargi winem. — Niepotrzebnie chyba zadawałeś sobie tyle trudu, obserwując mnie tak uważnie, ale dzięki ci za to.

— Żaden wysiłek nie jest zbyt wielki, gdy chodzi o szlachcica z dalekiego kraju, który może pragnie nawiązać z nami bliższe więzi. Czy jednak nie zechciałbyś mi powiedzieć, gospodarze — skoro to nie wydaje się być celem twojej podróży — czemu tak bardzo interesują cię wodnicy? — Jego głos przeciął powietrze ostro jak bicz.

— Nie rozumiem bowiem, co innego mogłoby cię sprowadzić do tego odległego zakątka.

Tauno oparł wolną rękę na rękojeści noża i poczuwszy się od razu nieco pewniej odparł:

— No cóż, mamy taką samą rasę w wodach Północy.

— Phi! — wyrwało się Tomisławowi. — Przestańcie obaj pleść bzdury.

Iwanie, zachowujesz się obrzydliwie. Jeżeli podejrzewasz tego męża, że jest weneckim szpiegiem, to powiedz to otwarcie jak uczciwy człowiek.

— Och, nie, nie — zaprotestował pośpiesznie żupan.

— Ale wybuchła nowa wojna, a w ostatnich paru latach wydarzyło się tak wiele niesamowitości... Muszę być ostrożny, gospodarze Karolu. I, prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, byś znał swoich chorwackich krewnych tak dobrze, jak powinienes, sądząc po doskonałej znajomości ich języka.

— Czy dlatego należy dopatrywać się w nim wroga? — parsknął ksiądz. —

Posłuchaj, przecież wodnicy nie zrobili nic złego, wręcz przeciwnie, pełnią bardzo pożyteczną służbę. Nie wątpię też, że pozyskanie tylu nowych, czystych chrześcijańskich dusz sprawiło, że Bóg uśmiechnął się do naszego kraju. —

Jego głos zmienił się, przeszedł w szept. (Tauno zauważył, że łzy napłynęły mu do oczu.) Dodał jednak z radością: — Jeśli potrzebujesz znaku, by w to uwierzyć, Iwanie, przypomnij sobie, że wiła odeszła. Tej wiosny nie wyszła z wód, żeby nawiedzać puszcę. Nikt nie znalazł żadnego śladu jej pobytu.

Jeżeli... rzeczywiście była duchem... pewnej samobójczyni... i za to pokutowała... Bóg musiał jej wybaczyć i zabrał ją do Raju... a cóż mogło się stać tego przyczyną, jeśli nie to, że ucieszyło Go zbawienie wodników? Czując, że serce w nim zamiera, Tauno zapytał powoli:

— Więc to prawda, w co tutejsi ludzie zdają się wierzyć, że wodnicy zostali ochrzczeni i zapomnieli, kim przedtem byli?

— Niezupełnie — odrzekł Tomisław. — Dzięki niezwykłej łasce Bożej zachowali wspomnienia z dawnego życia, całą wiedzę i umiejętności, tak że mogą nieść pomoc naszym biednym ziomkom. To długa historia, ale naprawdę cudowna.

— Ja... ja chciałbym ją usłyszeć.

Tamci dwaj przez dłuższą chwilę przyglądali się Taunowi w milczeniu. Na dworze tymczasem mrok gęstniał coraz bardziej. Spojrzenie Iwana stało się mniej ufne, Tomisława zaś bardziej życzliwe.

W końcu żupan powiedział:

— No cóż, przypuszczam, że nie ma powodu, żeby ci tego odmówić. Sądzę, że co najmniej w połowie już ją znasz, sam się wszystkiego domyśliłeś. Jestem też przekonany, że przybyłeś tu w jakiejś osobistej sprawie, o której dotąd nie wspomniałeś. Mam jednak nadzieję, iż nie kryje się w niej nic złego.

— Na pewno nie — dodał Tomisław. — Andrzej — niegdyś' zwał się on Wanimen — opowiedział mi o swoich dzieciach, które pozostawił... Nie musisz mówić nic więcej, dopóki nie nabierzesz pewności, że ci to w niczym nie zagrozi, Karolu. Postaraj się zrozumieć i uwierzyć, że jesteś wśród przyjaciół.

Posłuchaj tej opowieści i pytaj, o co chcesz.

* * *

Nawet na lądzie Tauno, jeśli chciał, umiał poruszać się cicho jak wąż. Nikt nie widział, jak wymknął się ze swojej komnaty, przemknął korytarzem, zszedł

po schodach, po czym kryjąc się w cieniu i we mgle przebiegł przez dziedziniec zamkowy i przez otwartą bramę, w której drzemali dwaj wartownicy wsparci na pikach. Skoro tylko znalazł się między domami Skradina, wyprostował się, wszyscy bowiem spali, a żaden pies — wiedział dobrze o tym — nie odważyłby się zaszczekać. Niebo było pogodne, wyiskrzone gwiazdami. Wieczorny chłód na tyle przytłumił ludzkie i zwierzęce wyziewy, że Tauno wyczuł zapach, którego szukał: woń wód znacznie większych i głębszych niż największa chrzcielnica.

Kilku wodników żyło już w ludzkich siedzibach. Minał je obojętnie. Nie zamierzał też szukać osady na brzegu jeziora, gdzie mieszkali razem z dziećmi Adama inni wodni mężowie, którzy byli teraz rybakami. Reszta przybyszów osiedliła się na skraju wioski w kilku małych chatkach pachnących świeżym drewnem. Ulokowano tam większość wodnic... nie, niewiast, pomyślał, śmiertelnych niewiast, którym zasady przyzwoitości zabraniały poszukiwania przygód.

Mieszanka zapachów chłodnych ciał zaprowadziła go przed jakieś drzwi.

Zapukał do nich. Mieszkańcy chaty zachowali ostry słuch wodników. Jakiś głos zapytał: „Kto tam? Czego chcesz?”

— Jestem Tauno, syn Wanimena — odparł. — Wpuść mnie, Raksi, która byłaś w Liri moją

kochanką.

Usłyszał szept, odgłos kroków, jakieś szmery. Czas dłużył mu się nieznośnie, wreszcie klamka trzasnęła i drzwi się otwały. Stały w nich dwie niewiasty. Choć narzuciły koszule, poznał je od razu: Raksi, najweselszą dziewczynę w całym plemienu, i szczupłą, niebieskowłosą Mejwę, która była bliską przyjaciółką jego ojca.

Uśmiechnął się niepewnie i wyciągnął ramiona do Raksi. Dziewczyna jęknęła, odskoczyła do tyłu i ukryła twarz w dłoniach. Mejwa zachowała spokój, w jej głosie wyczuł jednak wyraźne napięcie.

— Witaj, Tauno! — powiedziała. — Jak dobrze jest wiedzieć, że ty i Eyjan przeżyliście i że wreszcie dotarliście tutaj... Musisz się jednak ubrać.

Tauno spojrzął na siebie. Kiedy podniósł się z łoża, nie chciało mu się ponownie ubierać, więc przypasał tylko nóż, a na jego szyi wisiał amulet, z którym się nigdy nie rozstawał.

— Dlaczego, przecież jesteśmy sami, Mejwo — odparła zdziwienie i jednocześnie strach zabrzmiały w jego głosie — i obie dobrze znacie moje ciało.

— Ja już nie jestem Mejwą, Tauno, a ona, moja siostra w Bogu, nie jest Raksi. Nazywam się Jelena, ona zaś Biserka. — Niewiasta odwróciła się. —

Zaczekaj tu. Przyniosę ci ubranie. — Drzwi się zamknęły.

Ale niebawem uchyliły się znowu i dawna wodnica podała mu kaftan.

Nałożył go, spiął pasem, przy którym nosił sztylet, a powąchawszy go odkrył z radością, iż należał do jego ojca. Mewa–Jelena — pozwoliła mu wejść do skromnego domku (wchodząc musiał pochylić głowę, żeby nie uderzyć o krokwie) i zapaliła od płomyka z ogniska glinianą lampę.

— Teraz lepiej — powiedziała i nawet dotknęła jego łokcia. — Nie wstydz

się. Musisz wszystkiego uczyć się od nowa. Usiądź, mój drogi. Należę ci wina.

Oszołomiony Tauno usiadł na jakiejś skrzyni. Biserka skuliła się w przeciwległym kącie izby. Patrzyła na niego... ze strachem?... z żalem? Nie wiedział, lecz słyszał jak szybko dyszała.

— Dlaczego ona także tutaj przebywa? — zapytał jej towarzyszkę.

— Andrzej, twój ojciec a mój mąż, wyruszył na wojnę

— wyjaśniła Jelena. — Zaprosiłam więc Biserkę, żeby ze mną zamieszkała przez jakiś czas — chodziło mi o względy przyzwoitości, potrzebowałam też pomocy w gospodarstwie. Jest niezamężna, i, no cóż... szczerłość, którą wyczuwał dotąd w jej głosie, gdzieś zniknęła i niewiasta dokończyła z zakłopotaniem: — Mieszkała z pewną rodziną, ale ich najstarszy syn zaczął jej pożądać, a nie byłaby to dla niej najlepsza partia.

— Ty, Raksi?! — zawołał Tauno. — Przecież to ciebie pierwszej szukałem dzisiejszej nocy!

Jelena westchnęła, chociaż w blasku lampy widać było, że się zarumieniła.

— Wiem. Oby litościwi święci pomogli mi pamiętać, kim jesteś, bym cię nie potępiała, lecz wskazała ci właściwą drogę. — Napełniwszy trzy czarki miodem pitnym, podała mu jedną. — Pozbądź się drożnych myśli, Tauno. To nie jest Liri, my nie jesteśmy tym, kim byliśmy, i Bogu niech będą za to dzięki.

— No, jest kilka ladacznic! — wybuchnęła Biserka. Znów się skuliła, przeżegnała się i pośpiesznie dodała:

— Nie pytaj o ich imiona.

— Na pewno znajdziesz takie i wśród nas, dawnych wodnic — powiedziała Jelena. — Przecież tak niedawno urodziłyśmy się na nowo! Jakże gorąco modlę się o to, żebyśmy nigdy nie zbrukały dusz, które dał nam Bóg!

— Urwała, zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń i dodała w zamyśleniu: — Och, obawiam się, że tak się stanie. Być pewnym swojej prawości samo w sobie oznacza grzech śmiertelny, pychę. Ale po każdym upadku możemy żałować za grzechy i starać się ich unikać. — Przeszyła go ostrym spojrzeniem. — Gdyby jakiś mąż chciał nas uwieść, niech pamięta, że wciąż jeszcze potrafimy władać mieczami i nożami.

— Więc wciąż pamiętacie wasze dawne życie? — wymamrotał syn Wanimena.

Jelena skinęła głową.

— Tak, chociaż wydaje się nam dziwne, niejasne, jak sen, który był długi i barwny, lecz blednie. Widzisz, obudziłyśmy się. Przed ołtarzem obudziłyśmy się ze zwierzęcego bytu do życia wiecznego. — I nagle ta, która siłą charakteru dorównywała Wanimenowi, rozplakała się.

— Och, tamta chwila, ta pierwsza chwila z Bogiem! Cóż... nam...

pozostało... jak nie czekać... w nadziei, że znów ją odnajdziemy, na zawsze...

w Niebie?

Wąski sierp księżyca rozjaśnił właśnie szczyty gór na wschodzie, gdy Tauno dotarł do ciemnej ściany puszczy. Nie zabrało mu to wiele czasu, gdyż biegł

przez pola

— kłosa i łodygi zbóż smagały go po nogach, pozostawiając na nich ciemne pręgi. Zanim jednak udało mu się w końcu uwolnić od towarzystwa niewiast, zrzucić ojcowski kaftan przy drzwiach i uciec, zrobiło się już późno.

Nie, wcale go nie przeklinały. Prosiły czule, żeby i on przyjął dar duszy nieśmiertelnej. Nie chodziło nawet o to, że tak bardzo się zmieniły i że w tych rozkosznych niegdyś istotach wyczuł coś tak bardzo obcego; wydały mu się nawet bardziej obce niż dzieci Adama. Rzecz w tym, że dostrzegł w nich zapowiedź zguby, to jest coś przerażającego, myślał oszołomiony i wstrząśnięty.

Dostrzegł w nich przyszłość, w której nie ma miejsca na Krainę Czarów.

Biegając, nie tylko starał się uwolnić od rozpacz, która nim owładnęła właśnie teraz, gdy po tylu trudach odnalazł wreszcie cel swoich poszukiwań. Uciekał też przed osaczającym go nieznanym. Gwiazdy spoglądały w dół i syczały:

„Tam jest, tamtędy ucieka, oto jego ślady, po których można go odnaleźć”.

Kiedy znalazł w końcu schronienie pod wielkim dębem, przystrojonym warkoczami jemioli, był śmiertelnie zmęczony, dyszał ciężko. Później ruszył w stronę jeziora, które wyczuwał w oddali. Wykąpie się w nim, napełni płuca czystą wodą, może złowi rybę i zje ją na surowo jak foka czy orka. To mu pozwoli odzyskać siły przed powrotem do zamku i tego, co się tam działo, cokolwiek by to było.

Drzewa czerniały w mroku po obu stronach wydeptanej przez zwierzęta ścieżki, którą kroczył, a w dole, w poszyciu, zastygła jeszcze gęstsza ciemność.

Delikatna poświata księżycy sączyła się przez korony wielkich sosen i dębów, srebrząc opary podnoszące się z ziemi lub nisko nad nią wiszące. W lesie było trochę cieplej niż na otwartej przestrzeni. Do uszu Tauna dobiegały ciche szelesty, szum wietrzyka, szuranie małych łapek; nad jego głową niemal bezgłośnie przeleciała sowa. Gdzieś w oddali wrzasnął żbik i jego głos roztopił

się w muzyce szemrzących nieprzerwanie liści.

Tauno uspokoił się trochę. Tutaj ocalał fragment jego świata, świata dzikiej przyrody, którego mieszkańcy żyli własnym życiem, kochali, zabijali, płodzili, cierpieli, ginęli, rodzili się, znali czary, ale nigdy nie chcieli badać lub ujarzmić kryjących się za nimi tajemnic, nigdy też nie próbowali spojrzeć w głąb surowej wieczności. Były tu ślady istot z Krainy Czarów... amulet podpowiedział mu ich imiona: ...Borowiec, Kikimora, przemykające gdzieś w pobliżu niespokojnie jak on sam, zatrwożone jego obecnością, ale...

Ale co jeszcze zwęszył? Nie, odebrał to wrażenie w inny sposób, wyczuł je we krwi jako mieszaninę strachu i nie dającej się wyrazić tęsknoty. Serce zabiło mu jak młotem, przyśpieszył kroku.

Ścieżka zatoczyła łuk wokół trzciny i tych dwoje się spotkało.

Stali nieruchomo przez chwilę poza czasem. Człowiek nie zobaczyłby nic, ale każde z nich widziało białą sylwetkę drugiego na tle wielowarstwowych cieni, jakby wynurzającą się z mgły, która snuła się wokół ich stóp. Ona była znacznie bledsza, patrząc na nią miał wrażenie że ulotna księżycowa poświata sączy się przez cienkie ścianki wyrzeźbionego w alabastrze naczynia. Kiedy się poruszała, przypominało to ruch wodnej fali. Była niezwykle piękna w swej nagości, jej smukłe ciało, nie

niekształcone porodem, krągłe linie ud, bioder i małych piersi świadczyły o tym, że pozostała dotąd panną. Miała niezwykle delikatne rysy twarzy i ogromne świetliste oczy. Jasne włosy unosiły się wokół niej w powietrzu niczym obłok.

— Och! — szepnęła. Ogarnęło ją przerażenie. — Och, co mam zrobić?!

Tauno zaś, przypomniawszy sobie to, co usłyszał tego dnia, a jeszcze wcześniej od ojca, krzyknął: „Rusałka!” — i wyrwał nóż z pochwy. Nie odważył się odwrócić do niej plecami.

W następnym momencie zniknęła w poszyciu. Syn wodnika stał przez chwilę w napięciu, z wykrzywioną grymasem gniewu twarzą, po czym uznał, że odeszła, i schował broń. Wyczuwał wszędzie wokół jej obecność, obecność kogoś zdumiewająco łagodnego, dziewczęcego, ale zbyt mało wiedział o podobnych istotach; może to tylko ślady, które pozostawiła po sobie?

Czy tak było?

Miał przecież talizman. Wystarczy, że się odpręży, pomyśli po chorwacku o tym, co zobaczył, i poczeka, aż popłynie strumień wiedzy. Uspokoił się więc, rozluźniając kolejno mięsień po mięśniu, dowiedział się wszystkiego i wtedy zawołał: „Wiło, zostań! Proszę...”

Wyjrzała z zarośli; ledwie dostrzegł oko, błysk policzka, delikatny kształt łokcia.

— Czy jesteś chrześcijaninem? — zapytała głosem tak dźwięcznym, jak pieśń fletu. — Nie wolno mi się zbliżać do chrześcijan — dodała nieśmiało. A więc nie była niebezpieczna, była tylko piękna.

— Ja nawet nie jestem śmiertelnym mężem — odparł Tauno ze śmiechem.

Podeszła bliżej, na odległość ramienia, i zatrzymała się.

— Chyba to wyczułam — szepnęła. — Czy naprawdę chcesz ze mną porozmawiać? — Ożywiła się i zawołała śpiewnie: — Och, to cudownie!

Dziękuję ci, dziękuję. Jak masz na imię?

Musiał przezwyciężyć dziwny, nieznaną lęk, zanim powiedział:

— Nazywam się Tauno. Pół wodnik i pół człowiek, ale cały należę do Krainy Czarów.

— A ja... — Wahała się dłużej niż on. — Myślę, że jestem... że byłam...

Nada. Mam na imię Nada.

Wyciągnął ramiona w jej stronę. Podeszła bliżej stąpając na palcach. Ich ręce się spotkały. Jej dłonie były zimne jak lód i chyba niezupełnie materialne.

Pomyślał, że gdyby je naprawdę ścisnął, jego palce zmiażdżyłyby je, ujął je więc tak delikatnie, jak potrafił. Małe rączki zadrżały w jego dłoniach.

— Kim jesteś? — zapytał, chcąc usłyszeć to z jej ust.

— Jestem wiał. Istotą z mgły, wiatru i na poły zapomnianych snów... Jakże cieszy mnie twoja dobroć, Tauno!

Owładnęło nim dawno nie zaspokojone pożądanie. Spróbował przyciągnąć ją bliżej. Wymknęła mu się, uleciała z jego objęć i zatrzymała się, drżąc na całym ciele, poza zasięgiem jego ramion. Strach i gniew malowały się na jej twarzy, która, choć wyglądała nadal młodo, w jakiś sposób postarzała się w jednej chwili.

— Nie, Tauno, błagam cię, nie. Przez wzgląd na siebie samego. Ja już nie należę do świata żywych. Umarłbyś, gdybyś to zrobił.

Przypomniawszy sobie, jak to pan Aage wstał z grobu, żeby pocieszyć swoją ukochaną panią Else — po prostu, żeby pocieszyć ją w nieszczęściu — i jak się to skończyło*, Tauno wzdrygnął się raptownie i cofnął.

Nada dostrzegła nagłą zmianę w jego twarzy. Przez chwilę poczuła się znowu straszliwie samotna, później jednak wyprostowała się (tuż poniżej szyi miała najśliczniejszy na świecie dołeczek) i powiedziała z uśmiechem:

— Ale nie musisz ode mnie uciekać, prawda, Tauno? Czy nie możemy pobyć razem przez jakiś czas?

Pozostali razem aż do rana.

* Pani Else umarła z żalu i tęsknoty. Opowiada o tym duńska ballada ludowa pt. „Aage i Else” (przyp. tłum.).

VII

Andrzej Subitij, kapitan marynarki królestwa Madziarów i Chorwatów —

który niegdyś był Wanimenem, królem Liri — odwrócił się od okna. Działo się to w Szibeniku, w pokoju na najwyższym piętrze pałacu burmistrza. Kiedy oficer tej rangi uzyskał w okresie wojny specjalny urlop (poprosił o to po otrzymaniu listu od żupana Iwana) mógł wszędzie otrzymać kwatery. Dzień dogasał, a on wciąż jeszcze rozmawiał z Eyjan. Ciemne sylwetki wież rysowały się na tle wieczornego nieba. Dzwony wzywały na nieszpory. Andrzej przeżegnał się.

— Iw ten sposób każde z nas już wie, co się stało z tym drugim — westchnął.

— Ale co naprawdę wiemy? — Wysoki mąż w wyszywanym złotymi nićmi kaftanie przechadzał się po zdobitym podłogę kobiercu pewnym krokiem, lecz w jego głosie dźwięczał ból.

— Dlaczego Tauno nie chciał się ruszyć z miejsca i przyjechać tutaj, żeby się ze mną zobaczyć? To przecież tak niewielka odległość.

Siedząca pod ścianą na bogato zdobionym fotelu Eyjan utkwiała wzrok w brzegu swojej sukni.

— Nie mam pojęcia — odparła. — Naprawdę nie wiem. Oświadczył, że to nie ma sensu, bo nie jesteś już ojcem, którego szukał. Ale w ostatnich dniach w ogóle mówił niewiele i nie powiedział nic, co mogłoby zdradzić, o czym myśli.

— Nawet tobie? — Andrzej usiadł na krześle naprzeciw córki.

— Właśnie. — Zaciśnęła dłonie w pięści. — Mogę tylko przypuszczać, że jest zatruty nienawiścią do chrześcijan.

Andrzej wyprostował się. Zapytał nieswoim głosem:

— Czy ktoś wyrządził wam coś złego?

— Nie. Wręcz przeciwnie. — Pokręciła głową i podniosła wzrok na ojca. —

Chociaż przyznaliśmy się żupanowi, żeśmy go okłamali — nie mogliśmy upierać się przy tej wymyślonej historyjce po tym, jak nasi krewni nas rozpoznali — Iwan nie wziął nam tego za złe. Stał się dla nas raczej jeszcze bardziej gościnny i to pomimo wyrzutów ze strony jego kapelana, który jest zgorszony, że takie dwie istoty jak my przebywają pod tym samym dachem.

Obecnie Iwan robi co może, aby wieść o nas nie rozniosła się po okolicy, tak żebyśmy mogli, jeśli zechcemy, bez przeszkód wrócić do Danii.

— Oczywiście ma nadzieję, że was nawróci.

— Oczywiście. Lecz nie narzuca się z tym ani nie pozwala tego robić ojcu Petarowi. — Eyjan uśmiechnęła się lekko. — Chętniej spotykam się z ojcem Tomisławem, tak często, jak to możliwe. On jest naprawdę kochany. Nawet Tauno nic mu nie może zarzucić. — Przerwała na chwilę. — Jest w tym coś dziwnego. Nie wiem, o co tu chodzi... ale Tauno bardzo łagodnie rozmawia z Tomisławem... niemal tak, jak się rozmawia z kimś, kto ma niebawem umrzeć, lecz jeszcze o tym nie wie...

— Co on tutaj robi po całych dniach? I co robisz ty, skoro już o tym mówimy?

Eyjan wzruszyła ramionami.

— Ponieważ pozostałam w połowie wodnicą, nie jestem tak skrupowana jak chorwackie niewiasty. Mogę pływać albo włóczyć się po lesie, pod warunkiem, by nie widział mnie żaden mąż. Natomiast wśród śmiertelników wolę zachowywać się jak dama. Większość czasu spędzam na nauce języka, ponieważ Tauno nosi amulet. Często śpiewam razem ze służebnymi. Od czasu do czasu przyłącza się do nas żona Iwana albo jego syn. — Skrzywiła się.

— Obawiam się, że młody Luka zbyt się do mnie przywiązał. Mimo woli mogłabym sprowadzić nieszczęście na ich dom.

— A Tauno?

— Skąd mogę wiedzieć? — odparła szorstko Eyjan.

— Spędza w puszczy całe dnie i noce. A po powrocie mruczy, że był na polowaniu, i nie zawsze jest uprzejmy w stosunku do ludzi. Wydaje mi się, że nienawidzi wiary chrześcijańskiej za to, co się stało z naszym plemieniem. Ale dlaczego mnie unika...?

— No cóż... — Andrzej oparł brodę na dłoni i obrzucił córkę uważnym spojrzeniem. — Czyżby znalazł sobie ukochaną w jakiejś zagubionej w puszczy chacie? Jestem pewien, że ty nie możesz mieć kochanka, a on kochanki w Skradinie.

— Nie — odparła przez zaciśnięte zęby. — Nie możemy.

— I czas się dłuży, gdy śpi się samotnie w łożu. Ach, pamiętam... Jeżeli nie oczarował jakiejś śmiertelnej dziewczyny, no cóż, istoty z Krainy Czarów nawiedzają te strony... — Andrzej zorientował się nagle z przerażeniem, dokąd zawiodła go ta myśl. Znów się przeżegnał. — Niech Bóg ma go w swojej opiece!

— Cóż złego się stanie, jeśli Tauno, który nie ma duszy, prześpi się z elfiną?

— zadrwiła Eyjan.

— Nie chcę, żeby mój syn został skazany na potępienie. Może umrzeć, zanim się ochrzci. — Znowu utkwiał w niej poważne spojrzenie. — Tobie to grozi również, moja córko.

Eyjan milczała.

— Jakie masz dalsze plany? — zapytał. Jej twarz przybrała smutny i gorzki wyraz.

— Nie wiem, tym bardziej, że Tauno trzyma się ode mnie z daleka.

Obiecaliśmy naszym duńskim przyjaciółom, że przyjedziemy do nich, gdy tylko będziemy mogli. A później... może udamy się do Grenlandii?

— To nie miejsce dla ciebie, zasłużyłaś sobie na lepszy los. — Andrzej zawahał się. — Luka Subitij byłby wyrozumiałym małżonkiem.

Eyjan zeszywniała nagle.

— Nigdy nie będę nosiła kajdan, które nakładają tutejszym niewiastom!

— Tak, zaznałabyś więcej swobody w Danii i spodobało mi się to, co powiedziałaś mi o tym Nilsie, synu Jonsa. Ochrcz się, wyjdź za niego i bądź

szczęśliwa.

— Ochrcz się? Stać się... kimś takim jak ty?

— Tak, zestarzeć się i umrzeć za kilkadziesiąt lat, a zanim to nastąpi, prowadzić pobożne i cnotliwe życie. Ale będziesz żyła w łasce Bożej, a później w Jego obecności. Nie zdołasz zrozumieć, jaki jest nieskończenie szczodry, zanim nie zawrzesz umowy, którą proponuje Chrystus.

Nie odrywając od niej wzroku, Andrzej ciągnął:

— Rozumiem cię. Lękasz się utraty nieograniczonej wolności, wydaje ci się, że wolałabyś raczej umrzeć. Przysięgam ci — nie na Najwyższego, jeszcze nie

— na miłość, jaką darzyłem twoją matkę i darzę ciebie, Eyjan, córko Agnety, przysięgam, że znajdziesz wolność w człowieczeństwie. Będziesz czuła się tak, jakbyś w zimową noc przyszła z zaśnieżonej puszczy do ogrzanego i oświetlonego pokoju, w którym uczują ci, których kochasz.

— I w którym nie zobaczę już gwiazd ani nie poczuję pieszczoty wiatru —

zaprotestowała.

— Kraina Czarów miała swoje uroki — odparł. — Ale czy nie będzie to rozsądne wyrzec się jej, kiedy jeszcze choć w części jest taka, jaką ją znałaś?

Och, Eyjan, dziecko moje, oszczędź sobie rozpacz, której możesz doznać, gdy na twoich oczach rozpadnie się w gruzy. Bo ona naprawdę zginie. To, co spotkało Liri, było tylko zapowiedzią zagłady, która czeka całą Krainę Czarów.

Magia ginie. Pewien mądry człowiek udowodnił mi to i ja również spróbuję cię o tym przekonać — chociaż każde słowo będzie mi sprawiało taki sam ból jak tobie — jeżeli pozostaniesz tutaj do dnia, w którym muszę wrócić na statek.

Zrób to, co najlepsze, zarówno dla tych, którzy cię kochają, jak i dla ciebie samej. Porzuć Krainę Czarów, w której nie znajdziesz szczęścia, bez względu na to, co byś zrobiła i dokąd byś się udała. Wybierz miłość Chrystusa, uczciwą miłość małżeńską Nilsa i miłość dzieci, które mu urodzisz. A pewnego dnia wszyscy znów się spotkamy w Niebie.

Umilkł i patrzył przed siebie nie widzącym spojrzeniem.

— Agneta również — zakończył.

Jaki on jest podobny do Tauna, pomyślała.

* * *

W lecie, kiedy drzewa dają cień, chroniąc przed słońcem, wiła mogła wędrować po lesie również i za dnia. Nada tańczyła w obłoku włosów, okrążała krzewy, przeskakiwała przez kłody, skakała do góry, żeby ucześcić się gałęzi i zawisnąć na chwilę, po czym znów pędziła przed siebie.

— No chodź, chodź, leniuchu! — Roześmiała się srebrzyście i jej smukła postać zniknęła wśród zieleni. Tauno zatrzymał się dysząc ciężko. Przymknął

powieki, szukając jej śladów. Nagle zasłoniła mu oczy dłońmi od tyłu, pocałowała go między łopatkami i znów umknęła. Choć jej usta były zimne, długo czuł ten pocałunek. Ruszył dalej, słaniając się na nogach. Niewidzialna, posłała wietrzyk, by go chłodził.

W końcu nie mógł już dłużej iść. Zatrzymał się nad ciemnobrązową leśną sadzawką. Stłoczyły się wokół niej wielki dąb, smukły buk i ponury jałowiec, a ich gałęzie utworzyły wysoko w górze zielony dach, pod którym, w upstrzonym słonecznymi plamkami półmroku, fruwały motyle. Było tam ciepło; w powietrzu czuło się zapach liści, dojrzałych żołądź i orzechów. Wiewiórka zatrajkotała nagle i rudą smugą pomknęła do góry. W chwilę potem zniknęła i nad sadzawką zaległa głęboka cisza.

— Hop–hop! — zawołał Tauno. — Przez ciebie musiałem tak gnać, że aż tchu mi zabrakło. — Liściaste sklepienie pochłonęło jego krzyk. Otarł pot, od którego piekły go oczy, a na ustach krzepła sól. Rzucił się na ziemię i zaczął pić.

Woda była chłodna i miała smak żelaza.

Usłyszał chichot.

— Masz kształtne siedzenie — zawołała Nada. Przewrócił się na plecy i zobaczył, że przycupnęła na konarze nad nim, wymachując nogami.

Połyskiwały złotem w słonecznej smudze, a w cieniu ponownie przybierały białą barwę.

— Zejdź tu, jeśli się odważysz, a stłukę twoje za takie żarty — rzucił

wyzywająco.

— Nie! — wykrzywiła się do niego. — Nie zrobiłbyś tego! Znam cię dobrze, ty wielki oszuście. Wiem, co naprawdę chciałbyś zrobić.

— Co?

— No, tulić mnie, pieścić i całować — co na pewno jest lepszym pomysłem.

— Nada raczej spłynęła niż zeskoczyła na ziemię. Pod drzewem rosły krzaki jeżyn. Zatrzymała się, nabierała tyle owoców, ile zmieściło się w jej małych dłoniach, po czym uklękła obok Tauna, który tymczasem usiadł.

— Kochane biedactwo, ty naprawdę jesteś zmęczony — powiedziała. — Cały mokry i na pewno rozboleły cię nogi. Nakarmię cię, żebyś odzyskał siły.

Ona sama wcale się nie zmęczyła, była sucha i gotowa w każdej chwili znów puścić się w tan. Nie spała, kiedy on spał, ani nie jadła owoców, które wkładała mu do ust. Zmarli nie mają takich potrzeb.

— Były wyśmienite, dziękuję ci — powiedział, gdy skończyła go karmić. —

Ale jeśli mam tu dłużej pozostać, będę potrzebował bardziej pożywnego jedzenia. Ryby z jeziora albo, jeśli mi pomożesz szukać, jelenia.

Skrzywiła się i rzekła:

— Nie lubię, kiedy zabijasz.

— Muszę.

— Tak. — Rozpromieniła się. — Przypominasz mi wielkiego, pięknego rysia.

Pogłaskała go koniuszkami palców. On zaczął ją pieścić, jego dłonie wędrowały po całym jej ciele. Te pieszczoty musiały być zawsze łagodne, gdyż miała w sobie zbyt mało materii. Miękkie krągłości, które przeżyły się, gdy ich dotykał, nigdy nie promieniowały ciepłem i zawsze wydawały mu się tak delikatne jak puch ostu.

Nie wiedział, z czego było uformowane jej ciało, ona nie wiedziała również...

Kości Nady, córki Tomisława, spoczywały na cmentarzu w Szibeniku. A jej dusza zamieszkiwała w podobiznie tamtego ciała, utworzonej... może z księżycowej poświaty i z wody. Nie była to ciężka kara.

A jednak była potępiona, pomyślał.

— Dręczysz się niedobrymi myślami — wykrzyknęła.

— Po co?

Oderwał od niej wzrok.

— Wybacz mi — powiedział zachrypniętym głosem.

— Wiem, że mój ponury nastrój bardzo cię martwi. Pobiegaj sobie może po lesie, póki nie wrócę do równowagi.

— Miałabym zostawić cię samego? — Przytuliła się do niego. — Nie. — Po chwili dodała: — Poza tym jestem samolubna. Przecież to dzięki tobie przestałam być samotna.

— Cały kłopot w tym, że... pragnę cię... a spotkałem cię za późno.

— I ja ciebie pragnę, Tauno, kochany mój...

Usiłował odgadnąć, co miała na myśli, mówiąc te słowa. Umarła jako panna.

Wiedziała oczywiście, choćby z obserwacji zwierząt, jak wygląda miłość między mężem a niewiastą, ale czy kiedykolwiek w pełni to zrozumiała?

Później zaś nie mogła się nad tym zastanawiać, gdyż stała się duchem leśnym i wodnym o niefrasobliwym, beztroskim sercu. Jakie pragnienia mogły nią kierować? Czy w ogóle je miała?

Poza pragnieniem jego towarzystwa... Uwielbiała go, czy może właśnie to go w niej urzekło? Tak bardzo różniła się od Eyjan, że może nieświadomie uciekł

do niej. Ale przecież inne niewiasty także mogłyby dać mu schronienie, a przy tym mogłyby zaspokoić jego męskie pragnienia i ofiarować przyjaźń, która przetrwałaby dłużej. Ingeborga...

Tauno i Nada objęli się w milczeniu. Oparła głowę o jego ramię; ledwie wyczuwał dotyk jej włosów. Odzyskał spokój, poczuł znowu tę zmieszaną z bólem radość, której doznawał zawsze w jej obecności. Na pewno nie będzie to trwało bez końca, lecz on nie musi się martwić o przyszłość. Przezorność nie była cechą, którą mógłby odziedziczyć po swoich przodkach wodnikach, a wyrzekł się swojej ludzkiej połowy. Nada — jej uroda, wspólne szalone igraszki i pełne dziwnej grozy chwile, gdy milcząc patrzyli w gwiazdy — sprawiła, że się zagubił, niemal pogodził się ze wszystkim, co istniało z tej strony Nieba.

— Jesteś zmęczony — powiedziała w końcu. — Połóż się i prześpij.

Zaśpiewam ci kołysankę.

Uśluchał. Prosta melodia, której matka prawdopodobnie nigdy jej nie śpiewała, obmyła go jak leśny strumyk i uniosła gdzieś daleko wszystkie troski.

Było mu teraz tak dobrze... Niech ciało i krew poczekają jeszcze jakiś czas.

Wiła nigdy go nie zdradzi.

Kończyło się lato, nadchodziła jesień. Na polach widziało się teraz codziennie tłumy wieśniaków. Jedni pochylali się nad sierpami, inni kroczyli za tamtymi, grabili, wiązali snopy i ustawiali je w kopki, które później odwożono do stodoły.

Wstawali przed świtem i pracowali do wieczora, bojąc się, by nie ograbiły ich deszcze, a potem zmordowani zapadali w ciężki sen. Uwijali się szybciej niż zazwyczaj, ponieważ wszelkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały wczesne nadejście mroźnej zimy. Wreszcie zwieziono ziarno do spichlerzy i uczczono to huczną zabawą, która trwała do rana. Tymczasem noce stawały się coraz chłodniejsze, gwiazdy wydawały się coraz bardziej odległe.

W którąś z takich nocy Tauno i Eyjan wybrali się na spacer brzegiem rzeki.

To Eyjan zażądała spotkania, oznajmiwszy bratu, że muszą ze sobą koniecznie porozmawiać o czymś bardzo ważnym. Przystał na to, acz niechętnie, ale oświadczył, że w zamku czuje się jak w pułapce, więc muszą się spotkać gdzie indziej.

Słaby blask nad górskimi szczytami zwiastował bliski wschód księżyca.

Wielki Wóz zawisnął nisko nad horyzontem, wyżej lśniła Gwiazda Polarna, wskazując mieszkańcom

Północy drogę do domu. Przedwczesny szron pobieliał

uschłą trawę. Tauno wyczuwał go pod stopami, zrzucił bowiem odzież, gdy tylko Skradin zniknął mu z oczu. Siostra nie poszła jego śladem: opończa z kapturem i luźna suknia kryły jej pełne kształty.

Przeszli w milczeniu milę lub dwie.

— Gdy byłam w Szibeniku, odnalazł mnie kapitan Asborn — powiedziała wreszcie Eyjan. — Ostrzegł, że jeśli „Brunhilda” nie wyruszy niebawem w powrotną drogę, trzeba będzie czekać aż do wiosny. Już teraz nawet niewielu kapitanów zaryzykowałoby tak daleką podróż.

— Tak, wiedzieliśmy o tym.

— Ale czy przynajmniej pomyślałeś o tym? — Eyjan zamilkła na chwilę, słyszał tylko jej kroki. — Ostatnio wiele się dowiedziałam o ludzkich obyczajach, poznałam je znacznie lepiej niż ty, bo ty nigdy nie raczyłeś się tym interesować. Nils poniesie znaczne straty, jeśli zatrzymamy tu na jeszcze tyle miesięcy jego statek i załogę. W dodatku ta nieszczęsna wojna — ojciec wrócił, żeby pomagać obłożonemu Zadarowi i może zginąć, choć nawet cię nie zobaczył... A poza tym... powiedziano mi, że nasze dokumenty nie obronią nas przed Wenecjanami. Jakiś wenecki pirat może uznać, że król Danii i jego biskupi są tak daleko, iż może się ich nie obawiać. Im później odpłyniemy, tym mniejsze będziemy mieli szanse na szczęśliwy powrót.

— Więc odeślijmy statek Nilsa — powiedział. — Ale właściwie cóż takiego czeka nas w Danii?

— A cóż takiego znaleźliśmy tutaj? — zapytała pełna niepokoju. Chwyciła go za rękę. Przystanąli oboje. — Tauno, co cię trzyma w tej puszczy?

Odpowiedział na jej pierwsze pytanie:

— No cóż, to prawda, że znaleźliśmy nasze plemię i okazało się, że są oni jeszcze jedną gromadą śmiertelników. Odgrywanie roli damy musiało cię już zmęczyć. Więc wyjedź stąd, jeśli chcesz.

Przez chwilę wpatrywała się z napięciem w jego obojętne, pozbawione wyrazu oblicze. Drżącym głosem zapytała:

— A ty nie wyjedziesz?

— Myślę, że jeszcze nie. Ale możesz jechać sama. Pozdrowisz ode mnie Ingeborgę i Nilsa.

— Obiecałeś jej, że wrócisz, przynajmniej na jakiś czas.

— Wrócę, wrócę, ale nie teraz — warknął.

— Zmieniłeś się, Tauno — w pewnym sensie bardziej niż ktokolwiek inny z naszego plemienia.

— Może to, co teraz we mnie dostrzegasz, tkwiło we mnie gdzieś zawsze, jak na dnie zamarzniętego stawu. Dość tego. Nie chcę rozmawiać na ten temat.

Spojrzał na siostrę i złagodniał.

— Tak, pozdrów ode mnie Ingeborgę, jeśli tam wrócisz — rzekł. — Powiedz jej, że nie zapomniałem, jak była mi oddana, jej mądrych rad, cierpliwości, że pamiętam, jak bardzo nam pomogła, i... tak... jak była mi droga, gdy się łączyliśmy. Chciałbym móc miłować śmiertelną niewiastę tak, jak nasz ojciec kochał naszą matkę. — Westchnął.

— Ale nie mogę.

Eyjan odwróciła wzrok, lecz nie zapytała, kogo może miłować.

— A co z tobą? — zapytał. — Spędzisz z Nilsem kilka tygodni lub miesięcy, a potem dokąd się udasz?

Eyjan zebrała się na odwagę i odparła:

— A może wcale nie opuszczę Danii...

— Co takiego?! — zapytał zdumiony. — No tak — powiedział po chwili. —

Będiesz jego kochanką, dopóki pozostanie młody. Rozumiem, że to może być przyjemne. Pozostawi ci całkowitą swobodę, a kiedy się zestarzeje...

— Chciałabym zestarzeć się razem z nim.

Spostrzegła osłupienie malujące się na twarzy brata, ale ciągnęła uparcie:

— Powinieneś posłuchać ojca. On ma rację, wiara chrześcijańska jest prawdziwa, my nie zostaliśmy jeszcze potępieni, możemy dokonać wyboru, przyjmując to, co obiecuje... a Krainie Czarów grozi zagłada... Chciałam porozmawiać z tobą o tym tej nocy, ponieważ rankiem pójdę do ojca Tomisława i poproszę go, żeby mi powiedział więcej o swojej religii. Czy będziesz mi tam towarzyszył?

— Nie! — ryknął. Wyrwał dłoń z jej dłoni i pogroził pięścią Niebu. — Eyjan, chyba nie chcesz powiedzieć, że...

— Nie jestem całkiem pewna, ale...

— Czołgać się przed Bogiem, który skręca i łamie to, co stworzył... Odyn nie twierdził przynajmniej nigdy, że jest sprawiedliwy.

Poczuła nagły przypływ sił, wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

— Ciesz się, że Bóg nie jest sprawiedliwy — rzekła.

— Jest miłosierny.

— Czy okazał miłosierdzie Nadzie?! —

Odwrócił się błyskawicznie i ruszył pędem przed siebie. Drgnęła gwałtownie, chciała pobiec za nim, już pochyliła się do przodu... lecz nie ruszyła się z miejsca.

Księżyc, który odpłynął już daleko na zachód, nadal srebrzył wody jeziora, ale na wschodzie niebo pojaśniało, gwiazdy zgasły. Nad oszronioną ziemią zaległa głęboka cisza.

Tauno i Nada stali obok siebie na brzegu jeziora. Wiła była bardziej poważna niż zwykle.

— Zawsze jesteś dla mnie taki dobry — powiedziała półgłosem — ale dzisiaj dobroć jakoś cię opuściła. „Wyczuwałam ją, jeszcze wyczuwam, tak jak kiedyś ciepłe promienie słońca.

— Nie wiem, co masz na myśli, nic się nie zmieniło — powiedział szorstko.

Zamyślona wiła nie zwróciła uwagi na ton jego głosu, mocniej ścisnęła palce splecione z jej palcami.

— Dzięki tobie przypominam sobie takie cuda jak światło słońca — rzekła cicho. — Kiedy jesteś przy mnie, już nie boję się wspominać. „Wiem, że złagodzisz ból.

— Ty natomiast pozwalasz mi zapomnieć.

— Co takiego? Przecież nie chciałbyś zapomnieć wszystkiego, prawda?

Zapomnieć o twoim cudownym morzu, tym morzu, o którym mogłabym słuchać bez końca? Ja byłam tylko głupiutką dziewczyną, którą spotkało tak wielkie nieszczęście, że postanowiła się utopić. Tak, utopiłam się; dzisiaj mam odwagę o tym pamiętać, chociaż nie mogę zrozumieć, jak mogłam do tego stopnia stracić głowę. — Uśmiechnęła się. — I to dla chłopca, zwykłego chłopca. Ty zaś jesteś mężem.

— Wodnym mężem.

— Tak, oczywiście, najdroższy. Czy może wiesz, co się stało z Michajłem?

Mam nadzieję, że się weseli, gdziekolwiek jest.

— Owszem, słyszałem, że mu się dobrze powodzi. Zaniepokoiła się nagle, spostrzegła bowiem, że Tauno z ponurą miną wpatruje się w dal.

— Coś nowego cię zraniło — powiedziała. — Czy mogę ci w czymś pomóc?

Tak bardzo tego pragnę.

Nigdy jeszcze dotąd nie okazała takiej przenikliwości. Zaskoczony Tauno mimowoli zdradził się z czymś, co starał się dotąd ukryć przed nią:

— Możliwe, że wkrótce będę musiał odjechać — rzekł cicho. — Moja siostra, o której ci opowiadałem, uważa, że powinniśmy powrócić na Północ, skąd przybyliśmy tutaj, obawiam się, iż

ma rację. To znaczy, jej argumenty brzmią sensownie.

Nada cofnęła się, zasłoniła jedną ręką usta, żeby nie krzyknąć, drugą zaś wysunęła do przodu, jakby chciała się osłonić przed ciosem.

— Nie, nie, nie! Tauno, dlaczego?! Proszę, nie! Osunęła się na ziemię i wybuchnęła płaczem. Nigdy przedtem nie zachowywała się w ten sposób.

Uklęknął przy niej i wziął ją w ramiona. Szczupła i zwiewna przytuliła się do niego, on zaś, głaszcząc ją po włosach, przysięgał, że się po prostu niewłaściwie wyraził i że nigdy, za nic w świecie jej nie opuści. I przez cały czas wiedział, iż jest teraz tak samo szalony, jak ona była wtedy, kiedy odebrała sobie życie.

VIII

W dzień św. Mateusza Apostoła ojciec Tomisław ochrzcił w swoim kościele córkę Andrzeja i Agnety. Wybrała dla siebie imię Dragomira. W Danii zmieniło się na Dagmarę, co znaczy „dzienna panna”.

Stała przed ołtarzem, wysoka, odziana na biało, jak do ślubu; rudawe włosy zaplotła w warkocze i zasłoniła, jak przystoi to czynić niewieście w domu Bożym. Tuż obok zajęli miejsca: jej ojciec, który przyjechał z wojny specjalnie po to, by wziąć udział w uroczystości, małżonka ojca, Jelena, Iwan Subitij i jego pani. Ciemny budynek wypełnili po brzegi ludzie z zadrugi i ci, co byli dawniej wodnikami. W przodzie stał Luka z wyrazem beznadziejnej tęsknoty na twarzy, z tyłu zaś, za wszystkimi, ze skrzyżowanymi ramionami i nieruchomym jak maska obliczem, Tauno. Niektórzy byli zdania, że nie powinno się go tu wpuścić, ale ksiądz przypomniał, że to przecież brat tej, która przyjmuje chrzest, i dodał, że może właśnie podczas tego obrzędu, dzięki łasce Bożej, spadnie bielmo z jego oczu i przekona się do wiary chrześcijańskiej.

W powietrzu unosił się zapach kadzidła, podarowanego przez żupana.

Tomisław żarliwie odmówił specjalną modlitwę i z rozpromienioną twarzą polecił wszystkim uklęknąć, po czym umoczył palce w święconej wodzie i nakreślił znak krzyża na czole Eyjan. „Chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”.

Dagmara jęknęła i omal nie upadła. Andrzej objął córkę ramieniem, by ją podtrzymać. Spoglądając ku Niebu szepnął: „Raduj się Agneto”.

Obrzęd wkrótce się skończył. Dagmara płakała, ale tylko dlatego, że nie mogła w inny sposób wyrazić przepełniającego ją szczęścia. Wreszcie przestała szlochać, wstała i wymieniwszy uściski z najbliższymi osobami wyszła z podniesioną głową.

Dzień był niezwykle chłodny jak na tę porę roku. Wiatr gnał chmury po bladym niebie i szumiał w szybko zmieniających barwę liściach. Czekający przed kościołem ludzie stłoczyli się wokół Dagmary, żeby ją pobłogosławić i powitać we wspólnocie wiernych. Aby uczcić to wydarzenie, przygotowali skromny posiłek. Rano goście zamierzali opuścić Skradin, a Dagmara miała się udać do

portu, gdzie czekała na nią gotowa do drogi koga „Brunhilda”.

Tauno, który niechętnie przywitał się z ojcem i nie ukląkł w kościele, stał na uboczu pod rozłożystą sosną. Upłynęło trochę czasu, zanim Dagmara zdołała podziękować życzącym jej wszystkiego co najlepsze ludziom i pożegnać się z nimi. Dopiero wtedy podeszła do stojącego samotnie pod drzewem brata. Nikt nie zbliżał się do ubranego w prymitywny strój męża, w którego twarzy było coś złowrogiego i który w dodatku trzymał włócznię w ręku.

Dagmara zatrzymała się i wyciągnęła ręce ku niemu. Nie zareagował. Jej welon i suknia załopotwały na wietrze, cienka tkanina ciasno przywarła do piersi i bioder. A jednak Tauno dostrzegł teraz w swej siostrze coś dziewiczego.

Może wrażenie to spowodowane było wewnętrzną powagą, której nie znali mieszkańcy Krainy Czarów.

Ponieważ Tauno milczał, Dagmara zaczerpnęła powietrza i odezwała się pierwsza:

— Cieszę się, że przyszedłeś. Nie wiem, co mogłabym ci jeszcze powiedzieć.

— Musiałem pożegnać moją siostrę — odparł. — Była mi bardzo bliska.

Usta Dagmary zadrżały:

— Przecież to ja jestem twoją siostrą!

Potrząsnął przecząco głową.

— Jesteś obcą niewiastą. Och, tak, mamy wspólne wspomnienia, gdyż wydało nas na świat to samo łono. Wszelako Dagmara nie jest nawet w części wodnicą, lecz prawdziwą świętą.

— Nie, nie wolno ci tak myśleć. Zostałam dziś uświęcona, tak jak każde dziecko świeżo przyjęte do Chrystusowej trzódki, ale i ja raz po raz będę upadać po drodze. Mam jednak nadzieję, że żalując za grzechy, uzyskam przebaczenie.

— Eyjan tak nie myślała — powiedział z przekąsem. Opuściła głowę.

— Więc wyrzekasz się zbawienia? W każdym razie nie możesz mi zabronić modlić się za ciebie, Tauno.

Słyszając to skrzywił się i rzekł:

— Nie chcę sprawiać ci bólu.

— Sprawiłbyś mi radość, gdybyś pojechał ze mną do ojczyzny.

— Nie. Jestem związany pewnym przyrzeczeniem. Ale czemu nie zaczekasz do wiosny? Podróż będzie niebezpieczna, to pora sztormów.

— Wszystko w ręku Boga. Muszę wrócić do Nilsa, męża, który jest mi przeznaczony, gdyż inaczej umrze w grzechu.

Tauno skinął głową.

— Rzeczywiście jesteś Dagmarą. No cóż, pozdrów ich ode mnie i niech szczęście pływa z wami wszystkimi.

Odwrócił się i ruszył w stronę lasu. Kiedy odszedł tak daleko, że nie mogła go już widzieć, zaczął pędzić, jakby go poszczuto psami.

* * *

Nady nie było na polance, gdzie się zwykle spotykali, ani nigdzie w pobliżu.

Tauno wyteżył wszystkie zmysły i wykorzystał wszystkie umiejętności wywodzące się z Krainy Czarów, ale zdołał odnaleźć jedynie bardzo słaby jej ślad. Ślad często się urywał i wtedy Tauno musiał długo szukać, zanim natrafił

nań znowu. Trop ciągle zmieniał kierunek, co wskazywało, że Nada błąkała się bez celu, miotana rozpaczą. Świadomość tego sprawiła, że omal nie oszalał.

Minęły dwa dni i dwie noce, zanim ją w końcu wytropił, w przeddzień jesiennej równonocy. Nie posiadał się z radości, choć ledwie trzymał się na nogach.

Nieruchome powietrze ziało przeraźliwym chłodem. Ołowiane niebo wisiało nisko nad ziemią. Wiła stała na brzegu szarego jak stal jeziora przylegającego do brązowo–żółtej ściany lasu, ubarwionej plamami czerwonych jak krew klonów i niezmiennie zielonych świerków i sosen; na wielu konarach nie było już wcale liści. Jej drobna postać podobna do białej wstążki ginęła w tym ogromie.

— Nado, och, Nado! — zawołał i ruszył ku niej chwiejnym krokiem. Głos miał ochrypły, gdyż szukając jej płakał z żalu i bólu.

— Tauno, ukochany! — Rzuciła mu się w ramiona. Ostrożnie zamknął w nich jej kruche ciało. Wydała mu się niemal tak samo zimna jak ów dzień, drżała w jego objęciach. Ich łzy się zmieszały, gdy ich usta zwarły się w pocałunku.

— Gdzie byłaś? — zapytał. — Co się stało?

— Bałam się... — szepnęła. Zesztywniał.

— Czego się bałaś?

— Że możesz nie wrócić...

— Kochanie, wiedziałaś, że wrócę...

— ...zanim będę musiała pójść pod wodę.

— Pod wodę?

— Nie powinnam się była obawiać. Jest mi przykro. Powinnam ci, oczywiście, ufać. Ale mąciło mi się w głowie... wszystko stało się takie ponure i zimne. — Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

— Ale jesteś tutaj.

Przerażony Tauno, tuląc twarz do jej włosów, delikatnych jak puch ostu, zapytał drżącym głosem:

— Co miałaś na myśli? Co musisz zrobić?

— Muszę zejść pod wodę. Do jeziora lub strumienia. Nie wiedziałeś o tym?

Poruszyła lekko plecami. Zrozumiał ten sygnał i uwolnił ją z objęć. Zrobiła krok do tyłu i spojrzała na Tauna. Błękit jej wielkich oczu wyblakł niemal zupełnie.

— W zimie słońce nie świeci co prawda w wodzie zbyt jasno, ale nagie drzewa nie dają przed nim schronienia — wyjaśniła. — W głębinie znajdę cień.

Na pewno musiałeś o tym słyszeć.

— Tak... — Spuścił wzrok. Włócznia, którą wypuścił z dłoni, leżała pomiędzy nimi na ziemi. — Tak, ale...

— Dotychczas mogłam długo zwlekać z zapadnięciem w sen. Lecz ta jesień będzie bardzo krótka, zima zbliża się wielkimi krokami.

Uschły liść opadł z drzewa pod stopy wiły.

— Kiedy będziesz musiała odejść?

Objęła się ramionami, by się ogrzać choć trochę.

— Wkrótce. Dzisiaj. Czy wrócisz tu na wiosnę, Tauno?

Tauno rozpiął pas i rzekł:

— Pozostanę przy tobie.

Pokręciła przecząco głową. Podczas gdy to on teraz jąkał się i drżał, Nada przejawiała nagle dziwną jasność umysłu i czyż jej postać nie stała się bardziej przezroczysta niż była dotąd? Wyglądała jak prawdziwy duch.

— Nie, mój kochany. Będę pływać, śpiąc przez cały czas. Zdołałbyś mnie obudzić zaledwie kilka razy i nigdy na dłużej. W tym grobowym spokoju nie ma nic z twojego morza. Oszalałbyś.

Tauno nadal ściągał z siebie odzież.

— Mógłbym wyjść na brzeg od czasu do czasu.

— Myślę, że to byłoby dla ciebie gorsze, niż gdybyś nie kładł się spać przez cały ten czas.

Przez chwilę patrzyła na niego poważnymi oczami. Mała Nada bardzo zmądrzała pod koniec tego roku.

— Nie — rzekła w końcu. — Zaczekaj, aż wrócę. Pragnę tego. — Milczała przez chwilę, potem dodała: — Nie czekaj też w puszczy. Znajdź ludzi... gdyż w tych górach nie ma elfin, o których mi opowiadałeś... i jakże często widziałam, że mnie pragniesz, a przecież nigdy nie będę mogła zaspokoić twego pożądania. Będę śnić szczęśliwe sny pod wodą, wiedząc, że przebywasz wśród żywych.

— Nie chcę nikogo.

Ogarnęło ją przerażenie. Skuliła się jak pod ciosem bicia i jęknęła:

— Och, Tauno, więc cię aż tak skrzywdziłam? Odejdź, póki jeszcze możesz. I nigdy nie wracaj!

Zrzucił ostatnią część stroju. Nawet jego nóż spoczął w poprzek drzewca włóczni. Zachował tylko amulet. Wiła cofnęła się jeszcze dalej i zasłoniła rękami oczy.

— Odejdź, odejdź — błagała. — Jesteś zbyt piękny. Jego rozpacz połączyła się z rozpaczą Nady jak dwie wielkie fale. Zatopiły go.

— Na sieci Ran! — wykrztusił — jesteś moja! Będziesz moja!

Skoczył ku niej i porwał ją w objęcia. Gwałtownym ruchem uwolniła usta, które całował jak szalony.

— To twoja śmierć! — wrzasnęła.

— A jak mógłbym lepiej umrzeć... i skończyć ze sobą...?

Walczyli. Tauno niejasno zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak dzikus, ale przestał panować nad sobą.

— Nada! — usłyszał własny ochrypły krzyk — ulegnij, bądź dla mnie dobra, to tego właśnie pragnę, będziesz mnie pamiętać...

Wyrwała mu się z objęć, uciekła tak, jak mógłby uciec wiatr. Potknął się i runął w uschniętą trawę. Kiedy podniósł głowę, zobaczył ją stojącą w odległości kilkunastu jardów od niego — biała postać na tle bezbarwnej wody, szarego nieba i ciemnych sylwetek drzew, bezlitośnie zimna, gdyż nie towarzyszył jej obłok oddechu. W prawej dłoni trzymała jego amulet.

Tauno wstał niezdarnie i potykając się ruszył ku niej. Wiła cofnęła się.

— Łatwo mogę ci umknąć — ostrzegła go. — Ale wolałabym tego nie robić.

Przystanął, chwiejąc się na nogach.

— Kocham cię — westchnął.

— Wiem — odparła czule. — I ja cię kocham.

— Nie zamierzałem cię skrzywdzić. Chciałem tylko, żebyśmy byli ze sobą, naprawdę byli razem, ten jeden jedyny raz — jeśli mamy rozstać się na zawsze.

— Jest jeszcze trzeci sposób. — Spokój zagościł w jej sercu i uśmiechnęła się. — Opowiadałeś mi o tej rzeczy. Wejdę do niej i już nic nas nie rozłączy.

— Nada, nie!

— Czy mogłam liczyć na większe szczęście niż to, że spocznę na twoim sercu? A może któregoś dnia...

— Urwała. — Pozostań tam, gdzie teraz jesteś, Tauno — poprosiła. — Chcę na ciebie patrzeć, dopóki będę mogła, i będzie to prawdziwy ślubny dar od ciebie.

Nie mógł nawet płakać.

Początkowo widziała zarówno swego ukochanego jak i kawałek ludzkiej czaszki, który trzymała w dłoni. Lecz powoli zawładnął nią ptak z Zaświatów, aż w końcu patrzyła już tylko na niego, gdy przelatywał na tle sierpu księżyca.

Tauno zobaczył zaś, iż jej dziewczęca postać staje się jeszcze bardziej widmowa, tak że zaczął widzieć poprzez nią otaczającą ich dziką puszcę, aż wreszcie była już tylko bladą iskierką w gęstniejącym mroku. Później zniknęła.

Talizman upadł na ziemię.

Tauno zmartwiał. Przez dobry kwadrans stał bez ruchu jak wrośnięty w ziemię. Potem schylił się, podniósł go, pocałował i powiesił na dawnym miejscu.

IX

W powrotnej drodze do ojczyzny załoga „Brunhildy” spostrzegła, że pani Sygryda bardzo się zmieniła. Czy powodem tej zmiany była decyzja jej brata, pana Karola, który postanowił zostać w Chorwacji? Paru marynarzy twierdziło wprawdzie, że w nocy po dawnemu wymykała się z kajuty i wskakiwała do morza, żeby baraszkować wśród fal, brakowało jednak naocznych świadków i większość żeglarzy temu zaprzeczała. Przypominali o jej pobożności: teraz zawsze brała udział we wspólnej modlitwie i nikt na statku nie modlił się tak żarliwie jak ona. Całymi godzinami klęczała przed posążkiem Najświętszej Marii Panny na rufie i często wtedy łzy płynęły jej z oczu. Zmienił się też jej sposób bycia, znikła gdzieś właściwa jej dotąd szorstkość i chłodna obojętność, stała się

łagodna, miła, potrafiła wysłuchać każdego. Wkrótce pokochali ją wszyscy marynarze, a dla kilku stała się kimś w rodzaju matki i spowiednika w jednej osobie.

Kapitan Asbern nie był pewien, czy postąpił słusznie wyruszając w podróż o tej porze roku. Płynął więc ostrożnie, trzymał się stale blisko brzegu, a gdy dostrzegał jakiegokolwiek oznaki zbliżającego się sztormu, kierował natychmiast statek w stronę najbliższego portu. Dlatego dotarł do Danii dopiero na krótko przed Bożym Narodzeniem. Ale podróż minęła bezpiecznie, a niewygody, na jakie naraziła marynarzy, nie były większe niż te, do których przywykli.

Około południa, w dniu święta Adama, „Brunhilda” zarzuciła kotwicę w porcie kopenhaskim. Dowiedziawszy się do kogo należy, komendant portu wysłał posłańca, by zawiadomił właściciela o przybyciu jego statku.

Padał drobny śnieg. Wieczorne powietrze było ciepłe i wilgotne. Między murami obronnymi, arkadami i krużgankami ruch był niewielki; światła w oknach, dym buchający z kominów, smakowite zapachy, wesołe śmiechy, odgłosy krzątania i głośnie śpiewy świadczyły o tym, że ludzie szykowali się już w swych domach do uczczenia Bożego Narodzenia. Te dwanaście dni miały być wielką świecą płonąącą w środku jaskini, którą jest zima.

Na pół stajały śnieg chlupotał pod kopytami mułów, wiozących na swych grzbietach męża i niewiastę. Przed nimi, w wysokich butach chroniących nogi przed błotem, szli dwaj uzbrojeni słudzy z pochodniami w dłoniach. Ich płomienie kołysały się lekko na wietrze, iskry sypiące się wśród płatków śniegu jarzyły się chwilę niby gwiazdy, a potem szybko gasły.

— Niewiele zdążymy sobie powiedzieć, najwyżej kilka słów — powiedziała ona. — Pełna opowieść zajmie wiele dni. — Zastanawiała się przez chwilę. —

Nie, lata... albo całe życie — żeby można było wszystko zrozumieć.

— Mamy przed sobą całe życie — odparł uszczęśliwiony Nils.

Jego towarzyszka ścisnęła ręką wodze mocniej niż powinna.

— To nie będzie łatwe. Po pierwsze, jeszcze dziś wieczorem... boję się...

Jak... co... powiem Ingebordze? Pomóż mi znaleźć słowa, które okażą się najmniej bolesne. Wzdrygnął się.

— Zapomniałem.

— Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. Radość tak łatwo bywa samolubna. Kiedyś ja sama też bym zapomniała.

— Eyjan...

— Jestem Dagmara. Nils przeżegnał się.

— Jakże mogłem zapomnieć o twoim własnym cudzie?! Przebacz mi, Boże!

— Nie będzie to dla nas łatwe — powtórzyła. — Musisz okazać mi więcej wyrozumiałości i cierpliwości, niż większość mężów okazuje swoim małżonkom, gdyż ciałem i duszą jestem w połowie wodnicą.

— A w drugiej połowie świętą — odparł Nils. Błysnął zębami w dawnym chłopięcym uśmiechu. — To będzie dla mnie trudne.

— Nie, nigdy nie mów takich rzeczy — powiedziała błagalnym tonem Dagmara. — Uznasz mnie prawdopodobnie za upartą, porywczą, pozbawioną prawdziwej niewieściej uległości, mimo że będę starała się z tym walczyć. —

Wyciągnęła rękę ku niemu. — Ale, och, Nilsie, nigdy nie przestanę cię kochać.

Spoważniał, ujął jej dłoń w swoją i przyjrzał się jej twarzy przez zasłonę śniegu, w słabym blasku pochodni. W końcu zapytał cicho:

— Czy naprawdę mnie kochasz, Dagmaro? Wiem, że jesteś do mnie przywiązana i nie mam prawa pragnąć więcej. Ale...

— Daję ci siebie samą, skoro mnie pragniesz — odrzekła mu szczerze. —

Musisz jeszcze zdobyć głębię mego serca, lecz będę się modlić, żeby ci się to udało. I będę ci towarzyszyła również w tej wyprawie.

X

Ingeborga, córka Hjalmara, niewiasta pochodząca z Jutlandii, liczyła sobie około trzydziestu zim. Któregoś wczesnowiosennego dnia przybyła do Hornbaek, małej rybackiej wioski na północnym wybrzeżu Zelandii, odległej od Kopenhagi o dzień jazdy nadmorską drogą.

Przed nią zjawilo się tu kilku mężów — kupili niewielki dom, wyposażyli go odpowiednio i urządzili wygodnie. Wyjaśnili przy tym, że nabyła go pewna zamożna wdowa, która pragnie od czasu do czasu uciec od zgiełku życia miejskiego w wiejskie zacisze i znaleźć się w otoczeniu prostych ludzi, sama bowiem, zanim wyszła bogato za mąż, należała do ich grona.

Witając ją wieśniacy czuli się trochę niepewnie, ale wkrótce odzyskali swobodę i pewność siebie. Nie, Ingeborga nie zadzieriała nosa. Mówiła łagodnym głosem w swym dziwacznym dialekcie i zawsze gotowa była pomóc, gdy ktoś naprawdę znalazł się w potrzebie, bez względu na to czy chodziło o pożyczanie niewielkiej sumy pieniędzy, czy o wielogodzinną harówkę. Nikt jednak nie poznał jej bliżej, a nieżonaci mężowie wkrótce przestali się do niej zalecać. Nie szukała towarzystwa sąsiadek, nie zapraszała ich do siebie częściej, niż wypadało, nie plotkowała i prawie nic nie mówiła o swojej przeszłości.

Sama gospodarzyła, sama sadiła warzywa i robiła zakupy. Codziennie, jeśli pozwalała na to pogoda, odbywała długie spacery, przemierzając wiele kilometrów brzegiem morza lub po leśnych

ścieżkach. Nie było to obecnie czymś tak niebezpiecznym jak kiedyś, gdyż pokój królewski znowu na jakiś czas zapanował w tych stronach. Mimo to nie odważyłaby się na coś podobnego żadna inna niewiasta. Kiedy wiejski proboszcz odradzał jej te wędrówki, powiedziała mu z uśmiechem tak smutnym, jakiego jeszcze nie widział na niczyjej twarzy, że nie ma się już czego bać.

Czas płynął. Zimne wiatry i ulewne deszcze ustąpiły miejsca kwitnieniu, orce i zasiewom na niewielkich poletkach, łodzie wypłynęły na rybie żniwa. Kwiaty przekwitły, zawiązały się jabłka, zaoraną ziemię pokryła delikatna zieleń, a las napełnił się ptasim śpiewem. Na dachu chaty Einara, syna Branda, już wiele lat temu umieszczono koło od wozu i każdego lata gnieździła się tam rodzina bocianów. Uważano, że ptaki te przynoszą szczęście wszystkim w okolicy, i rzeczywiście, w następnych miesiącach mieszkańcy wioski byli świadkami narodzin, bierzmowania, ślubów, obfitych połowów i radosnych świąt.

Oczywiście, zobaczyli też choroby, śmierć, pogrzeby i topielca, którego fale wyrzuciły na ojczysty brzeg.

Tak więc czas płynął jak zawsze. Pewnego dnia we wsi pojawił się kolejny przybysz.

Przyjechał z zachodu, od strony Cieśniny Sund, być może z Kopenhagi, miał

bowiem konia znakomitej rasy, a jego strój, choć uszyty z grubej, mocnej tkaniny, wyglądał również wspaniale. Nieznajomy był wysokim młodzieńcem o jeszcze nie pokrytej zarostem, wymizerowanej twarzy, miał jasne włosy z dziwnym, zielonym odcieniem, a jego oblicze zdradzało cudzoziemskie pochodzenie. Nie towarzyszył mu sługa, nie miał też straży przybocznej, co dziwnie jakoś nie pasowało do jego pańskiej postawy.

Zbliżał się środek lata i słońce stało jeszcze wysoko nad Kattegatem, przerzuciwszy nad nim most z roztopionego złota. Na wschodzie, po drugiej stronie cieśniny, jego ukośne promienie oświetlały chmury, spiętrzone niczym góry nad Skanią, która lśniła jak niebieskawy pasek na horyzoncie. W oddali, po spokojnym morzu, płynęło kilka statków, maleńkich jak zabawki; ich żagle również lśniły w słońcu. W głębokiej ciszy słychać było jedynie łagodny szum przybrzeżnych fal i kwilenie mew. Słony zapach morza i morszczyku mieszał

się z wonią pól i łąk i z aromatami lasu, otaczającego je ciemnym murem.

Na widok nieznanego dzieci pasące gęsi krzyknęły radośnie i pobiegły ku drodze. Przybysz zapytał nieco oschłym tonem, jak znaleźć dom fru Ingeborgi.

Jego duński przypominał dialekt, którym mówiła, ale różnił się nieco od niego.

Czy do wsi przybył inny Jutyjczyk? A może to prawdziwy cudzoziemiec?

Dzieci rozbrzęczały się jak pszczoły, gdy ruszył dalej.

Dorośli, którzy go powitali na jedynej ulicy Hornaeku, nie dowiedzieli się od niego wiele więcej.

— Jestem jej przyjacielem i przywożę wieści przeznaczone tylko dla jej uszu

— oświadczył. — Jutro powie wam to, co uzna za słuszne. Tymczasem proszę, żebyście zostawili nas w spokoju.

Usłyszawszy, że nieznajomy zamierza spędzić tę noc pod jednym dachem z Ingeborgą, wieśniacy nie byli bynajmniej zgorszeni. Ten i ów parsknął

śmiechem, paru nie umiało ukryć zazdrości, a najmądrzejsi wyrazili przekonanie, że nie chodzi tutaj o żadną swawolę, gdyż przybysz nie wyglądał z pewnością na człowieka o rozwiązłych obyczajach.

Dom Ingeborgi stał prawie na końcu ulicy. Była to zwykła wiejska chata zbudowana z uszczelnionym mchem, posiwiałych ze starości bali; porosła mchem i polnymi kwiatami słomianą strzechę przytwierdzono linami do ścian i stropów, by nie zerwały jej północne wiatry. Przybysz zsiadł z konia, odwiązał

tobołek przytroczony za siodłem i wsunął go pod ramię tej samej ręki, w której trzymał włócznię. Dał jednemu z mężów monetę, by zaprowadził jego wierzchowca do stajni, po czym na oczach zgromadzonych wieśniaków podszedł do drzwi i zapukał do nich.

Drzwi się otwały; gapie zobaczyli zdumioną twarz Ingeborgi, usłyszeli jej krzyk. Nieznajomy wszedł natychmiast do środka i zamknął za sobą drzwi. W

chwile później okiennice również zostały zamknięte i nic nie można było usłyszeć z tego, co się działo wewnątrz chaty.

* * *

Ognisko z torfu dawało niewiele światła, ale Ingeborga rozrzutnie zapaliła kilka świec. Z mroku wynurzyły się: niedawno zainstalowany piec, stół, krzesło, taborety, wełniane zasłony, połyskujący zestaw naczyń kuchennych i dym, który wirował wśród ruchliwych cieni pomiędzy obciążonymi zapasami krokwiemi.

Kot, dotychczas jej jedyny współlokator, po kilku nieudanych próbach zwrócenia na siebie uwagi zasnął na rozłożonej na polepie trzcinie. Ciepło i gryzący zapach dymu wypełniały izbę, jakby próbując chronić ją przed nocą, która tymczasem zapadła.

Tauno i Ingeborga siedzieli na skrzyni, której wyścielane wieko było jednocześnie ławą z oparciem. Obok, na półce, stał kielich pełen wina, ale nieczęsto zeń pili, a przygotowany przez niewiastę posiłek pozostał nietknięty.

Kiedy bowiem ucichła burza pocałunków, gwałtownych uścisków, pieszczot, śmiechu, łez i szalonych radosnych słów, jaką wywołało jego przybycie, Tauno zaczął opowiadać swoją historię.

— ...wybrałem drogę lądem, licząc na to, że znajdę coś, co podtrzyma moją nadzieję. Podróż była powolna, trudna, niebezpieczna, lecz nic mi nie dała.

Owszem, w kilku miejscach spotkałem nieliczne ocalałe jeszcze istoty z Krainy Czarów, zupełnie odmienne od tych, o jakich dotąd słyszałem. Kiedyś poświęciłbym wiele czasu na to, by je poznać.

Teraz jednak zdałem sobie sprawę, iż nie mam ochoty zatrzymywać się gdziekolwiek na dłużej. Dotarłem do Kopenhagi kilka dni temu. Nils i Dagmara przyjęli mnie serdecznie, ale na to by zamieszkać choćby na krótko w pokoju, który mi zaoferowali, miałem jeszcze mniej ochoty — zbyt wiele bowiem świętości tam wyczuwałem, nie było to miejsce dla mojej Nady. Nic im o niej nie powiedziałem. Wziąłem od nich tylko to, co było niezbędne, by zapewnić mi wygląd godnego szacunku męża, i wyruszyłem natychmiast w drogę do ciebie. Tak, prosili mnie, by cię pozdrowić i zachęcić do powrotu. Bardzo by chcieli, byś znalazła grono przyjaciół i znajomych, cieszyła się życiem i poślubiła jakiegoś wdowca, który potrzebuje matki dla swoich dzieci.

Ingeborga oparła się o Tauna, który otaczał ramieniem jej kibić, i od czasu do czasu rozczesywała palcami jego włosy. Jednakże nie patrzyła na niego, lecz utkwiała spojrzenie w ciemnej jamie otwartych drzwi tylnej izby. Druga burza, wywołana jego opowieścią, również ucichła. Nadal lekko drżała, miała zaczerwienione oczy, dokuczała jej czkawka i mówiła przez nos zachrypniętym od płaczu głosem; smugi soli zakrzepły jej na policzkach i na górnej wardze.

Potrafiła jednak zapytać spokojnie:

— Jak to jest między nią i tobą? On także wpatrzył się w mrok.

— Dziwnie — odparł równie cicho. — Jej bliskość jest jak... jak słodki napój, który pali... albo jak wspomnienie utraconej kochanki, zanim zniknie smutek, chociaż jest czymś więcej niż wspomnieniem: jest obecnością... Czy wy, chrześcijanie, doznajecie podobnych uczuć myśląc o bliskich wam zmarłych, którzy są w Niebie?

— Myślę, że nie.

— Budząc się, czuję ją przy sobie, tak jak czuję pulsowanie krwi w żyłach. —

Tauno uderzył się w kolano. — To wszystko i wspomnienie... żywsze niż jakiegokolwiek inne — boli, naprawdę boli! — Opanował się i ciągnął: — Ale też tłumi ból. Powiedziałem, że wyczuwam jej obecność; ona nie odeszła. A gdy śpię, wraca do mnie w snach. Są takie jak życie; jesteśmy razem tak jak dawniej, ponieważ to ona, Nada przebywa w inuickim amulecie.

Ingeborga zebrała resztki sił i spytała:

— Czy w tych snach łączysz się z nią jak mąż z niewiastą?

Tauno zgarbił się, skulił w sobie.

— Nie. Wędrujemy po jej ojczyźnie albo po krajach i morzach, które poznałem i o których jej opowiadam, swawolimy, bawimy się. Ona otwiera szeroko oczy ze zdumienia... dopóki nie zasmuci jej myśl, że nie może dać mi nic więcej poza pocałunkiem. Przekonuję ją, że to wszystko śni się nam tylko, lecz ona odpowiada, że nie, że to są spotkania poza czasem i przestrzenią.

Powiada też, że jest duchem i że gdybym się w niej zatracił, musiałbym umrzeć tak jak ona.

— Och, nie! — Ingeborga z całej siły zacisnęła palce na jego ramieniu. Nie dodała, że zgasłby

niczym zdmuchnięty płomień świecy.

Zapadło milczenie.

— Nie bój się, nie umrę — uspokoił ją.

— Błogosławię Nade za jej troskę... — Ingeborga odetchnęła głęboko. —

Ale, Tauno, Tauno, którego kocham... to przecież nie może trwać tak dalej, prawda? Nie możesz przez kolejne lata, przez kolejne wieki żyć tylko tym, co utraciłeś... nie, tym czego w istocie nigdy nie miałeś... — Odwróciła się, żeby widzieć jego twarz i wykrzywiła usta. — Bóg nie dał ci duszy. Jak mógł cię wtrącić w otchłań takich męczarni!

— To nie jest...

Wczepiła się weń pazurami obu dłoni.

— Wyrzuć tę rzecz do morza, oddaj ją piekłu! — wrzasnęła. — Jeszcze tej nocy!

— Nigdy.

Na widok jego surowego oblicza opuściła ją odwaga. Nagle wodnik uśmiechnął się, a jego głos złagodniał. Wyciągnął ręce do Ingeborgi i dotknął

ustami jej czoła.

— Nie bój się o mnie, droga przyjaciółko. Wszystko będzie dobrze. Źle się wyraziłem. Widziałem, jak cierpisz, i przypomniało mi to mój własny ból. Lecz to nie potrwa długo. Daję ci na to słowo honoru.

Zdrętwiała, wbiła w niego przerażone spojrzenie i wymamrotała:

— Co chcesz zrobić?

— Właśnie to — odparł. — Czy pamiętasz, co ci powiedziałem o amulecie po powrocie z Grenlandii, co wcześniej angakok wyjaśnił Eyjan i mnie? Wróżbici z Krainy Czarów, których spotkałem w powrotnej drodze, potwierdzili, iż mówił

prawdę, i dodali swoją wiedzę do mojej.

Nada istotnie znajduje się w amulecie, ale nie została w nim zamknięta na zawsze. Może przejść z niego do żywego ciała, jeżeli ta osoba ją zaprosi.

Zrobię to. Nada i ja staniemy się jedną istotą, złączymy się bardziej, niż tego pragnąłem. Odkładałem to tylko dlatego, że chciałem zobaczyć, jak ci się wiedzie w Danii...

Wybuchnęła wrzaskiem jeszcze dzikszym niż przed chwilą, skuliła się i odsunęła od niego.

Tauno wstał, położył dłonie na jej skroniach i powiedział z niepokojem:

— Uspokój się. Nada jest spokojna. Pragnie wyruszyć ze mną w tę podróż.

Ingeborga zadrżała, lecz udało się jej zapanować nad sobą. Nie była w stanie znieść jego spojrzenia.

— Znajdź kogoś innego — jęknęła. — Znajdziesz, jeśli poszukasz.

Spochmurniał i opuścił ręce.

— Myślałem o tym, ale Nada odmówiła, i słusznie. Byłby to bezbożny czyn, ponieważ skazano ją na potępienie.

— Lecz jakaś zroczona dziewczyna... albo poganka, albo... Ona by na tym zyskała, prawda? Otrzymałaby ciebie... za małżonka... i co jeszcze?

— Wieczną młodość wily, jej władzę nad powietrzem i wodą, zatrzymując jednocześnie miłujące słońce ciało. I, tak, kochaną, kapryśną duszę Nady. Taka niewiasta należałaby do Krainy Czarów.

— Znalazłbyś wiele takich, które bez namysłu zgodziłyby się na to.

— I wyrzekłyby się Boga, nie wiedząc zupełnie, jaki los je czeka, kiedy ich ciało w końcu umrze? Bo tego żaden czarownik nie mógł mi powiedzieć. —

Tauno pokręcił głową. — Nada nie chce się zgodzić. Ja również — odkąd mi wyjaśniła, ile w tym zła — nie mógłbym pozwolić na coś takiego, skoro cenię sobie swój honor.

Ingeborga zwróciła ku niemu twarz i wyciągnęła ręce w błagalnym geście:

— Ale kim ty się staniesz?

— Tego również nikt nie wie, ponieważ pochodzę z Krainy Czarów —

odrzekł. — Dlatego też chciałbym spędzić jeszcze kilka dni i nocy z tobą, droga przyjaciółko.

— A czy, ty... ty się nie boisz? Już nigdy potem nie będziesz Taunem.

Wodnik wyprostował się; padł na nią jego wielki cień.

— Ja j e s t e m Taunem krakenobójcą — oświadczył z mocą. — Czy mam się obawiać przyjęcia w siebie mojej małżonki?!

Ingeborga siedziała w milczeniu, dopóki nie dotknął jej i nie mruknął:

— Późno już. Chodźmy do łóża, dobrze? Chociaż... tej nocy w każdym razie

— po tej naszej rozmowie — jestem śmiertelnie zmęczony. Po prostu chodźmy spać. Rozumiesz mnie, Ingeborgo, prawda? Ty zawsze mnie rozumiałaś.

Ingeborga zazwyczaj sypiała w drugiej izbie.

Kiedy Tauno zaczął równo oddychać, wymknęła się po cichu z łoża, zapaliła drzazgę, przytknąwszy ją do płonącej główki, po czym od drzazgi zapaliła świecę i wróciła z nią do izby, gdzie spał syn wodnika. W blasku żółtawego płomyka przyglądała mu się przez długą chwilę.

Nie chciał koców. Leżał teraz na boku na pościeli, zupełnie nagi. Jego potężna pierś unosiła się i opadała w rytmie oddechu. Jeden kosmyk włosów przykrył mu czoło, a drugi zwinął się pod brodę. Na bladej twarzy malował się spokój. W zgięciu ramienia spał, pomrukując cicho, jej kot.

Ingeborga była również naga. Czuła pod stopami rozestaną na polepie trzcinę, słyszała jej szelest, docierał do niej słaby zapach rozgniecionych łądyg.

Podeszła ostrożnie do łoża. Jeszcze zanim Tauno zasnął, zdjęła ze ściany krucyfiks i na jego miejscu zawiesiła talizman.

(— Zdejmij go — nalegała. — Ten jeden raz, żebyś mógł odpocząć, śnić własne sny.

— Ona poczułaby się samotna.

— Widzę, że jesteś wyczerpany. Czyż Nada nie chciałaby, żebyś dobrze wypoczął?)

Nie powinna patrzeć na niego dłużej niż przez parę sekund. Mógłby się obudzić. Ujęła w dłoń rzemyk, na którym był zawieszony amulet, po czym wyslizgnęła się z izby i zamknęła za sobą drzwi. A potem przystanęła i w blasku świecy, którą trzymała w lewej ręce, wpatrzyła się w przedmiot spoczywający na jej prawej dłoni.

Wszystko inne zniknęło. Skarb Tauna był lekki, a zarazem ciężki jak świat.

Niewielki kościany krążek stał się firmamentem, którego pustka zamknęła się nad nią i na którym ciemnogłowy ptak przesłaniał księżyc w nowiu ona zaś była ziemią w dole, była morzem. Odciął ją od wszelkich dźwięków, rozpostarł

wielką ciszę. Cisza ta przeniknęła ją całą, skąpała w swym chłodzie, aż w całym Wszechświecie pozostała tylko Ingeborga, która była teraz słuchem.

Kiedy owa cisza stała się ciszą absolutną, usłyszała w duszy głos, jak zamierające echo:

— Kim jesteś? Czego chcesz?

— Jestem Ingeborga, twoja siostra, która również go kocha.

Wstawiła świecę do świecznika, przełożyła rzemyk przez głowę, odgarnęła włosy i rozsunęła piersi, by amulet znalazł się jak najbliżej jej serca. Zacisnęła go w dłoniach.

Usłyszała, wyraźnie gdzieś w swym wnętrzu, tęskny śpiew:

— Ingeborga. Tak. Ty miałaś to, czego ja nigdy nie będę miała. Cieszę się, że cię poznałam. On wciąż cię wspomina. (Zaskoczenie) Co, nie wiedziałaś o tym?

Cóż, to prawda.

(Później) — Ale jest twój na zawsze, Nado.

— Nie powinno tak być. Gdybym to umiała przewidzieć, uciekłabym od niego... tak sędzę... Lecz teraz nie mogę.

— Oczywiście, że nie możesz. (Później, nieśmiało) — Ingeborgo?

— Tak?

— Boję się, Ingeborgo. Nie o siebie, naprawdę nie. O niego. Wiesz, co chce zrobić.

— No tak. A jak ci się zdaje, czemu z tobą rozmawiam?

— Ale... Ty? (przerażona) Nie! Nie wolno mi!

— Dlaczego nie?

— Jestem potępiona.

— Więc cóż z tego?

— Nie chcę, żeby to ciebie spotkało. Nigdy się na to nie zgodzę.

— Nawet jeśli pragnę tego bardziej niż czegokolwiek w świecie? — zapytała łkając Ingeborga.

— To niemożliwe. Czeka cię Niebo.

— A cóż ono dla mnie znaczy bez niego?

— Nie wiemy, co się z nim stanie... z tobą — ze mną... w Ostatnim Dniu Świata.

Ingeborga podniosła głowę. Blask świecy rozjaśnił jej twarz.

— Czy cię to naprawdę obchodzi?

— Powinno. Przez wzgląd na ciebie.

— Nado, przyjdź do mnie. (Z nagłym ożywieniem) Staniemy się małżonką Tauna Krakenobójcy.

Była jednak taka chwila, gdy Ingeborga padła na kolana. Trzciny rozsunęły się i poczuła chłód glinianej podłogi.

— Maryjo — szepnęła. — Przykro mi, jeśli będziesz przeze mnie płakać.

* * *

Wyszła z uśpionej wioski na brzeg morza. Duńskie noce stały się krótsze, nadal jednak były ciemne. Na wschodzie nie było już ciężkich burzowych chmur — odpłynęły, żeby gdzie indziej wyładować swój gniew — a gwiazdy bladły w przecuciu świtu. Ale w innych częściach nieba iskrzyły się tysiącami wokół Drogi Mlecznej. Pod kryształową czernią firmamentu Kattegat lśnił

srebrem rtęci.

Weszła do wody. Wiatr ucichł, więc fale zmały, i słyszała wokół siebie tylko cichy plusk. Chłód i niezliczone kamyki na dnie wcale jej nie dokuczały, przeciwnie, były jak obietnice słonych głębin, które czekały na nią tam dalej.

Kiedy fala pocałowała jej sutki, zanurzyła się.

Nie mogła oddychać pod wodą jak wodnica, ale wcale nie było jej to potrzebne. Pływała, unosila się na falach, oddając morzu niezliczone pieszczoty, którymi ją ono darzyło. Nie potrzebowała też innego światła niż to, które rozjaśniało już wodę, żeby móc się przyglądać długim brązowym łodygom o trzepoczących liściach, strzelających w górę ze skał, gdzie się zakorzeniły, rybom śmigającym niczym srebrne meteory, płyciznom ustępującym miejsca głębinom i niezgłębionym tajemnicom. Słyszała pływy morskie przemierzające świat w ślad za księżycem, delfiny przekazujące dalej wieści z koralowego wybrzeża; poprzez niezmierzone przestrzenie dotarła do niej muzyka wielorybów. A poza tym wszystkim odnalazła przebliski, melodię i magię tego, co pozostało z Krainy Czarów.

Pamiętała, że niegdyś była Ingeborgą i pamiętała, że była też Nada, ale teraz była obiema naraz i żadną z nich. W morzu pływała baśniowa istota, która mogła kochać, śmiać się, smucić i dążyć do szczęścia, która posiadała wiele umiejętności na zawsze niedostępnych dzieciom Adama, lecz nie mogła poznać Boga, tak jak nie mógłby Go poznać albatros czy wiatr. Była wolna, w pełni zdrowa, i czuła, wciąż coraz wyraźniej, jak bardzo jest szczęśliwa. Zginie, kiedy zechcą tego Norny, ale ta godzina należała do niej.

Już wkrótce, zanim wieśniacy się przebudzą, wróci i obudzi Tauna.

XI

Dla swego gościa, pana Karola Brede, Nils, syn Jonsa, kupił jacht, na tyle mały, że mogła nim kierować jedna osoba, lecz dostatecznie mocny, by mógł

pływać po otwartym morzu. Załadował nań narzędzia, różnego rodzaju broń, sznury, tkaniny i wiele innych towarów. Rozniosła się plotka, że zamierzał

potajemnie handlować z Wendami* pod samym nosem Hanzy. Ale kiedy wszystko było gotowe, popłynęli razem z Karolem na północ, a nie na południe, przez cieśninę Sund, a potem na zachód, wzdłuż wybrzeży Zelandii. Fru Dagmar także wzięła udział w wyprawie, choć była ciężarna.

Minęli wioskę. Zrzucili kotwicę przy bezludnej plaży, na której rosła wysoka jodła, i czekali. Nie opodal kołysały się na falach łodzie rybackie, od których miała ich oddzielić zasłona zmroku.

Noc zapadła późno, ponieważ była to wigilia dnia św. Jana, gdy słońce nie oddala się zbyt od duńskiego horyzontu. Niebo było fioletowe i tak jasne, że widziało się na nim tylko kilka gwiazd, małych i tajemniczych. Woda błyszczała jak wypolerowane srebro, a chłodny wiatr rył w niej bruzdy, niosąc z lądu aromaty młodej zieleni. Można było policzyć drzewa na brzegu albo czytać z dłoni ukochanej. Na dalekich szczytach płonęły czerwienią ogniska, wokół

których tańczyli młodzieńcy i dziewczęta.

„Plung, plung” — wołały fale uderzające o poszycie jachtu. Z oddali dobiegały ptasie okrzyki. Morze pomrukiwało sennie i łagodnie. Poza tym nic nie zakłócało ciszy.

Nagle jakaś pływaczka wynurzyła się na powierzchnię morza i zawołała coś cicho w obcym języku. Tauno odpowiedział jej, posługując się tą samą mową.

Zbliżyła się do łodzi; Tauno nachylił się i pomógł jej wejść do środka. Krople wody lśniły na jej nagim ciele.

* Wendowie — ludy słowiańskie (przyp. tłum.).

Powiadają, że ciało Ingeborgi znacznie ściemniało od promieni słońca, stało się jeszcze bardziej krągłe niż kiedykolwiek, a stalowe mięśnie nadały jej ruchom kocią zręczność. Kasztanowate włosy przybrały barwę ciemnego bursztynu. Lecz te wszystkie zmiany wydawały się nieistotne w porównaniu z jej wewnętrzną metamorfozą, z czymś nowym i obcym, co z niej emanowało.

Zmieniło się nieco nawet jej oblicze, stało się w jakiś sposób płynne, zarazem nieśmiałe i odważne, beztroskie i mądre. Patrzyła na świat wzrokiem lwicy, ale jej spojrzenie miało w sobie również coś z wydry, foki i mewy—wędrowniczki.

Tauno i pływaczka padli sobie w objęcia, ich usta przez długą chwilę nie chciały się oderwać od siebie.

— Jak mijały ci dni? — zapytał w końcu.

— Naprawdę dobrze — zachichotała. — Poza praktykowaniem tego, czego mnie nauczyłeś przed podróżą, sama wymyśliłam jedną czy dwie sztuczki. Ale bardzo mi ciebie brakowało. Mam nadzieję, że w kabinie jest koja z mocnych belek.

— Co takiego? — zazartował. — Nie uwiodłaś żadnego przystojnego młodzieńca? Spoważniała natychmiast.

— Pragnę tylko ciebie, Tauno — odparła tonem zakochanej dziewczyny.

Rozmawiali po duńsku. Ich słowa zmartwiły fru Dagmarę, tak samo jak ich zachowanie. Postąpiła kilka kroków do przodu.

— Wybrałam dla was odzież — oświadczyła. — Pokażę wam, gdzie jest.

Brwi uniosły się nad roziskrzonymi oczami.

— Po co, dlaczego? I tak trzeba by ją zrzucić przed świtem.

Wesołość znikła, równie szybko jak się pojawiła. Pływaczka objęła ramionami ziemską niewiastę.

— Och, moja najdroższa, jak dobrze znów cię zobaczyć. — Cofnęła się. — I wkrótce masz zostać matką! Dlatego zdajesz się promieniować, czy wiesz o tym?

— Jakże chciałabym móc cieszyć się razem z tobą — odparła smutno Dagmara. — Mogę się tylko za ciebie modlić.

Tauno pociągnął Nilsa za rękaw.

— Twoja pani powinna była zostać w domu — rzekł tak cicho, że tylko tamten go usłyszał. — Jest na to zbyt świątobliwa.

— Lecz nie mniej odważna niż przedtem — odpowiedział jej małżonek. —

Żywi nikłą nadzieję, że zdołamy was tutaj zatrzymać i może w końcu uzyskać dla was zbawienie. Sam bym tego pragnął — dodał, uśmiechając się ponuro. —

Chociażby ze względu na wasze towarzystwo, przyjaciele. Obawiam się, że w porównaniu z wami moi ziemscy znajomi wydadzą mi się istotami pozbawionymi krwi i soli.

Skierował wzrok na pełną życia wybrankę przyjaciela, po czym pośpiesznie przeniósł go na żonę.

Tauno westchnął.

— Oszczędźcie tego sobie i nam — powiedział.

— I nam będzie was bardzo brakowało. Ale musimy stąd odpłynąć i chyba już nigdy się nie zobaczymy.

Niewiasty usłyszały te słowa.

— Tak, szybkie pożegnania są najlepsze — oświadczyła ta, która wynurzyła się z morskiej toni. — Wracajcie prosto do domu i cieszcie się życiem.

— Czy już postanowiliście, dokąd się udacie? — spytał Nils.

— Nie. Jak moglibyśmy, skoro płyniemy w nieznane?

— odparł Tauno. — Na zachód, może do Winlandii, albo jeszcze dalej.

Muszą tam być całe ogromne królestwa przyrody, Krainy Czarów i człowieka, nie tknięte przez

chrześcijaństwo, które tylko na nas czekają. — Uśmiechnął się szeroko. — Kto wie, może staniemy się bogami.

— Widząc, że Dagmara skrzywiła się i przeżegnała, dodał:

— Nie znaczy to, że będziemy się o to starali, ale może tak się zdarzyć.

Wszystko może się wydarzyć i dlatego tam się udajemy.

— Żeby poznać wszystkie cuda, do jakich zdołamy dotrzeć w czasie, który nam został przeznaczony — powiedziała żywo jego kochanka.

— Ale Kraina Czarów kiedyś się skończy! — zawołała Dagmara.

Tauno skinął głową.

— Tak, jest skazana na zagładę i to praca ludzi takich jak twój mąż i ty przyspieszy jej koniec. — Ścisnął za ramię Nilsa, pocałował w policzek siostrę.

— A mimo to kochamy was.

— I my was kochamy — odparła Dagmara przez łzy.

— Czy będziemy musieli was opłakiwać przez całą wieczność?

— Nie. Nie możecie przecież opłakiwać tego całego świata — wodna niewiasta zakreśliła ręką szeroki łuk, obejmując nim morze, ląd, niebo, całą letnią noc — chociaż zapamiętacie, jaki był piękny. Nie będziemy niczym innym, niż teraz jesteśmy: n a s z ą częścią Stworzenia.

— Ingeborgo—Nado... — smutek Dagmary ustąpił na chwilę miejsca zdumieniu. — Kim jesteś?

— Obiema jednocześnie i żadną z nich. Dzieckiem smutku, którego matka zmarła w połogu. Oby twoje było dzieckiem radości... Potrzebuję imienia. Czy mogę nazwać się Eyjan?

Tym razem to śmiertelna niewiasta objęła niewiastę z Krainy Czarów.

* * *

Jacht przyholował za sobą na miejsce spotkania skif, którym Nils i jego małżonka ruszyli teraz w stronę lądu. W momencie gdy pochylił się głębiej przy wiosłach, nok rei szcęknął w górze. Tauno przywiązał żagiel i wziął do ręki ster. Jego towarzyszka przywołała silny wiatr. Ich korab pomknął do przodu, na północ i północny wschód przez cieśninę Kattegat, by później okrążyć Skaw i odnaleźć Ocean. Ponad masztem, wychwytyjąc skrzydłami blask wciąż ukrytego za horyzontem słońca, przeleciało stado dzikich łabędzi.

EPILOG

W maju Roku Pańskiego 1321 umarł Pawle Subitij, zwany Twórcą Królów.

Jego syn, Mladen, objął po ojcu urząd bana, próbował odzyskać utracony Zadar, ale mu się to nie udało i musiał odstąpić od obłężenia. Nie zdołał też zapobiec walce pomiędzy możliwymi rodami chorwackimi. Znowu Kaczijowie grasowali jako piraci wzdłuż wybrzeży Dalmacji, a Nelipitijowie i ich sojusznicy ponownie usiłowali odebrać władzę Subitijom i Frankapanom. W roku 1322

wybuchła wojna domowa. Sprzymierzywszy się z Nelipitijami Wenecja zagarnęła natychmiast Szibenik i Trogir, a nieco później Split i Nin. Ciężkie to były lata.

Mimo to ojciec Tomisław, którego broda zbielała jak mleko i któremu choroba pokrzywiła ręce tak bardzo, że nie miał już z nich żadnego pożytku, mógł stanąć przed swymi parafianami (był wśród nich owdowiały, załamany i siwiejący kapitan Andrzej) i powiedzieć im w swym kazaniu:

— „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”.

To odpowiedź Zbawiciela na pytanie, które zadał mu faryzeusz Nikodem.

Czy zechciałby się spierać, gdyby nie kochał? Łatwiej byłoby powiedzieć tylko:

„Znasz już cuda, jakich dokonałem. Przestań mi dokuczać, padnij na ziemię i oddaj mi cześć, zanim porażę cię piorunem”. Lecz on zrobił wszystko, żeby jak najlepiej wytłumaczyć tajemnicę, ponieważ chciał, żeby ludzie przychodzili do Niego z własnej i nieprzymuszonej woli, nie ze strachu przed Nim, lecz szukając drogi do swego Ojca.

Bóg nas kocha. Nigdy o tym nie zapominajcie. Myślę, że zsyła na nas mniej doświadczeń, niż sami je na siebie ściągamy własną głupotą. Jednakże, jakkolwiek by nie było, zachowajcie w pamięci wiedzę, że On was miłuje. Bez względu na to, co się dzieje, nie zapomni o nas. Nie zapomina o nikim. Jezus mógł przestawać z celnikami, grzesznikami i poganami. W naszych czasach mamy schizmatyków, heretyków, Żydów, Turków, pogan, Wenecjan — i On kocha ich tak samo jak was. My, grzeszni śmiertelnicy, często nie widzimy sposobu na to, by uniknąć walki, lecz czy musimy nienawidzić?

Przez jedno z wąskich, nie oszklonych okien wpadł do wnętrza kościoła promień słońca. Stary kapłan otarł oczy i mówił dalej:

— „Albowiem Bóg tak umiłował świat...” Zakładam, iż miało to znaczyć, że umiłował wszystko, co kiedykolwiek stworzył, gdyż nie ma niczego, czego On nie stworzył. Jeżeli potrzebujecie pociechy, pomyślcie o tym. Pomyślcie, że nawet kurz pod waszymi stopami jest kochany. Widzieliśmy, jak obdarzył

duszami wodników; On... On wybaczył też pewnej biednej, małej duszyczce i wziął ją do Nieba. I niech to doda wam odwagi.

Myślę, że On niczego nie stwarza nadaremnie. Że nawet sam Szatan, kiedy już [Armageddon*](#) i jego następcy ukażą mu, że zblądził, będzie mógł żałować za grzechy i otrzymać rozgrzeszenie. Że w

Ostatnim Dniu nie tylko nasi umarli zmartwychwstaną, ale wszystko, co kiedykolwiek istniało, co kiedykolwiek żyło, powstanie z martwych ku chwale Pana.

Ojciec Tomisław milczał przez chwilę, po czym zakończył:

— Nie sądźcie wszakże, że to wszystko musi być do końca prawdą. Pewien jestem Bożej miłości, lecz reszta tego, co wam powiedziałem, to tylko rojenia mojego umysłu. Tego nie ma w kanonie wiary. To może być herezją.

* Armagedon — miejsce, gdzie odbędzie się ostatnia wielka bitwa między dobrem i złem, gdzie przed Dniem Sądu Ostatecznego królowie Ziemi przegrają wojnę z Bogiem (przyp. tłum.).

Poul (William) Anderson urodził się w 1926 ze skandynawskich rodziców. W

1948 ukończył fakultet fizyki Uniwersytetu Minnesota. Ma wyraźne upodobanie do na poły rustykalnych, na poły zalesionych krain zamieszkałych przez solidnych, oszczędnych ludzi, często pochodzenia skandynawskiego, a jego poglądy są nie tyle konserwatywne, co mają wiele wspólnego z romantycznym, woluntarystycznym indywidualizmem rodem ze Środkowego Zachodu USA.

Debiutował w 1947 opowiadaniem „Tomorrow’s Children” napisanym wspólnie z F. N. Waldropem, w 1952 wydał pierwszą powieść, *Vault of the Ages* (dla starszych dzieci), w 1953 opublikował pierwotne wersje dwóch być może swych najlepszych powieści: *Brain Wave* (1954) i *Trzy serca i trzy lwy* (1961, fantasy).

W jego obfitej twórczości wyróżnia się duży cykl „Historii Przyszłości”, obrazujący czasy podboju Układu Słonecznego, eksplorację Galaktyki i kontakty z obcymi cywilizacjami. Składają się nań podcykle: „Liga Psychotechniczna” (*The Psychotechnic League* 1981 zbiór, *Cold Victory* 1982

zbiór, *The Snows of Ganymede* 1958, *Virgin Planet* 1959, *Star Ways* 1956 inny tytuł: *The Peregrine*). Większy podcykl to „Historia Techniczna”. Tu głównymi bohaterami są kupiec Nicholas van Rijn: *Trader to the Stars* (1964, zbiór), *The Trouble Twisters* (1966, zbiór), *Satan’s World* (1969), *Mirkheim* (1977), *The Earth Book of Stormgate* (1978, zbiór zawierający powieść *Wojna skrzydlatych* 1958 pełny tekst 1978) i wysłannik Ziemi Dominie Flandry (300 lat po upadku Ligi Polezotechnicznej, w ramach której działał van Rijn): *Ensign Flandry* (1966), *A Circus of Helis* (1970), *The Rebel Worlds* (1969, inny tytuł: *Commander Flandry*), *The Day of Their Return* (1973), *Flandry of Terra* (1965; *Mayday Orbit* 1961 i *Earthman, Go Home!* 1960 przerobione w jedną całość), *Agent of the Terran Empire* (1965, zbiór zawierający powieść *We Claim These Stars* 1959), *A Knight of Ghosts and Shadows* (1974, inny tytuł: *Knight Flandry*), *A Stone in Heaven* (1979), *The Game of Empire* (1985, córka Flandry’ego) i dziejące się po śmierci Flandry’ego: *Oblicze nocy* (1963), *The Long Night* (1983, zbiór).

Inne cykle: „Patrol Czasu” (począwszy od *Strażników czasu* 1960 zbiór, rosz. 1981, etc, a pełny zestaw w 2 t.: *The Shield of Time* 1990 i *The Time Patrol* 1991), „Historia planety Rustum” (*Orbita bez końca* 1961 i *New America* 1982, zbiory), „Hoka” do spółki z Gordonem R. Dicksonem (*Earthman’s Bur den* 1957 zbiór, *Star Prince Charlie* 1975, *Hoka!* 1984 zbiór) oraz dwutomowy cykl *Orion Shall Rise* (1983) i *Maurai & Kith* (1982, zbiór).

Z pozostałych utworów SF godzi się wymienić: *NoWorld for Their Own* (1955, popr. 1978 pt. *The Long Way Home*), *Planet of No Return* (1956), *The Enemy Stars* (1958, popr. 1979), *Podniebna kruczata* (1960), *Twilight World* (1961), *The Star Fox* (1965), *World Without Stars* (1967), *Tau Zero* (1970), *Tales of the Flying Mountains* (1970, zbiór), *The Dancer from Atlantis* (1971), *Fire Time* (1974), *The Best of Poul Anderson* (1976, zbiór), *Avatar* (1978), *Winners* (1981, zbiór 7 opowiadań, które zdobyły 7 Hugonów i 3 Nebuie; po polsku w 5 zeszytach: *Królowa Powietrza i Mroku* 1987, *Księżyc łowcy* 1987, *Nie będzie rozejmu z władcami* 1987, *Pieśń pasterza* 1990, *Psychodrama* 1987), *Past Times* (1984, zbiór) *The Boat of a Million Years* (1989), *Inconstant Star* (1991, zbiór z cyklu „shared-world” tzn. „ten sam świat, różni autorzy”, „Man-

Kzin”, wymyślonego przez Larry’ego Nivena), *Harvest of Stars* (1993). Dla pełnego obrazu: pominięto tytuły 12 powieści i 14 zbiorów (oraz 9 książek niefantastycznych).

Utworów fantasy napisał PA znacznie mniej: *Zaklęty miecz* (1954, popr.

1971), *Hrolf Kraki’s Saga* (1973, wersja powieściowa sagi), *Midsummer Tempest* (1974, kontynuacja *Trzech serc i trzech lwów*), *Dzieci Wodnika* (1979), *The Demon of Scatterry* (1979, razem z Mildred Downey Broxon), *Conan buntownik* (1980), *Fantasy* (1981, zbiór), *The Unicom Trade* (1984, razem z żoną Karen), tetralogia „Król Ys”, razem z żoną: *Roma Mater* (1986), *Gallicenae* (1987), *Dahut* (1988), *The Dog and the Wolf* (1988), *The Armies of Elfland* (1992, zbiór). W 1977 otrzymuje prestiżową Gandalf (Grand Master) Award.

Oprac. MSN

Document Outline

- ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??

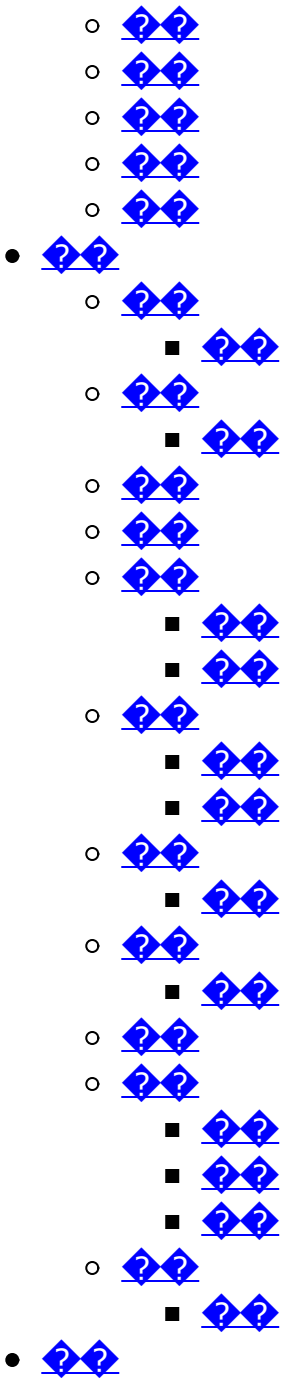


Table of Contents

*1,
t*
i*
an*
oń* pas
avanger*
eonach*
*
e*
y*
y*s
”*
er*
*
cki* i
uon*
ak*
a*)
i*
a*
et*
ego* zam
o*, T
i*
ageddon*
???